

Ł U K A S Z
MALINOWSKI

Skald



ROWAL SŁÓW

TOM I

Ł U K A S Z
M A L I N O W S K I

Skald

Ꞥ O W A L S Ł Ó W T O M 1

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

Spis treści

Karta redakcyjna

Podziękowania

Opowieść o szaleństwie 1

Księga I: Złotowłosa

Opowieść o szaleństwie 2

Księga II: Szatrandż

Dodatek od autora: Słowniczek nazw własnych, terminów i trudnych
wyrażeń

Przypisy

Redakcja: ARTUR SZREJTER
Korekta: AGNIESZKA PIETRZAK, DOROTA RING
Mapy: MICHAŁ SZWAGUŁIŃSKI
Projekt okładki: Dark Crayon / PIOTR CIEŚLIŃSKI
Skład: TOMASZ WOJTANOWICZ

Copyright © by Łukasz Malinowski, 2014
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2014
Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-64185-70-0

Instytut Wydawniczy ERICA
e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl
www.WydawnictwoErica.pl
Oficjalny sklep www.tetraErica.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

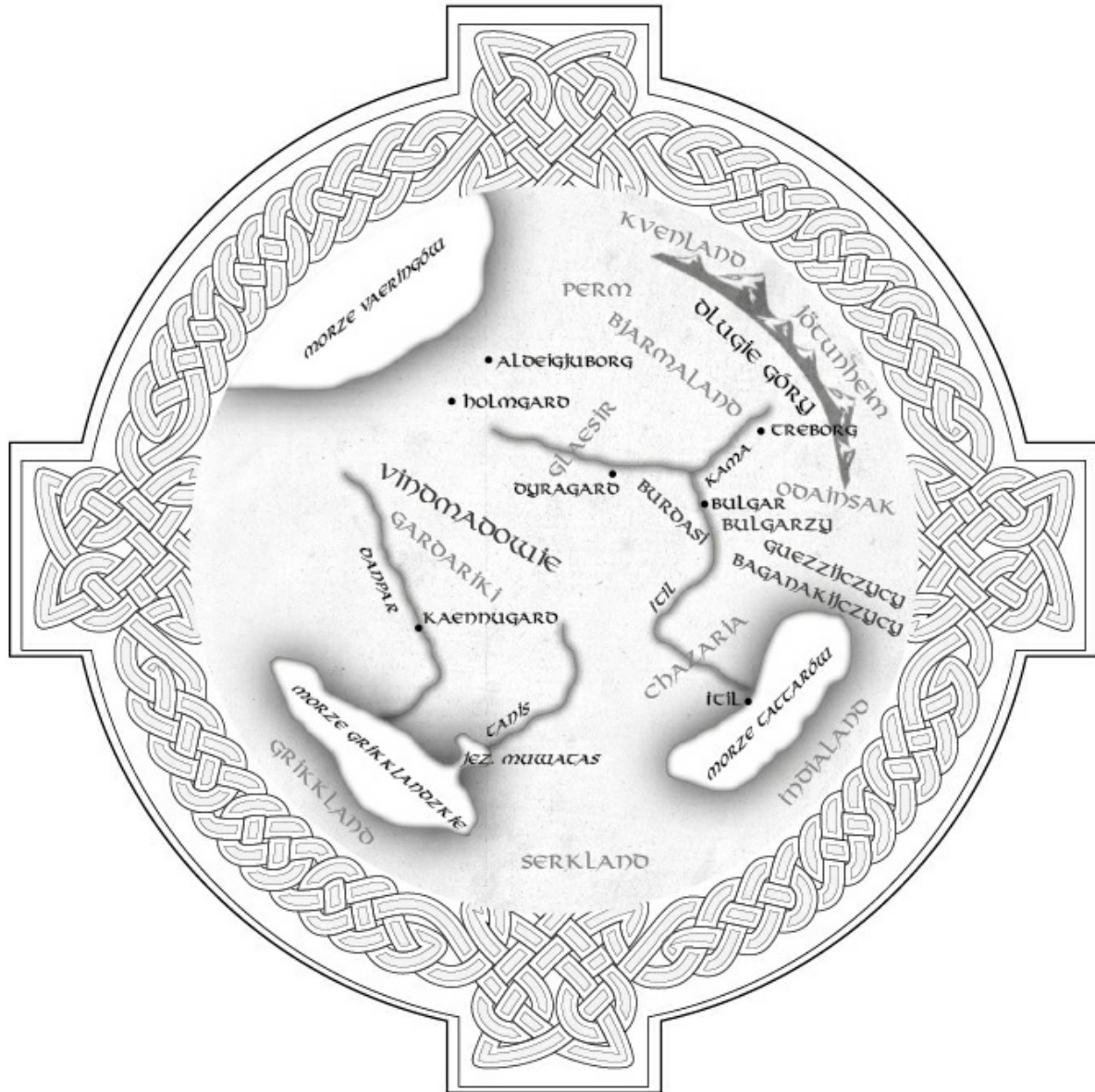
Podziękowania

Pisanie to samotnicza praca, co nie znaczy, że autor obywa się bez pomocy innych. Dziękuję mojej rodzinie i przyjaciołom, którzy wspierali mnie dobrym słowem, zachęcali do pracy nad kolejnymi przygodami Ainara Skalda i zachowywali ciszę (no, przynajmniej się starali), gdy pracowałem. Podziękowania kieruję też do osób, które znacząco przyczyniły się do promowania *Karmiciela kruków*. Łukasz Narolski z fundacji Patrimonium Europae zrobił dla mnie więcej niż niejeden zachodni agent literacki. Przekład fragmentu *Karmiciela kruków* na język angielski, dokonany przez Przemka Walerjana, był nie tylko wierny, ale i piękny. Piotr Leśniak z Myślenickiego Klubu Fantastyki zrobił wiele, by *Skalda* poznali mieszkańcy mojej rodzinnej miejscowości. Janusz Mucha nie tylko nie dopominał się o ciągle nieoddane książki, ale jeszcze uczynił się (bardzo słusznie) moim menedżerem i reklamował Skalda wszędzie, gdzie tylko mógł. W końcu dziękuję wszystkim pracownikom wydawnictwa Erica, którzy nieustannie dbają o jakość i graficzną oprawę moich książek.

Łukasz Malinowski

MAPA WSCHODNICH KRAJÓW

SPORZĄDZONA PRZEZ FIÓLOGA BARDA 957 LAT PO NARODZENIU KRISTA
NA PODSTAWIE RELACJI Z PODRÓŻY AINDARA SKALDA



Opowieść o szaleństwie 1

Dom nie wyróżniał się niczym szczególnym wśród prostych chat grodu. Jedna izba, palenisko na środku, drewniana podłoga i cztery ściany. Za to mężczyźni, którzy do niego weszli, na pewno nie byli prostymi rzemieślnikami. Wskazywały na to ich rany, broń oraz zbroje.

Trzech z nich niosło czwartego – związanego i nieprzytomnego. Przybysze rzucili więźnia na ławę przy ścianie, zamknęli za sobą drzwi na skobel i wzięli się do rozpalania ognia.

Gdy polana ułożono już w namiocik, a znajdujące się w jego środku suche patyczki rozpały się do czerwoności, spętany człowiek zaczął się poruszać.

– Zobaczcie, kto się przebudził! – zawołał niebieskooki Vaering^[1], człowiek z Północy, wcześniej zabijający czas rzeźbieniem figurki wilka.

– Mhmmm, hhh, hmmm.

– Co tam bełkoczesz? A tak. Usta.

Rzeźbiarz podszedł do więźnia i wyjął mu knebel, czyli starą szmatę umazaną krwią.

– Zapłacicie za to, psy! Natychmiast mnie rozwiążcie!

Nikt nie zwrócił uwagi na jego słowa. Poruszył się tylko Vaering, jednak nie spełnił żądania jeńca, a wrócił do zabawy nożykiem i drewnem.

– Nie rozumiesz? – zapytał niebieskooki, podnosząc wzrok znad figurki.

– Nie ma już nikogo, kto przyszedłby ci z pomocą. Zostałeś sam, na łasce naszej trójki.

– Jesteście szaleni!

Trzej mężczyźni śmiali się i szczerzyli zęby o wiele dłużej, niż

nakazywała przyzwoitość.

– Nikt nie będzie się o to spierał, choć to ty wrzeszczysz i szarpiesz się jak człowiek pozbawiony rozumu.

– Śmiesz mi zarzucać brak rozwagi? Jesteście zdrajcami i sprzedawczykami. Uwięziliście mnie bez żadnego powodu, a przecież powinniście być mi wdzięczni za wszystko, co dla was uczyniłem! Jesteście jak wściekłe kundły, które gryzą rękę swojego pana!

– Ciekawa sprawa z tym szaleństwem. Wiesz, przewędrowałem kawał świata i słyszałem wiele historii o ludziach niespełna rozumu i rzeczach, które mogą pchnąć człowieka w obłąd. W moich rodzinnych stronach mówi się, że to sam boski Göllnir^[2] przemawia przez szaleńca i ukazuje prawdziwe oblicze świata. Drgawki natchnionego są płasmi człowieka unikającego zranienia, ślina tocząca się z ust to łzy matek oplakujących zabite dzieci, niepohamowana mowa jest bełkotem tych, którzy nas napominają, gniew to uczucia, jakimi darzą nas bogowie, a śmiech – znaną wszystkim opinią o wartości ludzkiego życia. Dlatego my, mieszkańcy Północy, obdarzamy takich ludzi szczególnym szacunkiem, uważając ich za wybrańców bogów. Niektórzy mówią, że oprócz skaldów i kapłanów tylko słabi na umyśle potrafią rozmawiać z niebiańskimi Asami i Wanami.

– Widać u was wszyscy są szaleni.

Vaering nie zwracał uwagi na uwięzionego. Rzeźbił teraz głowę wilka, wióry łagodnie opadały do ogniska. Drążył oczy czubkiem nożyka. Widać była to rzecz wymagająca dużego skupienia, gdyż milczał. Dopiero gdy uporał się z obiema źrenicami, zaczął prawić dalej:

– Bywałem też w Kristlandach, gdzie czci się Krista, boga o ciekawym podejściu do szaleństwa. Mieszkający tam kristmadowie zupełnie inaczej traktują pomyleńców, choć zgadzają się z moimi rodakami co do jednego: że ich szal ma nadprzyrodzone pochodzenie. Jeden z munków, jak nazywają tam kapłanów, opowiedział mi kiedyś historię z *Sagi o Kristosie*. Pewien włóczęga, którego ludzie mieli za pozbawionego rozumu, chodził nago i mieszkał w grobach, będąc zapewne złodziejem mogił. Czasem wiązano go linami i łańcuchami, by sprawdzić, jak wielką siłę daje mu szaleństwo.

A była ona wielka, gdyż mężczyzna za każdym razem wpadał w taką złość, że potrafił zerwać każde pęta czy okowy. Próby się skończyły, gdy nieszczęśnika spotkał Krist i stwierdził, że mężczyzna jest opętany przez złego demona o imieniu Legion. Miano to znaczyło, że wiele złych duchów zamieszkiwało w tym człowieku, tak jak we mnie mieszka wiele duchów opiekuńczych. Czy ten człowiek był berserkiem? Nie wiem. Ale Krist postanowił pozbawić go nadludzkiej siły i wszelkiej nadprzyrodzonej opieki, każąc demonom trapiącym mężczyznę zamieszkać w świniach, które pasły się nieopodal. Tu opowieść staje się niezbyt jasna, a i munk nie potrafił mi tego wytłumaczyć, ale duchy posłuchały uzdrowiciela i doprowadziły zwierzęta do takiego szaleństwa, że te pospadały w przepaść. Nie wiadomo, kto był ich właścicielem, ale jeśli szanowano wówczas prawo zemsty, był nim pewnie jeden z tych, którzy później zabili Krista. Ale mniejsza z tym. Najważniejsze, że nawet kristmadowie uważają szaleństwo za stan nadprzyrodzony, którego lekceważenie jest błędem. A ty popełniłeś ten błąd.

Księga I
ZŁOTOWŁOSA

1

Ainar widział wiele niesamowitości. Rybę z rogiem jednoroźca, kobietę z trzema piersiami, cielaka z dwiema głowami, a nawet córkę władcy mórz Aegira, która miała wodorosty we włosach. Wszystko to jednak bladło wobec człekopodobnego stworzenia, które ujrzał, wychodząc w południe ze skytningu położonego w osadzie tuż za wałami Holmgardu. Biesiadował w tym pijackim przybytku od trzech dni, nic więc dziwnego, że uznał, iż ma zwidy. Przetarł podkrążone oczy, podrapał się po zarośniętych policzkach, mrugnął kilka razy i zatańczył brwiami. Nic się jednak nie zmieniło – czarnoskóry stwór nadal stał przed nim, zasłaniając mu słońce.

Powiedzieć o nim, że miał osobliwy wygląd, to tak, jakby brzydulę nazwać niewiastą o niespotykanej urodzie. Przybysz był niewiarygodnie szkaradny i wielki jak troll. Wyróżniał się też nieproporcjonalnie długimi rękami, silnymi nogami i szeroką klatą. Przez ramię miał przerzuconą cętkowaną skórę jakiegoś wielkiego kota, a na nogach szarawary – spodnie o szerokich nogawkach. W ręce trzymał włócznię o przesadnie zaokrąglonym grocie, a przy jego pasie widniał dziwny miecz o tak zakrzywionej głowni, że przypominał sierp. Trzecią niezwykłą bronią był przypięty do lewego boku nieznanego długi nóż, który zamiast prostej rękojeści miał uchwyt z osłoną chroniącą zaciśniętą pięść.

Ainar zrozumiał, że miał przed sobą stworzenie znane na Północy jako Blamad.

– *Heilsan*^[3] dla Ainara Skalda z mroźnego Noregu. Twoja pijacka sława nie jest przesadzona. Myślałem, że już nigdy nie wyczołgasz się z tej budy. Rozumiesz w ogóle, co do ciebie mówię, czy twój rozum utonął już w miodzie?

Już sam fakt, że poczwara – która najwyraźniej miała więcej wspólnego z człowiekiem, niż Ainar był początkowo skłonny przyznać – przemówiła, było niezwykle. A jeszcze to, że odezwała się w jego języku, w dodatku wołała go po imieniu i sławiła jedną z jego najwspanialszych umiejętności, całkiem przypominało pijacki sen.

Ostrzegano go – jeszcze zanim wyruszył na morze – że krainy Austrvegu, czyli Wschodu, to siedlisko potworów, z którymi szukający przygód wojownicy z Północy musieli walczyć całymi dniami – oczywiście z przerwami na spólkowanie, picie, jedzenie i spanie. Prawda, we wschodnich grodach spotkał już karły i czarowników, którzy panoszyli się tam jak u siebie, ale w ogólnym rozrachunku nie zobaczył tam nic, czego nie widziałby już w siedzibach władców Północy. Wszędzie opowiadano mu jednak, że dopiero jeszcze dalej na wschód, w głębi Bjarmalandu czy Glaesiru, tych dziwów będzie więcej.

– Jam jest Ainar Skald, sprawny w strof składaniu, mistrz miodowych mów i przeciwnik pustych pucharów. Jeszcze nie wynaleziono takiego trunku, który mógłby sponiewierać drenga takiego jak ja i splątać mi język. Po czym w ogóle wnosisz, potworze, że jestem pijany?

– Bo zadałem to pytanie już trzy razy, a ty w tym czasie dwukrotnie upadłeś i cztery raz poprosiłeś mnie o napełnienie rogu.

Pieśniarz uznał, że w tych słowach może tkwić ziarno prawdy, gdyż uświadomił sobie, że klęczy na czworakach, a taka pozycja wyjaśniała, dlaczego obcy zasłaniał mu cały widok. Skald podniósł się niespiesznie, otrzepując kurz z niebieskich spodni i czerwonego kyrtyllu – wełnianej koszuli sięgającej ud. Przy tej czynności omal znów się nie przewrócił. Kiedy już stał, stwierdził, że Blamad nie wydaje się tak wielki, choć przerastał Ainara o pół głowy.

– Kim jesteś, karli bękarcie, i skąd znasz moje imię?

Przybysz uśmiechnął się, przy okazji demonstrując, że Ainar się mylił: otóż mężczyzna nie był całkowicie czarny – jego zęby świeciły bielą jak kły morsów. Wszystkie były spiłowane i wyglądały na ostrzejsze od noży.

– Zwą mnie Ali ibn Ali ibn Ibrahim ibn Rahin. Lub po prostu Ali. A skąd

znam twoje imię? Przez całą noc tak chwaliłeś się nie tylko nim, lecz także swoimi czynami i pieśniami, że mógłbym o tobie napisać całą sagę.

– Śledziłeś mnie, podstępny synu ciemności!

Ainar zrobił groźną minę, choć bardziej z powodu męczącego go kaca niż zdenerwowania. Nie docenił miejscowych drwali o rumianych policzkach, którzy mieli łeb do picia tak samo dobry jak jego krajanie.

– Nie musiałem. Tylko drzemałem pod drzewem, ale ty darłeś się tak głośno, że cała osada słyszała. Uprzedzę kolejne pytanie. Przysłał mnie największy z kaganów, wspaniały czarownik, który potrafi wplatać gwiazdy w grzywy swoich wierzchowców. Tirus Wielki.

– Kolejny „wielki”? Odkąd przybyłem do tego kraju, ciągle słyszę o wielkoludach. Tymczasem nie spotkałem nikogo, kto wielkością dorównywałby mnie.

– Tylko jeśli chodzi o wzrost. Choć, jak sam widzisz, i to się teraz zmieniło.

– Mimo to muszę odmówić. Mam jeszcze róg do wychylenia.

Ali ponownie się uśmiechnął i kiwnął głową. Skald dostrzegł kątem oka, że zza rogu skytningu wybiega trzech czarnoliczych olbrzymów z pałkami.

Przeklął, bo w budynku zostały jego miecz i nóż. Nawet nie próbował się obrócić, wiedząc, że po pijaku nie zdoła się obronić. Doskoczył za to do Blamada i trzasnął go czołem w twarz. Usłyszał chrzęst łamanego nosa. Ledwie pozwolił sobie na szyderczy uśmiech, kiedy, zdzielony pałką po głowie, upadł na ziemię.

2

Obudziły go smród łajna, bzyczenie much oraz przyjemny wiaterek. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą zad klaczy, która wachlowała go ogonem. Przez chwilę czuł się jak w domu, zad ten bowiem niczym nie różnił się od

tych, jakie widywał w Östlandzie.

Wspominanie rodzinnych stron zostało przerwane, gdy czyjaś czarna głowa przesłoniła mu widok. Jej właściciel stwierdził głosem zmienionym przez opatrunki tkwiące w dziurkach złamanego nosa:

– W końcu nasza księżniczka się obudziła.

Östmad szarpnął się i poczuł uścisk sznura na ramionach i nogach. Dopiero teraz pojął, że spoczywa przywiązany do włóczyska. Pod plecami nie czuł niczego twardego, zatem konstrukcja musiała zostać wykonana ze skóry rozciągniętej na drewnianej ramie. Jej dolne rogi ciągnęły się po ziemi, a górne utrzymywały się w powietrzu dzięki dwóm żerdziom przymocowanym do boków klaczy.

– Mógłbyś nie zasłaniać widoku?

– W twoim stanie chyba lepiej, że daję ci trochę cienia.

– Lepiej, ale jestem pieśniarzem wyczulonym na piękno, a twoja gęba jest szkaradniejsza niż koński zad.

– Gdyby to zależało ode mnie, przed oczami miałbyś tylko ziemię.

Uśmiech Vaeringa, który ten pochopnie przywołał na twarz, szybko zmienił się w grymas bólu. Kac i obita głowa dały o sobie znać. Ale dowiedział się przynajmniej tyle, że porywacze nie zamierzali go zabić.

– Los człowieka przędą norny, ale jego wykonawcami są zwykle ludzie. Kto więc trzyma igłę nawlekającą nić mojego przeznaczenia?

– Jak na skalda masz kiepski słuch. Mówiłem przy naszym pierwszym spotkaniu, że Tirus Wielki zaprosił cię do swojego pałacu.

– W moich stronach gościmy piwem i mięsiwem, a nie pałką.

– W naszych zaś miodem, chlebem, solą i damskim towarzystwem. Ale jeśli gość obraża gospodarza, zasługuje na karę.

– A czymże mu uchybiłem?

– Odmową.

– A co to za gospodarz, który z zaproszeniem wysyła potwora z sag dla dzieci?

– Potężny. Taki, z którego rozkazu ożywają bestie z ludowych skazek.

Ali uśmiechnął się, pokazując palcem, kogo ma na myśli.

– A jak tam twój nos?

– Piękny nie byłem, to i tym ciosem urody mi nie dodałeś.

Pieśniarz zdziwił się, słysząc tę zuchwałą i ciętą odpowiedź, godną prawdziwego syna Północy, a nie jakiegoś czarnego stwora. Blamad zachowywał spokój i wydawało się, że nie da się niczym sprowokować. Skald zaczął uważniej przyglądać się porywaczowi. Obserwację miał o tyle ułatwioną, że Ali ciągle był w ruchu, raz prowadząc pochód, raz doglądając więźnia, to znów gawędząc z towarzyszami. Östmad mógł go więc obejrzeć z każdej strony. Czarny demon miał rozumny wyraz twarzy, a w jego oczach nie tliły się iskierki okrucieństwa charakterystyczne dla odrmadów, szaleńców. Był łysy, ale jego głowę zdobiło coś innego niż włosy. Na całej jej górnej części widniał niebieski tatuaż węzowego łba, którego poskręcany, rozdwojony język sięgał brwi wojownika. Grube cielsko węża spływało na szyję, kark i plecy czarnego stwora, by wić się wokół kręgosłupa, a potem niknąć pod szarawarami. Poeta domyślił się, że tatuaż ciągnął się dalej, po prawej nodze Blamada, gdyż tuż nad stopą zobaczył koniec cienkiego ogona, wyłaniający się z nogawki spodni.

– Skąd tak dobrze znasz mowę moich przodków i obyczaje ludzi Północy, demonie? – zapytał, gdy Ali kolejny raz zbliżył się do niego.

– „Demonie”? Prawisz jak ci śmieszni mężczyźni w czarnych kieckach z Kristlandów. Nie powinieneś mnie raczej nazwać draugiem albo fjandim, jak w twoim języku mówi się na krwiożercze potwory?

– Powinienem. Ale kristlandzki „demon” lepiej pasuje do jakiegoś tam Ibna, który trzy razy dziennie wzywa imienia boga Maumentsa.

– Muhammada... Widzę, żeś mądrzejszy, niż wyglądasz, choć nie do Muhammada kieruję modły, bo to tylko prorok. Ale muszę cię zawieść. Żaden ze mnie dzin, ifrit ani nawet ghul, choć smolistą barwą swej skóry mógłbym konkurować z diabłem Romverjów. Jestem po prostu zwykłym Blamadem w niezwykłej krainie.

– Taaa... Zwykłym... Masz szczęście, że to nie zima.

– Czemuż to?

– Bo wyglądałbyś jak gówno na śniegu.

Żart był słaby i prostacki, ale pieśniarza wciąż bolała głowa, utrudniając skupienie. Nie był zadowolony z dowcipu, ale z radością dostrzegł, że porywacz nie został na niego obojętny. Ali na pół uderzenia serca zmarszczył brwi, zdradzając zdenerwowanie.

– Bezczelny jak zawsze. Ale ja nie pozwolę sobie na gniew. Poznałem się na was, Vaeringowie. Wyniosłością, śmiałością i pogardą stawiacie się ponad innymi, by ukryć prawdę.

– Jaką to? Ciekawym wielce.

– A taką, że na ziemiach Wschodu jest was tylko garstka. I taką, że gdyby mieszkańcy Gardariki się zjednoczyli, to uciekalibyście w popłochu jak bydlę przed grzywiastym kotem.

– Twój pan musi myśleć inaczej. W końcu to ja jestem mu do czegoś potrzebny, a nie kupa smerdów z cepami i widłami.

– Zostałeś wezwany, bo kagan nie posłuchał mojej rady.

– Widać mądry, że odrzuca od siebie czarne myśli.

– Cięty masz język, ale lepiej na niego uważaj. Nie jesteśmy na Północy, gdzie zuchwałość nagradza się złotymi pierścieniami. Choć przodkowie mojego pana również wywodzą się z Noregu, nie pobłaża on takim jak ty. Za mniejsze przewiny wbija na pal i rozrywa końmi.

– Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie. Skąd znasz język i obyczaje mego ludu?

– Szybko się uczę, a spotkałem wielu Vaeringów i kilku sagnamadów. Poznanie waszej mowy i nauczenie się waszej beczelności nie jest trudne w kraju, którego władcy wysługują się obcymi z różnych stron, by rozwiązywać swoje problemy.

– A skąd ty się tutaj wzięłeś? Jakoś nie pasujesz mi do lasów i stepów. Może ten wasz grzywiasty kot przegnał cię z ojczyzny?

– To długa historia, nie będę cię zanudzał.

– Chwilowo nie mam nic lepszego do roboty.

– Dobrze więc. Pochodzę z krainy, którą wy, przybysze z Północy, nazywacie Blalandem. Matka powiła mnie w małej wiosce daleko na południe stąd, na obrzeżach wielkiego królestwa Wagadou, rządzonego przez ród boskich ghanów. Było to wspaniałe sioło nad jeziorem. Mężczyźni z mojego plemienia zajmowali się polowaniem, a kobiety przyrządzaniem stawy. Wzbudzaliśmy lęk w naszych wrogach, a miłość w przyjaciółach. Gdy osiągnąłem wiek męski, zabiłem wielkiego grzywiastego kota i zostałem przyjęty do grona wojowników. Potem, zwyczajem przodków, wyruszyłem do Serklandów, by uczyć się rzemiosła wojownika i poznać sekret stali. To tam poznałem...

– Jednak masz rację. Nudzisz mnie. Ciekawszym zajęciem jest oglądanie chmur.

– Jak chcesz – gniewnie rzucił Ali i odszedł.

Ainar przymknął oczy i spróbował się przespać. Drzemka okazała się całkiem przyjemna, choć przerywana wstrząsami, gdyż ciągnięto go po wertepach. Jawa mieszała mu się ze snem. Odróżniał je tylko po tym, że jawa była bardziej bajkowa. Dwóch Blamadów jechało na cudacznych koniach z garbem na grzbiecie. Bestie o żółtej sierści rzucały mu znudzone spojrzenia, a ich tępe pyski nie przeżuwały tylko wtedy, gdy zwierzęta pluły. Inny czarnoskóry dosiadał małego konia w paski. Jechał na oklep, a jego nogi potraçały źdźbła żółtej trawy. Podróżowali teraz między bezleśnymi wzgórzami, ale nie byli jeszcze na sławnych południowych stepach, o jakich opowiadano mu w otoczonym lasami Holmgardzie.

Nastrój senności i ośpienia potęgowało słońce. Skóra boleśnie swędziała pieśniarza, zmieniając odcień na ohydnie rumiany, a potem na jeszcze brzydszy – brunatny. Nie myślał jednak o tym, gorzej jednak było z niezwracaniem uwagi na narastające pragnienie. Łaknął jednak nie wody, którą porywacze podawali mu regularnie, wlewając mu ją do ust ze skórzanego bukłaka, lecz *ale*. Złocistego pszenicznego napoju, jedyne, jaki jest w stanie ugasić ten rodzaj pragnienia, który męczy mężczyznę w upalne dni.

Katusze spragnionego zakończyły się szybciej, niż się spodziewał, i w nie taki sposób, w jaki sobie życzył.

Skórzane leże gruchnęło o ziemię. Głowa poety ponownie wybuchła bólem, a z góry skapnęła na nią ciepła maź. Smakowała jak krew. Ainar odchylił głowę do tyłu i zobaczył, że zad, który niedawno przypominał mu o rodzinnych stronach, o mała nie posłał go na wieczną biesiadę we dworze boskiego Valfuda. Na szczęście koń przewrócił się na bok, przy okazji łamiąc żerdzie włóczyska. Zwierzę próbowało wymachiwaniem kopyt przegnać śmierć. W boku i szyi wierzchowca sterczały strzały. Ciche rzenie powoli zmieniało się w niemal ludzki charkot.

Leżąc na plecach, Vaering więcej słyszał, niż widział. Zorientował się wszakże, że czarni dobyli broni i ukazując swoją nocną, tchórzliwą naturę, ukryli się za wozem zaprzęgniętym w wołu i za garbatymi końmi. Ali, którego Skald potrafił już rozpoznać po głosie, wykrzykiwał rozkazy w nieznannej poecie mowie.

Kiedy klacz w końcu zdechła, między wzgórzami zapadła cisza.

Nie trwała długo. Ainar usłyszał tętent koni, dzikie wrzaski i świst strzał, które wbiły się w ziemię niebezpiecznie blisko. Potem dobiegło go bitewne zawołanie czarnych. Początkowo myślał, że sam Göllnir mami mu uszy pijackimi jękami lub zdrowy rozsądek mści się za morzenie go głodem i pragnieniem. Ale nie. Blamadowie wyraźnie śpiewali „mniam, mniam”. Widać nie on jeden miał ochotę na przekąskę.

Czarni wojownicy zaczęli tupać i uderzać włóczniami o ziemię, wybijając jednostajny rytm, który łupał w zbolącej po przepiciu głowie Skalda. Pieśniarz zaczął na poważnie rozważać odrąbanie sobie czerepu. Szarpnął się ponownie i tym razem udało mu się złamać jedną z żerdzi, uszkodzoną już podczas upadku. Nie przyniosło mu to wolności, ale mógł przynajmniej obrócić się na bok i przyjrzeć nadchodzącemu starciu.

Jeden z napastników wysforował się przed resztę. Ainar był pewien, że pędzi na niego kolejny stwór z gardarikańskich skazek. Wysoki na osiem stóp, wyróżniał się czterema nogami i dwiema głowami – końską i ludzką. Ta druga miała skośne oczy, skórę koloru moczu, a wieńczyła ją futrzana

czapa. Dwie ręce stwora szyły z pokrzywionego, więc najwyraźniej złamanego, łuku. Strzały trafiały jednak w cel, mimo iż pokraka cwałowała.

Przez chwilę pieśniarz myślał, że chyba jednak wypił za dużo, ale porzucił tę niemądrą myśl, gdyż napastnik był zbyt rzeczywisty, by mógł się okazać tylko pijacką wizją. Zrozumiał zatem, że musi mieć przed sobą osławionego Huna lub Tattara, konio-człowieka, owoc podłego związku mężczyzny z klaczą, który krew wrogów pije na śniadanie, a mleko z własnych wymion na kolację.

Konio-ludzi przybywało. Gdy byli zaledwie o ćwierć mili przed wozami, rozdzielili się sprawnie. Część pognała dalej, wprost na Blamadów, a reszta rozjechała się na boki, nie przestając strzelać z łuków. Ci, którzy szarżowali, trzymali w dłoniach wygięte półksiężycowato miecze i skórzane tarcze.

Czarni nie czekali, aż Tattarzy ich dopadną. Cisnęli włóczniami o szerokich grotach.

Trzy potwory, trafione w końską pierś, zwały się na ziemię. Reszta wpadła między Blamadów. Pobrząkiwania żelaza i odgłosy łamanych kości zagłuszyły jęki rannych i zawodzenia konających, a wszystkie razem zwały się w jeden znany na całym świecie – od Lodowej Wyspy do Indialandu – odgłos bitwy.

Fylgja, boska dawczyni szczęścia, uśmiechnęła się do Ainara. Tattarzy mieli ręce pełne krwawej roboty i nie zwracali na niego uwagi. Przynajmniej na razie. Walczący mieszały się ze sobą, tworząc przedziwny korowód bajkowych postaci. Odziani w kocie skóry czarni i skośnoocy koczownicy w skórzanych kaftanach wymieniali uprzejmości zakrzywionymi mieczami – poeta przypomniał sobie, że nazywano je szablami – drewnianymi pałkami, włóczniami i toporkami o wąskich ostrzach. Pomiedzy nimi przemykały konie w paski i żółte ogiery z garbami.

Pozostali konio-ludzie z łukami nadal krążyli wokół pola bitwy, z bezpiecznej dla siebie odległości trafiając w Blamadów. Czarnych wojowników nie było jednak łatwo powalić – wielu walczyło mimo strzały w udzie czy plecach, a umierało dopiero wtedy, gdy ich ciała zostały

posiekane lub tak naszpikowane pierzastymi pociskami, że zaczynały przypominać jeża. Ta nadludzka wytrzymałość nie była jednak w stanie zrównoważyć liczebnej przewagi koczowników. Wtedy Ali pokazał swe prawdziwe oblicze siewcy śmierci.

Dotychczas walczył nie mniej zajadle niż pozostali wojownicy, teraz jednak dał się ponieść bojowemu uniesieniu, zupełnie jakby był hamramirem czy berserkiem, z których to szalonych wojowników słynęła Północ. Przełożył włócznie do lewej ręki, a z ziemi podniósł kolejną. Podrzucił obie, pochwycił je w połowie drzewca i pobiegł w kierunku dwóch konio-ludzi siejących spustoszenie wśród Blamadów.

Ainar przysiągłby na włócznie Göllnira, że źrenice Alego poszerzyły się dwukrotnie, a oczy zapłonęły jak u serklandzkiego dzina. Strzały tylko otarły się o odsłoniętą pierś tego Czarnego Berserka, jakby jego ciało stało się odporne na ciosy. Dосkoczył do pierwszego stwora i wbił obie włócznie w jego ludzką pierś. Ciosy rozerwały poczwagę na pół. Część człowiecza poleciała dobre pięć stóp do tyłu, a część końska stanęła dęba.

Ali obrócił się w kierunku drugiego Tattara i bez broni pognął wprost na niego, jakby chciał wziąć stwora na rogi niczym żubr. Tuż przed przeciwnikiem zmienił jednak kierunek biegu. Minął o pięć koński łeb, uchylił się przed płaskim cięciem szabli i uderzył barkiem w poczwagę. Obaj runęli na ziemię. Ali, który znalazł się na wierzchu, zaryczał zwycięsko, koński łeb potwora zarżał, niezadowolony z ciężaru berserka, a skośnooka głowa, ściśnięta w czarnych łapach, zawyła. Wszyscy zamilkli, gdy suchy trzask obwieścił złamanie kręgosłupa.

Ainar odwrócił wzrok od walczących. Miał własne kłopoty. Jego fylgia wyrznęła go w pysk, zabierając ze sobą szczęście: obie strony walki przypomniwały sobie o nim, i to równocześnie. Z przeciwnych stron popędzili ku niemu i Blamad, i Tattar.

Ten pierwszy był bliżej, ale ten drugi biegł szybciej dzięki końskim nogom. Obaj krzyczeli i wywijali żelazem. Skald nie rozumiał ich słów, ale wątpił, by go pozdrawiali.

Wygrał czarnoskóry, choć wyprzedził wroga tylko o długość konia. Ciął

mieczem dwa razy. Trafił pod pachę i między nogi pieśniarza. Tylko nie tam – pomyślał Ainar, spodziewając się kolejnej dawki bólu. Ten jednak nie nadszedł, a zamiast niego Vaering poczuł, że może się ruszyć. Liny zostały przecięte.

Stoczył się z leży na trawę, unikając kopyt potwora. Wybawca przeskoczył nad Skaldem i pchnął konio-człowieka w pierś. Zwierzę zaryło kolanami o ziemię i zrzuciło jeźdźca z siodła.

Dopiero teraz, patrząc na Huna z bliska, Skald przekonał się, że jego podejrzenia były słuszne. Nie miał do czynienia z dziwacznym stworem, ale z niskim człowieczkiem, który tak wprawnie dosiadał kuca, że zdawał się tworzyć z nim jedność. Tattar zadziwiająco niezgrabnie podnosił się na nogi, więc z pewnością bardziej przywykł do jazdy w siodle niż do chodzenia po ziemi.

„Kto marnuje czas na rozważaniach, umrze jako starzec” – mawiała babka Ainara, a że poeta zwykł korzystać z jej rad, odegnał myśli o naturze napastnika. Miał poważniejsze zmartwienie – żółtolicy pokurcz biegł w jego stronę i wcale wprawnie machał przy tym szablą.

Pieśniarz uśmiechnął się brzydko. Podniósł z ziemi kawał drzewca złamanej włóczni i przywitał napastnika z całą serdecznością Północy. Zamachnął się kijem, trafiając koczownika w ramię. Skośnooki zawył, ale się nie poddał. Odwagi mu nie brakowało, choć z pewnością nigdy nie walczył z tak wysokim przeciwnikiem. Przy Ainarze wyglądał jak mały ogar obszczekujący niedźwiedzia.

Hun nie docenił zasięgu ramion Skalda i zapłacił za to najwyższą cenę. Składacz strof zdzielił go po głowie, następnym ciosem złamał przedramię, a w końcu wbił ostry koniec złamanego drzewca w brzuch wroga. Nim pokurcz padł na ziemię, Skald wyszarpnął mu szablę z dłoni.

Zważył nową broń w dłoni i zakręcił kilka młyńców. Pomyślał, że to całkiem poręczne żelazo, choć stanowczo za lekkie. Poszukał wzrokiem swojego wybawcy. Blamad walczył kilka kroków za nim, odpierając ataki dwóch pieszych Tattarów.

Ainar podszedł do oswobodziciela i uderzył lewym sierpowym. Pięść

trafiła w czarną skroń i obaliła dzikiego, nim ten zdążył się zdziwić takim obrotem sprawy. Skald pamiętał jego twarz. To właśnie on powalił go wczoraj pod skytningiem – Vaering był tego prawie pewny. Prawie, bo wszyscy czarnoskórzy wydawali mu się tacy sami.

Po karze przyszła pora na krzywą wdzięczności – nie zostawił porywacza na łasce wrogów. Przyjął obronną postawę i wyzwiał Hunów do walki, plując im pod nogi. Sieknął z prawej, ciął z lewej, odskoczył, pchnął, uderzył z góry. Niscy ludzie padli martwi, pocięci jak mięso w potrawce.

Pieśniarz był dobry w zabijaniu. Dziś jednak nie marnował czasu na prawdziwą szermierkę ani tanie sztuczki – wywijanie młynków czy płytkie, szerokie cięcia, po których krew sikała jak woda z gejzeru – choć broń, którą właśnie dzierżył, świetnie się do nich nadawała. Dziś Skald uderzał po östlandzku, czyli tak, by zabić jednym ciosem. Celował w linie życia, przechodzące przez szyję, wewnętrzne strony rąk i tył nóg, oraz w krzyż śmierci, którego poprzeczna belka biegła między ramionami, a pionowa od głowy do pępka.

Odwrócił się ku kolejnym napastnikom. W lewej ręce trzymał kawałek drzewca włóczni, w prawej szablę. Dzięki takiej broni i ogromnej przewadze zasięgu ramion nakarmił tego dnia jeszcze wiele kruków i wron. Jednego Tattara sieknął przez twarz, innemu uciął ucho wraz ze sporym kawałkiem skóry. Uchylił się przed cięciem i uderzył drzewcem w skośnookie oblicze. Zęby, razem z zakrwawionymi korzeniami, spadły na żółtawą trawę.

Szykował się właśnie do dobiecia pokurcza, gdy ujrzał nowego przeciwnika. Nie dało się go nie zauważyć, choć nie był żadnym wielkim jötunem ani trollem. Wyłonił się jakby spod ziemi w otoczeniu dymu i kurzu, a towarzyszył temu huk przywodzący na myśl grom z jasnego nieba. Z tej zasłony wyłoniły się dwie kulki, które potoczyły się pod nogi dwóch najbliższych stojących Blamadów i wybuchły czarnym dymem. Dało się wyczuć siarkę. Wojownicy potarli oczy, popatrzyli po sobie i zawyli. Ich źrenice się powiększyły, oczy zrobiły czerwone, a po policzkach pocięły

smoliste łyzy. Jeden z czarnych rzucił się na ziemię i zaczął walić głową o kamień, aż pękła mu czaszka. Drugi upuścił włócznię i trzymając się za głowę, pobiegł w stronę ściany kurzu. Na spotkanie nadleciał mu nóż, który przebił jego szyję na wylot.

Dym powoli się rozwiewał i Ainar mógł w końcu przyrzeć się wrogowi. Czarownik był karłem, a jakby samo to było za mało upokarzające, złośliwi bogowie obdarzyli go jeszcze garbem i prawie całkowitą łysiną. Prawie, bo na czubku głowy nosił kosmyk siwych włosów związanych w kucyk, który opadał na bok, przysłaniając lewe ucho. Grube, czarne wąsy odciągały uwagę od szerokiego nosa i małych, sprytnych oczu. Krępy tułów podtrzymywały masywne, choć krzywe kulasy. Grube jak bochenki chleba pięści trzymały długą laskę, przyozdobioną u góry wiązką suszonych ziół. Zgarbiony czarownik podpierał się kijem, choć Ainar miał wrażenie, że dziwak i bez niego by sobie poradził.

Pieśniarz wiedział, że z takiej odległości nie powinien dostrzec aż tylu szczegółów, ale mógłby przysiąc na boskiego Jednorękiego, że gdy karzeł wbił w niego swoje świdrujące oczy, tęczęwki pokurcza zmieniały kolor – z piwnych, przez zielone, na niebieskie i z powrotem. Poeta usłyszał też wyraźnie jego głos:

– Krew w ciemności, ciemność we krwi, lękliwe sny. Nawet miód, mak polny i Jomali nie złamią twojej klątwy.

Żeby nie było wątpliwości, do kogo mówi, wskazał Ainara różdżką. A potem zniknął – tak samo nagle, jak się pojawił, i w towarzystwie takiego samego dymu i huku.

Skald podejrzewał, że karzeł zapadł się pod ziemię, podobnie jak mieli to w zwyczaju jego mali kuzyni z zaśnieżonej Północy. Razem z czarownikiem ulotnili się też ostatni Tattarzy, choć nie zrobili tego równie niepostrzeżenie. Pognali w kierunku, w którym wiatr rozwiewał dym. Zniknęli za wzgórzami. Zostawili poważnie rannych braci, a ci skonali lub dobił ich Ali.

W polu pozostali Skald, czterech Blamadów, koń w paski i dwa garbate ogiery.

3

Obudziło go drugie pianie koguta. Przypomniwał sobie sen, ciągle ten sam, od wielu nocy. Tonął w mieniących się kolorami oczach karła, a potem pływał w oceanie krwi. Z tej wielkiej wody wynurzyła się kobieta, której nie był w stanie rozpoznać, bo cała była umazana czerwoną mazią. Chwyliła go za szyję i tak długo topiła we krwi, aż oczy Skalda wyszły na wierzch, a brak powietrza rozsadzał czaszkę bólem. W tym miejscu zawsze się budził, sprawdzał, czy przekłety księżyc nadal ucieka przed wilkiem, a kiedy się upewnił, iż noc wciąż nie zmieniła się w dzień, zapadał w niespokojną drzemkę, kolejny raz przeżywając swój koszmar.

Odrzucił od siebie nocne mary. Rozejrzał się. Leżał przykryty skórą przy dogasającym palenisku. Przez wąskie okna wpadały poranne promienie słońca, ale w izbie i tak było mroczno. Od razu wróciły wspomnienia minionych tygodni. Był w Dyragardzie, posiadłości Tirusa Wielkiego.

Zajął się porannymi czynnościami. Wypłukał usta i splunął do paleniska. Wysikał się na popiół. Z cebrzyka zaczerpnął garść wody i przemył twarz.

– Nawet zwierzęta nie sikają we własnych norach. A podobno to my stoimy ponad czworonogami.

– Witaj, Ali. Nie zauważyłem cię w tych ciemnościach.

Ainar nie mógł się oprzeć pokusie, by po raz kolejny nie zadrwić z jego koloru skóry. Śmieszyły go wyniosłe miny, którymi Blamad chciał pokazać, że stoi ponad szyderstwami, choć w rzeczywistości ukrywał wściekłość. Poeta zdążył polubić dziwnego berserka z Blalandu, który tak wiele wiedział o świecie. Przez te kilka tygodni, spędzonych na podróży między Holmgardem a Dyragardem, wiele rozmawiali. Mieli na to mnóstwo czasu, gdyż Blamad uparł się, by przemieszczali się lądem, zamiast vaerińskim zwyczajem wykorzystać rozległą sieć rzeczną wschodnich krain do wygodnej podróży łodzią.

– Tirus chce cię widzieć.

– W końcu poznam tego osławionego władcę tajemniczej krainy Glaesir. Jeszcze nie miałem okazji podziękować mu za wygodną podróż i życzliwą gościnę.

– Nadal się gniewasz o te dwa dni na włóczyisku?

Skald nigdy niczego nie wybaczał. Babka mawiała mu: „Za policzkiem zawsze podąża włócznia”. Podarujesz raz, a wrogowie dowiedzą się, że jesteś słaby, i zaatakują z całą mocą. Ale jego gniew na Blamada znacznie złagodniał. Po walce z Tattarami porywacze oddali mu broń i zezwolili, by podróżował wolny, albo, jak wolał myśleć pieśniarz, nie ośmielili się związać go ponownie. W każdym razie spędził ten czas nie najgorzej, choć nie pozwolono mu dosiąść żadnego z pasiastych koni, które prowadzili ze sobą. Ali twierdził, że nie nadają się do dosiadania, a miały jedynie uświetnić ich poselstwo, które udało się do Holmgardu, aby zawrzeć z tamtejszym konungiem nową umowę handlową.

– Po prostu o tym pamiętam. Jeden z was już za to zapłacił. Muszę jeszcze tylko rozliczyć się z waszym panem.

– Nie radzę przedkładać tej sprawy nad Tirusową. On nie znosi bezczelności.

Przeszli wąskim korytarzem i wyszli na zewnątrz domu. Do Dyragardu przybyli poprzedniego wieczoru i już wtedy Ainar zdążył się zorientować, że tworzyły go dwa gardy, zwane przez miejscowych grodami. Ten górny, gdzie obecnie się znajdowali, ulokowany został na rozległym wzgórzu, a ten dolny – u jego podnóża. Obie siostry otoczone były systemem wałów, wieżyczek i palisad, tak że razem przypominały wielkiego śnieżnego bałwana, którego każdą kulę nabito drzazgami, ostrzegając najeźdźców, że mogą zaznać przyjemności wszetecznego nidinga, jeśli zdecydują się szturmować stolicę Glaesiru.

Ali wskazał mu ręką drogę, choć było to zbyteczne. Vaering łatwo się domyślił, dokąd jest prowadzony. Konungowie zawsze mieszkali w największym budynku własnej posiadłości, dając poddanym jasno do zrozumienia, komu ci są winni posłuszeństwo. Władza potrzebuje

ukazywania potęgi rządzącego, a tutejsi ludzie musieli być bardzo krnąbrni, skoro widzieli jej aż tyle.

Siedziba konunga, czyli wewnętrzna twierdza, zwana tutaj kreml, mieściła się w obrębie górnego gardu, lecz ulokowano ją na kolejnym wzniesieniu, tym razem sztucznym, usypanym przez człowieka na kształt czworoboku. Ściany tego ogromnego kopca ukształtowane zostały niczym wysokie schody, przynajmniej tak to wyglądało z daleka. Gdy podeszli bliżej, Ainar przekonał się, że stopnie, których było pięć, wycięto w ziemi, a ich lica wzmocniono drewnianymi balami, tworzącymi pięć coraz wyżej położonych palisad. Każdy otoczony drewnianymi ścianami poziom miał mniejszą powierzchnię od poprzedniego, a wszystkie połączono drabinkami i trapami, by można się było do nich dostać od góry twierdzy. To wszystko składało się na potężne umocnienia, z których zdobyciem miałby problem sam Göllnir. A sądząc po odgłosach dobywających się z przestrzeni między schodami, Bóg Krzyku byłby mocno zainteresowany tym miejscem.

Pieśniarz odruchowo chwycił za rękojeść miecza, gdyż ryk przypominający prychanie stu rozdrażnionych kotów nakazywał ostrożność. Ali pokazał swoje spiłowane zęby, przybierając minę, która była kpina z uśmiechu.

– Nie ma się czego bać. O tej porze dnia pieszczochy Tirusa są zamknięte.

Östmad popatrzył lekceważąco na Blamada, nie racząc go odpowiedzią. Czarny wojownik nie wydawał się tym przejęty.

– Nie są to zwykłe umocnienia obronne. Mówiłem, że Tirus jest wielkim czarownikiem. Potrafi okiełzać każde zwierzę, nawet dziką bestię. Na wszystkich pięciu poziomach kryją się niespodzianki dla głupców, którzy mieliby chętkę zaatakować to miejsce.

Samo wejście do twierdzy też nie wyglądało zachęcająco dla napastników. Zbudowano nad nim drewnianą wieżę, a wiodła do niej ubita droga, pnąca się ukośnie po północnej stronie kopca i tworząca coś na kształt grani, która górowała nad ziemnymi czworobokami. Kiedy minęli strażników i weszli na drogę, poeta mógł dokładnie zobaczyć to, o czym mu

opowiadał Czarny Berserk.

– Na pierwszym poziomie ustawiono klatki dla psów. Zamknięte są w nich wielkie i krwiożercze ogary ze wszystkich stron świata. Są tam hundy z Północy, o krótkich ogonach i długich jak palce zębach, są iryjskie wilczarze o włochatej sierści, są nawet śmiejące się kundle o pręgowanej sierści, które sprowadzono z moich rodzinnych stron. Karmimy je surowym mięsem raz na dwa dni, by zawsze były głodne. Pierwsza palisada nie jest może wysoka, bo dorosłemu mężczyźnie sięga ledwie do piersi, ale to wystarczy, by zatrzymać hundy, gdy każdego wieczoru wypuszczamy je z klatek na spacer, a zarazem na polowanie w obrębie najniższego poziomu umocnień. Ludzie skazani za złym język – kłamstwa i oszustwa w handlu – są wrzucani właśnie tutaj, a czas, jaki muszą spędzić z psami, zależy od wagi ich przewiny. Ale tylko jedna osoba przeżyła tu dłużej niż sto uderzeń serca.

– Pewnie ich opiekun.

– Te bestie nie mają opiekuna. Kiedyś miały, ale rozerwały go na strzępy, niezadowolone z ilości mięsa, które im przynosił. Od tej pory karmi się je, podając jedzenie przez szpary w klatkach. Tylko mnie jednemu udało się przetrwać w tej zagrodzie.

– Wiedziałem, że nie należy wierzyć czarnemu.

– Wprost przeciwnie. I wtedy to udowodniłem. Gdy pierwszy raz stanąłem przed Tirusem, pochwaliłem się, że w sto uderzeń serca nawet się nie spocę w tej jego psiarni. Kagan uznał, że kłamię – i tak tu wyładowałem. Wystarczyło, że jeden z psów mnie ugryzł, a Szalony Odyniec napełnił moje ciało taką *aēšma*, szalem walki, że nie było dość mocnej klatki, by bestie mogły się przede mną schować. A gdy zobaczyły, jak łamię kręgosłup największemu ogarowi, uciekały, skomląc niczym szczeniaki. Sam Tirus poprosił, bym opuścił zagrodę. Swoim czynem zapoczątkowałem zresztą nowy zwyczaj. Jeśli ktoś chce udowodnić, że mówi prawdę, wystarczy, aby spędził z psami owych sto uderzeń serca. Tylko nie myśl, że liczą się uderzenia wystraszonych na śmierć skazańców. Sam konung je odmierza, a jego serce bije bardzo wolno.

Poziom dla psów porastała trawa. Choć obecnie na wybiegu nie było żadnych zwierząt, Ainar wyraźnie widział wydeptane przez nie ścieżki i porozrzucane kości. Niektóre z nich rzeczywiście należały do ludzi.

– Teraz są zamknięte po drugiej stronie grodu. – Ali jakby czytał w jego myślach. – Musimy je trzymać z daleka od mieszkańców drugiego poziomu.

Kolejny czworobok wyglądał prawie identycznie jak pierwszy – miał piętnaście stóp szerokości i zarastała go zieleń godna łąki. W przeciwieństwie do pierwszego poziomu rosły tu krzewy.

– W tej części trzymamy wilki. Są tu ulfy z Północy, białe basiory z krainy lodów i szare wadery z okolicznych lasów. Wszystkie wściekłe i szalone jak wilkołaki. Wypuszczamy je tylko nocą, bo w dzień są ospałe.

– Mądre zwierzęta.

– No tak. Zapomniałem, że dla skaldów lenistwo jest zaletą. Ale nie tutaj. Te podłe drapieżniki czekają na tych, którzy działają w ukryciu, czyli złodziei. Gdy ktoś zostanie schwytany za kradzież, wrzuca się go tu na całą noc. Kto zakrada się po zmierzchu do domu sąsiada, kończy z bestiami, nie doczekawszy świtu.

– Tutaj też harcowałeś? Czarny to w końcu kolor nocy.

– Nie zdołasz mnie zdenerwować. Szalony Odyniec zsyła na mnie wściekłość walki, tylko kiedy ja sam tego chcę. Tym odróżniam się od ludzi słabych na umyśle. Ale wieść niesie, że znalazł się śmiałek, który przeżył całą noc na tym poziomie. Przebywał tu krótko, a ludzie mówią, że był szalonym wojownikiem, i to takim, którego u was nazywają ulfhedinem. Ale nie był za nic skazany. Po prostu poprosił Tirusa o nocleg w tym miejscu, mówiąc, że ludzie są dla niego za głośni. Za głośni! Dasz wiarę?

Słyszając donośny krzyk Blamada, Ainar był w stanie dać wiarę.

– Tamtej nocy wilki wyły ponoć tak głośno – opowiadał dalej przewodnik – że nikt w podgrodziu nie zmrużył oka. A o świcie ulfhedin pojawił się przed obliczem Tirusa, podziękował za gościnę i jakby nigdy nic wyruszył w dalszą drogę.

Z tej odległości Skald był w stanie dostrzec tylko zagrodę dla zwierząt,

a raczej jej jedną ścianę, ciągnącą się od palisady do lica kolejnego stopnia. Zbudowano ją z poprzecznych belek, między którymi pozostawiono odstępy szerokie na dłoń.

– Surowe macie tu prawa, skoro zabijacie każdego złodzieja.

– Nie każdego. Za mniejsze przewiny, powiedzmy za przywłaszczenie sobie naszyjnika lub kilku monet, złodziej musi oddać na łaskę wilków rękę, którą dokonał zbrodni. Wkłada ją do klatki i czeka, jaką jej część wezmą dla siebie bestie.

Ainar obiecał sobie większą ostrożność. Srebrna zapinka, którą minionej nocy znalazł w domu gościnnym i ukrył w zawieszanej na szyi sakiewce, zaczęła mu ciążyć.

– A za trzecimi umocnieniami? Jakie zwierzęta tam trzymacie?

– Ten poziom przeznaczony jest dla władców puszczy, gór i lodu – brązowych niedźwiedzi i białych misiów z krain wiecznego śniegu. Przyznam, że to moje ulubione zwierzątka. W moich rodzinnych stronach ich nie mamy.

– I pewnie zaraz mi opowiesz o wielkim wojowniku, który za nic sobie mając smród z ich pysków, wziął się z nimi za bary.

– Nie. Choć wielu miało na to szansę. Czasem Tirus wrzuca tam zabójców. Ale tylko ludzi miecza, którzy zabili przeciwnika w bójce lub z zemsty, nie mając na nią pozwolenia kagana. Dreng, wojownik, zasługuje na śmierć w walce. Zwykłych morderców po prostu wieszamy, bo od ich ścierwa te dumne bestie mogłyby się pochorować. Ale jedna osoba rzeczywiście przetrwała z nimi całą noc. Mały chłopiec, wrzucony tu przez inne bachory, które przekradły się po zmroku na ten poziom. Rano znaleziono go w głębokiej dziurze, do której niedźwiedzie nie mogły sięgnąć.

Widać było, że misie cieszą się większym szacunkiem niż wilki i psy – na wybiegu miały zwalone pnie drzew i kilka sadzawek do zabawy.

– Wypuszczamy je popołudniami, kiedy są najbardziej ożywione. Teraz pewnie śpią w klatkach przy zachodniej ścianie. Dokładnie naprzeciwko

mieszkańców czwartego poziomu. Kotów.

– Brzmi groźnie.

– Śmiejesz się, bo największym kotem, jakiego widziałeś, był pewnie ryś. A tutaj chowamy olbrzymie kocury w paski, ludojady z grzywami i czarne bestie z żółtymi oczami. Mamy z nimi trochę problemów, bo bardzo wysoko skaczą. Większość czasu spędzają więc w klatkach, gdyż jest tylko jedna osoba, która potrafi wyprowadzać je na spacer i powstrzymać przed ucieczką.

– To już wiem, skąd ty i twoi ludzie bierzecie swoje skóry.

– Nic nie wiesz, Östmadzie. Koty są naszymi wrogami. My je zabijamy, nie spacerujemy z nimi. W moich rodzinnych stronach jest taki zwyczaj: aby chłopiec stał się mężczyzną, musi upolować grzywiastego kota i jego skórą okryć swoją pierś. Ale od kocurów zgromadzonych przez Tirusa trzymamy się z daleka. To nie są zwykłe zwierzęta. Są szalone. Nie walczą między sobą, choć pochodzą z różnych stron świata, i wydają się tworzyć stado, którego przywódcą jest człowiek.

– Dreng od spacerów, zgaduję.

– Tak. Innych ludzi, którzy są w pobliżu, zagryzają, i to działając razem, choć z natury są samotnymi łowcami. Ciało ogryzają do kości, a gdy są naprawdę głodne, pożerają nawet gnaty.

– Interesującą osobą musi być ten kociarz.

– To prawda. Ale nie nazywaj go tak w jego obecności, jest to bowiem sam kagan Tirus, największy spośród czarowników i najwspanialszy zaklinacz kotów. A swoich pupilków karmi tylko tymi, których czyny lub słowa uderzają prosto w niego.

Pieśniarz zaczął żałować, że nie widzi tych niezwykłych zwierząt. Mógł tylko patrzeć na ich wybieg w połowie porośnięty trawą, a w połowie pokryty piaskiem. Konung wzbudzał w nim coraz większą ciekawość.

– A piąty poziom? Trzymacie tam jednorożce?

– Tam zamknięte są najniebezpieczniejsze spośród stworzeń. Ale o nich opowiem ci później. Musimy się pospieszyć. Tirus nie będzie na nas czekał

cały ranek.

Skald zdał sobie sprawę, że zasłuchany w opowieść Alego zatrzymał się dopiero na szczycie kopca, przed wejściem na silnie umocniony kreml. Musieli tak stać ładną chwilę, gdyż strażnicy przy bramie niecierpliwie przestawali z nogi na nogę. Poeta rzucił im wyzywające spojrzenie. Berserk machnął ręką w ich stronę, a wtedy wyprostowali się i otworzyli masywne odrzwia.

Czarny i Vaering pokonali przejście pod drewnianą wieżą i wkroczyli do dżungli.

Östmad nie miał pojęcia, co znaczy to słowo, ale Ali, który go użył, pospieszył z wyjaśnieniami. Miał to być gęsty i wilgotny las zamieszkały przez mnóstwo dziwnych zwierząt – czyli właśnie taki las, jaki mieli przed sobą. No, może nie do końca. Nie było tu wysokich drzew, ale różnokształtne krzewy, kolorowe kwiaty i wijące się między nimi strumyczki tworzyły niezłą namiastkę dżungli. A do tego były tu także zwierzęta, pozamykane w zagrodach lub chodzące swobodnie: konie w paski, osły z długimi szyjami, przerośnięte szczury, kury wielkie jak koń i człekokształtne futrzaki. Wszystkie żerowały w ciszy, jakby i one wsłuchiwały się w muzykę, która dotarła do uszu Ainara. Z pewnością był to śpiew ptaków, choć nigdy dotąd nie słyszał stworzeń wydających tak czyste dźwięki.

– To rajskie ptaki. Samemu Muhammadowi śpiewają podobne – wyjaśnił Ali.

Pośrodku tych dziwów stał dom. Okazały drewniany gmach kryty gontem. Od razu było widać, że to prawdziwy dwór, mieszczący jedną długą salę przeznaczoną i do ucztowania, i do spania. Przynajmniej jedna rzecz przypominała tutaj Skadowi rodzinne strony.

– Ten twój Tirus wie, jak należy ucztować. Macie hallę godną konunga z Północy.

– Tak. Miód i ale leją się w niej strumieniami. W naszej gridnicy mieszkają i bawią się przyboczni Tirusa.

Wzmianka o miodzie rozbudziła pragnienie Skalda, ale to nie halla była

ich celem. Poszli dalej, drogą wyłożoną belkami. Stopniowo pieśniarz dostrzegał coraz więcej wyposażenia typowego dla ludzkich siedzib. W obejściu znajdował się skład na towary, a obok piwniczka, skrzętnie ukryta za krzewami, oraz ogromne palenisko z kotłem, osłonięte od roślinności ogromnymi głazami. Przy drodze stał wóz, a do palików koło domu przywiązane były dwa najzwyczajniejsze konie. Poecie zdawało się, że słyszy beczenie kozy, a odgłos zderzających się mieczy poznałby wszędzie – był zatem pewny, że gdzieś w dżungli walczą drengowie. Każdy bitny grid, drużyna przyboczna, musiał dużo ćwiczyć.

Droga kończyła się zwodzonym mostem zawieszonym nad głębokim rowem. Na jego dnie Vaering zobaczył powbijane zaostrome żerdzie. Jakkolwiek bajkowo wyglądał ten gród, zbudowano go jednak do obrony. Mieli przed sobą dom Tirusa Wielkiego.

Mur otaczający czworoboczną masywną wieżę z kamienia był zakończony drewnianą konstrukcją przykrytą dachem. W podobny sposób zwieńczona była kamienna wieża, ale by się o tym dokładnie przekonać, musieli przejść obok wspartych o włócznie strażników i pod łukiem portalu w murze obronnym.

Wieża była najwyższym budynkiem w okolicy i zajmowała większą część otoczonego umocnieniami placu. Z bliska okazała się znacznie szersza niż baszty, które Skald widział na dalekiej Wyspie Irów, i z pewnością nie pełniła tylko funkcji strażnicy.

Ali wprowadził go do środka i po krętych schodach zaprowadził do izby znajdującej się na ostatnim piętrze. Powitała ich gadająca wrona, siedząca na belce pod sufitem.

Kra, kra, kra... gana witać,
kra, kra, twoja mać.

W kierunku ptaka poleciała kość, ale minęła go o pięść. Wrona zakrakała, wzbiła się i wyleciała przez okno.

– Wybaczcie tę nieuprzejmość. Łatwiej nauczyć ludzkiej mowy niż dobrych obyczajów.

Mężczyzna, który wypowiedział te słowa, był kolejnym pokurczem, którego Vaering spotykał w krainach Wschodu. Od pieśniarza był niższy o dwie głowy, a przy Alim wyglądał jak mały chłopiec. Był też szczupły, co dodatkowo podkreślał luźny zielony kyrtil i szerokie wełniane spodnie. Blond włosy i niebieskie oczy zdradzały pochodzenie z Północy – podobnie jak jego nienaganna wymowa, którą mógł opanować jedynie ktoś, kogo przodkowie urodzili się wśród fiordów Noregu.

– Tirus... Wielki, jak mniemam.

– Zgadza się, Ainarze. Ale dlaczego się zawahałeś? Czy wydają ci się nie dość wielki?

– O wielkości mówią czyny, nie wzrost.

Skald zawsze miał w rękawie kilka zgrabnych powiedzonek. Ludzie lubią ich słuchać i powtarzać sobie, myśląc, że są zaklęciami, dzięki którym ich życie się polepszy. Ale to tylko puste słowa, dające głupcom ułudę mądrości.

– Dobrze powiedziane. Pewnie jakiś konung z Północy nagrodziłby cię złotym pierścieniem, ja jednak znam się na pochlebcach zlizujących miód z mojego tyłka. Wiem, że jestem niski. Poznanie samego siebie to pierwszy krok do mądrości.

Kagan, może nawet samemu o tym nie wiedząc, stąpał po cienkim lodzie. Ainar poczuł się urażony, ale babka uczyła go, że nie można zabijać gospodarza zaraz po przekroczeniu progu jego domu. Przełknął zniewagę, choć nie miał zamiaru o niej zapomnieć, i uśmiechnął się przebiegle.

– A ukrycie tej prawdy to pierwszy krok ku władzy.

– Ach, wspaniale! Rzeźnik Irskmadów nie jest głupcem. Mówiłem ci, Ali, że świetnie nada się do tego zadania.

Sława jak zwykle wyprzedzała poetę. Gdy na Wyspie Irów zabijał opata^[4], nie przypuszczał, że przypiszą mu spalenie, splądrowanie i zabicie połowy mieszkańców klasztoru. Ani tego, że stanie się to przyczyną powstania Irskmadów i ich wielkiej wojny z Finn-Gallami.

– Ale gdzie moja gościnność? Zapraszam do stołu. Zjedzcie ze mną

śniadanie.

W sali znajdowały się dwa stoły, ale nie było wątpliwości, przy którym mają zasiąść. Na tym mniejszym, ustawionym przy jednym z czterech okien, rozłożone były narzędzia o trudnym do odgadnięcia przeznaczeniu – szkła oprawione w drewno lub metal oraz przezroczyste minerały, które przypominały Östmadowi pomagający w morskiej nawigacji *sólarsteinn*, czyli słoneczny kamień.

Duży stół na środku pomieszczenia przedstawiał się o wiele ciekawiej. Leżały na nim chleb, ser i jaja. Stał też garniec piwa.

W sali nie było więcej mebli ani ozdób. Dziwne to się wydało Skaldowi jak na siedzibę „wielkiego” kagana. Za to okna były ogromne i w żaden sposób nie pasowały do obronnego założenia budowli. Tak samo zresztą jak piętro, na którym się znajdowali – całe zbudowane z drewna, a zatem łatwe do spalenia.

– Lubię tu przychodzić, by oglądać gwiazdy. No i całkiem niezły jest stąd widok na okolicę.

Pieśniarz pomyślał, że „całkiem niezły” to jest czterolatek, który jeździ konno – widok z wieży zaś aż zapierał dech w piersiach i wcale nie trzeba było podchodzić do okna, by go podziwiać. Doliny, lasy, skąpana w słońcu szeroka rzeka Itil i inne cuda przyrody, które Ainar potrafiłby pięknie opisać, gdyby chciał uwieść cklivą babę.

Wypił kubek piwa i nalał sobie kolejny. Wziął się do jajka. Po rozmiarze domyślił się, że musiała je znieść jedna z konio-kur, które spotkali po drodze. Skorupkę miało obsmarowaną sosem szafranowym, a w połowie wysokości było obwiązane jakąś plecioną ozdobą z trawy. Całość nie wyglądała zbyt apetycznie.

– Do rzeczy. Po co mnie tu wezwałeś? – rzucił niby od niechcienia, rozbijając skorupkę na czubku jajka.

– Gdy tutejsi ludzie się do mnie zwracają – uprzejmym tonem skarcił go gospodarz – zwykle używają słów „kaganie” lub „konungu”.

– To rozumiałe. Jesteś ich władcą.

Tirus zmarszczył czoło. Ali, idąc śladem swojego pana, też się naburmuszył i położył dłoń na rękojeści krzywego miecza. Na tym jednak poprzestał, gdyż twarz kagana rozpromieniła się w uśmiechu, a on sam wyciągnął się wygodnie na ławie. Czarny Berserk znów przywdział maskę obojętności i wrócił do jedzenia sera.

– Zuchwały jak młody wilczek. Już zapomniałem, że prawdziwy dreng z Północy przed nikim nie ugina kolan. Ten wasz słynny *tign*, honor wojownika... Ale przecież nawet w Östlandach są konungowie, a ty jako skald musisz być bardziej uległy wobec swych dobroczyńców. Bo przecież to królowie płacą ci za pieśni.

– Zawsze wielbię dawców złotych pierścieni.

Mały władca z wielkim przydomkiem zastanawiał się chwilę, po czym ściągnął jeden z dziesięciu pierścieni, które nosił na palcach, i położył go przed gościem.

– Taki może być?

– Prawdziwie królewski podarunek od hojnego konunga.

– Widzisz, Ali! Mówiłem, że złoto jest rękojmią lojalności.

Blamad pokiwał głową, uważnie wpatrując się w Skalda.

– Tak, mój kaganie. Najlepszej, jaką można kupić.

Vaering pozwolił, żeby to cisza odpowiedziała wytatuowanemu wojownikowi. Tirus wyglądał na kogoś, kto dobrze wie, za co płaci.

– Skoro mamy już za sobą uprzejmości, może w końcu się dowiem, dlaczego twój człowiek oderwał mnie od rogu z piwem? Sześć tygodni tu jechałem, przez całą drogę walcząc z konio-ludźmi i znosząc towarzystwo czarnego dzikusa z dziecięcych sag.

Ainar w końcu uporał się ze skorupką i z niepewną miną powąchał jajko. Nie wyczuł nic niezwykłego, więc uciął jego wierzchołek nożykiem. Zajrzał do środka i przetarł oczy ze zdumienia. W jajku siedział przestraszony kurczak, który zapiszczał i wyskoczył na stół. Pobiegnął w stronę kagana, szukając u niego ratunku, ale poeta nie zamierzał

podarować ptaszkowi tej zniewagi. Odruchowo zacisnął pięść i uderzył w stół, miażdżąc pisklaka.

Mały władca roześmiał się, a w jego ślady posłusznie poszedł Ali, choć jego śmiech przypominał raczej rechot żaby przypalanej na ogniu.

– Nigdy mi się to nie znudzi – powiedział konung, trzymając się za brzuch. – Powinieneś zobaczyć swoją minę. Pewny siebie Skald, który pyta i oczekuje natychmiastowej odpowiedzi. A tu – bach! – i z jajka wyskakuje kurczak.

Pieśniarz nie wiedział, co robić. Zrobiono sobie z niego jaja i to za pomocą jaja. Ledwie kilka razy ktoś odważył się na podobny żart względem niego – i szybko tego żałował. Ale teraz? Bicie konunga w jego własnym domu nie wydawało się rozsądnym posunięciem. Zrobił więc to, co wszyscy bezsilni pokrzywdzeni, których krew zalewa. Udał obojętność. Spokojnie wytarł rękę o spodnie i urwał kawałek chleba.

– Dziecinne zabawy – powiedział, gdy przełknął pierwszy kęs. – Myślałem, kaganie, że wezwano mnie tutaj w jakiejś poważnej sprawie. Z pewnością jest tu wiele stworów z dziecięcych opowieści, których kosztem możesz się zabawić, mnie zostawiając w spokoju.

– Tylko mi się tu nie obrażaj. Wszystko po kolei. Najpierw opowiem ci, jak przyrządzamy to jajko. Może się czegoś nauczysz. Gotujesz jajo struthia przez okres, jaki zajmuje przejście pół mili, a następnie je przepoławiasz, lecz bardzo ostrożnie, by skorupka jak najmniej popękała. Potem wyjmujesz stwardniałe żółtko, a do środka wkładasz żywego pisklaka i z powrotem łączysz połówki dania. To oczywiście najtrudniejsze zadanie. Wymaga niezwykłej precyzji i pewnej kleistej substancji, której receptury ci nie zdradzę. Po połączeniu całość smarujesz mieszanką żółtka i szafranu, by nadać skorupce jednolity żółty kolor, a ślad po rozcięciu maskujesz cienką plecionką z trawy.

– Ciekawe.

– Tylko dla kucharki. Mówię ci o tym jednak, byś celu misji, którą ci zlecę, nie zlekceważył jak wcześniej zlekceważyłeś niezwykły wygląd tego jajka. Zadanie jest bardzo delikatne, a jego wykonanie będzie wymagać

więcej pomysłu, ostrożności i dokładności niż przygotowanie potrawy z żywym pisklakiem w środku.

Do tej pory Ainar obstawiał, że poproszą go o stworzenie drapy złożonej z kunsztownych wersów... Był w końcu odar smidem – kowalem słów i mistrzem miodowych mów, a choć Tirus miał całe armie poddanych, z pewnością nikogo o równie wielkich umiejętnościach poetyckich, jak siłą ściągający gość. W końcu nie każdemu Göllnir, opiekun poetów, krzyknął do ucha. Ale teraz zaczynał wątpić we wcześniejsze domysły, a sam konung wzbudzał w nim coraz większe zainteresowanie. Niecodziennie spotyka się chodzącego z wielkimi kotami pokurcza, który na dodatek z zaciekawieniem gapi się w niebo i zna się na gotowaniu.

– Skaldowie są dobrzy w słuchaniu. I znają się na słowach, nawet tych, których znaczenie ukryte jest w zawiłych kenningach.

– Dobrze więc. Musisz zdobyć mi żonę.

Gdyby Ainar nie był człkiem biegłym w poezji, pomyślałby, że się przesłyszał. Ale słuch miał doskonały. Przypomniał sobie jajkowe ostrzeżenie kagana i z trudem powstrzymał uśmiech.

– A jak to się stało, że tak wspaniały władca, któremu wiek co prawda dodał urody, ale i przyprószył już włosy na skroniach, jeszcze się nie ożenił?

Kagan spochmurniał, jakby przybysz trafił w czuły punkt.

– Miałem już żonę. Niestety, zmarła wiele lat temu. Do dziś noszę boleść w sercu i nie sądzę, by jakaś kobieta zdołała ją całkiem ukoić, ale uznałem, że moim obowiązkiem jest spłodzenie syna, który obejmie po mnie władzę nad Glaesirem. Dlatego proponuję ci tę pracę.

– Różnie mnie w życiu nazywano, ale nigdy swatem. Zresztą, nie znam tu nikogo, choć pewna młoda mleczarka wpadła mi dziś w oko.

– Nic nie mówiłem o swataniu, a wszystkie mleczarki w okolicy wiedzą, dlaczego zwą mnie Wielkim. Wybrałem już sobie żonę, potrzebuję tylko kogoś, kto mi ją przywiezie. Tylko tyle i aż tyle.

Östmad potrzebował czasu, by ochłonać, a raczej zdusić w sobie złość.

Wlekl się tutaj przez setki mil, by dać się wciągnąć w zrękowiny władcy z krańca świata? Był drengiem, człowiekiem miecza. Jedyne, co wiedział o małżeństwie, to jak uwodzić mężatki.

– Tylko mi nie mów, o wielki i rozważny kaganie, że masz tu gdzieś kosmyk jej złotych włosów, który dostarczył ci skowronek.

– Nie bądź śmieszny. Skowronki są za małe i za głupie, by powierzać im takie zadanie. To była wrona.

Pieśniarz już się nie złościł. No bo ile można się wściekać na odrmada? Udzielił mu się za to głupkowaty nastrój.

– Skoro nawet ptaki słuchają królewskich rozkazów, moje usługi są zbędne. Czemu nie wyślesz po nią, o potężny kaganie, swoich ludzi? Na przykład Alego. Chociaż może rzeczywiście to kiepski pomysł. Mógłby biedaczkę wystraszyć swoją szkaradną czernią. A, już wiem! Pewnie chcesz, bym wypróbował dla ciebie pannę młodą i pokazał jej, jak dogodzić mężczyźnie. W takim razie zgoda, tylko muszę dostać gadającego konia, by mi się nie nudziło w podróży.

Gdy Tirus wpadał w złość, wydawał się większy. Nie wyglądał już jak bezbronny chłopiec przebrany w ubrania osoby dorosłej, ale jak potężny i surowy władca. To wrażenie trwało jednak krótko i gdy Ainar zmrużył oczy, znów miał przed sobą małego konunga. Pomyślał, że poranne słońce musiało sprawić psikusa jego wzrokowi.

Tylko Ali nie przejawiał ochoty do żartów. Zastygł z wyciągniętym do połowy mieczem i czekał na rozkazy.

– Pamiętaj o jajku, Skaldzie. Po raz ostatni wybaczam ci bezczelność. Lepiej będzie, jak zamilkiesz i wysłuchasz mnie do końca, bo mam wrażenie, że twój język nie raz wciągał cię w tarapaty. Moją wybranką jest Ingigerd, najpiękniejsza kobieta na południe od Gardariki. Ma złote włosy, szczupłą kibić i kształty godne bogini. Jest córką Kola Małego, władcy Odainsaku, który jest moim zajadłym wrogiem i szczerze mnie nienawidzi. Ale ja chcę zakończyć bezsensowną wojnę między naszymi krajami, a jak zrobić to lepiej, niż poślubiając córkę nieprzyjaciela? Wysłałem więc do niego poselstwo z propozycją małżeństwa, a ten bezczelny łotr

odpowiedział, że nie wyda pierworodnej nikomu, kto nie podoła trzem próbom, które wymyśli jego podły doradca, karzeł Mödul. Słyszałeś o czymś podobnym? Nie, nie odpowiadaj. Wyczuwam szyderstwo na końcu twojego języka, więc milczenie uratuje ci życie. Pewnie chciałeś zapytać, dlaczego sam nie podejmę się tego wyzwania. Oczywiście, z łatwością przeszedłbym próby, ale jestem wielkim kaganem najwspanialszego królestwa Glaesir i nie zniżę się do wykonywania zadań wymyślanych na rozkaz jakiegoś drobnego kaganika. Niedźwiedź również nie będzie jadł z psami z jednej miski. Kol to sprytna bestia. Dobrze wiedział, że nie będę mógł podjąć się wyzwania, ale nie przewidział, że znajdę sobie tak dobre zastępstwo. Jakies pytania?

Konung zamilkł i kiwnął ręką Blamadowi, by schował miecz. Ainar uznał, że w końcu może się odezwać.

– Ten Mödul mnie zaciekał. Kim właściwie jest?

Właśnie to imię sprawiło, że Skald uważnie przysłuchiwał się całej opowieści. Nie mógł zapomnieć o tęczy oczach spotkanego nieopodal Holmgardu karła ani o jego słowach. Od tamtego czasu nie przespał dobrze choćby jednej nocy i zaczynał podejrzewać, że czarownik ma z tym coś wspólnego. Z pewnością warto byłoby z nim porozmawiać i dowiedzieć się, co pokurcz ma pod skórą. W końcu Ainar był rzeźbiarzem i żaden materiał nie potrafił ukryć przed nim swych tajemnic.

– A właśnie... Czarny Berserk wspominał mi, że mieliście z nim małe spięcie. Nikt nie wie, skąd pochodzi. Niektórzy mówią, że jest Bjarmalandczykiem, ale z pewnością wiele czasu spędził w Serklandach, gdyż dobrze zna się na tamtejszych czarach. W każdym razie, odkąd został głównym doradcą Kola Małego, poczynania kagana wydają się znacznie mądrzejsze. Jego ludzie zrećcznie przeszkadzają w każdym moim przedsięwzięciu. Właśnie dlatego was napadli. Na szczęście oddział Mödula nie zdążył na czas i dopadł was, kiedy już Ali zawarł umowę z panem Holmgardu. Przeklęty pokurcz zabił jednak zwierzęta, które miałem podarować zaprzyjaźnionym władcom grodów leżących wzdłuż górnego Itilu.

Cała ta sprawa z handlem nie bardzo poetę obchodziła, ale szybko zorientował się, o co naprawdę w niej chodziło. Dyragard kontrolował spory kawałek szlaku kupieckiego wzdłuż rzeki Itil, a po umowie z Holmgardem cały północny rynek mógł stanąć przed nim otworem. Rzecz szła więc o sporą ilość towarów i monet, o solidny zarobek z dalekosiężnego handlu.

– Jak mam zdobyć rękę pięknej panny, jeśli jej ojciec chce twojej i mojej śmierci?

– Nie powiedziałem, że to będzie łatwe. Ale jeśli zdołasz dotrzeć do siedziby Kola i ogłosisz chęć przystąpienia do prób, będziesz bezpieczny. Kol dobrze wie, że nie może cofnąć wyzwania, bo wszyscy jego stronnicy zobaczyliby, jak jest wiarołomny.

Pieśniarz poczuł się pewniej. Spiski, próby, wojna – w końcu mówili językiem Północy.

– Skoro mam rozważyć twoją propozycję, muszę się dowiedzieć: dlaczego ja?

– Dlaczego i dlaczego! Myślisz, Skaldzie, że jesteś taki wyjątkowy? Wcześniej zleciłem to zadanie wielu swoim ludziom, ale żaden nie zdołał nawet dotrzeć do siedziby Kola. Dlatego gdy usłyszałem, że słynny rzeźnik Irskmadów, banita całej Północy, od dwóch lat przepija resztki swojego majątku w Holmgardzie, kazałem cię odnaleźć. Nawet tutaj krążą o tobie opowieści, choć jesteś raczej zbyt młody, by dokonać chociaż połowy czynów, które ci przypisują. Jak już wiesz, Ali i tak musiał się udać do tego gardu, mógł więc zahaczyć o tamtejszy skytning. Podobno zostawiłeś w tym pijackim przybytku tyle srebra, że właściciel nazwał go twoim imieniem?

Poeta nie był tak młody, jak by tego sobie życzył. Skończył już trzydziesty szósty rok życia, ale wyglądał przynajmniej dziesięć lat młodziej. Zazwyczaj złościły go uwagi na temat wieku – wcale nierzadkie – lecz z doświadczenia wiedział, że kobiety zawsze wolały młodych. A przynajmniej wyglądających na młodych.

– Sława Ainara Skalda nie zna granic.

– Tak i ja sobie pomyślałem! Słynny pieśniarz i zabijaka potrafi chyba

przyprować mi żonę? Tym bardziej że dostanie dobrą obstawę, by w drodze nic mu się nie stało.

Vaering zrozumiał groźbę. Będą go pilnować, by nie zmienił kierunku wyprawy. Zapewne nie byłby pierwszym zalotnikiem, który przedłożył bezpieczne tchórzostwo nad niepewny zarobek.

– Będzie jeszcze tylko jedno „dlaczego”. Dlaczego miałbym się zgodzić?

– O tym zdecydujesz sam. Masz przecież wiele możliwości. Możesz na przykład wybrać, na którym poziomie moich ogrodów bestii zechcesz spędzić kolejną noc. Ufam, że Ali ci o nich opowiedział. Możesz też zdobyć dla mnie pannę młodą, a w zamian dostać tyle złota, ile waży wybranka mojego serca. To jak będzie?

Gość już wcześniej podjął decyzję, ale czekał na wzmiankę o nagrodzie. Po karła mógł się wybrać nawet za darmo, bo tu chodziło o zemstę i odzyskanie spokojnych snów, ale jedna z zasad wpojonych mu przez babkę brzmiała: „Zawsze lepiej, gdy płacą”.

– Wybieram złoto.

– Mądrze, choć mnie nie zwiedzisz. Tak naprawdę wybrałeś przygodę, sławę i temat dla pieśni. Monety będą tylko dodatkiem. I wiem, co ci chodzi po głowie. Druga strona.

Ainar, gdyby umiał, zrobiłby niewinną minę. Urodził się jednak z twarzą, którą można byłoby obarczyć winą za wszelkie niegodziwości tego świata. Na szczęście jego boski opiekun, mający ten sam problem, podzielił się z nim umiejętnością przybierania kilku innych przydatnych masek. Poeta uniósł więc brew i udał zdziwienie.

– Nie wykrzywiasz się, dobrze wiesz, że zawsze jest jakaś druga strona. Skoro Tirus chce żony swojego wroga, musi istnieć grono niezadowolonych, którzy woleliby wydać za niego własną córkę. Doszły mnie słuchy o takich ludziach i jeśli się z tobą skontaktują, możesz nawet wziąć od tych głupców zapłatę. Ale wierny masz być tylko wobec mnie. Resztki ostatniego, który mnie zdradził, leżą tam.

Wskazał ręką pod drzwi, a pieśniarz posłusznie przeniósł wzrok na kość,

którą przed śniadaniem kagan rzucił we wronę.

– Jak znajdę tego Kola?

– Nietrudno przegapić jego siedzibę na krańcu Odainsaku. A zresztą będziesz miał przewodnika.

4

Po przewodnika musieli się udać do lochu mieszczącego się w piwnicy wieży.

W celi było ciemno, a jedyne maleńkie okienko, lub raczej dziura w ścianie, pozwalało słońcu oświetlić tylko niewielki kawałek klepiska. W jednym z rogów pomieszczenia widniał dół, a smród, jaki się z niego wydobywał, nie pozostawiał wątpliwości, do czego jama służyła. Przy wschodniej ścianie niegdyś stała ława, ale teraz znajdowało się tam rumowisko desek i strzepy ubrań. Jediną niezniszczoną konstrukcją był słup, z którego zwisały łańcuchy. Okowy okazały się jednak puste, bo więzień kuczał na desce, której środek wspierał się na szczycie słupa, i w sobie tylko znany sposób utrzymywał równowagę. Nie przedstawiał ładnego widoku, gdyż usadowił się tyłem do wchodzących, a był nagi.

– Tirus już jakiś czas temu kazał go rozkuć – szepnął Ali. – Przewidział, że może się nam przydać. Tylko że ten szaleniec nie wypowiedział jeszcze ani słowa.

Gdy szli do lochów, Blamad opowiedział poecie historię więźnia. Został złapany, gdy kręcił się wokół gardu. Ujęcie go kosztowało życie czterech przybocznych gridinów kagana, ale władca uparł się, by nie zabijać odrmada, tylko uwięzić go w lochu. Postanowił tak, gdyż słyszał plotkę o potężnym hamramirze, skazanym na banicję przez swoich braci – bestialskich wojowników służących pod rozkazami Kola Małego.

Skald przeklął boskie szwaczki, które szyły mu los. Pewnie znów

popisywały się przed bóstwami, bawiąc się nożycami tuż nad tkaniną jego życia. Jakby mało miał problemów ze swataniem króla, teraz miał mieć jeszcze do czynienia z hamramirami, najbardziej szalonymi istotami, o których się mówiło, że nie są w pełni ludźmi.

– Przyszliśmy w imieniu Tirusa Wielkiego, czarownika i władcy, któremu nawet gwiazdy na niebie oddają pokłon – zaczął w swoim napuszczonym stylu Ali. – Mamy dla ciebie propozycję.

Po krótkiej chwili doczekali się reakcji. Więzień podskoczył i wylądował na lewej nodze na środku deski. Ponownie kucnął, ale tym razem wyprostował prawą nogę, celując nią w okno. By utrzymać równowagę, rozłożył ręce niczym ptak zrywający się do lotu.

– Wiedziałem, że to nic nie da – oznajmił Blamad. – Mówiłem kaganowi, że szkoda na niego czasu. Nie wiemy nawet, czy potrafi mówić.

– Być może zwracasz się nie do tego więźnia.

– Nie rozumiem.

Ainar sam nie wiedział, dlaczego to robi. Mogli po prostu wyjść i poprosić władcę o innego przewodnika. Tak byłoby prościej i bezpieczniej. Zwano go jednak kłopotliwym pieśniarzem, gdyż nie cierpiał łatwych rozwiązań. Ciekawość zawsze pchała go w tarapaty, ale i pozwalała napełnić sakiewkę.

– Witajcie. Ty, człowieku, i ty, bestio, która kryjesz się w środku. Witajcie obaj – wy, którzy nie macie jednego kształtu, choć zamieszkujecie jedno ciało.

Nagus powoli obrócił głowę w ich stronę. Wydawało się niemożliwe, by człowiek był w stanie tak bardzo wykręcić szyję. Spojrzał na nich z zaciekawieniem, za nic sobie mając, że jego plecy były teraz tam, gdzie powinien być brzuch.

– Człowiek z Północy wie, że jest nas dwóch.

Vaering skinął głową, trącając równocześnie Blamada, by przestał się głupkowato uśmiechać. Widok zaostzonych zębów nie służy podtrzymywaniu przyjaznej rozmowy.

– Mamy tego samego opiekuna.

– Göllnira? Jesteś więc skaldem. Słyszeliśmy, że oni są szaleni.

Östmad musiał nadepnąć Alemu na stopę, by ten przestał się śmiać. Drużynnik kagana powinien wiedzieć o hamramirach przynajmniej tyle, że nie powinno się ich drażnić. Wprawdzie więzień był nieuzbrojony i pewnie głodzony przez wiele dni, ale Ainar był pewny, że mieliby dużo problemów, gdyby golas postanowił walczyć.

– Bitewny Krzyk jest czystym szałem i sprawiedliwie obdarza swoich wyznawców.

Odpowiedź musiała się spodobać, gdyż hamramir obrócił resztę ciała w ich stronę. Usiadł też wygodniej, kucając na dwóch nogach. Mogli go teraz dokładniej obejrzeć. Był chudy i żyłasty, a na piersi miał liczne blizny po ptasich szponach. Długie, brązowe włosy opadały na ramiona, przypominając nastroszone pióra.

– Obdarza. Czarny mężczyzna się śmieje, choć przecież i on ma w sobie dzikiego zwierza. Wstydzi się własnego gniewu, chce go okiełzać, ale jest głupi. Szaleństwo zawsze wygrywa. My to wiemy.

Blamad już się nie uśmiechał. Wyglądał na takiego, kto chętnie by zbladł, gdyby potrafił. Zacisnął zęby, mocno przygryzając dolną wargę, aż po podbródku poleciała krew. Tak szybka zmiana nastroju nie pasowała do jego codziennego opanowania. Widocznie hamramir działał na Alego jak młody wilk na starego basiora.

Ainar położył rękę na ramieniu przybocznego Tirusa. Jeszcze tego brakowało, by wpadł w morderczy *berserksgangr*! Pieśniarz znalazłby się wtedy między dwoma łaknącymi krwi odrmadami.

– Wszyscy staramy się radzić sobie z własnym szaleństwem. Nie warto o tym mówić. Lepiej zastanowić się, jak przekonać naszego przyjaciela, by nam towarzyszył.

– To proste – syknął Blamad. – Może iść z nami albo zgnić w więzieniu.

Hamramir spojrział na wytatuowanego olbrzyma i przekrzywił głowę w bok, zupełnie jak jastrząb.

– My jesteśmy wolni. My latamy z naszymi braćmi. Dlaczego czarny mężczyzna jest zły? Czy chce z nami walczyć?

– Nie, nie chce! – krzyknął Vaering, uprzedzając odpowiedź berserka. – On nie rozumie naszych zwyczajów, dlatego teraz będzie milczał – ostatnie słowo podkreślił, ściskając ramię drużynika kagana. – Bo takie właśnie jest życzenie jego konunga, Tirusa.

– Tirusa? Tego małego człowieka, który lubi zwierzęta?

– Nie innego. Właśnie on chciałby cię... tfu... was prosić o pomoc.

Skald musiał pamiętać o poprawnym zwracaniu się do szaleńca, jeśli nie chciał go ponownie spłoszyć. Sposób mówienia nagusa był czymś więcej niż jego własnym kaprysem. Naprawdę uważał, że w jego głowie mieszkają dwa duchy. Kiedy wojownik przechodził obrzęd stawania się hamramirem, zabijał bestię, a jej duch przenosił się do jego ciała. Nie każdy miał wystarczająco silny umysł, by uporać się z dwoma duchami żyjącymi w jednej głowie. Zdarzało się, że bestia całkiem opanowywała hamramira i ten uciekał do lasu, by żyć jak dzikie zwierzę. Niekiedy to człowiek całkowicie podporządkowywał sobie zwierzę i funkcjonował jako zwykły dreng, tylko od czasu do czasu zmuszany zewem krwi do mordowania dziewczyc. Zazwyczaj jednak oba duchy dochodziły do stanu równowagi – tacy hamramirzy tworzyli na wpół dzikie bractwa, na modłę wilczej watahy, i służyli jako najemnicy u odważnych, choć szalonych konungów.

– Wiemy. Nasz brat, tam w górze, ma dobry słuch i wzrok. Powiedział nam, że przyjdziecie. Że szukacie samicy dla kagana. I że Skald nie wie, skąd się biorą kurczaki.

Żart, zamierzony czy nie, wszystkich trochę rozluźnił. Ali przestał marszczyć czoło i wydawał się bliski puszczenia urazy w niepamięć. Tylko poecie wcale nie było do śmiechu. Hamramir musiał być potężny, skoro umiał porozumiewać się z ptakami, a na dodatek wydawał się wiedzieć więcej od Vaeringa o planowanych zaręczynach.

– Jesteście potężnym wojownikiem, a ja nawet nie znam waszego imienia.

– Haukr i Hedin, czyli Haukrhedin.

Jastrząb i Płaszcz. Pieśniarz już wiedział, jaki zwierzęcy duch mieszka w Jastrzębioskórym.

– Zatem, Haukrhedinie... Czy będziecie naszym przewodnikiem?

– A dlaczego? Czy się zgubiliście?

Gdy w głowie mieszkają dwa duchy, przestaje się rozumnie myśleć. Jeśli więc Ainar chciał przekonać hamramira do udzielenia im pomocy, musiał zwracać się do niego w taki sam pokrętny sposób, w jaki pracował umysł więźnia.

– Drogę znamy, ale mądrze jest w lesie zawierzyć temu, kto w koronach drzew ma swój dom. Chodź z nami, a znów znajdziesz się w dzicy i będziesz polował – przemówił do Jastrzębia. – Będziesz mógł również zemścić się za wyrok banicji – zachęcił człowieka. – Będziecie zabijać – zwrócił się do obu.

Haukrhedin zastanawiał się chwilę, ruszając głową w tył i przód.

– Lubimy odbierać życie. Pomożemy, ale pod jednym warunkiem. Będziecie nas słuchać w wyborze drogi. Jest ona zbyt niebezpieczna, byśmy zaufali szalonemu Skaldowi i chodzącemu z księżycem berserkowi.

– Zgoda, jeśli wy też zgodzicie się na jeden warunek. Ubierzecie się.

Ptaki nie potrafią się uśmiechać, Haukr zgiął więc tylko usta w dziób i zeskoczył na ziemię, robiąc popisową przewrotkę w powietrzu. Sięgnął po jakąś szmatę z klepiska i włożył ją przez głowę.

– Chodźmy. Musimy odzyskać nasze szpony.

5

Ali miał nadzieję, że skoro tylko przekonają hamramira, od razu wyruszą w podróż. Nic z tego. Ainar był węgłozercą, jak jego krajanie nazywali nierobów, i uparł się, że musi przynajmniej przez tydzień odpoczywać.

„Chuć pokurcza jeszcze trochę poczeka” – bezczelnie oznajmił mu pieśniarz. Haukr z kolei stwierdził, że potrzebuje kilkudniowego wzmocnienia skrzydeł – cokolwiek to miało oznaczać. Tylko że obowiązek poinformowania o tym konunga spadł na Alego.

– Gdzie jesteś, panie?

Blamad nie cierpiał, kiedy Tirus wzywał go do ogrodu, a potem znikał w dżungli. Kagan uważał, że ukrywając się przed gridinami, poddaje ich świetnemu ćwiczeniu, gdyż zawsze powinni zachowywać się tak, jakby władca ich obserwował. Akurat Blamadowi, który wychował się w jeszcze gęstszym lesie, takie ćwiczenie potrzebne nie było. Ale dla trzydziestu chłopca, znudzonych codziennymi obowiązkami, odszukiwanie władcy między drzewami stanowiło przynajmniej jakąś rozrywkę.

Konung przyjechał na konio-kurze. Ali z łatwością dostrzegł go między drzewami, ale udawał zaskoczenie. Jego pan lubił zadziwiać swoich ludzi, czemu więc nie miałyby sprawić mu przyjemności?

– Czy wiedziałeś, że te ptaki potrafią biegać szybciej niż niejeden wierzchowiec?

– Nie, kaganie – skłamał. Jak mógłby nie wiedzieć? Struthio należał do tych pupilków władcy, których naturalnym żerowiskiem były tereny łowieckie w Wagadou.

Dopiero siedząc na ptaku, kagan dorównywał wzrostem wytatuowanemu gridinowi. Tirus nie lubił stać w towarzystwie wysokich ludzi.

– Doszły mnie wieści, że wasza wyprawa się opóźni.

– Tylko kilka dni. Wykorzystamy je na staranne przygotowanie wędrówki. Czeka nas długa droga, a moi towarzysze muszą nabrać sił.

– Jesteś lojalny wobec nowych towarzyszy. To dobrze. Ale przede mną nie musisz ich usprawiedliwiać. Wiem, że to węgłozercy, którzy wolą leżeć przy palenisku, niż ciężko pracować. Dlatego posyłam cię z nimi. Masz pilnować, by dotarli do celu i wykonali swoje zadanie.

– Tak, władco gwiazd.

Tirus zmierzył go badawczym wzrokiem.

– Coś cię trapi.

– Nie, nic.

– Nie każ mi pytać po raz drugi. Jesteś moim pierwszym gridinem i twoim obowiązkiem jest powiedzenie mi wszystkiego, co naraziłoby na szwank tę wyprawę.

– Wybacz, panie. Nie chciałem obarczać cię moimi wątpliwościami. W swojej niezmierzonej mądrości rzeczywiście odkryłeś, że coś, a raczej ktoś, mnie martwi. Mówię o hamramirze. Jest zbyt pomyłony, by można mu było zaufać. Na dodatek ja... w jego towarzystwie zaczynam tracić panowanie nad sobą.

Kagan pogłaskał struthia po szyi, po czym spiął go piętami, zmuszając do odwrócenia się od Blamada.

– Przejdź się ze mną.

Ali posłusznie ruszył za Tirusem, szybko zrównując krok z ptakiem.

– Czy słyszałeś opowieść o stworzeniu hamramirów?

– Nie.

– Słuchaj zatem. W czasach, gdy zwierzęta i bogowie spacerowali razem po ziemi, żył pewien chłopiec o imieniu Hamr. Jego rodzina była bardzo uboga, więc często nie miał co jeść ani w co się przyodziać. Pewnego razu poszedł do lasu szukać grzybów, lecz żadnego nie znalazł. Usiadł więc na konarze dębu i zapłakał. Wtedy przyszedł do niego wilk i zapytał: „Dlaczego się smucisz?”. Na to malec odpowiedział: „Bo jestem głodny i nagi”. Zwierz zdziwił się i pytał dalej: „Masz cztery łapy jak ja, u pasa zaś nóż ostry niczym moje zęby. Ja jednak nie głoduję, a futro ogrzewa mój tłusty brzuch”. Dzieciak odparł: „Tak, ale ty masz swoją watahę, towarzyszy, którzy pilnują cię, gdy polujesz. A ja jestem sam”. Wilk zastanowił się, po czym zaproponował: „Czy chcesz być mi bratem i polować razem ze mną?”. Chłopiec zgodził się bez wahania. Wtedy bestia rzuciła się na niego i go zjadła. Szalony bóg Göllnir zstąpił wtedy na ziemię i zaczął krzyczeć na wilka, a wrzeszczał na niego tak długo, aż zwierzę spełniło swoją obietnicę. Pozwoliło, by malec rozerwał jego

brzuch i wyszedł na wolność. A wilk zamieszkał w jego głowie. I ten, który nie był już jednego kształtu, wrócił do swojej osady, zabił wszystkich krewnych i zjadł zupę, którą gotowali na obiad. A potem poszedł do lasu polować.

– Wszyscy wiedzą, że hamramirzy to szaleni mordercy.

– Tak. A jednak są trochę podobni do ciebie. I właśnie to cię w nich drażni. Ty, gdy odkryłeś swój problem z gniewem, wyruszyłeś w świat, by nauczyć się nad nim panować. I udało ci się tego dokonać.

– Dzięki tobie, kaganie.

– Sam to osiągnąłeś. Ja tylko wysłałem cię do krain leżących na wschód od Glaesiru, gdzie starcy z gór pielęgnują dawne obrzędy z Indialandu. Opowiedzieli ci o bogu Wertragnie, Szalonym Odyńcu, i jego aesmie – bitewnej wściekłości, którą włada, by chronić swoich bliskich. Modląc się do niego i dumając w ciszy, udało ci się okiełzać gniew. Dlatego nie możesz znieść hamramirów, gdyż oni nie wiedzą, co to opanowanie.

– Tak jak i ty, wielki kaganie, gardzę bestialskimi wojownikami, a jednak kazałeś mi współdziałać z jednym z nich.

– Czasem nawet ze wściekłego psa można zrobić użytek. Wystarczy dobrze trzymać go na uwięzi, a jego nos i pragnienie krwi doprowadzi cię tam, gdzie zechcesz. Co zaś do zaufania: nigdy nie mówiłem, że masz nim obdarzyć Haukrhedina. Wręcz przeciwnie. Miej go na oku i wbij mu nóż w plecy przy najmniejszej oznace zdrady. Miejmy jednak nadzieję, że prawdą jest, co mówią o hamramirach: ich słowo jest równie trwałe, jak ich szaleństwo. Traktuj więc tę wyprawę jako kolejną lekcję panowania nad gniewem i nie daj się nikomu wyprowadzić z równowagi.

– Tak zrobię.

Doszli do strumyczka wypływającego ze skały. Tirus pozwolił się napić struthiowi. Rosło tu gigantyczne drzewo sejby, pochodzące z niedostępnych lasów Wągadou. Poskręcane korzenie wyglądały jak martwe, ale wciąż podtrzymywały pień, który miał kilkadziesiąt lat. Ali przychodził tu, by powspominać swoje plemię, które dawno temu utracił.

– A teraz powiedz, co sądzisz o Ainarze. Zdążyłeś się z nim zaprzyjaźnić?

– To bezczelny pyszałek, który uważa, że nawet bogowie nie dorównują mu w biegłości układania strof. Nie sądzę, by miał wielu przyjaciół, ale wydaje mi się, że nawiązaliśmy nic porozumienia. I dobrze walczy, jak wyszkolony zabójca. Ma też słabość do świecidełek, ale albo kiepsko radzi sobie z ich zdobywaniem, albo równie szybko je traci. Gdy pojмалиśmy go w Holmgardzie, przepijał resztki swojego srebra.

– Tę słabość już wykorzystaliśmy, by przekonać go do naszej wyprawy. Coś jeszcze?

– Jest bystry i dosyć zdolny. To niebezpieczny przeciwnik, który rzadko przegrywa, choć we wszystko wkłada mało wysiłku. I tkwi w nim jakaś zadra, jakiś uraz z przeszłości, który powoduje, że gardzi światem.

– Powoli stajesz się myślicielem, ale przeceniasz tego Vaeringa. Pomimo sprytu to zwykły najemnik, który pójdzie w tę stronę, w którą rzucisz mu garść monet. Lepiej powiedz, czy łyknął moją przynętę.

– Wydaje się, że tak. Wierzy, że zdobycie żony dla ciebie, panie, jest naszym głównym celem.

– Dobrze. I pilnuj, żeby tak pozostało. Niech on i Haukr zajmą się próbami, a ty zadbaj o resztę. Tylko pamiętaj, że próby muszą zostać wypełnione. One są najważniejsze. Wszyscy mają zobaczyć, że moi ludzie są potężniejsi niż Kol i Mödul. Dopiero wtedy – i tylko wtedy – Glaesir i Odainsak znów będą mogły stać się jednością.

– A co z dziewczyną?

– Oceń, czy rzeczywiście jest tak piękna, jak wskazują jej cudowne włosy. Jeśli nie, zadbaj, by w drodze powrotnej zgubiła się w lesie, najlepiej ze Skaldem i hamramirem. Powiemy Odainsakczykom, że przybysz z Północy zdradził nas wszystkich. Nic tak nie łączy zwaśnionych jak wspólny wróg.

– Twoja mądrość jest niezgłębiona, kaganie.

– W rzeczy samej – odpowiedział władca strusi.

6

Żał się było żegnać z tym miejscem. Jako przybysz z odległej Północy i osoba, która miała odgrywać rolę zalotnika samego Tirusa, Skald cieszył się sporym powodzeniem u miejscowych panien. Oczywiście jego urok osobisty i łóżkowa sprawność też robiły swoje. Co noc przysyłano mu podarunek w postaci urodziwej członkini jakiegoś znakomitego rodu. Kochał tutejszą gościnność. I to dosłownie.

Szczególnie do gustu przypadła mu jedna szatynka. Kręcone włosy, piegi na piersiach i pieprzyk na pupie. A do tego silne ramiona i smukłe uda, nabyte, jak sama twierdziła, dzięki ciągłym ucieczkom przed ojcowskim batem. Lubiała się kochać, i to bez ubrania, podobnie jak każda tutejsza dziewczyna. Wszystko dzięki wspaniałemu zwyczajowi miejscowej ludności, który dziewictwo traktował jako kalectwo stanu dziecięcego. Żadna panna nie mogła więc wyjść za mąż, o ile wcześniej nie pozbyła się owego wstydliwego piętna. A na dodatek wskazane było, aby przed ślubem ktoś uczynił ją brzuchatą – wtedy przyszły mąż wiedział, że wypłaca ślubny *mundr* za kobietę zdatną do dania mu potomków. Ainar obiecał sobie, że po powrocie w rodzinne strony będzie rozpowszechniał ten piękny zwyczaj.

Poranka dnia piątego, licząc od rozmowy z Tirusem, pojawiła się owa „druga strona”, zupełnie tak, jak przewidział kagan. Jej posłańcem był młody Vindmad, Alosza Czuryłowicz. Przyszedł akurat wtedy, gdy poeta skończył już poranne rozprostowywanie kości z rudą pieguską i właśnie jadł śniadanie.

– Ufam, że moja krnąbrna siostra dobrze ogrzała ci siennik – gość zaczął bez ogródek, gdy pieśniarz próbował mleka garbatego konia.

Skald szybko skojarzył, że junak miał takie same brązowe włosy i piwne oczy jak leżąca tuż obok kochanka. Przytaknął, nie przerywając picia.

– Przychodzę w imieniu veche.

To nie zdziwiło Vaeringa. Przez ostatnich kilka dni zdążył się

zorientować w tutejszej strukturze władzy. Tirus cieszył się niemal boskim uznaniem i trzymał swoich poddanych krótko. Dzięki sprawiedliwym rządóm był kochany, ale również wzbudzał lęk, gdyż był surowy. Wszystko w gardzie wydawało się uporządkowane i każdy jego mieszkaniec znał w nim swoje miejsce. Drengowie pilnowali porządku, kupcy handlowali, chłopci uprawiali ziemię, a kagan rządził. Ale była jeszcze veche, rada, a może bardziej zgromadzenie skupiające przedstawicieli najważniejszych rodów. Coś jak thing na Północy, tyle że dla najzamożniejszych, a nie dla wszystkich wolnych mężczyzn. Większość jego członków wywodziła się z tutejszego ludu Vindmadów i wydawało się, że nie do końca zapomnieli Tirusowi jego obce pochodzenie.

– Siadaj zatem, bracie dawczyni rozkoszy. Zanoszę bowiem na dłuższą rozmowę.

– Wolałbym, gdybyś to ty poszedł ze mną. Chciałbym ci coś pokazać.

– Odkąd tu przybyłem, wszyscy zapraszają mnie na spacer. Musi to być piękny kraj, skoro ma tyle do ukazania obcym.

– Chodź, a nie pożałujesz.

– Już żałuję – burknął Östmad, podnosząc się z miejsca i strzepując okruszki z czerwonego kyrtilu.

Pomimo całej niezwykłości siedziby Tirusa sam gard sprawiał wrażenie normalnego bogatego osiedla, jakich pełno było w tych stronach. Znajdowali się w końcu niedaleko Gardariki, czyli Królestwa Grodów, i jakkolwiek niezwykła mogła się wydawać przybyszom kraina Glaesir, miała więcej wspólnego z całkiem zwyczajnym sąsiadem, niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

Alosza poprowadził go do dolnego gardu, czyli podgrodzia, do którego prowadziła droga ułożona z belek. Na dole napotkali kolejną linię umocnień, która otaczała całe wzgórze, a zarazem stanowiła część wału i palisady, chroniących dolną osadę.

Do podgrodzia weszli przez drewnianą bramę pilnowaną przez strażników, którzy wprawdzie bardziej byli zainteresowani przepytaniem ludzi zmierzających do górnego gardu niż idących

w przeciwną stronę, ale na widok Aloszy obaj wyprostowali się i zatrzymali niewielki wóz zaprzęgnięty w dwa muły. Zapach nie pozostawiał wątpliwości, że pojazd dowoził na górę żywność, a zbrojni zawsze mieli pierwszeństwo przed zaopatrzeniowcami.

Skald i jego przewodnik poszli traktem wyznaczonym przez skromne jednoizbowe domy, które ciągnęły się do centrum podgrodzia. Z każdym krokiem Ainar słyszał coraz głośniejszy hałas, którego nie dało się pomylić z niczym innym. Gwar targowiska. Nieważne, w jakim języku mówili ludzie, gdy zaczynali się kłócić o cenę, miejsca handlowe na całym świecie wypełniały się takim samym nieznośnym harmidrem.

Jeszcze zanim dotarli do targu, poeta przekonał się, że osada tętni zwyczajnym życiem, jakby w ogóle nie przejmowała się dziwnymi mieszkańcami górnego gardu i kremla. Garncarz udowadniał swój kunszt, lepiąc garnki. Nożownik ostrzył swoje wytwory na kamieniu. Powroźnik splatał z końskiego włosia linę. Bartnik sprzedawał plastry miodu. Gospodyni piekła na kamiennym piecu pszeniczne placki, a dzieciaki zakradały się, by zwędzić choć jeden z tych smakołyków. Rudowłosa dziewczyna, korzystając z ładnej pogody, wytaszczyła z domu warsztat tkacki i przędła, kusząc przechodniów tkaninami i swoimi wdziękami.

Droga doprowadziła ich wreszcie do placu handlowego, ale wbrew oczekiwaniom pieśniarza nie na kupców natknęli się w pierwszej kolejności. Wejście na targ zagroziła im zbita ciżba. Skald mógł jeszcze znieść, że tłum blokował mu przejście, ale nie to, że motłoch stał do niego plecami i nie zwracał na niego uwagi. Zaklął pod nosem i poszukał wzrokiem innej drogi, bo nie miał zamiaru przeciskać się między smerdami.

Alosza nie wyglądał na zmartwionego, co więcej, zachowywał się tak, jakby znaleźli się dokładnie w tym miejscu, do którego chciał dojść. Uśmiechnął się do Östmada.

– Zapomniałem, że w podgrodziu jest Wesoły Ilja – próbował się wytłumaczyć, lecz Ainar nie miał wątpliwości, że przewodnik kłamał, bo nawet pieśniarz słyszał o jakimś przedstawieniu, które tego dnia miało się

odbyć na targu.

Czuryłowicz zaczął się przepychać, a Vaering, chcąc nie chcąc, ruszył za nim. Co bardziej zadziorni gapie nie chcieli się przesuwac, ale gdy dostrzegali, że mają do czynienia ze zbrojnymi, niechętnie się rozstępowali. W końcu obaj wojownicy dotarli do pierwszego rzędu widzów i mogli w pełni podziwiać przedstawienie.

Na placu trwały zmagania bestii z człowiekiem. Wielki brązowy niedźwiedź stanął właśnie na tylnych nogach i zaryczał, po misiowemu przeklinając swojego przeciwnika. Jego wróg nie wydawał się tym przestraszony i lekceważąco szczyrzył zęby do zwierzęcia. Bardzo zuchwale jak na chłopca.

Zapaśnik był przeraźliwie chudy i miał nagi tors. Jego kręgosłup i żebra stanowiły rusztowanie, na które bogowie naciągnęli skórę i łaskawie wypełnili kilkoma splotami mięśni. W mocno naciągniętym na głowę słomkowym kapeluszu chłopak wyglądał jak młodociana wersja stracha na wróble.

Wyrostek też ryknął, a słysząc jego piskliwy głosik, ludzie wybuchli śmiechem. Tak zachęcany chudzielec pochylił się, wznosił ręce, jakby chciał objąć szerokie drzewo, i zaczął krążyć dookoła placu. Niedźwiedź, widząc te poczynania, opadł na cztery łapy i ruszył w przeciwnym kierunku, jakby uciekał przed napastnikiem. To wywołało kolejną porcję śmiechu. Znudzony wpatrywaniem się w kudłaty zad chłopiec zatrzymał się, zdjął kapelusz i potarł sobie blond włosy. Oddał nakrycie głowy jakiemuś gapiowi, zamachał rękami i podskoczył, jakby właśnie wpadł na świetny pomysł. Odwrócił się twarzą do zwierzęcia i zamiast okrążyć plac, ruszył na przełaj. Ludzie pochwalili jego bystrość kolejnymi chichotami.

Bestia nie okazała się głupsza. Znów stanęła i ruszyła człowiekowi na spotkanie. Starli się dokładnie na środku placu i objęli niczym pijani drengowie na widok nowej beczki piwa. No może nie dokładnie tak samo, bo młodzian sięgał misiowi zaledwie do przednich łap, a jego ręce nie były w stanie objąć więcej niż brzuch niedźwiedzia. Chudzielec uczeplił się więc futra, a zwierz położył mu łapy na ramionach, przez co wyglądali jak

tańcząca para, której przygrywały piski dzieci i rechot dorosłych.

Miłosny uścisk nie trwał długo. Dzieciak odskoczył i znów zaczął drapać się po czuprynie, wykonując to samo co poprzednio przedstawienie wpadania na świetny pomysł. Bóg, który zsyłał mu natchnienie, musiał być szalony, gdyż po głupkowanym podskoku wyrostek zrobił dwa przysiady, wybił się i wykonał obrót w powietrzu. Zwierzak przyjął wyzwanie. Opadł na cztery łapy, dwa razy dotknął zadem podłoża, położył się i przeturlał, wyrzucając w powietrze chmurę kurzu.

Jedna dziewczynka popłakała się ze śmiechu, a pewien staruszek zakrztusił się swoją wesołością. A to był dopiero początek przedstawienia.

Ilja zrobił wielkie oczy, dziwiąc się, że niedźwiedź jeszcze się nie poddał. Tym razem dłużej drapał się po głowie i wyjął z włosów nicosć, która zapewne miała udawać pchłę, po czym zamaszystym ruchem rozpląszczył ją sobie na czole. W końcu krzyknął „ha!” i podszedł do gapia trzymającego kosz z warzywami. Wyszukał w nim trzy kapusty i zaczął nimi żonglować, patrząc wyzywająco na zwierzę. A to znów stanęło i ziewnęło ze znużenia.

Chłopiec udał zagniewanie, chwycił kapusty i zaczął je rzucać pojedynczo w kierunku miśka. Jak na bestię ważącą tyle, co czterech dorosłych mężczyzn, miodożerca był całkiem zwinny. Każdą główkę podbijał do góry łapą, i to w taki sposób, że wszystkie spadały u stóp żonglera, który próbował je nieudolnie łapać.

Znudzony wygłupami Ainar znalazł sobie lepszy widok. Wypatrzył w tłumie kształtną rudą dziewczynę, która tak zanosila się śmiechem, że jej obfite piersi radośnie podskakiwały w za ciasnym dekolcie lnianej sukienki. W pewnej chwili kobieta pochwyciła jego wzrok i uśmiechnęła się zalotnie.

Kątem oka Skald zauważył, że chłopak wpadł na kolejny błyskotliwy pomysł. Tym razem stanął na rękach, czego już niedźwiedź wykonać nie potrafił. Ucieszony chudzielec „podszedł” więc do zwierzęcia, odwrócił się do niego plecami i oparł pięty o stojącego futrzaka. Władca puszczy cofnął się o pół kroku, jakby ciężar wyrostka był dla niego za duży, stęknął,

mruknął, ale po chwili znów przesunął się do przodu. Wtedy blondas kopnął lekko misia i stała się rzecz niezwykła. Kudłaty tłusciuch zwał się ciężko na ziemię, jakby sam bóg Magni zdzielił go swoją maczugą. Natomiast Ilja wylądował na miękkim brzuchu zwierzęcia, usiadł na nim okrakiem i dał mu pstryczka w nos.

Tłum zapiał z zachwytu i nawet poeta pozwolił sobie na mały uśmiech.

– Oto właśnie Wesoły Ilja – oznajmił mu rozbawiony Alosza. – Jeden z ulubieńców naszego kagana. Co prawda umie zaczarować tylko tego swojego niedźwiedzia, ale i tak wszyscy tutaj uważają go za chodzącego z bogami.

Chłopak miał w sobie coś ze skalda – lubił się popisywać. Zeskoczył ze zwierzęcia, odtańczył pląs radości i uklonił się zgromadzonym, zamiatając włosami pył z placu. Miodożerca okazał za to skruchę godną pokonanych. Przetoczył się na brzuch, nakrył łapami łeb i przybrał pozę psa skomlącego po zagryzieniu ulubionej kury gospodyni. Chudzielec nie pozwolił mu się jednak długo boczyć. Wskoczył na kark misia i piętami zmusił go do wstania. Następnie trzymając władcę lasu za uszy, przejechał się wokół placu, wypinając pierś niczym wojownik dosiadający najprzedniejszego rumaka z Serklandów. Po drodze odebrał od jednego z gapiów swój słomkowy kapelusz i zrobił kolejne okrążenie, tym razem nadstawiając nakrycie głowy po datki. Do kapelusza zaczęły wpadać ser, mięso, rzemienie, noże, grzebienie, koraliki, a czasem zabręczała moneta.

Młodzieniec zatrzymał się przy Skaldzie i nie chciał jechać dalej, mimo że Czuryłowicz wrzucił mu do kapelusza srebrny serklandzki dirham. Ilja wpatrzył się w twarz pieśniarza, a niedźwiedź prychnął groźnie, tak że dwaj stojący obok nich mężczyźni cofnęli się o krok.

– Musisz mu coś dać – Vindmad napomniał Ainara. – Wspomóż sierotę, a los odwdzięczy ci się po stokroć.

Östmad widywał już sieroty, które po otrzymaniu srebrnej monety zaczynały się na dobroczyńcę, by zabrać mu resztę zawartości sakiewki. Nie miał zamiaru dzielić się monetami z podgrodziańskim głupkiem.

– Jedź dalej, szczeniaku.

Wyrostek przewrócił źrenicami i pokazał mu język. Skald był w szoku. Nie licząc jednej wścibskiej dziewczynki z wyspy na krańcu świata, dzieci zwykle przed nim uciekały, a już na pewno nigdy nie ważyły się go obrażać. Nabrał ochoty na porządne zlanie młodzika, choć niedźwiedź i przyjazny Ilji tłum nie przemawiały za słusznością tego pomysłu.

– Wystarczy mi jakiś drobiazg – chłopak domagał się swego, i to tak głośno, by wszyscy słyszeli. – Może damska zapinka? Na pewno nosisz taką w sakiewce.

Vaering pojął, że to już było prawdziwe przedstawienie, a nie dziecinna zabawa, jak ta z misiem. Rozejrzał się niepewnie. Skąd dzieciak mógł wiedzieć o zapince, którą ukradł kilka dni temu? Przeszło mu przez myśl, że wesolek mógł być zausznikiem Tirusa lub błyskotliwym złodziejem, a może i czarownikiem. Tylko że gapił się na niego tak głupkowato i rozdziawiał gębę, jakby nie rzucał ukrytej groźby, ale polował na przelatujące muchy.

Zapinka i tak była marnej jakości, więc Ainar wyjął ją z sakiewki i wrzucił do kapelusza. Tłum jeszcze raz zapiszczał z radości, uświadamiając sobie, że jakimś sposobem dzieciak przewidział, co nieznajomy ma przy sobie.

– Mówiłem ci. – Alosza poklepał poetę po ramieniu, nie wiedząc, że ten nienawidzi, gdy się go dotyka. – Ilja chodzi z bogami, a oni czasem pokazują mu coś, co nie jest widoczne dla zwykłych ludzi.

Ludzie szybko się rozeszli. Pieśniarz miał ochotę udać się śladem chłopca, by zadać mu kilka pytań na osobności, ale brązowowłosey przewodnik nie chciał dać mu spokoju.

– Chodź. Pokażę ci targ.

Teraz, gdy tłum nie zasłaniał widoku, przybysz z Północy mógł dokładnie przyjrzeć się miejscu handlowemu. Stragany ustawione były w cztery pierścienie przecięte dwoma ulicami, które dzieliły plac na ćwiartki i krzyżowały się w jego środku. W zewnętrznym kręgu sprzedawano jedzenie, zarówno to najświeższe, jeszcze opierzone i nieoskórowane, jak i to najstarsze, śmierdzące zgnilizną. Obok zwykłych produktów – miodu, masła czy ryb – można tu było znaleźć mleko migdałowe, oliwki, jaja

konio-kury, węgorze, raki, sarny czy dziki. Młode dziewczyny sprzedawały beczki piwa, a przekrzykiwały się ze starymi babami oferującymi grzyby. Te stragany szybko minęli, co Skald przyjął z ulgą. Drugi krąg był jednak jeszcze nudniejszy. Kupcy wciskali tutaj tkaniny.

Ainar znał kilka podstawowych kolorów: czerwony, zielony, niebieski, biały i czarny – i taka wiedza mu wystarczała. Ale nawet on musiał przyznać, że kiedy leży obok siebie tuzin czerwonych kobierców, można rozpoznać, że każdy ma inny odcień. Wszystkie materiały były pięknie zdobione, a na najwspanialszych wyszyto ptaki z olbrzymimi ogonami i kwiaty o splątanych łodygach. Nietrudno byłoby się domyślić, że najpyszniejsze tkaniny pochodzą z Serklandów, nawet gdyby nie sprzedawał ich mężczyzna w sukience, który obwiązał sobie głowę czymś wyglądającym na zmiętą koszulę.

– Wiesz już, po co cię tu zabrałem?

– Żebym przyjrzał się, który kupiec jest najbogatszy, a potem obrabował go, gdy opuści Dyragard?

– Uprzedzali mnie, że twój język kąsa jak żmija i bawi jak miód pitny – wesoło odpowiedział brat piegowatej kochanki, ale dla pewności dodał: – Nie. Nie po to. Kradzieże prawie się tu nie zdarzają, a Tirus dba, by ani w grodzie, ani w jego okolicy nie dochodziło do rabunków. Jego zwierzęcy sędziowie skutecznie odstraszą złodziei.

– Tak, tak. Wilcza sprawiedliwość. Słyszałem. W takim razie zgadnę, że chcesz mi złożyć jakąś propozycję w imieniu veche?

Uśmiech zniknął z twarzy Czuryłowicza, zastąpiony lekkim rumieńcem.

– Ciszej. – Młody bogatypr przysunął się do Skalda i wprost do jego ucha powiedział: – Nie wszyscy muszą cię słyszeć. Jeszcze pomyślą, że knujemy przeciwko naszemu kaganowi. To tylko przyjacielska rozmowa, podczas której chciałem ci pokazać wspaniałości naszego targu. Widziałeś już obfitość pożywienia i tkaniny z całego świata, które są na wyciągnięcie ręki mieszkańców tego grodu. Rozglądaj się dalej.

Poeta odepchnął Vindmada, nie siląc się na delikatność.

– Precz z łapami. – Nie cierpiał się spoufalać, no chyba że z kobietami. – Dotknij mnie jeszcze raz, a stracisz palce.

– Spokojnie. – Alosza zachichotał nerwowo, kryjąc zmieszanie. Obaj czuli już na sobie ciekawskie spojrzenia. – To tylko przyjacielska rozmowa – dodał głośniejszym głosem, by wszyscy słyszeli. – Nie ma powodów do niepokoju. Chodź, Skaldzie. Pokażę ci resztę targu.

Weszli do trzeciego kręgu, gdzie było już znacznie ciekawiej. Swoje wyroby sprzedawali tu powroźnicy, garncarze, kowale, a nawet rzeźbiarze. Ainar podszedł do stoiska z drewnianymi figurkami i krytycznie przyjrzał się niedźwiedziowi o dwóch głowach. Całkiem niezły, choć nie umywał się do zabawek, które wychodziły spod jego własnych rąk. Nie bez przyczyny Skald uważał się za prawdziwego smida – mistrza dłubania w drewnie.

Odruchowo sięgnął po przewieszony przez ramię miecz, gdy w tłumie zobaczył dwóch zbliżających się Tattarów. Ale konio-ludzie nie zwrócili na nich uwagi, tylko zatrzymali się przy straganie rymarza. Poeta przeniósł wzrok na kupca i zauważył, że spod jego futrzanej czapy również wystają dwa czarne warkoczyki, a żółtawą twarz szpecą skośne oczka.

– Handlujecie z Tattarami?

– Z kim? A, chodzi ci o nich. – Czuryłowicz pomachał w kierunku konio-ludzi, a ci, o zgrozo, odpowiedzieli mu tym samym. – Zapomniałem, że dla ludzi z Północy każdy człowiek Wschodu dosiadający konia jest Tattarem. To prawda, że wszyscy oni należą do at-Turk, jak by powiedział twój czarny przyjaciel, ale dzielą się na tyle plemion, że nikt nie zdołałby zapamiętać ich wszystkich. Ci, których tu widzisz, są mieszkańcami silnego państwa Bulgar znad środkowego Itilu. Ale w grodzie możesz się natknąć również na najemnych Pieczyngów z nadmorskich stepów i jeźdźców ludu al-Hazar z kaganatu leżącego nad ujściem Itilu. Nie są może zbyt urodziwi i nie cieszą się naszą sympatią, ale to dobrzy wojownicy i wprawni rzemieślnicy. A ten rymarz robi najlepsze końskie rzędy w całym Glaesirze.

Poszli dalej. Pieśniarz zauważył, że wytwórca siodeł nie był jedynym tutaj skośnookim kupcem. Inny Tattar miał stragan ze strzałami, kołczanami i dziwaczными, powykręcanyimi łukami. Widać było też innych przybyszy.

Najwięcej sprzedających było jasnowłosymi Vindmadami z Gardariki i niewysokimi ludźmi z Bjarmalandu, jakich pieśniarz spotykał także na Północy, ale można było również spotkać wyróżniających się wzrostem Vaeringów z Północy, znacznie niższych i czarnowłosych kupców z carskiego miasta Miklagard, a nawet orlonosych handlarzy z niezwykle daleko leżącego Romaborga.

Do czwartego kręgu przeszli między stoiskiem kowala a budą nożownika. Pierwszy próbował ich zachęcić do obejrzenia grotów, lemieszy i młotów, a drugi pokazywał, jak świetnie wyważone są jego noże z rogową rękojeścią.

Östmad ani myślał marnować czasu na żelastwo, skoro stoły na kolejnych straganach były zajęte szlachetniejszymi metalami. Wyjątkowo kuszące dla jego oczu okazały się zwłaszcza ozdoby i biżuteria. Złote kolczyki, w które wprawiono drogie kamienie, naszyjniki ze szklanych i barwionych w cudaczne kolory paciorków, grzebienie z kości jednorożców i wiele innych skarbów, od których nawet irskiemu paparowi, który przysiągł żyć w klasztornej ubóstwie, oczy zaświeciłyby się z chciwości.

Uwagę Ainara przykuł naszyjnik z siedmiu srebrnych płytek połączonych łańcuszkiem. Największą z nich, widniejącą na samym dole ozdoby, pokrywała siateczka przypominająca płataninę roślin, a przyczepione były do niej dwa wisiorki w kształcie listków. Skald ostrożnie się obejrzał, ale kasztanowowłosy przewodnik nie odrywał od niego oczu. Nie było szans, by któreś świecidełko niepostrzeżenie zmieniło właściciela.

– Jesteśmy bogaci – pochwalił się Alosza, wychwytyjąc wzrok pieśniarza. – Nasz gard jest wspaniały.

– Nie wiem, czy taki wspaniały. Jeszcze nie mijaliśmy żadnego skytningu.

– Też tu są, choć niezbyt często je odwiedzamy. Gdy ktoś chce się napić, idzie po prostu do sąsiada i biesiaduje z nim do białego rana. Ale mniejsza z tym. Sam widzisz, że nasz gród jest ogromny, a ludziom niczego nie brakuje. Widziałeś uśmiechy na ich twarzach? Są nie tylko wyrazem

grzeczności dla przybyszy z daleka. Mieszkańcy Glaesiru z radością wypełniają zadania, jakie wyznaczili im bogowie. Mamy wspaniałego władcę, mędrca i czarownika, który sprawiedliwie wszystkich traktuje i cieszy się powszechną miłością. Jego gridini pilnują naszych posiadłości, a w zamian gospodarze zapewniają im wyżywienie i swoje córki, by grzały ich w nocy. Rolnicy czerpią bogactwa z ziemi, a zgromadzili ich tak wiele, że nadmiarem mogą się dzielić z innymi. Kupcy z czterech stron świata odwiedzają nasz kraj i dostarczają nam najróżniejszych towarów. Glaesir jest doskonały i niczego w nim nie chcemy zmieniać.

– To dobrze, bo ja nie mam wam nic do zaoferowania.

– A jednak, Skaldzie. Ludzie niepokoją się, że obcy z Północy może zakłócić ich spokój.

Wobec tłumu obcych handlarzy oraz miejscowych dziwaków, których poeta widział na targu, słowa te brzmiały jak żart.

– Wystarczy tych podchodów. Ile?

– Co „ile”?

– Ile ci niezadowoleni ludzie oferują, by księżniczka Ingigerd zgubiła się w lesie i nigdy tu nie dotarła? Bo przecież o to wam chodzi. Ona, nie ja, „zburzy” wasz spokój i zaprzepaści szansę, by ożenić kagana z jakąś miejscową kniaziówną.

Alosza popatrzył się na niego, jakby naprawdę był zdziwiony.

– Nic nie rozumiesz. Ingigerd jest wspaniała, to najpiękniejsza kobieta na całym Wschodzie i idealne dopełnienie naszego władcy. A na dodatek dzięki małżeństwu wreszcie zakończy się wojna z Odainsakiem. Członkowie veche z całego serca chcą, byś przyprowadził ją do nas całą i bezpieczną.

Ainar poczuł się tak, jakby sam fikał koziołki z niedźwiedziem, a tłum szydził z jego naiwności. Zdumienie szybko przeszło jednak w podejrzliwość.

– Po co więc marnujesz mój czas? Przecież już zgodziłem się pomóc kaganowi.

– Widzisz... Sprawa jest delikatna – ot, jak to zwierciadło, które leży na tym stoisku. Veche uważa, że nie byłoby dobrze, by cała odpowiedzialność za tę misję spoczęła na barkach obcych: Vaeringa, Blamada i plugawego hamramira. Rodowici mieszkańcy grodu też powinni odegrać pewną rolę w wyprawie zaręczynowej.

– Ja się na tę wyprawę nie wpraszałem. Chętnie ją wam odstąpię, jeśli Tirus się zgodzi.

– Źle mnie zrozumiałeś. Twoja pomoc jest nie do przecenienia. Veche uważa po prostu, że powinien z wami jechać jakiś Vindmad.

Göllnir krzyczał poecie do ucha, by się zgodził, bo z tego z pewnością będą kłopoty, a za kłopotami zawsze podąża srebro. Był jednak skaldem i umiał trzymać natchnienie w ryzach poetyckiej formy, więc i z porywcznością poradził sobie za pomocą rozsądku.

– I znów muszę spytać o to samo. Ile?

– Co „ile”?

– Ile dostanę za niańczenia ciebie?

– Tym razem trafiłeś. Rzeczywiście to mnie veche wybrała na swojego przedstawiciela. Nikt tak dobrze jak ja nie szyje z łuku, a okoliczne lasy znam na pewno lepiej niż ten wasz, tfu, zmiennokształtny. A za twoją zgodę i przekonanie Tirusa do tego pomysłu dostaniesz dwie sakiewki srebra. Jedną, gdy wyruszymy, drugą zaś, gdy bezpiecznie wrócimy z księżniczką.

Łatwy zarobek. A takie sprawy zawsze okazują się najtrudniejsze, o czym pieśniarz doskonale wiedział.

– A swoją siostrę też weźmiesz?

– Nigdy więcej jej nie zobaczysz. W przyszłym miesiącu wychodzi za mąż.

Jeśli Alosza myślał, że małżeńska przyszłość piegowatej zniechęci do niej Ainara, to grubo się pomylił. Skald najbardziej lubił doświadczone męzatki, które liczyły tylko na jednorazową przygodę. Po powrocie miał zamiar osobiście złożyć Czuryłowiczównie życzenia weselne.

– Wyruszamy za trzy dni.

Polujące sokoły zataczają kręgi na niebie, wypatrując ofiary. Jastrzębie zachowują się nieco inaczej. Ukrywają się między drzewami i atakują z zasadki. Jedne i drugie mają jednak wspólną cechę: na zwierzynę rzucają się z zaskoczenia. Dlatego choć czwórka wędrowców miała udać się do leżącego na północnym wschodzie Odainsaku, Haukr poprowadził ich na południe.

Szli pieszo. Ainar liczył, że kagan pożyczyci im garbate konie albo chociaż zwykłe szkapy – i nawet zamierzał tak uczynić, ale z pewnego powodu musieli się zdecydować na marsz. Bo jastrzębie nie umieją jeździć wierzchem.

Podążali więc pieszo wzdłuż rzeki – choć „rzeka” to za mało powiedziane. Itil był tak szeroki, że ledwo dostrzegali drugi brzeg, a jego wody – usłane wyspami tak wielkimi, że pomieściłyby się na nich całe miasta. Skald żałował, że towarzysze nie podzielali jego zamiłowania do podróżowania skipem, bo siedzenie na pokładzie solidnego statku i żeglowanie z prądem rzeki byłoby z pewnością przyjemniejsze niż przedzieranie się przez zarośla i krzewy. Ale i ta decyzja należała do Haukra. A jastrzębie nie lubią wody. Zresztą, płynąc łodzią, mogli natknąć się na okręty Kola, a tego woleli uniknąć.

Musieli stąpać ostrożnie. Brzeg tworzyła skarpa wysoka i stroma niczym fiord w rodzinnych stronach pieśniarza. Wystarczyło się poślizgnąć, by z lawiną ziemi i kamieni sturlać się do wody. Trójka wędrowców trzymała się jak najdalej przepaści, za to ich przewodnik stąpał po samej krawędzi. Bo jastrzębie lubią wysokość.

Z nudów podziwiali okolicę, ale większym zainteresowaniem obdarzali jedynie rzekę, która tętniła życiem i wabiła zabójców: ptasich i ludzkich. Pierwsi szybowali nad wodą, od czasu do czasu nurkując po zdobycz, a drudzy zarzucali sieci, które potem ciągnęli za łodziami. Rzeczni rabusie nie wchodzili sobie w drogę, bo ryb było tutaj pod dostatkiem.

Gdy trzeciego dnia wędrówki odbili na południowy wschód, opuszczając przeklinaną przez wszystkich skarpe, Skaldowi przeszło przez myśl, że przebłysk rozumu w końcu zagościł w głowie Haukrhedina. Kiedy jednak zorientował się, że tylko skręcili w kierunku pobliskiego wzgórza, zrozumiał, że Jastrzębioskóry po prostu chciał się wspiać wyżej. Może chciał się rozejrzeć, a może zamierzał zapolować.

– Jakby na dole było za mało komarów – mruknął pod nosem Alosza, zabijając na szyi kolejnego krwiopijcę.

Nikt nie zwrócił uwagi na słowa Vindmada, który szedł trzeci. Kolejność, w jakiej wędrowali, nie była przypadkowa. Ustalił ją Ainar tuż po ich pierwszej kłótni, czyli zaraz po opuszczeniu gardu, kiedy stało się jasne, że członkowie wyprawy darzą się szczerą niechęcią, o ile można tak nazwać chęć wbicia komuś noża w plecy. Bezwzględną koniecznością było ustawienie Haukra i Alego na przeciwnych końcach pochodu, dlatego ten pierwszy szedł na czele, a drugi był tylną strażą. Alosza, który nie krył swojej pogardy dla oborotnicztwa, jak pięknie nazywał w swojej mowie zmiennokształtność, chętnie przystał, by od hamramira oddzielał go Ainar, choć na Alego też spoglądał wilkiem. I tak zrządzeniem pijanych norn Skald, jako najmniej znieawidzona osoba w oddziale, pełnił funkcję dwójki, choć nawet on przezornie nie doszukiwał się błysku sympatii w oczach towarzyszy.

Jodłowy las rosnący na zboczu dawał przyjemny cień. A ten przydawał się, ponieważ Jastrzębioskóry nie zwolnił tempa, mimo iż maszerowali ostrym podejściem. Nawet zaprawiony w górskich wędrówkach poeta zdążył się lekko zmęczyć, nim dotarli na szczyt. Tam przewodnik wspiął się na najwyższe drzewo i zniknął w jego koronie, dając tym samym znak, że reszta może odpocząć.

Zwykle na postojach siedzieli z daleka od siebie i każdy jadł taki prowiant, jaki taszczył w worku na własnych plecach. Teraz jednak musieli się naradzić.

– Trzy dni idziemy w złą stronę – zaczął Czuryłowicz. Od samego początku właśnie on narzekał najwięcej, a im bardziej oddalali się od

gardu, tym robił to głośniej. Był miejscowym i najlepiej znał okolicę.

– Tylko ty jesteś ochotnikiem. Możesz jeszcze zawrócić – skarcił go czarny wojownik.

Pieśniarz dotknął sakiewki ze srebrem, by miły ciężar dodał mu cierpliwości. Łatwo zarobił te monety, ale teraz musiał płacić za swoją zaradność. Gdy junak kupił u niego miejsce w oddziale, Skald zlecił załatwienie sprawy Blamadowi. Alemu udało się przekonać Tirusa do tego pomysłu, ale od tamtej pory był szczególnie cięty na Vindmada, bo przez niego musiał przyjąć na siebie kolejną falę gniewu kagana, rozdrażnionego zmianą planów. Z drugiej strony także Alosza nie przepadał za czarnym wojownikiem, który u boku kagana zajmował zaszczytne miejsce, należne według łucznika rodowitemu Vindmadowi.

– Nie będziemy się wadzić! – uspokoił ich Ainar. Rola sattarmada, rozjemcy sporów, była mu dotąd obca. Zwykle sam rozniecał pożary i śmiał się z daremnych wysiłków tych, którzy próbowali je gasić. – Niech każdy powie, co myśli, a my wysłuchamy go w ciszy. Alosza zaczyna!

– Jak już mówiłem – młodzieniec rzucił gridinowi kagana gniewne spojrzenie – oddaliśmy się od celu. To jasne, że hamramir chce uciec jak najdalej od gardu i nie przejmuje się naszą wyprawą. Przecież jeszcze tydzień temu siedział w lochu. Zostawmy go na tym drzewie. Sam poprowadzę was na wschód. Może i nigdy nie byłem w Odainsaku, ale to przecież duży kraj. Nie sposób go będzie przeoczyć.

– Poznaliśmy twoje zdanie. Teraz Ali.

– Młody ma trochę racji – wydusił z siebie czarny wojownik. – Nie możemy ufać zmiennokształtnemu. Nie sądzę jednak, by Haukr uciekał. Gdyby tak było, już dawno zostawiłby nas w tyle, a nikt z nas nie zdołałby go dogonić. Obstawiam, że nadal trzyma stronę Kola i chce wciągnąć nas w zasadzkę. Przecież cały czas traktuje nas jak nieprzyjaciół, a nie towarzyszy podróży. Prorok Muhammad naucza: „Jeśli ktoś odnosi się wrogo do was, to i wy odnoście się wrogo do niego, podobnie jak on odnosi się wrogo do was”^[5].

Pieśniarz pomyślał, że ten ulubiony przez maumentsan wysłannik ich

jedynego boga nie był tak mądry, jak się wydawało wszystkim mieszkańcom Serklandów. Albo jego wyznawcy byli tak głupi, że wszystko należało im trzykrotnie powtarzać. Pieśniarz był mistrzem skaldskap – sztuki układania poezji – i mierzyły go tak liczne powtórzenia. On potrafił ułożyć dwudziestoczerostrofową drapę, w której słowa aliterowały się, tworząc spójny rytm, a żadne nie występowało dwukrotnie. Powstrzymał się jednak od złości, bo wiedział, jak drażliwi potrafią być maumentsanie na temat swojego proroka, a wyjątkowo nie miał ochoty na kłótnie.

– Proponuję, byśmy szli dalej pod jego przewodnictwem i dali się napaść – przekonywał Blamad. – Wtedy złapię nam lepszego przewodnika, takiego, który nie tylko znajdzie coś tak wielkiego jak kraj – Ali odwzajemnił Vindmadowi gniewne spojrzenie – ale doprowadzi nas do samej stolicy Odainsaku, Treborga, nie ściągając uwagi całej armii Kola Małego.

– Znamy już twoją radę. Jeśli chodzi o mnie, uważam, że obaj się mylicie. Wiem o hamramirach więcej niż wy. Może i są szaleni, ale nie można odmówić im jednego. Na tropieniu, zasadzkach i walce znają się jak nikt inny. Nie przyszło wam do głowy, że Haukr specjalnie wybiera okreśną drogę, bo wie, że ludzie Kola czyhają na nas na znanych szlakach?

Łucznik i drużynnik konunga spuścili wzrok. Widać było, że uznali zasadność słów Vaeringa, szli jednak w zaparte.

– Niech ptaki zdecydują, co robić – zaproponował Alosza.

– Mogę się zgodzić na wolę bogów, nawet tych plugawych – oznajmił Ali.

Vindmad rzucił berserkowi kolejne nieprzyjazne spojrzenie, ale się nie odezwał. Tak naprawdę trudno było orzec, o których bogów chodziło Czuryłowiczowi, albowiem w kaptordze, skórzanym woreczku zwieszającym się z jego szyi, nosił amulety chyba wszystkich niebian, o jakich kiedykolwiek słyszano na tych ziemiach. Bogatyry często bawili się tymi wisiorkami, a gdy wznosił modły do danego boga, wyciągał poświęcony mu amulet i ścisnął go w pięści jak biedak swojego ostatniego

srebrnego peninga. Skald widział więc, że młodzieniec trzyma w kaptordze maczugę Magnego, włócznię Göllnira, kristlandzki pojedynczy krzyżyk, griklandzki podwójny krzyżyk, toporek Peruna, kotka Gefny, dzika Yngwiego, konia Sventovita, podkowę Völunda, serklandzki półksiężyc, orła Gardarikan, głowę o trzech twarzach Trigelava, kutasa Volosa, piersi Mokoshy, słońce Svaroga i nadpalone drewnienko Svarozhicha. Tym razem ofiarnik nie sięgnął jednak po żaden wisiołek, ale wbił oczy w worek wypełniony niedawno upolowanymi ptakami.

– Dobra, dawaj te kaczki – zgodził się Ainar.

Vindmad podszedł do dębu, wyjął sześć strzał z kołczana i ułożył je w kręgu, grotami do siebie, tworząc tym samym przestrzeń poświęconą bogom. Następnie wyciągnął z worka dwa ptaki i położył je w środku.

– Pociągniemy losy. Krótszy będzie oznaczać, że powinniśmy podążać za hamramirem, a z kaczek możemy zrobić posiłek. Dłuższy wskaże, że Svarozhich chce strawić ptaki ogniem i ofiarować dym swojemu niebiańskiemu ojcu, Svarogowi, by ten natchnął nas do zmiany kierunku podróży.

– Dobra. Znalazłem już patyki – zgodził się poeta. – Wydaje mi się, że to ręka Aloszy powinna nam wskazać wyrok bogów.

Östmad pokazał myśliwemu zaciśniętą pięść z wystającymi końcówkami losów. Łucznik pociągnął za ten z lewej, a potem Ainar wręczył mu pozostały patyk do porównania.

– Norny nie chcą, byśmy poszli spać bez wieczerzy – oznajmił zawiedziony Czuryłowicz, wpatrując się w krótszy los, który sam wyciągnął.

Pozbierał strzały i dał towarzyszom ptaki. Nie dostrzegł, jak pieśniarz wyrzuca za siebie resztki ułamanego drewnienka. Skald zawsze powtarzał, że pełny brzuch to najlepszy znak, jaki można otrzymać od bogów.

Przypiekli kaczki nad małym ogniem i zjedli je na pół surowe. Siedzący gdzieś nad ich głowami Haukr nie wydawał się zainteresowany posiłkiem, ale zeskoczył pośród nich dokładnie w chwili, gdy wrzucili ostatnie kości w popiół. Nie dał znaku do wymarszu, tylko ruszył w dół zbocza. Było

jeszcze ćwierć dnia do zachodu słońca, więc z pewnością mogli znaleźć lepsze miejsce na nocleg niż nieosłonięty od wiatru szczyt wzgórza.

Z pełnymi brzuchami szło się lepiej, a i kierunek wędrówki zmienił się na bardziej wschodni. Wątpliwości może nie zniknęły, ale przynajmniej już tak bardzo ich nie dręczyły, Ainar chłonał więc ciszę, a raczej tę jej odmianę, jaką spotkać można było tylko w lesie. Szum liści i śpiew ptaków tworzyły muzykę dla tańczących w promieniach wczesnego lata motyli. Mogłaby natchnąć Skalda do napisania miłosnego poematu, gdyby zechciał marnować swój talent na takie tematy.

Ze zbocza było wyraźnie widać, że wszędzie przed nimi rozciągał się bór. Pieśniarza to cieszyło, choć widok tyłu drzew potrafiłby znużyć nawet drwala. Wszystko było jednak lepsze od stepu, który, jak postraszył go Alosza, znajdował się zaledwie dzień lub dwa dni drogi na południe stąd. Pierwsze spotkanie z konio-ludźmi utwierdziło Vaeringa w przekonaniu, że przemarsz przez tereny Tattarów, na których nie było gdzie się ukryć, mógłby zakończyć się przedwczesnym i gwałtownym zejściem, przynajmniej dla jego towarzyszy, bo jemu udawało się wychodzić cało i z gorszych tarapatów.

Nic nie zapowiadało, by w najbliższej przyszłości mieli natknąć się na jakąś osadę. W tym kraju ludzie mieszkali niemal wyłącznie w pobliżu rzek, pozostawiając dziewicze lasy nietknięte. Dla Skalda dobrą stroną takiej sytuacji było to, że mógł podróżować niezauważony, a złą, że całkowicie uzależnił się od przewodnika. Ten zaś raczej nie budził zaufania. Powłóczył nogami jakoś tak pokracznie, stąpając boso po trawie, garbiąc się i kręcąc głową na wszystkie strony, jak jastrząb zmuszony do porzucenia latania na rzecz dreptania po ziemi. Na tę niezgrabność wpływ miały „szpony”, jak określał je sam zmiennokształtny, czyli dwa bojowe saksy w skórzanych pochwach, przywiązane do boków goleni w taki sposób, że ich kościane rękojeści wystawały nad kolanami, a sztychy sięgały kostek. Były to cudaczne i niezwykle lekkie ostrza, z pewnością robione na zamówienie według wskazówek posiadacza, gdyż idealnie pasowały do długości nóg hamramira. Haukr nie chciał bez swoich

szponów ruszyć się z gardu, więc Ainar musiał przekonać Alego, by ten odebrał tę broń jakiemuś gridinowi, który wziął ją jako łup po pojmaniu Jastrzębia. Stało się to kolejnym powodem nienawiści, jaką Blamad darzył szaleńca, gdyż musiał mocno poturbować towarzysza z własnej drużyny, aby odzyskać ostrza.

Jeśli myśl, by porzucić druhów i zniknąć z sakiewką, którą dostał od Aloszy, kiedykolwiek zagościła w głowie pieśniarza, teraz została wypchnięta przez rozsądek. Może i potrafiłyby wrócić nad rzekę, ale samotna wędrówka wzdłuż jej brzegów przypominałaby samoofiary na cześć Göllnira. Idąc na południe, musiałyby przedzierać się przez ziemie koczowników – tylko po to, by dotrzeć do Morza Tattarów, czyli jak nazywali je Serklandczycy, Bahr al-Hazar. Kierując się z kolei na północ, trafiłyby w pobliże Dyragardu, gdzie napalony Tirus czekał na swoją księżniczkę. Nie było zaś mądrze przeszkadzać potężnemu mężczyźnie w zaspokajaniu chuci.

Zbliżał się wieczór, kiedy hamramir postanowił ich opuścić. Wyjął szpony i pobiegł do przodu. Teraz już nie poruszał się niezgrabnie, choć gnał pochylony, niemal orając sztychami leśną ściółkę.

Każdy, kto choć raz był na wojnie, odczytałby ten sygnał tak samo. Zbliżało się niebezpieczeństwo. Ainar sięgnął po swój miecz, Kvernbit^[6], i ruszył za przewodnikiem. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że Ali wywijał już zakrzywionym mieczem, a Alosza w biegu nakładał strzałę na cięciwę.

Wpadli na małą polankę, gdzie stała ziemianka. Jak na nienawidzących się zabijaków działali zadziwiająco zgodnie. Nikt nie kłócił się o przywództwo. Skald gestem nakazał Vindmadowi zostać przy drzewach, a berserkowi wskazał drzwi domku. Sam ruszył na tyły budynku. Mówienie czegokolwiek hamramirowi nie miało sensu, gdyż ten już siedział na dachu i wdychał dym z komina.

W taki sposób poeta został drottinem, przywódcą najdziwniejszego drottu w całym Austrvegu.

Dym oznaczał, że częściowo zagłębiona w ziemi chałupa nie była

opuszczona. To nakazywało ostrożność, ale tylko głupiec oczekiwałby jej po zmiennokształtnym. Haukr schował szpony i zrobił przewrót w tył. W połowie jego wykonywania chwycił rękami kraniec dachu, po czym obrócił się w powietrzu i nogami do przodu przeleciał przez otwarte drzwi ziemianki.

Chwilę po nim do środka wpadł Blamad. Poeta usłyszał wrzask, uderzenie miecza o drewno i szaleńczy śmiech. Potem nastąpiła cisza.

Nie zanosilo się na to, by ktoś miał wyskoczyć przez okienko w tylnej ścianie, które i tak było zabite deskami. Skald ruszył więc w kierunku drzwi i dostrzegł, że Alosza poszedł za jego przykładem.

Wskoczył do chaty, nie korzystając z wiodących w dół schodów, czyli grubej belki z wydrążonymi stopniami. W izbie panował półmrok. Oczy potrzebowały trochę czasu, by przyzwyczać się do nowych warunków, ale i tak więcej potrzebowała go głowa, by zrozumieć, co tu zaszło. Gridin kagana pokazywał swoje spiłowane zęby w głupkowanym uśmiechu i wyjmował miecz z belki podpierającej sufit. Nie było żadnego trupa, czyli berserk musiał go tam wbić, by dać upust wściekłości. Nietrudno było się domyślić, na kogo się zeżłościł. Haukr pochylał się nad kociołkiem ustawionym na glinianym piecu i drewnianą chochlą jadł zupę z kawałkami mięsa. Pieśniarz z łatwością poznał, co tak ładnie pachniało. Potrawka z zająca.

8

– Ludzie są tacy nerwowi. Trudno przewodzić komuś, kto nie potrafi zachować spokoju, jak my potrafimy. Musieliśmy ich sprawdzić, przekonać się, czy wiedzą, co to cierpliwość – powiedział człowiek o imieniu Hedin.

– Gdy nasi bracia polują, potrafią cały dzień wypatrywać zająca i zabić go w jednej chwili, jednym uderzeniem szponów – odpowiedział Jastrząb.

– Oni też dobrze zabijają. Prawie jak hamramirzy. Ale zachowują się niczym szaleńcy. Ciągłe się kłóca, zamiast polować i zabijać.

– I nie dzielą się jedzeniem. A potem się dziwią, że po trzech dniach wędrówki mieliśmy ochotę na zająca.

Haukr i Hedin przerwali rozmowę, prowadzoną w ich wspólnej głowie, by choć trochę się zdrzemnąć. Woleliby przenocować w koronie jakiegoś drzewa, blisko swoich braci, ale tym razem chcieli lepiej przypilnować swoich towarzyszy. Dlatego przysiedli na dachu, gdzie słychać było rozmowy dobiegające z wnętrza domu, a jednocześnie widać było stamtąd polanę i okoliczny las.

Czuli, że tu nie jest bezpiecznie. W końcu kto zostawia pysznego zająca w kociołku, a potem nie wraca na noc? I kto mieszka w lesie, z dala od ludzkich siedzib? Tylko hamramirów stać było na taką odwagę, a oni nie wyczuwali w pobliżu nikogo podobnego do siebie.

Ich towarzysze też mieli obawy, ale stłumiła je pokusa spędzenia nocy pod dachem. Widocznie mieli w sobie coś z kretów, bo podobało im się spanie pod ziemią.

Zdołali zasnąć na czas krótszy, niż zajęłoby trzykrotne okrążenie tej polanki. Tuż po wschodzie Księżyca obudziło ich nadejście gospodarza, który nie zamierzał się ukrywać. Skogarmad, leśny człowiek, miał na sobie osobliwy płaszcz, cały pokryty korą brzozy. Musiał być mędrcom, bo wiedział, że drzewa są najlepszą ochroną przeciw leśnym drapieżnikom. Ogromny człowiek trzymał w ręce wielki topór, a obok niego kroczył ogar, śliniący się na myśl o wieczerzy. Mężczyzna zatrzymał się, kiedy zobaczył niespodziewanego gościa. Jego zdziwienie trwało tylko chwilę.

– Może wejdiesz do środka, zamiast sterczeć na moim dachu?

Haukr i Hedin przechylili głowę, by lepiej mu się przyjrzeć. Wielkolud zachowywał się przyjacielsko.

– No, co tak zaniemówiłeś? Jesteś głodny? Mam w środku potrawkę z zająca, a nie lubię jadać sam.

– To ci nie grozi – do rozmowy włączył się Ali, który stanął w drzwiach

i uśmiechnął się do skogarmada.

Na widok czarnego człowieka o spiłowanych zębach korowy mąż znów się zdziwił i stracił pewność siebie. Haukr i Hedin zaczęli lubić berserka, który umiał straszyć ludzi.

– Czyli jest was dwóch? – gospodarz próbował udawać, że właśnie tego się spodziewał. – W chacie starczy miejsca i dla trzech osób.

– A dla czterech? – zapytał Ainar, wychylając się zza ramienia Blamada.

– Oczywiście. Chociaż będzie ciasno i nie zazdroścę temu, kto będzie spał w środku – olbrzymi mężczyzna spróbował żartu, ale w jego ustach zabrzmiało to jak groźba. W końcu był wyposzczonym leśnym człowiekiem.

– To i piąty nie będzie musiał spać na zewnątrz? – Alosza przepchnął towarzyszy, którzy zasłaniali mu wyjście.

– Im więcej gości, tym większe szczęście od bogów. Obawiam się tylko, że mojej potrawki z zająca nie starczy dla wszystkich.

– Z tym rzeczywiście może być kłopot – przyznał Vaering. – Nasz przyjaciel, ten, który siedzi na górze, zjadł jej większą część.

Haukr i Hedin wczuli się w rolę i głośno beknęli. Lubili takie psoty.

– Sam widzisz... – kontynuował Skald. – Ale pociesz się, że nam smakowało.

– To miłe słowa dla kucharza – burknął korowy mąż, po czym splunął pod nogi. – Mam jeszcze worek mąki. Mogę wam napiec placków pszennych.

– Tfu – oburzył się Czuryłowicz. – Czy wyglądamy na smerdów? Masz do czynienia z prawdziwymi bogatymi, którzy potrzebują dziczyzny!

Tego było już dla leśnego człowieka za wiele. Chwycił topór w obie ręce i krzyknął:

– Bezczelne łotry! Wynoście się z mojej ziemianki albo poszczuję was psem!

– W końcu gada jak człowiek – powiedział do towarzyszy Blamad.

Ogar wyczuł złość swojego pana i wyszczerzył zęby. Haukr i Hedin

nienawidzili psów. Te okrutne i złe bestie zagryzały każdego jastrzębia, który wypadł z gniazda. Zeskoczyli na ziemię, jeszcze w locie wyjmując szpony. Wylądowali za hundarem i wbili mu noże między łopatki. Ciepła krew przyjemnie trysnęła im na twarz. Uchyłili się przed toporem, okręcili na pięcie i przyłożyli ostrza do szyi skogarmada. Jeszcze nie chcieli zabijać. Niech ich nowe stado uradzi, co zrobić.

– Spokojnie, ptaszyno – zwrócił się do nich Ali. – Mamy do niego jeszcze kilka pytań.

Korowy mąż trochę się wiercił, ale nie miał szans na ucieczkę.

– Tak mi dziękujecie za gościnę?! Zarzynając mi psa?!

– Gościnę? Masz nas za głupców? – Skald prychnął i zatańczył brwiami, przybierając zdziwioną minę. – Osilek mieszkający sam w lesie niechybnie jest vargiem, człekiem z wyrokiem banicji. Ktoś taki, proponując posiłek i nocleg, równocześnie ostrzy nóż, by we śnie poderżnąć gościom gardła i ich okraść. Zbyt dużo srebra masz w chacie, byś wiódł tu żywot myśliwego.

– To, co mam we własnym siedzisku, jest moją sprawą. A zaproszenie było szczere.

– Tak? No to gdzie masz ten worek mąki?

Skogarmad wahał się chwilę.

– Koło ziemianki mam piwniczkę. Mogę pokazać wam właz.

Pokazał. W środku przybysze znaleźli narzędzia, mąkę i beczkę piwa. Co zrozumiałe, najbardziej ucieszyli się z tej ostatniej. Haukr i Hedin też byli radzi. Może i lubili surowe mięso oraz ciepłą krew upolowanej zwierzyny, ale piwo to zawsze piwo. Napój prawdziwych mężczyzn, którym i ptak drapieżny nie wzgardzi.

To była dobra noc. Pojedli, popili, dzięki czemu gęby towarzyszy zaczęły się im wydawać mniej odpychające. Nawet ten dziwak Haukrhedin pobiesiadował z nimi, co miało wszakże jedną wadę – pił za dwóch, w związku z czym beczka szybko się opróżniła. Hojny gospodarz zgodził się łaskawie popilnować obejścia; siedział więc całą noc przywiązany do palika w białego przed domem.

Ainar napięknął placków i obiecał zabić każdego, kto pochwali go za umiejętności kucharskie. Nikt się nie odważył, ale Skald dostrzegł po minach towarzyszy, że im smakowało. Samotny dreng musi się nauczyć wielu rzeczy, którymi nie przystoi się chwalić.

Ali zwierzył się, że w swoim Czarnym Kraju zostawił piękną żonę i małego syna. Żaden z nich nie uwierzył, że była ładna.

Haukr opowiedział historię o samicy jastrzębia, która cały dzień krążyła po niebie, a nic nie upolowawszy, wróciła do gniazda, by z głodu zjeść własne jaja. Nikt z towarzyszy zmiennokształtnego nie wiedział, o co chodziło w tej historii, ale wszyscy ze zrozumieniem przytaknęli głowami.

Alosza zdradził, że zna się na jadach, więc część strzał w jego kołczanie ma zatrute groty. Wszyscy biesiadnicy obiecali sobie zachować ostrożność w jedzeniu tego, co upolował Vindmad.

Po dobrej nocy zwykle nastaje zły poranek. Mężczyzna zastanawia się, dlaczego wrony tak głośno kraczą, a w głowie pojawia się plugawa, kłamliwa i najokrutniejsza z możliwych myśli, że piwo jednak nie jest smaczne. Ten zaś poranek był jeszcze gorszy. Obudzili się związani niczym prosiaki na różnie.

Jak dzieci. Dali się podejść niczym wyrostki na pierwszej bitwie. Nocleg na odludziu i przyzwyczajenie, że Haukr zawsze czuwa nad nimi w koronach drzew, uśpiły ich czujność.

Największy jednak żal Skald miał do samego siebie. Nie każdy umie pić jak mistrz miodowych mów, więc właśnie on powinien przewidzieć, że pozostała trójka nie dotrzyma mu tempa i padnie nieprzytomna. Nie musiałby wtedy czuwać w samotności, a wrodzone węglózerstwo nie zwabiłoby go do kąta przy piecu i nie sprowadziłoby mgły na jego oczy.

Był pieśniarzem z głową pełną natchnienia. Z łatwością odtworzył sobie wydarzenia minionej nocy. Kiedy Göllnir zesłał na nich pijacki sen, do ziemianki przyszli pozostali skogarmadowie i uwolnili towarzysza. Potem związali niemiłych gości, wywlekli na zewnątrz, posadzili na ziemi i przywiązali do wielkiego konaru drzewa – już uciętego, ale jeszcze nie porąbanego. Szorstka kora i kikuty odciętych gałęzek drażniły teraz plecy jeńców.

– Który z tych dziwaków zabił ci psa? – nienagannym językiem ludzi Północy odezwał się człowiek bez nosa.

– Ten o gębie jak u ptaka.

Był ich tuzin, a wszyscy nosili takie same płaszcze, ozdobione korą brzozy. Leśni ludzie stali przed więźniami i upajali się zwycięstwem. Najbardziej promieniał gospodarz, ostrzący nóż na skórzanym pasku.

– To chcesz się z nim pobawić na początku czy na końcu?

– Na końcu. Niech się trochę napatrzy.

Tanie zagrywki. Lepsi już poetę straszili. Mógłby się założyć z Göllnirem o utratę biegłości w składaniu strof, że i na jego współtowarzyszach pogroźki wywołały co najwyżej ból głowy – troszkę większy niż po przepiciu. Żaden z nich już nie spał, spoglądali za to spode łba na źródło hałasu, gotowi się go pozbyć za cenę własnego życia.

– To który pierwszy nam zaśpiewa? – głośno zastanawiał się beznosy.

– Jest tylko jeden skald w Glaesirze, którego warto słuchać – wtrącił się Ainar. – Choć wolę recytować, niż śpiewać.

– Trafił nam się jeden bezczelny. A tacy ładnie zawodzą. Piskliwie i skomlać o łaskę szybkiej śmierci.

– Śmierci? Ale o czym wy mówicie? – udał zdziwienie, ale nie zdołał w pełni zamaskować pogardy. – Przecież skorzystaliśmy tylko z zaproszenia gospodarza: nocleg, potrawka z zająca i placki. Jesteśmy jego gośćmi, a prawo gościnności zesłał ludziom sam Rig, opiekun wędrowców. Kto je łamie, naraża się na boski gniew.

Zawsze warto sprawdzić, czy ma się do czynienia z blotmadami, ludźmi

ofiar, którzy wierzą w moc bogów i obawiają się ich kar. Tak uczyła go babka i miała rację, bo nawet niebianie czasem się do czegoś przydają.

– Nie mówiłem nic o piwie! – krzyknął gospodarz. – A poza tym to wy pogwałciliście zwyczaj, wiążąc mnie i wyrzucając z mego własnego domu.

Beznosy, który najwyraźniej był przywódcą korowych mężów, zawahał się i spojrzał podejrzliwie na swojego człowieka.

– Mówiłeś, Nikolasie, że napadnięto cię, kiedy poszedłeś zrąbać drzewo.

– No poszedłem, a kiedy wróciłem, już u mnie byli. Zaproponowałem im więc gościnę.

– Chciał nas zamordować i obrabować – pieśniarz nie wierzył w dobrą wolę norn, ale wyczuł możliwość wykupienia się językiem. – Znaleźliśmy srebro w jego ziemiance.

– Nikolasie! Zakazałem ci rabować podróżnych. Żyjemy w lesie, ale nie zachowujemy się jak zwierzęta.

Beznosy nie miał zarostu i był najniższy spośród skogarmadów, a ten, którego łąjał, górował nad nim o trzy głowy. A mimo to Nikolas pokornie spuścił wzrok jak skarcony dzieciak.

– Ale Yngvarze...

– Żadnych „ale”. Mieliśmy nie ściągać na siebie uwagi. Dyragard nie jest tak daleko stąd. A ty po ostatnim razie obiecałeś, że to się więcej nie powtórzy. Zresztą, sam chciałeś obrabować czterech drengów? Masz szczęście, że przechodziliśmy w pobliżu i usłyszeliśmy ich pijackie wrzaski. Inaczej dalej siedziałbyś związany na progu własnego domu.

Skald już w myślach wychylał kielich ze źródła mądrości Mimira i układał kenningi do pieśni o przechytrzeniu skogarmadów, gdy odezwał się Alosza:

– Właśnie! Dyragard nie jest daleko. Lepiej nas wypuście, jeśli nie chcecie narazić się na gniew Tirusa.

Głupiec. Ojciec musiał go używać w kuźni zamiast kowadła. A nawet jeśli tego nie robił, Ainar chętnie by go wyręczył. Czy tak trudno było się

domyślić, że banici nie przepadają za kaganem, który ich wygnał?

– A co, tacy ważni jesteście dla wielkiego kagana, władcy zwierzęcego grodu?

– Nie – Östmad ubiegł otwierającego już usta łuczника. – Ledwo go znamy. I w zasadzie wędrujemy, by znaleźć się jak najdalej od tego pokurcza i jego śmierdzących kotów.

– Nie z tobą teraz rozmawiam, skaldzie.

Na znak Yngvara dwóch skogarmadów podbiegło do poety i sprawdziło, czy ich noże poradzą sobie z jego kilkudniowym zarostem. Były wystarczająco ostre i kilka kropel krwi skapnęło na jego czerwony kyrtil.

– To jak, znacie się z moim przyjacielem, Tirusem?

– Nawet więcej – Czuryłowicz, dumny z siebie, jakby ratował towarzyszom życie, w istocie skazywał ich właśnie na śmierć. – Skald bredzi, bo to obcy z Północy, którego ledwo znamy. Ja i Ali jesteśmy najbardziej zaufanymi doradcami konunga Tirusa. I mamy do wypełnienia ważną misję. Jeśli nie wrócimy na czas, kagan wyśle całą armię na poszukiwania.

– No, popatrzcie, braciszkanie. Takich ważnych gości mamy. A Nikolas przywitał ich tylko plackami i piwem.

Braciszkanie posłusznie zarechotali i potrząsnęli dzierzoną bronią. Pieśniarz od razu zauważył, że ich oręż zrobiony był z kiepskiego żelaza, matowy od starości, a miejscami nawet pokryty rdzą.

– To jak? Wypuście nas? – zapytał już mniej pewny siebie Vindmad.

– Z pewnością już niedługo będziecie wolni – zapewnił go beznosy.

Korowi mężowie po raz kolejny się zaśmiali, a w ich oczach zapłonął ogień, jaki może rozpalić tylko myśl o zemście. Skald, chwilowo nie mając nic do roboty, skorzystał z okazji, że dwa noże skrzyżowane przy jego szyi ustawiły mu głowę w takiej, a nie innej pozycji, i przyjrzał się dokładniej skogarmadom. Wielu z nich zostało niegdyś okaleczonych. Brakowało im uszu, palców lub dłoni. Jeden nie miał nogi poniżej kolana, więc wspierał się na lasce. Żaden nie wyglądał jednak na zniedołężniatego dziada,

zebrzącego o kawałek chleba. Przypominali raczej żyłastych drengów, dumnie noszących rany po bitwach, którzy na śniadanie jedli potrawkę z tura, a na wieczerzę pieczeń z wilka. Była to zgraja twardych wyrzutków w brzozowych płaszczach, która szczyciła się związkiem z lasem i pogardzała światem człowieka.

– A ty co powiesz, Blamadzie? – Yngvar bawił się ze skazańcami. – Jesteś przyjacielem kagana czy jego wrogiem?

Ainar nie mógł dostrzec, jak wyglądała mina Alego, ale z łatwością sobie wyobraził, że dla prześladowców wyglądała na groźną. Jeśli w ustach ma się piłę, a poranne promienie odbijają się od twojej czaszki ozdobionej tatuażem węzowego łba, nie jest trudno kogoś przestraszyć.

– Nasz młody druh wystarczająco się nagadał. Już zdecydowałeś.

– Mylisz się. Tym razem nie ja zdecyduję. Ten jeden raz po prostu przymknę oczy i pozwolę moim ludziom działać według uznania. Prawda, chłopcy?

Opowiedziały mu dzikie wrzaski i metaliczny brzęk, gdy skogarmadowie potrząsnęli bronią.

– Sprytnie. Wcielisz się w tchórza i pozwolisz swoim ludziom zrobić to, na co sam nie masz odwagi. Czarownik z mojej rodzinnej wioski powiedziałby, że urodziłeś się kobietą, ale matka zmusiła cię do noszenia włóczni.

– Śmiałe słowa, Ali. Bo jesteś nim, prawda? Oczywiście – przywódca vargów sam przyznał sobie rację, kiwając głową. – Jak wcześniej mogłem nie rozpoznać sławnego Czarnego Berserka, pierwszego gridina Tirusa Wielkiego? W końcu ilu Blamadów włóczy się po tym kraju? Nawet do nas doszły słuchy o tajemniczej misji Alego i skalda z Północy. I pewnie tylko przez to, że siedzicie przede mną powiązani jak niewolnicy na vaerińskim targu i jesteście zdani na moją łaskę, trudniej mi było dostrzec w was słynnych zabijaków. A tu proszę. Złapaliśmy wielką rybę na maleńką przynętę.

– My jesteśmy tylko płotkami, a prawdziwą rybną bestią jest Tirus Wielki, którego wasza banda wyrzutków nigdy nie dostanie w swoje

brudne łapy.

– Zobaczymy. Na razie odpłacimy się przyjacielom kagana, używając jego własnych zasad sprawiedliwości. Tak jak wilki ogryzały nasze członki za kradzież chleba, serca mężatki czy monet, tak teraz posiekamy was za wyjedzenie nam zapasów. I pozwolimy wam odejść kalekami, byście w lesie zostali rozszarpani przez dzikie zwierzęta. Jeśli będziecie mieli szczęście, spotkacie innych okaleczonych sprawiedliwością kagana, którzy pomogą wam przeżyć i nauczą was, jak przetrwać w lesie. Ale nie powinniście liczyć na długi żywot. Nie jesteście dostatecznie twardzi.

– Nie. Bo nie twardniejemy bez damskiego towarzystwa. Ale wam to pewnie nie przeszkadza – odezwał się pieśniarz, co przyplacił kolejnymi kroplami krwi na koszuli. Był jednak skaldem i wiedział, kiedy nawet najbezcześniejsze słowa nie mogą już niczego pogorszyć.

– Zaczniemy od pyskatego. Nikolas!

– Tak, leśny drottynie?

– Możesz się nim zająć, tylko zacznij od języka.

Zwalisty gospodarz ziemianki uśmiechnął się i zbliżył do Östnada, gestem dłoni nakazując rozstąpić się pilnującym go ludziom. Pokazał jeńcowi zardzewiały nóż.

Wtedy usłyszeli piosenkę.

Stary Mieszko kroczy tu.

Stary Mieszko kroczy tu.

Ilja się go nie boi,

Bo ma włócznię w dłoni.

Stary Mieszko kroczy tu.

Skogarmadowie opuścili broń, a Nikolas cofnął się o dwa kroki, rzucając na odchodnym Skaldowi nienawistne spojrzenie. Wydawali się zawstydzeni. Nawet Yngvar lekko się zarumienił i przywdział maskę nieśmiałości, która nie pasowała do jego okaleczonej twarzy.

Na polankę wkroczył niedźwiedź, którego dosiadał rudowłosy chłopiec z kijkiem w dłoni. Ainar rozpoznał Wesołego Ilję, chudego głupka, który zabawiał ludzi na targu w Dyragardzie. Wyrostek smagał zad misia witką wierzbową, a ten mrucał, tworząc rytm do dziecięcej piosenki. Skald zdziwił się i doszedł do wniosku, że niespodziewane odwiedziny wesołka można tłumaczyć tylko na dwa sposoby: chłopak ich śledził albo regularnie odwiedzał skogarmadów. Oba wytłumaczenia nie zapowiadały niczego dobrego.

Bestia podeszła do poety i prychnęła na niego. Vaering poczuł odór zgniłego mięsa i pomyślał, że następna osoba, która znajdzie się równie blisko misia, wyniucha smród resztek jego przetrawionego ciała.

– Dlaczego więzicie moich przyjaciół? – zapytał chłopiec, odwracając głowę w kierunku przywódcy vargów.

– To... to ty ich znasz? – wybełkotał beznosy.

– Oczywiście. To Ainar Skald, mój dobroczyńca. Jakiś tydzień temu podarował mi tę piękną zapinkę. – Ilja wskazał na srebrny przedmiot, który spinał mu na ramieniu zielony płaszcz. – A to jest Alosza, który zawsze wrzuca mi monety do kapelusza. Ten tam, berserk o niezdrowej, ziemistej skórze przynosi mi jaja struthia z rozkazu samego kagana. A ten ostatni nic mi nigdy nie dał, ale przecież ma w sobie więcej z ptaka niż z człowieka. Poza tym nie radzę wam do niego podchodzić, bo już się uwolnił.

Wszyscy spojrzeli na Haukrhedina, który wydawał się nie mniej od nich zdziwiony nowiną. Przekrzywił głowę i uważnie wlepił ślepią w malca. Przez chwilę obaj wpatrywali się w siebie, po czym hamramir wydał z siebie ptasi jazgot, zerwał się z ziemi, wskoczył na dach i tam przysiadł. Więzy pozostały na trawie.

Yngvar spiorunował wzrokiem człowieka, który pętał więźniów. Skogarmadowie otrząsnęli się już z zaskoczenia po pojawieniu się chłopca i ponownie unieśli broń, mierząc nią w uciekiniera.

– Co tam mrucczysz? – Ilja znów przykuł uwagę wszystkich. Schylił się i nadstawił ucho do pyska niedźwiedzia.

– Siedmiu – oznajmił, prostując plecy.

– Co siedmiu? – zapytał leśny drottin.

– Mieszko mówi, że siedmiu ludzi stracisz, zanim zabijecie hamramira. Stać cię na taką wymianę?

– To nie zależy tylko ode mnie. Skąd mam wiedzieć, czy on sam nie zamierza przehandlować swojego życia?

– Przecież tylko siedzi na dachu.

Rzeczywiście, hamramir nie zwracał uwagi na nikogo stojącego na dole, tylko wpatrywał się w korony drzew. Beznosy dał znak swoim ludziom, by opuścili broń.

– Dobrze. A teraz uwolnij pozostałych.

Nikt się nie ruszył.

– Słyszałeś chłopca. Przecież wiesz, że on chodzi z bogami. A z nimi lepiej nie zadzierać – Ainar sięgnął po wyświechtane powiedzonko, choć wcale nie wierzył w jego prawdziwość.

Przywódca leśnych ludzi zdawał się go nie słyszeć. Rozwagał coś w myślach, a jego czoło zmarszczyło się jak u dziadka w przeddzień śmierci. W końcu podjął decyzję.

– Słuchamy cię i okazujemy szacunek, gdy do nas przychodzisz. Bo jesteś władcą niedźwiedzia. Ale prosisz o zbyt wiele. Jesteś jeszcze dzieckiem. I na dodatek ulubieńcem kagana. Może specjalnie ochraniasz jego ludzi?

– Tak. Jestem tylko dzieckiem. Chłopcem, który pokazuje bezpieczne ścieżki w lesie, przynosi narzędzia oraz jedzenie i dostarcza wiadomości od rodzin. Wasza wojenka z Tirusem w ogóle mnie nie obchodzi. Ale jeśli ich nie wypuścisz, ja i Mieszko więcej was nie odwiedzimy. Bo nie będzie kogo. Misiek zdradził mi, że lubi Alego i będzie walczyć u jego boku. A nie macie mojej siły, by pokonać go w zapasach.

Yngvar pomruczał coś pod nosem, splunął dwa razy i jeszcze raz spojrzął na swoich ludzi, jakby oceniał ich zdolność do wygrania potyczki. W końcu wyjął nóż i osobiście przeciął więzy Skalda. Musiał się potem szybko wycofać, gdyż niedźwiedź prychnął na niego wrogo i kłapnął zębami tuż koło jego dłoni.

Ainar przeciągnął się, rozmasował nadgarstki i wstał, obserwując, jak pozostali skogarmadowie uwalniają Alego i Aloszę. Sam się dziwiąc swojej lekkomyślności, podrapał misia za uchem i mrugnął wyzywająco do przywódcy korowych mężów.

10

Rozstali się bez śniadania. Skogarmadowie oddali im broń oraz worki podróżne i z obnażonym żelazem w rękach odprowadzili ich wzrokiem. Ali przypuszczał, że jeszcze długo trzymali kurczowo oręż, z całej siły powstrzymując się przed ruszeniem w pościg. I wcale im się nie dziwił, szczególnie po tym, jak bezczelny Skald poklepał każdego z nich po ramieniu, dziękując za podporządkowanie się woli chłopca.

Wesoły Ilja ruszył razem z wysłannikami kagana, ale kiedy tylko się upewnił, że nie ścigają ich korowi mężowie, zniknął między drzewami. Nie zamierzali iść jego śladem, gdyż zawrócił w stronę Dyragardu.

Wszystko powróciło do poprzedniego stanu rzeczy. Prowadził dziwak Haukr i nikt poza nim nie wiedział, gdzie się znajdują. Raz szli na wschód, by po chwili skręcić na północ lub na południe. W ich trasie tylko jedna rzecz była pewna: przez zamięłowanie Jastrzębioskiego do wysokości szlak wiódł tamtędy, gdzie znajdowało się jakiegokolwiek wzniesienie, choćby najniższe.

Wspólne picie piwa ociepliło trochę stosunki między wojownikami, ale późniejsze wspólne uwięzienie na powrót je oziębiło. Haukr okazał się wtedy samolubnym i niewartym zaufania szaleńcem, a Alosza potwierdził, że jest głupcem i tępym narzędziem w rękach veche. Jego gadulstwa o mało nie przyplacili życiem. No i był jeszcze Skald ze swoim niewyparzonym językiem, choć on przynajmniej próbował wykupić ich swoją bezczelnością.

Kolejność pochodu uległa małej zmianie. Skald boczył się na Aloszę za

to, że ten wyrzekł się go podczas przesłuchania, więc kazał mu iść na końcu. To przesunęło Alego na trzecie miejsce i dzięki temu Blamad miał więcej okazji, by porozmawiać z Vaeringiem.

– Już rozumiem, dlaczego w Dyragardzie wszystkim żyje się tak wspaniale – zagadnął go Ainar, przeskakując przez małe bajorko. – Ci, co nie naginają się do roli, jaką narzuciła im władza, są skazywani na wygnanie.

– Nic nie rozumiesz. U nas nie ma banicji w rozumieniu waszym, ludzi Północy. Kagan wszystkim daje wybór. Kto przestrzega naszych praw i żyje w zgodzie z sąsiadami, może przebywać w grodzie. Kto łamie te prawa, musi się poddać osądowi dzikich zwierząt. Opowiadałem ci przecież o bestiach na pięciu schodach siedziby kagana. Nikt jednak nikogo nie zmusza do mieszkania w gardzie. Jeśli ktoś woli życie z dzikimi zwierzętami, to tuż po otrzymaniu kary może zamieszkać w lesie. Niektórym nawet udaje się do niego zbiec, zanim jeszcze zostaną złapani po popełnieniu przestępstwa. Ani jednych, ani drugich nikt nie ściga, przynajmniej dopóki nie zagrażają podróżnym lub mieszkańcom pobliskich osiedli. Ale gdy zaczną zbierać się w bandy i żyć z rozbojów, kagan ogłasza wyprawę i polujemy na nich jak na dzikie zwierzęta, którymi się stali. Wesoły Ilja uratował więc życie nie tylko nam, ale również skogarmadom.

– Jak zwał, tak zwał, byleby w gardzie nie mieszkał.

– Lekceważysz wszystko, jak zwykle. Wydaje ci się, Skaldzie, że wszystko wiesz najlepiej. Twierdzisz, że korowi mężowie nie różnią się niczym od banitów z Północy, bo i tak muszą mieszkać w lesie, jak wasi wyjęci spod prawa vargowie. Ale nazwa naszych leśnych ludzi jest bardzo ważna – mówi, że to oni dokonali wyboru, nie my, strażnicy prawa, i dlatego sami włożyli na siebie płaszcze z kory brzozy, czym ukazują wszystkim, że przedkładają dżicz lasu nad porządek grodu. Kiedy więc ich zabijamy, jest tak, jakbyśmy bronili naszych domów przed dzikimi bestiami.

– Berserk, który broni prawa. Tego jeszcze nie było.

Czarny wojownik wziął kilka głębokich oddechów, by uspokoić serce.

Nauczyli go tego kapłani z Indialandu, do których wysłał go Tirus. Gdyby nie to, pewnie przygniatałby już poetę do ziemi i przegryzał jego szyję. Odrzucił od siebie ten obraz, bo otoczenie zaczynało się lekko zaczerwieniać, jak zawsze, gdy nadchodził szwał.

Kontrola jest najważniejsza. Dawniej, kiedy nie przybył jeszcze do tego kraju, próbował się opanowywać w zwykły, męski sposób. Zaciskał pięści lub zagryzał wargę. Ale drobne rany i ból tylko potęgowały gniew. Przekonał się o tym pewnej nocy, gdy zobaczył rodzonego brata, który obłapiał jego żonę. Starał się wtedy zrozumieć. Tłumaczył sobie, że takie rzeczy się zdarzają. Że trzeba złościć żonę i dać bratu w mordę. Że trzeba się zachować, jak na zdradzonego męża przystało. Zacisnął więc zęby na wardze, by ból zagłuszył gniew. Nie pomogło. Rzucił się na brata, złamał mu obie ręce, wsadził do tyłka dzidę i pchał tak mocno, aż grot wyszedł mu brzuchem. Wtedy urwał mu głowę, a wewnątrz chaty zostało zalane czerwienią jego gniewu. Potem już nic nie pamiętał. Nazajutrz znaleźli go leżącego bez sił w dżungli i powiedzieli, że w nocy rozerwał gołymi rękami własną żonę oraz zabił jeszcze trzy osoby. I kazali się wynosić. Cała wioska się go wyrzekła. Pozwolono mu tylko spojrzeć na zwłoki matki jego synka. Mówiono, że oddała się szwagrowi wbrew swojej woli. Odszedł ze smakiem krwi w ustach, z pamięcią śmierci w głowie i wizją mordy przed oczami.

Długo nie mógł tego wspominać bez wściekłości. Pamiętał, że kiedy opuścił dom, szedł na północ, zdany na łaskę szwał. Raz w amoku biegł cały dzień i zabijał każdego, kogo spotkał, by później przez dwa dni leżeć w dżungli, pozbawiony chęci do życia. To, że wtedy nie zginął, musiało być kaprysem samej bogini Manat, która rządziła przeznaczeniem. Przewędrował całe Wagadou, ścigany jak pies przez ludzi ghana, aż dotarł na ziemię Serklandczyków i tam poznał nauki Muhammada. One pomogły mu się uspokoić, lecz tylko na jakiś czas.

– A co z Wesołym Ilją? – Jego rozmyślenia przerwał Ainar.

Zatrzymali się przy strumyku, by uzupełnić zapas wody.

– To pomylenieć, ale kagan go lubi.

– Do czasu, aż dowie się o pomocy, jakiej dzieciak udziela skogarmadom.

Blamad zaśmiał się pod nosem. Skald naprawdę niczego nie rozumiał.

– Myślisz, że kagan o tym nie wie? On, który przewiduje wędrówki gwiazd? Większość mieszkańców grodu zdaje sobie sprawę, że chłopak mieszka w lesie, więc nietrudno się domyślić, że zna się z korowymi mężczyznami. Nikomu to nie przeszkadza, bo dokarmianie dzikich zwierząt nie jest przecież zabronione.

Berserk musiał przyznać, że pieśniarz umiał ukrywać zdziwienie. Vaering przysiadł nad wodą, zrobił z dłoni łożeczkę i napił się wody.

– Tylko że on nie tylko ich dokarmia. Banici słuchają go, jakby był jakimś duchem lasu.

– Ha. Prawdę mówią, że skaldowie mają bujną wyobraźnię. Chociaż rzeczywiście, w chłopaku tkwi jakaś tajemnica. Jest znajda i nikt nie wie, kim byli jego rodzice.

Reakcja Ainara bardzo zaciekała Alego. Po raz pierwszy odkąd go poznał, pieśniarz zdjął maskę bezczelnej obojętności, a drużynnik dostrzegł w jego oczach iskielki strachu, jakby poeta zaraz miał zostać oskarżony o ojcostwo chłopaka.

– Kto by pomyślał, że dzieci tak interesują Skalda – Czarny Berserk zemścił się za poprzednie docinki.

– Bachory mnie nie obchodzą. Ale sieroty to co innego. One zawsze zwiastują kłopoty. Wiem coś o tym.

– Może i masz rację.

Blamad przypomniał sobie swojego malutkiego syna. Jeśli wdał się w ojca, pewnie już podbijał oczy innym dzieciakom i był utrapieniem dla całej wioski.

Ruszyli dalej. Droga wiodła teraz przez rzadki brzozyowy las. Oczywiście szli pod górę. Minęli jakiś zwałony pień. Powiało zapachem kwitających drzew i nudą.

– Zatem przybłęda zajął się tresowaniem dzikich zwierząt? – Ainar

podjął rozmowę.

– Albo to one zajęły się nim. Pamiętasz, jak opowiadałem ci o chłopcu, którego rówieśnicy wrzucili do zagrody z niedźwiedziami? To właśnie był Ilja. Większość ludzi uważa, że znalazł wtedy głęboką norę, gdzie nie dosięgły go pazury bestii. Ale niektórzy powiadają, że wcale się nie schował, tylko niedźwiedzie wskazały mu kryjówkę przed zimnem, tak jak robią ze swoimi młodymi. Gdy rankiem ludzie kagana wyjęli go z zagrody, dzieciak uciekł do lasu. Nikt go nie żałował, bo wcześniej włóczył się tylko po grodzie, spał po stajniach i żebrał o jedzenie. Nie było go przez trzy lata, po czym wrócił z tym swoim miśkiem i zaczął robić sztuczki. Początkowo ludzie byli podejrzliwi, a sam kagan wezwał go do siebie, by zbadać, czy w jego głowie nie zamieszkał niedźwiedź. Wtedy go polubił i ogłosił, że malec rozmawia z bogami. Nikt w to nie wątpił, bo dzieciak bredził od rzeczy. Tirus uznał też jego los za dowód, że nawet najdzikszej bestii da się założyć kaganiec i zmusić ją do posłuszeństwa człowiekowi. Dlatego nikt się nie dziwi, że Ilja mieszka w lesie. Skoro umiał zawładnąć królem puszczy, wszystkie stworzenia lasu muszą mu być uległe.

– Ulubieniec kagana, który dokarmia jego wrogów. A mówią, że to hamramirzy są szaleni.

– Co ty tam wiesz, Skaldzie. Tirus nie skreśla nikogo. Surowo karze, ale oczekuje, że nawet morderca może się nauczyć żyć w zgodzie z sąsiadami, jeśli przyjmie prawa i nauczy się samodyscypliny.

– No, nawet takiemu dzikusowi z Serklandów jak ty dał szansę.

Blamad przyzwyczał się już, że Vaering miał go, jak i innych ludzi z Serklandów, za dzikusa. A przecież tamtejsi lekarze umieli wyjmować złe duchy przez czaszkę, podczas gdy na Północy jedynym znanym rodzajem operacji był ten wykonywany brodatym toporem. Ale gridin kagana wiedział, że szkoda się kłócić z Ainarem, bo i tak nie da się go przekonać.

– Tak. Nawet mnie. I mówię ci to po raz ostatni: nie uda ci się wyprowadzić mnie z równowagi. Panuję nad gniewem Szalonego Odyńca.

– No tak. Nie ma nic gorszego niż wściekła świnia. Zwłaszcza przywiązana do czyjejs nogi i uciekająca przed ogniem.

– Kpij sobie, jeśli chcesz. Będzie to dla mnie ćwiczeniem cierpliwości.

Trudnej sztuki opanowywania się nauczyli go kapłani z Indialandu. Dotarł do ich siedzib po trzech latach wędrówki, na którą wyruszył, gdy gniew znów nim zawładnął w Serklandach – uciekwszy stamtąd, trafił do Tirusa, a ten wskazał mu, jak odnaleźć mędrców. Z księgi Muhammada dowiedział się, że musi się wyrzec bestii, a święte obowiązki wyznawcy Allaha – *sala, zaka, saum* i *hadżdż* – mu w tym pomogą. Więc modlił się, dawał jałmużnę, pościł i pielgrzymował, dzięki czemu na dwa lata udało mu się stłumić w sobie bestię. Zwłaszcza że uspokajało go palenie haszyszu, a bogaty kupiec Ali ibn Ibrahim ibn Rahin usynowił go i użyczył mu wszystkich swoich imion. Ale kiedy Blamad zobaczył młodego chłopca tańczącego przed brodatymi starcami, znów się zdenerwował. I w amoku zabił trzech imamów. Odszedł od nich z własnej woli, nie czekając, aż zostanie wygnany. Wybrał dzahiliję – życie w ciemności.

– Lubię podrażnić kijem gniazdo os, ale rzadko celowo je strącam. Mojej sympatii jeszcze nie zdobyłeś, ale ciekawość już zdołałeś rozbudzić.

W ustach Skalda słowa takie były niczym wyznanie miłości. Ali wątpił, by Östmad nawet własnej matce powiedział kiedyś coś równie miłego.

– Zastanawiałem się – poeta ciągnął go za język – jak ktoś, kogo Göllnir napełnia szalem, może być tak... spokojny.

Spokojny? Ali nie pamiętał chwili, w której nie czułby rozdrażnienia. Ale umiał panować nad sobą.

– To dzięki Wertragnie.

– Nie znam takiego boga.

– Niewielu ma dzisiaj wyznawców. A szkoda. Stworzył go świetlisty Ahura, a jedną z jego dziesięciu postaci jest Szalony Odyniec o ogonie z żelaza, pazurach z żelaza i karku z żelaza. Niepowstrzymanie szarżuje na przeciwników i nie poprzestaje na jednym uderzeniu kłów. Gryzie, kaleczy i drapie, aż złamie kręgi życia, zmiażdży kości, a włosy zmiesza z krwią i mózgiem.

– Podoba mi się zwłaszcza ta część z mózgiem.

Drużynnik nie zwrócił uwagi na złośliwość pieśniarza. Kiedy mówił o Szalonym Odyńcu, jego gniew przeradzał się w uniesienie. Podobnie czuł się tylko wtedy, kiedy odmawiał jaszy, hymny na cześć swojego boskiego opiekuna.

– Kiedy Wertragna jest w świętym szale aesma, nikt nie może się mu oprzeć, jednakże bóg ten przyjmuje postać dzika rzadko i tylko po to, by bronić siebie i innych niebian. A swoich wyznawców naucza, że warto jest pielęgnować szal, tylko należy go roztropnie używać.

– Nie da się pić miodu, zachowując jasność myśli. Tak samo jest z szałem. Jak można panować nad czymś, czego istotą jest brak kontroli?

– Żeglarz też nie rozkazuje wiatrowi, a jednak umie wykorzystywać jego podmuchy, by statek płynął tam, gdzie on chce.

Blamad musiał zabić Skaldowi ćwieka, gdyż ten zastanawiał się dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

– Tak, ale kiedy nadchodzi sztorm, nawet najlepszy sternik jest bezradny.

– To módl się do swoich bogów, byś nie był w pobliżu, gdy nadejdzie.

Ali nie sądził, by Ainar go posłuchał, ale Vaering rzeczywiście zaczął mrużyć coś pod nosem, dając w końcu spokój rozmowie. Czarny wojownik z ulgą przyjął ciszę, choć musiał przyznać, że coraz lepiej rozmawiało mu się z przybyszem z Północy. Jeśli darowało mu się jego bezczelność i pyszałkowatość, można go było nawet polubić.

Zbliżało się popołudnie, kiedy zobaczyli i poczuli dym. Tym razem Haukr nie pobiegł przodem, tylko prowadził dalej, kłując ich w oczy swoim pokrętnym krokiem przypominającym chód starca z bólem pleców. Widocznie tym razem nie wyczuł wieczery.

Wychodząc na szczyt wzgórza, Ali dostrzegł źródło dymu – plugawego wynalazku złego ducha Arymana, stworzonego po to, by zanieczyszczać ogień. Wydobywał się przez komin domu postawionego na brzegu rzeki. I to właśnie jej widok wzbudził jego niepokój. Nie była może tak szeroka jak Itil, ale z pewnością zbyt głęboka, by przepłynąć się przez nią pieszo, a przepłynięcie jej z pełnym wyposażenia i jedzenia workiem na plecach

oraz bronią przy pasie nie było dobrym pomysłem. Ali wiedział, że w tej krainie nawet niepozorne strumienie potrafią być rwące i pełne wirów, a co dopiero rzeki tak duże jak ta rozpościerająca się przed ich oczami. Na szczęście w dole zobaczył promyk nadziei. W pobliżu domu, przy niewielkim pomoście, zacumowana była łódka.

Blamad nie ufał hamramirowi, ale wierzył, że szaleniec jak nikt inny potrafi wyczuć niebezpieczeństwo. Poszukał jeszcze potwierdzenia na twarzy Ainara, a kiedy ten gestem nakazał mu spokój, zostawił swój miecz w pochwie. Ruszyli na dół w ustalonym przez wzajemną nienawiść szyku.

Już z daleka dało się wyczuć i zobaczyć, z jakimi ludźmi będą mieć do czynienia. Śmierdziało rybą, a na palikach przy chacie rozwieszono były sieci.

Nikt nie wyszedł im na powitanie, choć nie pozostali niezauważeni. W domu schroniły się kobiety i dzieci, a drzwi za nimi zatrzaskał gospodarz, który pozostał na zewnątrz. Usiadł na pniaku ustawionym przed wejściem i kończył obgryzać na wpół surowego pstrąga. Obok położył siekiere.

Skald machnął ręką na Alego, by ten wysunął się do przodu i zaczął rozmowę. Gridin przyzwyczaiał się już, że poeta wykorzystywał go jako stracha na wróble. Drużynnik kagana zostawił towarzyszy za plecami, zbliżył się do rybaka i uśmiechnął się do niego przyjacielsko, obnażając ostre zęby. To zwykle wystarczało, by niektórzy popuścili w spodnie i zaczęli spełniać jego prośby.

Mężczyzna należał jednak do tych odważnych – albo głupich, którzy nie wiedzieli, kiedy należy się bać. Wypluł ość pod nogi przybysza i zawołał kogoś po imieniu.

Otworzyły się drzwi i z domu wyszła kobieta o urodzie, o jaką we wszystkich krainach, które czarny wojownik odwiedził, posądzano teściowe. Stara, brzydka, z krostami na brodzie. Jędza podeszła do zięcia, a ten polecił jej się uśmiechnąć.

Ali cofnął się o krok z obrzydzenia. Kobieta zaczęła się śmiać, jeszcze dokładniej pokazując szerniałe i pokruszone zęby osadzone

w krwawiących i odsłaniających korzenie dziąsłach.

– Czego tu szukacie? – Wbrew obawom Blamada rybak odezwał się w języku Saglabów, czyli licznie zamieszkujących wszystkie okoliczne krainy ludzi, którzy przez przybyszy z Północy zwani byli Vindmadami. Czarny Berserk od lat świetnie posługiwał się ich mową, jak i wieloma innymi.

– Chcemy, żebyś przeprowadził nas na drugą stronę.

– Późno już. Niedługo się ściemni. A ja zwykłem odpoczywać popołudniami.

– Zapłacimy.

Nie tylko Alosza, ale nawet Haukr dobrze rozumieli rybaka, tylko Ainar marszczył brwi, próbując zrozumieć słowa, ale widać było, że sobie z tym nie radzi. W końcu jednak był typowym Vaeringiem, a ci uważali, że tylko ich własny język jest wart nauki. Na ich obronę przemawiało to, że rzeczywiście w tej części świata wszyscy kupcy, władcy i najemnicy znali mowę Północy.

– Powiedz mu, że jestem słynnym skaldem i w zamian za przeprowę ułożę dla niego pieśń – Östmad wtrącił się do targów.

Ali powtórzył te słowa rybakowi, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– A komu miałbym ją powtórzyć w tych lasach? I jak mi ją ułoży, skoro nie umie gadać po naszymu.

– To co byś chciał?

– Ładny miecz masz przy boku. Przyda się do krojenia ryb.

– Co on mówi? – dopytywał się poeta.

Blamad wziął dwa głębokie wdechy. Wystarczy, że głupi rybak denerwował go swoimi nedorzecznymi żądaniami. Miał już szczerze dość mędrkowania wścibskiego Vaeringa i postanowił dać mu nauczkę.

– Widzisz tę staruchę? Mówi, że to jego teściowa, której dawno nikt nie ujeżdżał. Jeśli któryś z nas ją zadowoli, baba przestanie zrzędzić. A wtedy on nas przewiezie.

Kończąc to mówić, zauważył, że Alosza o mało nie wybuchnął

śmiechem, a Haukr z zaciekawieniem pokiwał głową. Ainar stał plecami do towarzyszy, więc nie mógł widzieć ich min.

– Powiedz mu, że nóż między żebrami będzie jego zapłatą, jeśli nie zacznie być rozsądny – mruknął Östmad.

Gospodarz zaczynał się trochę niepokoić tą podwójną rozmową, Ali wytłumaczył mu więc, że musi naradzić się z druhami co do zapłaty. Uświadomił też rybakowi, że miecz szybko się stępi na kamieniu, po czym zaoferował mu nóż oraz sztukę srebra.

– Nóż już mam. Ale jak masz srebro, to chcę dziesięć monet.

– I co, zmiękł? – wtrącił Skald.

– Nie bardzo. Mówi, że bez sternika daleko nie popłyniemy, bo rzeka jest pełna wirów. Twierdzi też, że jego teściowa chce niebieskookiego, bo takiego jeszcze nie miała.

– Powiedz mu, że dawno już nie miałem kobiety, ale wolę się zabawić z jego kozą.

– Mój towarzysz mówi, że za dziesięć monet mógłby kupić statek wojenny – Blamad wyjaśnił miejscowemu.

– Proszę bardzo. Jeśli tu jakiś znajdziecie, możecie go sobie kupić. I zapewniam, że nie znajdziecie żadnego promu w odległości dwóch dni marszu. I w górę, i w dół rzeki.

Twardy był, czarny druzynnik musiał to przyznać. Mieszkańcy tych ziem zawsze targowali się nieustępliwie niczym vaerińscy kupcy. Można było próbować ich zastraszać, ale i tak na niewiele się to zdawało, bo wiedzieli, że od własnej zaradności zależy, czy przeżyją kolejną mroźną zimę. Ali zaproponował więc dwie monety, ale oprócz przeprawy zażądał kilku ryb.

– I jak tam? Mimir dał mu się napić ze studni mądrości? – znów dopytywał się pieśniarz.

– Raczej kazał mu umierać z pragnienia. Twierdzi, że kozę również może ci dać, ale teściowa musi być zadowolona – odparł pierwszy gridin kagana.

– A to zawszony syn zgniłego jesiotra. Powiedz mu... A zresztą... Jeśli żaden z was nie może podołać takiemu wyzwaniu, powiedz, że się

zgadzam.

Niedorzeczność tych słów uderzyła Czarnego Berserka niczym obuchem. Musiał się upewnić, czy słuch nie spletał mu figła.

– Jesteś pewny, że chcesz podlać ogród tej staruchy?

Ainar nie odpowiedział. Podszedł do teściowej, zarzucił ją sobie na ramię i trzymając za pośladki, ruszył w kierunku domu. Branka piszczała z radości jak młódka.

Wszyscy odprowadzili Skalda wzrokiem aż po same drzwi. Gdy te zatrzasnęły się z hukiem za Vaeringiem i jego wybranką, oczy mężczyzn omal nie wyskoczyły ze zdziwienia. Alosza uśmiechnął się głupkowato, Haukr pokręcił głową jak jastrząb na widok kury, a podbródek rybaka prawie dotknął piersi.

Po chwili usłyszeli szaleńczy chichot kobiety, a potem jęki, których nie dało się pomylić z żadną inną modlitwą na cześć bogów miłości.

Rozbawiony gospodarz już niezbyt długo się targował. Stańto na trzech monetach, za które mieli zostać przeprowadzeni i otrzymać kosz świeżych pstrągów.

Po kilkudziesięciu uderzeniach serca Ainar wyszedł z chaty, zarzucając sobie na ramię pas z bronią i wyglądając swój czerwony kyrtil.

Nikt nic nie powiedział, ale wszyscy patrzyli na poetę z niedowierzaniem. W końcu Czuryłowicz nie wytrzymał i zaczął się śmiać, ale przestał, kiedy tylko pieśniarz rzucił mu wyzywające spojrzenie.

Wesoło gwizdząc, rybak zaprowadził ich do łodzi, a raczej łupinki, do której ledwo się zmieścili. Na jej dnie leżały cztery wiosła, więc każdy z wędrowców chwycił po jednym. Rybak przysiadł na burcie i zajął się sterem. Nie mieli daleko, więc nawet nie postawił małego żagla. I wtedy Ali uświadomił sobie, że przewoźnik ich orznął – nie było wirów, więc każdy z nich poradziłby sobie ze sterem. Zabijając gospodarza i kradnąc łódź, z łatwością przeprawiliby się na drugi brzeg, a oszczędziliby trzy sztuki srebra.

Nim zdążyli się zmęczyć wiosłowaniem, byli już na miejscu. Pierwszy

wysiadł hamramir, który przez całą drogę kurczowo ścisnął wiosło, jakby miało go uratować przed utonięciem. Jastrzębie nie przepadają za wodą.

Rybak odbił łódkę od brzegu i sam powiosłował z powrotem.

Tylko przez kilka pierwszych kroków byli w stanie powstrzymać się od zadawania pytań.

– I jak było? – w końcu zaczął Vindmad.

– Jak co „było”? – zapytał Ainar i łotrowsko się uśmiechnął.

– No nie udawaj. Jak się spisała ta jędza? Słyszałem, że bogatyrzy z Północy podczas łupieskich wypraw gwałcą, co im wpadnie w ręce, ale taka zdobycz... O twojej jurności będą krążyć opowieści.

Ali wyszczerzył się i zauważył, że zmiennokształtny nie uciekł do przodu, jak zwykł czynić, ale szedł razem z nimi, przysłuchując się rozmowie. Wyczyn Östmada, choć mało mający wspólnego z bohaterstwem, zdawał się scalać ich oddział.

– Młody jeszcze jesteś. Nie wiesz, jak traktować i zdobywać kobiety.

– Teściowa rybaka wyglądała raczej na taką, która dałaby każdemu, kto ośmieli się do niej zbliżyć.

– Możesz się jeszcze o tym przekonać i do niej wrócić. Dalej jest niezaspokojona.

– Jak to? – włączył się Blamad. – Przecież słyszeliśmy jęki.

– Słyszeliśmy, jak ptaszyna piszczała – dodał Jastrzębioskóry.

– A tak to. Starą zamknąłem w skrzyni, a wziąłem się do krągłej żony rybaka. Teściowa była szalona, bo cały czas się śmiała, ale jej córka? No cóż. Tutejsze kobiety rzeczywiście są bardzo gościnne i chętne. Sama rozłożyła nogi, o nic nie pytając. Pewnie pomyślała, że mąż znów ją przehandlował za worek owsa.

Gridin zmierzył Skalda wzrokiem, nie wiedząc, czy ten kłamie. Z min pozostałych domyślił się, że i oni nie byli tego pewni. Każdy z nich zdążył już poznać Ainara na tyle, by wiedzieć, że uwielbiał się przechwalać.

Po chwili usłyszeli krzyki rybaka dobiegające z drugiego brzegu. Trudno było rozróżnić słowa, lecz Ali mógłby przysiąc na boskiego ghana

Wagadou, że były to przekleństwa.

11

Gdy weszli na kolejne wzniesienie, Ainarowi zadrżało serce. W oddali zobaczył pasmo strzelistych gór, których szczyty znikwały w chmurach. Nie żeby nie lubił takich wędrówek. Miał twarde i sprężyste nogi, gdyż w młodości często szukał samotności wśród rodzinnych skalistych fiordów. Ale nawet on czuł się już znudzony monotonnym marszem w dół i w górę.

Gorzej było z innymi. Alosza i Ali szli razem na samym tyle, pogodzeni zmęczeniem. Obaj oddychali coraz ciężiej i ledwie powłóczyli nogami.

Skald zdał sobie sprawę, że szli już od czternastu dni, a po zjedzeniu ryb kupionych od przewoźnika nie mieli w ustach żadnego porządnego posiłku. Vindmad mógłby oczywiście ustrzelić jakąś dziczyznę, ale nie chcieli marnować czasu i ryzykować rozpalania ognia. Las był coraz rzadszy, a otoczenie stało się niemal stepowe, bardzo przypominając kraj Tattarów.

Na szczęście nie spotkali koczowników ani ludzi Kola Małego, co trochę zastanawiało poetę, ale uznał, że unikali ich dzięki Haukrowi. Hamramir rzeczywiście prowadził ich tak odludnymi terenami, zawsze wybierając najtrudniejszą drogę, że lubiący przestrzeń konio-ludzie na pewno się tam nie zapuszczali. Jeśli planowali zasadzkę, to z pewnością na jakimś uczęszczanym szlaku lub większej przeprawie rzecznej, a nie w mateczniku – sercu puszczy, gdzie nawet niedźwiedzie gubią drogę do swojego barłogu.

– Mówiłem, że poprowadzi nas na zgubę – przypomniał o swoich wątpliwościach Czuryłowicz, dowlekając się na szczyt wzniesienia. – Te góry tworzą wschodnią granicę Odainsaku. A to znaczy, że minęliśmy całą tę krainę od południa!

– Najwyższa pora, by Jastrząb zdradził nam swój plan – dodał Blamad.

Świetny pomysł – w myślach zakpił pieśniarz. Niestety Haukr odzywał się do nich tylko wtedy, gdy sam uznał to za stosowne, czyli prawie nigdy. Postępem było, jeśli od czasu do czasu przysłuchiwał się ich rozmowie. Tak jak teraz.

Vaering spojrział na hamramira, który swoim zwyczajem przykucnął, dając drengom czas na odpoczynek. Odrmad zaczynał ich chyba lubić, bo jego pociągła twarz o orlim nosie i małych, głęboko osadzonych oczkach nie była od jakiegoś czasu obliczem zabójcy, który zamierza pokroić swoich towarzyszy, kiedy tylko zasną.

Haukr odwzajemnił spojrzenie Ainara, mrugnął do niego trzy razy oboma oczami, otworzył usta i zaczął kręcić żuchwą, jak zawsze, gdy szykował się do śpiewu. Gdy w końcu uznał, że jego ludzki dziób jest dostatecznie rozciągnięty, zaczął swoją pieśń. Jazgot i piski, jakie wydobyły się z jego gardzieli, mogły rywalizować z bitewnym zawołaniem Göllnira, przynajmniej jeśli chodziło o głośność i chaotyczność. Z koron drzew odpowiedziały mu podobne jastrzębie wrzaski, tworząc chór, którego jazgot powodował, że słuchacze mieli ochotę nadzieć się na własne miecze.

Na szczęście Göllnir zlitował się nad swoim ulubionym skaldem, bo śpiew nie trwał długo. Poeta podziękował w myślach boskiemu opiekunowi, przyrzekając sobie, że tematem jego następnego utworu będzie cisza.

– Nasi bracia mówią, że najlepiej spaść na Odainsak z góry, jak jastrzęb na zającą – szaleniec niespodziewanie spełnił życzenie Alego.

– I co? Mamy się wspiąć na najwyższy szczyt, rozpędzić się z niego i biec aż do samego Treborga? – odezwał się łucznik, który był najbardziej zmęczony ze wszystkich członków drottu pieśniarza. – To nie ma żadnego sensu. Teraz, gdy wiemy, gdzie jesteśmy, nawet ja mogę was poprowadzić. Wystarczy skrócić na północny zachód, a po trzech dniach będziemy na miejscu.

– Ptaki widzą więcej. Dużo ludzi jest na północy. Lepiej iść górami. Treborg leży niemal u stóp tego łańcucha.

– Ptasiór ma rację – odezwał się czarny wojownik, wyjątkowo dzisiaj zgodny. – Lepiej uważać. Tutaj roi się od ludzi Kola Małego i koczowników, którzy są na jego służbie. Tirus Wielki przypuszczał, że kilku poprzednim wysłannikom udało się dotrzeć do granicy Odainsaku, ale żaden z nich nie przekroczył bram Treborga. Ale patrzcie, w dole rozciąga się gęsty las. Możemy iść, kryjąc się w gąszczu.

– Nikt się tam nie ukryje. Hamramirzy Kola władają puszcza – stwierdził Haukrhedin.

To przesądzało sprawę. Z wrodzonej złośliwości Skald spojrzął pytająco na Alego i Aloszę, ale żaden nie miał ochoty się odezwać.

– Zrobimy więc tak, jak mówi Jastrząb i jego ludzki brat. Pójdziemy górami, ale będziemy unikać szczytów. Poprowadzicie nas zboczami?

– Jastrzębie to nie orły i sokoły. Nie muszą latać w chmurach. Wystarczy nam szybować w koronach drzew.

– Zatem postanowione.

Ruszyli bez ociągania. Spacer w dół pozwolił im odzyskać nieco sił. Do prawdziwych gór wciąż mieli jakieś dwa dni drogi, choć już tutaj wzniesienia stawały się coraz wyższe.

Żar słoneczny nie pomagał im w wędrówce, mimo iż większość trasy pokonywali w zacienionym lesie. Zwykle w tych okolicach wczesne lata były chłodne i przyjemne, ale dziś Sol wyjątkowo mocno jaśniała na niebie, naigrywając się ze ścigającego ją potwornego wilka. Pot ściekał po plecach Skalda, mimo iż miał na sobie tylko cienką spodnią koszulę, a na niej czerwony kyrtil. Otarł czoło rękawem i pocieszył się myślą, że przynajmniej Alosza gorzej od niego znosił upał. Bogatyry jako jedyni wzięli na wyprawę gruby, skórzany kaftan sięgający za kolano, żelazny szyszak oraz kolczugę, którą teraz dźwigał w worku na plecach.

W lepszej sytuacji byli Haukr i Ali. Ten pierwszy ubrany był podobnie jak Ainar, tyle że zielony kyrtil, подарowany mu przez kagana, sam mocno przerobił, pewnie po to, aby mieć lepszy przewiew. Pociął go swoimi szponami, dzięki czemu ubranie sprawiało wrażenie, jakby wykonano je z piór lub z setki zszytych ze sobą szmatek.

Ali był natomiast Blamadem, a w ich kraju, jak wiadomo, słońce nigdy nie zachodzi i spala ludzi na węgiel. Dlatego gorąco w ogóle mu nie przeszkadzało. Zresztą ubiór też był jego sprzymierzeńcem. Jak zwykle nosił luźne szarawary, a szeroką klatę osłaniał tylko skórą grzywiastego kota, przewieszoną przez ramię. Większą część pleców miał odkrytą, by niebieski tatuaż mógł bez przeszkód gryźć się z czernią jego skóry.

Pod wieczór, ale jeszcze zanim ich brzuchy zaczęły domagać się kolacji, a upał wciąż doskwierał, weszli na płaski teren porośnięty lasem, z którego nie było widać żadnych wzniesień. To ucieszyło wszystkich oprócz Haukra, który jeszcze bardziej się przygarbił, tak że teraz trącał dłońmi źdźbła trawy.

Gdy mijali jakiś zwalony pień, usłyszeli wycie wilka i krzyk kobiety. Nikt z drottmadów poety nie zwrócił na to uwagi, co go ucieszyło, bo to znaczyło, że członkowie jego drottu zamierzają niezauważeni dotrzeć do celu, a nie pomagać jakiejś zagubionej w puszczy pannie, pewnie zresztą niezbyt urodziwej.

Nie uszli dziesięciu kroków, kiedy dobiegł ich ten sam krzyk, tym razem z bliższej odległości.

– Może jej pomożemy? – niespodziewanie zaproponował Ainar.

Zausznik kagana i wysłannik veche spojrzeli na niego, jakby zaproponował im wyprawę w zaświaty. Östmad uśmiechnął się w duchu. Dobrze zadbał o swoją reputację.

– Nie wierzę, byś pomógł tonącym rodzicom, jeśli nie obiecaliby ci sakiewki srebra – oznajmił Ali.

– Bez przesady. Matkę uratowałbym za peninga, a ojcu pomógłbym się utopić za darmo.

Wspominanie rodziny zawsze sprawiało, że robił się posępny. Zmarszczył czoło, wykrzywił brwi i zmrużył oczy. Na szczęście pochmurny nastrój odgoniła myśl o dziewczynie, która ponownie zakrzyczała.

– Mówiłem poważnie. Chętnie bym jej pomógł. Włóczyliśmy się po lasach od wielu dni, a prawdziwy skald potrzebuje słuchaczek, które jękami

pochwałą jego niezrównane umiejętności. Twórczość wymaga poklasku.

– Mało ci było żony rybaka? – Berserk wydawał się szczerze oburzony, jakby gniew nie był jedyną namiętnością, nad którą starał się panować. Być może sam miał ochotę na dziewczynę.

– My też dawno nie kosztowaliśmy ptaszyny – zgodził się hamramir. – Lubimy, gdy samiczki piszczą, a potem wysiadują jaja.

Poeta nie wątpił, że podczas takiego trójkąta każda piszczała, choć nie był pewien, czy z pożądania. Choć z drugiej strony wiedział, że kobiecie łośno łośnie dziwów wszelakich.

– „Nie odwracaj się na pięcie, kiedy czeka dobre rżnięcie”, jak mawiał mój dziadunio – zaskakująco mądrze wtrącił Vindmad.

– Nie napalajcie się tak. Ja usłyszałem ją pierwszy, więc jest moja – bronił zdobyczy Skald.

– My usłyszeliśmy ptaszynę przed tobą – sprzeciwił się Haukr i nikt nie ośmielił się sprzeciwić. – Ale możemy wejść jako drudzy, tuż po przywódcy stada.

– W życiu! Ja jestem najmłodszy i najprzystojniejszy. Tylko mojej gęby się nie przestraszy – pochwalił się Czuryłowicz. – Staranuję pierwszy i oddam wam zdobyty gród!

– Twoja mała maczuga może jej nie wystraszy, ale z pewnością zawiedzie. Ja jestem najbardziej doświadczony i wiem, jak obchodzić się z dziewczynami.

– A skąd pewność, że dziewczyna jest nietknięta? – Łucznik dał się złapać w pułapkę.

– Poznałem to po głosie. Jestem Skaldem. Znam się na krzykach.

– Nie będzie żadnych gwałtów! – zdenerwował się Blamad. – Lepiej się ukryjmy, by jak najdłużej utrzymać naszą podróż w tajemnicy.

Na to było już jednak za późno.

Spomiędzy drzew wybiegła na polanę rudowłosa dziewczynka w białej sukience obszytej niebieskimi nićmi. Ainar mógłby podać więcej szczegółów jej ubioru, ale nie był szwaczką i nie interesowały go takie

babskie sprawy. A poza tym nie mógł oderwać oczu od dekoltu, krągłych bioder i smukłych nóg o bosych stopach. Dziewczyna mknęła zwinnymi susami. Jeśli dodać do tego, że cały czas krzyczała i biegła wprost w jego ramiona, zdawało mu się, że patrzy na samą Gefnę, boginię miłości, proszącą, by obalić ją na ziemię i ułożyć wraz z nią jęczący poemat na cześć wdzięków niebianki.

Na rudowłosą miało jednak chętkę o wiele więcej mężczyzn niż ich nieliczna drużyna. Za umykającą nieszczęśnicą wybiegło z lasu trzynastu Tattarów, każdy brzydszy od poprzedniego. Co gorsza, byli uzbrojeni w krzywe szable, toporki i włócznie.

Na twarzy kobiety malował się strach, który przeszedł w przerażenie, kiedy zauważyła Alego. Dostrzegła też jednak Skalda, nie mając zatem wielkiego wyboru, podbiegła właśnie do niego.

– Ratuj mnie, panie – zapiszczała słodko i schowała się za jego plecami.

Co miał robić? Nadszedł czas, by nastraszyć przeciwników. Machnął na Blamada, by zaatakował. Berserk dobył zakrzywionego miecza, wyszczerzył zęby i rzucił się na skośnookich.

Alosza nie czekał na rozkazy. Nałożył strzałę na cięciwę i wziął na cel najbliższego konio-człowieka. Wąski grot przebił się przez oko napastnika i wyszedł po drugiej stronie głowy, razem z resztkami mózgu. Lotka, podniecona drzeniem promienia, wibrowała jeszcze długo po tym, jak zwłoki padły na ziemię.

– Podano do stołu – mruknął poeta do siedzących na drzewach kruków.

Druga strzała okazała się wypuszczona mniej celnie. Trafiła nie w serce, a w brzuch Tattara, który nacierał na Alego. Czarnoskóry nie sprawdzał, czy rana jest śmiertelna, tylko dla pewności uciął napastnikowi nogę w kolanie.

Na dalszy ostrzał nie było czasu. Niscy wrogowie wbiegli pomiędzy drottmadów, więc Czuryłowicz chwycił za krótką włócznię.

Odrmad okazał się tchórzem. Podbiegł do najbliższego drzewa, podskoczył i uczepił się gałęzi. Za nic sobie mając prawa natury,

podciągnął się, wybił w górę, podkurczył nogi i wylądował na konarze. Potem powtórzył tę kuglarską sztuczkę jeszcze dwa razy i zniknął między liśćmi.

Nie powinni liczyć na kogoś, kto sikał, kucając na gałęzi. Pieśniarz nie miał innego wyjścia, jak samemu włączyć się do zabawy. Popchnął dziewczynę w kierunku krzaków i natarł na skośnookiego z toporem.

Rąbnął go z szerokim zamachem, trafiając w ramię. Broń o przesadnie długim stylisku i małym bijaku spadła na ziemię, nie zaznawszy krwi. Skald miał jednak przed sobą twardego zabijakę – Tattar wykrzywił gębę z bólu, ale zamiast pisać i tamować sikającą krew, drugą ręką sięgnął do szabli przy pasie i natarł na Vaeringa. Zakrzywiona broń przecinała powietrze tak szybko, że ostrze rozmywało się w powietrzu i wydawało świszczący okrzyk bojowy. Ainar z trudem odbił dwa cięcia, samemu wyprowadzając tylko jedno. To go trochę zdenerwowało. Doskoczył do pokurcza, unoszącego rękę do kolejnego ciosu, ale najpierw kopnął go kolanem w brzuch. Skośnooki uklonił się przed Östmadem, ale Ainar nie był w nastroju na przyjmowanie hołdów i kopnął ponownie. Rozległ się chrzęst łamanego nosa, a głowa w skórzanym czapie wygięła się do tyłu jak u połamanej zabawki.

Poeta kątem oka obserwował, jak radzą sobie pozostali. Ali rąbał mieczem, jakby porcjował mięso w rzeźni. Z siłą godną olbrzymów z Północy odcinał ręce, łamał żebra i patroszył brzuchy. Szczególnie malowniczo wyglądał cios, którym rozkroił na pół żelazny szyszak, głowę i szyję – tyle że właśnie wtedy jego miecz zaklinował się między ramionami Tattara. Blamad, trzymając rękojeść broni, sięgnął po katar, sztylet nakładany na pięść, i wbił go w brzuch skośnookiego. Rozległ się dźwięk zwalnianego mechanizmu, a kiedy berserk wyszarpnął broń z ciała wroga, ta okazała się miec już trzy ostrza, a każde z nich ciągnęło za sobą kawałek jelita. To wystarczyło, by pozostali niscy ludzie ze strachem w oczach odsunęli się od czarnego druzynnika. U stóp przybysza z dżungli leżały już trzy ciała, a przecież nie zdążył się nawet rozgniewać.

Młody Vindmad też dzielnie stawał. Jak dotąd nie dał się zabić

i skutecznie trzymał napastników na sporą odległość swoją włócznią. Nie dołożył kolejnego trupa do tego, którego ustrzelił, ale przynajmniej zajmował walką dwóch Tattarów.

Dobrze im szło, ale wciąż mieli przed sobą siedmiu przeciwników. I to tych lepszych, którzy nie polegli przy pierwszej wymianie bitewnych pozdrowień. Na dodatek skośnoocy pokazali, że w głowach nie mają tylko końskiego łajna. Zaczęli ze sobą współpracować i otoczyli wędrowców, mierząc do nich długimi włóczniami. Co gorsza, dwóch z nich cofnęło się i nałożyło strzały na cięciwy.

Skald nie musiał wydawać rozkazów. Trójka drengów skupiła się w jednym miejscu, obracając się do siebie plecami.

– Możecie jeszcze odejść – odezwał się poeta, choć nie miał pewności, czy konio-ludzie znają człowieczy język. – Nie będziemy was ścigać.

– Oddajcie nam dziewczynę, a zabijemy was szybko – odpowiedział mu skośnooki, o dziwo, dość płynnie posługując się językiem Vaeringów.

– Myślałem, że Tattarzy wolą klacze.

– Urwę ci za to język i naszczam na twoje zwłoki.

– Nie dosięgniesz do mojej głowy, karle.

Cięciwy niebezpiecznie się naprężyły, a łuczyska wygięły. Rozsądnie byłoby wejść w zwarcie z koczownikami, ale ci przezornie trzymali się z daleka od drottmadów.

Wtedy okazało się, że jednak w Haukrze tliła się odwaga. Musiał przemieścić się koronami drzew, bo teraz zeskoczył z dębu rosnącego za plecami łuczników. Wylądował bezszelestnie, przykucając na trawie. Jeszcze w powietrzu wyciągnął szpony, pozbywając się tym samym całej swojej niezdarności. Wstał, rozpostarł ręce niczym skrzydła i podbiegł do najbliższego strzelca. Dwa ostrza skrzyżowały się przy jego grdyce i cięły równocześnie, wchodząc na głębokość palca. Naszyjnik z krwi ozdobił szyję Tattara, a ten nie miał nawet pojęcia, kto mu go podarował.

Nie czekając na podziękowania, hamramir przebiegł za plecami drugiego łucznika i przejechał mu szponami po żebrach. Żelazo zachręściło o kości,

a z ust umierającego wydobył się jęk.

Następnie odrmad doskoczył do jednego z włóczników. Ten nawet zdążył zareagować – odwrócił się w stronę zmiennokształtnego i nadstawił broń na powitanie. Nic mu to nie dało. Szaleniec zwinnym półobrotem minął drzewiec i ukłuł Tattara w wątrobę, a wbił i wyciągnął szpon z taką łatwością, jakby dziergał koszulę.

Kolejny skośnooki szybko otrząsnął się z zaskoczenia i dodając sobie odwagi bitewnym zawołaniem, rzucił się na hamramira z toporem w ręku. A Jastrząb zaczął uciekać. Kilkoma zwinnymi susami dobiegł do drzewa i nie zatrzymał się, mimo iż pień zagroził mu drogę. Przez chwilę wydawało się, że dziwak wdrapie się na sam wierzchołek dębu, ale on tylko odbił się bosymi stopami od pnia, wykonał przewrót w powietrzu i wylądował na ramionach ścigającego go wroga. Szpony zanurzyły się w skroniach topornika, a Ainar mógłby przysiąc, że usłyszał zgrzyt krzyżującego się żelaza wewnątrz głowy pokurcza. Trup uderzył plecami o ziemię, a Haukr odbił się od jego piersi i zahaczył krótkimi mieczami o konar w taki sposób, że gałąź znalazła się między ostrzami a nadgarstkami. Odrmad podwinął nogi, przekręcił się na gałęzi i zawisł, mając konar na wysokości pasa, po czym odbił się rękami, podkurczył nogi i przykucnął na gałęzi. Potem wstał, przebiegł kawałek i znów wybił się, znikając między liśćmi.

Straciwszy z oczu hamramira, poeta i jego dwaj przyboczni mogli się skupić na pozostałej trójce niskich ludzi. Poszło im łatwo. Przeciwnicy byli wyraźnie rozkojarzeni i lękliwie zerkali na korony pobliskich drzew, poświęcając walce jedynie połowę swojej uwagi.

Po wyczynach Haukra Skald stracił ochotę na popisywanie się, bo zrozumiał, że nie przebije szaleńca w wymyślnym zadawaniu śmierci. Kvernbit był prostym mieczem, więc pieśniarz dał następnemu wrogowi prostą śmierć wojownika. Zbił cięcie szabli i rąbnął z góry na dół, trafiając w kark.

Ali, jak na berserka przystało, postawił na dziką siłę. Chwycił drzewce wymierzonej w siebie włóczni i złamał je jedną ręką. Zdziwiony konio-

człowiek jakby zapuścił korzenie, jego skośne oczy powiększyły się do normalnych rozmiarów, a po nodze pociekła mu żółta ciecz. Blamad znalazł się na strachu i umiał go wykorzystać. Uniósł dłoń uzbrojoną w resztki złamanej włóczni i wbił grot w czubek czaszki koczownika, tak że jego koniec dało się zauważyć w otwartych ustach Tattara.

Także Alosza szybko uporał się ze swoim pokurczem. Tak długo próbował dźgnąć go włócznią, aż trafił w udo, a potem poprawił w brzuch. Ostatni skośnooki dołączył do reszty trupów na placu boju, który zaczął przypominać rzeźnicki stół.

Potyczka dobiegła końca, ale niebezpieczeństwo nadal wisiało nad drużynnikami. Pieśniarz odsunął się od Alego i nakazał Czuryłowiczowi, który ciężko dysząc, opierał się o włócznię, by zrobił to samo. Skald umiał rozpoznać oznaki nadchodzącego szału.

Blamad miał mętne oczy, jego wargi uniosły się jak u wilka, a z ust wydobywały się złowieszcze pomruki. Cały był skąpany we krwi wrogów, a jej krople wpadały mu do rozchyłonych ust. Na rękach miał resztki mózgu, pokruszone kości i czarne włosy Tattara, a jego stopa zaplątała się w jelita. W opanowaniu się nie pomagały mu z pewnością zapachy juchy, świeżego mięsa i gówna, które zawsze towarzyszą bohaterskiej śmierci.

Berserk otrząsnął się jak niedźwiedź w kąpieli, po czym ze złością kopnął jakąś uciętą dłoń, która poleciała szerokim łukiem i z płaskim uderzyła w pień buka. Następnie odrzucił broń, wznosił ręce do nieba i zaryczał. Kiedy tak stał, zwały jego mięśni naprężyły się tak bardzo, że żyły niemal przebiły się przez czarną skórę, a tatuaż na plecach, szyi i łycie zaczął się wić, jakby był prawdziwym boskim wężem Bidą. Ramiona Alego stały się grube jak konary i pobrużdżone niczym zaorana ziemia, a kark zaczął przypominać pień stuletniego dębu. Wydawało się, że szal zaraz rozerwie go od środka. Ale czarny wojownik nie zamierzał się poddawać. Ścisnął głowę rękami, jakby chciał ją zmiażdżyć albo wycisnąć z niej gniew. Następnie ponownie zaryczał, odwrócił się od trupów i pobiegł w las. Po chwili zatrzymał się, usiadł na trawie ze skrzyżowanymi nogami, złożył ręce na modłę wyznawców Krista i zamknął oczy.

Ainar, trzymając Kvernbit w ręce, obserwował walkę berserka z gniewem. Teraz schował broń i z politowaniem zerknął na Aloszę, kurczowo zaciskającego dłonie na włócznie. Knykcie Vidmada zbieleły, a z czoła zaczął kapać pot.

– Już po wszystkim, młody – pocieszył go Skald, klepiąc mocno w plecy.
– Dobra robota. Przeżyłeś.

Szkoda by było, gdyby junak poległ w tym lesie, nie dając mi obiecanej drugiej sakiewki ze srebrem – pomyślał, rozglądając się po poboju. Nie zdziwiło go, że kruki i wrony zleciały się już na potrawkę ze zwłok. Czarne ptaki zawsze mu towarzyszyły i śpiewały kraczącą drapę na jego cześć. Miał nadzieję, że w tym stadzie były również Huginn i Muninn, kruki Göllnira, które przekażą swojemu boskiemu panu krzyk rzezi, jaką poeta zgotował na cześć swojego rozwrzeszczanego opiekuna.

Przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby przeszukać umarłaków, ale ktoś go w tym ubiegł.

Haukr zeskoczył na ziemię tuż obok pieśniarza i zaczął spacerować między trupami. Szpony miał schowane, więc jego niedawna zwinność znów ustąpiła miejsca pokraczności. Podbiegał od ciała do ciała, prawie podpierając się na rękach, i każdego macał z wprawą złodzieja lub kochanka. Mistrz miodowych mów pomyślał, że w bestialskim drengu tliły się resztki rozsądku, skoro dbał o łupy. To wrażenie nie trwało jednak długo, ponieważ hamramir i owszem, opróżniał sakiewki, ale ich zawartość z pogardą rzucał za siebie, jakby był zawiedziony tym, co w nich znajdował. W końcu wszakże wygiął usta w ptasi dziób, co zwykle oznaczało u niego zadowolenie, albowiem u jednego z poległych znalazł suszoną koninę. Zasiadł na piersi trupa i wziął się do jedzenia.

Östmad przypomniał sobie o dziewczynie ukrytej w krzakach i od razu poprawił mu się nastrój. Tym bardziej że rudowłosa opuściła już kryjówkę i ostrożnie się zbliżała. Przy każdym kroku jej piersi przyjemnie podskakiwały, chcąc wyrwać się z przyciasnej sukienki. Panna drżała, miała gęsią skórę, a jej stwardniałe sutki odznaczały się pod materiałem.

– Jesteście łotrami? – zapytała przestraszona.

Zatrzymała się dwa kroki od niego, ale Ainar podszedł do niej i objął ją po ojcowsku. Poczuł przyjemne ciepło, które powędrowało w głąb ciała i zatrzymało się w jego spodniach.

– Tylko ci dwaj, dziecinko. Ale nie martw się. Trzymam ich na krótkich łańcuchach. Ze mną będziesz bezpieczna.

Odrmad musiał to usłyszeć, gdyż odwrócił się w ich stronę, pomachał koniną, wygiął usta w coś, co miało chyba przypominać uśmiech, i spróbował się zaśmiać. Jak zwykle wyszedł mu tylko jastrzębi jazgot.

*

Ali podziękował Szalonemu Odyńcowi za siłę, jaką ten obdarzył go w walce, i za to, że odsunął od niego szal. Otworzył oczy i wsłuchał się w swój spokojny oddech. Gdyby jeszcze rok temu zdarzyło mu się uczestniczyć w takiej rzezi, krwawy gniew trzymałby go przynajmniej przez jeden dzień, a żaden z członków ich drotu nie byłby bezpieczny. Teraz jednak znał mądrość Wertragny.

Mimo iż opanował aesmę, zanim ta nim zawładnęła, i tak czuł się osłabiony. Może nie był tak wypalony, jak zdarzało mu się dawniej, kiedy po bitwach trzy dni leżał jak nieżywy, ale i tak w tym stanie nie zabiłby zwykłego wilka, gdyby ten wszedł mu w drogę.

Z pewnością przydałaby mu się dłuższa chwila zadumy, która nie tylko uspokajała, ale i przywracała siłę w mięśniach. Świetnie sprawdziłaby się też drzemka lub chociaż zaciągnięcie się hasziszem. Ale na nic z tych rzeczy nie mógł sobie pozwolić, bo rozpraszały go głośne rozmowy i kobiecy wrzask.

– Puszczaj, wieprzu! – zabrzmiało gdzieś za jego plecami.

Domyślił się, że rudowłosa poznała się już na Ainarze. Skald miał niepohamowaną chuć, ale Blamada bardziej martwił hamramir i ten jego

szaleńczy błysk w oku. Berserk nie miał zamiaru dopuścić, by w jego obecności gwałcono i zabijano kobiety. Wstał i poszedł w kierunku towarzyszy.

– Puszczaj, powiedziałam!

Dziewczyna szarpnęła się w objęciach poety i uderzyła go łokciem. Alosza zarechotał rubasznie, a Haukr zapiszczał jak jastrząb.

– Lubię żywiołowe niewiasty – wesoło odpowiedział pieśniarz, szczypiąc ją w tyłek.

Podskoczyła, zarumieniła się, a jej oczy zapłonęły gniewem, ale to tylko dodało jej uroku. Wydawało się, że zaraz wbije Vaeringowi pazury w twarz i wydrapie oczy, ale pojawienie się Alego wszystko zmieniło. Gdy go ujrzała, przestała się wiercić i przytuliła się do Ainara.

Berserk uświadomił sobie, że upačkany krwią musiał wyglądać jeszcze straszniej niż zwykle. Podszedł do najbliższego trupa, zdarł z niego koszulę i wytarł sobie twarz. Strząsnął też z siebie resztki kości i czegoś, co wyglądało na kawałek wątroby, który przykleił się do tygrysiej skóry.

– Jeśli za kimś powinnaś się chować, dziewczyno, to za mną. Obiecałem Wertragnie unikać wszelkich podniet.

Nie wydawała się przekonana. Uśmiech zwykle pomagał wzbudzać w ludziach zaufanie, ale uśmiech Alego tak nie działał. Drużynnik kagana wybrał więc poważny ton głosu.

– Nie zrobię ci krzywdy. Tylko odsuń się od Skalda, bo zwykł zrywać każdy napotkany po drodze kwiat, nie zważając, w którym ogródku rośnie.

Nie usłuchała. Może była głupia i nie zrozumiała ostrzeżenia.

– Widzisz, Blamadzie? Kobiety same do mnie lgną. Skaldzi już tak mają.

– Szkoda czasu – wtrącił Czuryłowicz, przestępując z nogi na nogę. – Rób swoje, Ainarze, bo inni czekają w kolejce.

Haukr chyba się z tym zgadzał, bo wypluł na dłoń kawałek mięsa, który przeżuwał, zapiszczał radośnie i stanął na jednej ręce, popisując się zręcznością. Następnie, walcząc z wiatrem o utrzymanie równowagi, pokazał dziewczynie drugą dłoń, w której trzymał resztki pokarmu.

Wszystko wskazywało na to, że rozpoczynał ptasie tokowanie, by uwieść samiczkę.

Ali widział to już wielokrotnie – u większości mężczyzn podniecenie walką, radość ze zwycięstwa i świadomość, że uniknęło się śmierci, przeradzały się w pożądanie. Niewielu potrafiło opanować to uczucie.

– Mówiłem już. Nie pozwolę na żadne gwałty.

Östmad roześmiał się, ale nie było w tym śmiechu krzty wesołości. Chciał raczej dać sobie czas na zastanowienie.

– Dobrze, już dobrze. Tak sobie tylko żartujemy. Jeszcze nigdy nie wzięłem kobiety bez pytania, choć trzeba przyznać, że zwykle pytam już po wszystkim. Ale jeszcze żadna nie opuściła mojego łóża, narzekając – pieśniarz pochwalił się w swój zwykły bezczelny sposób.

Alosza burknął coś niezrozumiale, a zmiennokształtny zwałił się niezgrabnie na ziemię. Obaj wyglądali na zawiedzionych.

– Jak masz na imię, dziecko? – Zausznik kagana uznał, że najbezpieczniej będzie zmienić temat.

– Nie jestem dzieckiem. Mam już szesnaście lat! A imienia nie zdradzę nieznajomym!

– Mądrze. W takim razie powiedz, co robiłaś sama w lesie?

– Ci gwałciciele kłaczy napadli na moją osadę. Wczoraj, kiedy wszyscy spali. Tylko nieliczni z nas zdążyli wstać i chwycić za broń. A tatko został, żeby bronić naszego domu. A...

Dziewczynie łza zakręciła się w oku. Otarła ją jednak rękawem białej sukienki.

– ...a babunia kazała mi się schować na dachu i nie płakać. To nie płakałam, ale przez dziurę w poszyciu widziałam, jak rozbijają drzwi toporami i wdzierają się do środka. A tatko dzielnie walczył włócznią. I zabił jednego, ale ich było trzech. I... i zabili tatka. A potem...

Tym razem nie udało się jej powstrzymać łez. Berserk miał ochotę przytulić rudowłosą i czule pogłaskać po głowie, ale głupia wołała Skalda, nie zwracając uwagi, że ten objął ją tak, by jego dłoń spoczęła na jej tyłku.

– ...a potem zauważyli moją matkę i babkę, jak stoją z sierpami i widłami w dłoniach. Ale wcale się nie przestraszyli. Jeden zarąbał babinę, a potem rozbroili mamusię i obalili na ziemię. I ja już więcej nie mogłam patrzeć. Uciekłam do lasu, a kiedy tam dotarłam, doścignął mnie dym ze spalonej wioski.

Pociągnęła nosem i otarła twarz o czerwony kyrtyll poety. Vaering nie miał nic przeciwko temu.

– Masz krewnych albo sąsiadów, którzy cię przygarną?

– Nie, nikogo. Nie wiem nawet, gdzie jestem. Całą noc uciekałam po lesie przed tymi bydlakami.

– Musi być jakieś miejsce, w które moglibyśmy cię odprowadzić. Dokąd chciałaś uciec?

– Sama nie wiem. Może, może... Mówią, że w grodzie Kola Małego zawsze znajdzie się miejsce dla sieroty.

– Zaraz, zaraz... – wtrącił się wysłannik veche. – Chyba o tym nie myślisz, Blamadzie? Nie będziemy nikogo niańczyć. Mieliśmy poruszać się niepostrzeżenie i szybko. To nie jest wyprawa dla kobiet.

Z pewnością nie była, co Ali sam przyznał w myślach. Dziewczyna wyglądała na zdrową i silną, więc pewnie nie opóźniałaby ich marszu, do tego kobiety w tej krainie słynęły z wytrzymałości, ale wspólna podróż z czterema wyposzczonymi drengami zwiastowała same kłopoty. Syn dżungli nawet sobie nie ufał. Co prawda kapłani Wartregny nauczyli go, że aby opanować własny gniew, trzeba najpierw trzymać na wodzy wszystkie inne namiętności, ale przecież nie nakazali mu całkowitej wstrzemięźliwości. Zresztą nikt mu nie musiał mówić, że okresowe uwalnianie nasienia pomaga się odprężyć. W Serklandach dowiedział się nawet, że to przez nadmiar białej krwi w organizmie mężczyzna staje się niespokojny.

– Przecież nie zostawimy jej samej w lesie. Nasz kagan, Tirus Wielki, nakazuje opiekę nad każdą słabą istotą w potrzebie. Obowiązkiem jego posłańców jest uratowanie tej dziewczyny przed bestiami zamieszkującymi puszcę.

– My nie rozumiemy – jak zwykle od rzeczy wtrącił hamramir, który powrócił do odprężania się na trupie i pogryzania koniny. – Las to najlepsze schronienie. Można się wspiąć na drzewo i tam nikt nie dosięgnie ptaszyny.

– Jeśli o mnie chodzi, może iść z nami. – Skald nie próbował nawet ukrywać, dlaczego tak się o nią troszczy. Gdy mówił, cały czas wpatrywał się w jej odsłonięty dekolt. – Przynajmniej dopóki będzie dotrzymywać nam kroku. Mój kyrtil wymaga drobnej naprawy po ostatniej walce, a wszyscy chętnie skosztowaliby strawy przyrządzonej kobiecą ręką. Zresztą lepiej zabrać ją ze sobą, niż pozwolić, by biegała po okolicy i rozpowiadała o naszym przybyciu.

– Czy to znaczy, że wy też idziecie szukać schronienia w Treborgu?

Rudowłosa wyglądała na uszczęśliwioną. Jeszcze szerzej otworzyła swoje czarne oczęta i z nadzieją popatrzyła na nich wszystkich. Nawet Haukrowi poświęciła chwilę uwagi, a Alemu posłała nieśmiały uśmiech.

– Można tak powiedzieć, dziecinko – odpowiedział czarny drużynnik, w ostatniej chwili powstrzymując się przed odwzajemnieniem uśmiechu.

– Zatem musicie mnie ze sobą zabrać!

– Czekaj, czekaj – ostudził ją Alosza. – Teraz, jak się nad tym zastanowię, przypominam sobie opowieści dziadunia, sławnego skazitela – opowiadacza historii – o rusalkach, dziwożonach i innych wilach, które zamieszkują lasy i jeziora. Te biesy wabią wędrowców gołymi cyckami, zaciągają do swojego leża i wysysają krew jak pijawki, aż duch z nich całkiem ujdzie. Albo topią w głębokiej wodzie, by potem chłodzić się zimnymi ciałami ofiar w upalne dni lata. Ona może być jedną z nich!

– My też znamy opowieść o ptaszynie z kolorowymi piórami, która pięknym śpiewem wabi ptaki tylko po to, by pożreć ich serca. Ale najpierw odbywa z nimi gody. Słyszeliśmy też o wilczycy, która nawołuje drengów, by ją pokryli, a potem odgryza im męskość.

Wycie wilka rzeczywiście słyszeli przed walką, ale nikt nie potraktował poważnie ostrzegawczego bełkotu hamramira. Blamad przypomniał sobie

jednak historię o sili, zasłyszaną w Serklandach. Ta demoniczna wiedźma miała całymi nocami ostrzyć zęby na kamieniu, a podczas dnia wabić pielgrzymów prośbami o obronę przed wilkiem. A kiedy jakiś nieszczęśnik jej ulegał, zmuszała go do obłąkańczego tańca, aż padł z wyczerpania. Wtedy wysysała z niego krew i ogryzała ciało aż do kości. Tyle tylko, że sile spotykano na pustyni, a w odbiciu w wodzie ukazywały swoje prawdziwe oblicze: ciało wielbłąda o ludzkiej twarzy i rękach, rybim ogonie i czuprynie zielonych włosów. Ali jakoś nie mógł sobie wyobrazić, by rudowłosa mogła się okazać taką szkaradą, szczególnie że odbicie jej stópki, które dostrzegął w leżącym obok dziewczęcej nogi ostrzu topora, nie wykazywało zwierzęcych skaz.

– Wierzcie mi. Jestem Skaldem i znam się na bujnej wyobraźni. Syreny, morskie fale czy rusałki wszędzie nawiedzają znudzonych wędrowców. Opowieści takie spotkałem w wielu krajach, a niektóre z nich sam wymyśliłem, by umilić sobie samotność. Dowodzą jednak tylko jednego: wyposzczony mężczyzna rozłoży nogi największej szkarady, nawet jeśli miałyby to przypłacić życiem.

Głupiutka dziewczyna przysłuchiwała się temu z rosnącym strachem, jakby nie mogła uwierzyć, że to ją podejrzewano o takie okropieństwa. Na wzmiankę o rozkładaniu nóg strząsnęła rękę Skalda ze swojego tyłka i przybrała wstydliwą pozę, jedną ręką zakrywając piersi, a drugą łono, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę ze swojej kobiecości.

– Jak możecie! Jesteście tacy jak ci miłośnicy kłacz!

– Nie denerwuj się, dziecko – uspokoił ją berserk. – Mówiłem już, że nikt cię nie skrzywdzi.

Ruda wahała się jeszcze przez chwilę, ale w końcu puściła się biegiem. Poeta próbował złapać ją za włosy, ale szybko schowała się za plecami Alego.

Blamad w końcu mógł się uśmiechnąć, choć nie do dziewczyny, tylko do swoich drottmadów.

– Ainar ma rację – powiedział pojednawczo. – Nie dajmy wiary chłopskim opowieściom. Z pewnością nikt tu nie ma ostrzejszych zębów

niż ja.

– Nie rządzisz nami! – Vindmad nie dawał się przekonać. – Lepiej będzie, jak zajmiemy się dziewczyną na miejscu, a potem zadbamy, by nikomu nic nie zdradziła.

– To może zrobimy tak – zaproponował pieśniarz. – Poszukamy tej wioski i jeśli rzeczywiście została spalona, czyli dziewczyna mówiła prawdę, odprowadzimy ją do Treborgau.

– Postanowiono zatem – szybko odpowiedział czarny wojownik, nim ktoś zdążył zaprotestować.

Usłyszeli wycie wilka. Tym razem znacznie bliżej. Zważywszy na to, że znajdowali się w środku puszczy, nie było w tym niczego niezwykłego. Dziwne było jednak to, że zewowi wilka odpowiedziały ryk tura i kwik dzika.

– Powinniśmy już iść – Jastrząb potwierdził obawy towarzyszy. – Hamramirzy są niedaleko.

Nikt nie musiał nikogo pospieszać, a wcześniejsze podniecenie przeszło u wszystkich w chęć zmęczenia ciała szybkim marszem.

12

Przysłali Wilka, Dzika i Tura. Spryt, węch oraz siła. Haukr i Hedin pomyśleli, że ich bracia okazali się przezorni.

Ich nowe stado ze Skaldem na czele wciąż miało przewagę, ale ludzie nie potrafili się tak szybko przemieszczać jak Jastrząb. Nawet powolni Dzik i Tur byli w stanie dogonić człowieka. Haukr i Hedin musieli coś zrobić dla swoich powolnych braci.

Zeskoczyli z drzewa przed Ainarem, który biegł na przedzie drottu. Czarny Berserk, który odrzucał swoją naturę, zamykał pochód, a młody łucznik prowadził rudą ptaszynę, mamrocząc przekleństwa.

– Nie uciekniecie im – powiedzieli Ainarowi, zrównując z nim krok.

– A kto tu ucieka? – warknął Skald. – Po prostu chcę rozciągnąć nogi.

Jastrząb i Płaszcz potrafili to zrozumieć. Oni też lubili ścigać się z wiatrem. To było prawie tak dobre jak latanie.

– Słyszymy, jak biją serca. Twoje i Alego są spokojne. Ale ptaszyny i Aloszy kołatają w piersi niczym u zwiewającej sarenki. Powiedz im, że Dzik, Wilk i Tur żyją w swoim lesie i niechętnie go opuszczają. Gdy dotrzecie w góry, będziecie bezpieczni.

– Błyskotliwe spostrzeżenie. Lepiej mi powiedz, co hamramirzy robią tak blisko wzniesień?

– Myślimy, że to przypadek, ale może celowo tu polują, wysłani przez małego pana? Nie wiemy. Jesteśmy wszakże przekonani, że Wilk i Dzik z daleka wyczują zapach rzezi. Żaden z nich nie oprze się krwi, a kiedy znajdą trupy, wpadną na wasz trop i zaczną pościg.

– Czyli norny znów popiły i krzywo szyją tkaniny naszego życia.

– Göllnir dał nam szaleństwo, byśmy się śmiali z wyroków przeznaczenia. Pomożemy wam. Niedaleko stąd jest strumyk, który zaprowadzi was prosto pośród turnie. Idźcie wodą i starajcie się nie śmierdzieć. I niech nikt z was nawet nie myśli o sikaniu czy krwawieniu.

– Co chcesz...

Człowiek i ptak już nie słuchali poety. Powiedzieli, co było trzeba. Pieśniarz był ofiarnikiem Göllnira, musiał więc znać odpowiedź. Wiedzieć, że dary Bitewnego Krzyku nie są za darmo.

Skoczyli wysoko i wspięli się na drzewo.

Na czubku buka wiatr przyjemnie smagał twarz. Orzeźwiał umysł i przypominał o czasach, kiedy jeden z nich szybował w przestworzach, unosząc się na podmuchach Karego, pana wiatru. Nie mieli jednak czasu na przyjemności.

Posiadali doskonały wzrok i słuch. Na wschodzie dostrzegli dym z jakiejś chaty, a na zachodzie drżenie gałęzi w miejscu, gdzie dokonali rzezi. Usłyszeli też ryki i dzikie wycia. Wiedzieli, że Wilk, Dzik i Tur

odnaleźli zwłoki i właśnie szaleją wśród nich, rozbijając łbami okoliczne pnie, ryjąc ziemię i miażdżąc ciała. Musiało minąć trochę czasu, zanim hamramirzy przezwyciężą zapach krwi i będą w stanie skupić się na nowym tropie. To dawało czas ptasiemu myśliwemu i gospodarzowi, który dzielił z nim głowę.

Przeskoczyli na kolejne drzewo, a potem na następne. Tak posuwało się wolniej niż po ziemi, ale przynajmniej skoki przypominały latanie. Widzieli wszystko i sami byli niewidoczni. Zbliżali się do zwierzyny.

Las był dla nich pełen dźwięków, jak zawsze wczesnym latem. Tam dzięcioł, największy szaleniec spośród ptaków, walił głową w drzewo, gdzie indziej wróble ćwierkały na kraczącą wronę. W dziupli rozmnażały się wiewiórki, a w jamie borsuk chrupał chrząszcza.

Wyczuwali jastrzębiego brata w koronie dębu. Czasem ptaki mówiły im, co widać z przestworzy, ale większość odzywała się niechętnie i tylko wtedy, gdy same tego chciały. Jastrzębie to samotni łowcy i nie lubią pomagać, nawet swoim pobratymcom. Ten też nie był rozmowny, gdyż czał się na zdobycz. Nie przeszkadzali mu zatem.

Odbili się od konaru, chwycili gałęzi jesionu, rozhuścili się, zrobili przewrót w powietrzu i zawisli na kolejnym drzewie. Nie mieli już skrzydeł i nie byli tak zwinni, jak ich bracia szybujący w przestworzach, ale to niezgrabne ludzkie ciało dawało im siłę i wytrzymałość.

Woleliby poruszać się wierzchołkami drzew, lecz tam gałęzie były zbyt cienkie. Mknęli więc po konarach. Na swój sposób było to wygodniejsze. Wstydlive drzewa latem ubierały się w taką ilość liści, że nawet ptakom trudno było się wśród nich poruszać.

Przemykali nad kwitnącymi w dole kwiatami i dojrzewającymi jagodami. Te ostatnie przypomniały im o krwi. Jej zapach nie doprowadzał Haukra i Hedina do takiego szaleństwa jak innych hamramirów, ale i ich pobudzał. Czuli podniecenie po ostatniej walce i to dodawało im sił.

Usłyszeli ryk, wycie i kwik. Dawni bracia w końcu przezwyciężyli szal i chwycili trop. Ptak i człowiek musieli się spieszyć.

Konar dębu okazał się kruchy i prawie zdradził ich obecność. Zdołali

przeskoczyć na następne drzewo i znaleźli się na brzegu lasu. Mogli teraz dokładnie przyjrzeć się swojej zwierzynie.

Kobieta i mężczyzna siedzieli przed ziemianką. Ona ubijała mleko na ser, on naprawiał radło. Obok bawiły się pisklaki. Blondwłosa dziewczynka przycupnęła na pniaczku i namawiała drewnianą figurkę do napicia się mleka, a dwaj trzyletni chłopcy walczyli na kije, do których poprzywiązywali pokrzywy. Wszyscy byli weseli i cieszyli się swoim towarzystwem, korzystając z ostatnich promieni zachodzącego słońca.

Hedin wspominał przez chwilę własne dzieciństwo, ale zawstydził się swojej słabości, słysząc jazgot Haukra. Człowiek schował się głęboko w ich głowie i pozwolił, żeby Jastrząb został sam i zrobił, co trzeba.

Ptak z ludzkim ciałem dobył szponów i zeskoczył na trawę. Wylądował miękko, tak że nikt nie podniósł wzroku. Dopadł kobietę w kilku susach i wbił jej noże w kark, nim zdążyła pisnąć. Mężczyzna próbował zasłonić się radłem, ale nie potrafił odwlec nieuniknionego. Haukr z łatwością odnalazł drogę pod drewnianą rączką i musnął go szponem po gardziółku.

Pisklaki były dzielne. Próbowały bronić rodziców, tłukąc Jastrzębia kijami. Szaleniec nie zabił chłopców i dziewczynki, lecz tylko ich odepchnął, przez wzgląd na człowieka w swej głowie. Hedin czasem miewał takie dziwactwo, że gniewał się na Jastrzębia za niepotrzebne okrucieństwo. A niezbędne były tylko dwa czerepy i wiele, wiele krwi. Oraz trochę wnętrzności.

Szpony były ostre, więc Jastrząb z łatwością poradził sobie z głowami. Miękkie brzuchy rozpruły się przy lekkim nacięciu. Zdjął z mężczyzny koszulę i zapakował w nią flaki. Zdarł z kobiety sukienkę i namoczył ją we krwi. Podniósł za włosy ucięte głowy. Był gotowy do drogi.

Dzieci płakały, nie wiedząc, co robić. Nieopierzone pisklaki.

Haukr pozwolił człowiekowi na jego kaprys. Hedin wyszedł z ukrycia i znów było ich dwóch w jednej głowie.

– Jeśli chcecie żyć, zmyjcie z siebie krew rodziców i uciekajcie do lasu. Za chwilę zjawią się tu potwory – ostrzegli obaj zgodnym głosem.

Tyle mogli dla nich zrobić. Jeśli pisklaki okażą się mądre, znajdą w swoich głowach takie miejsce, w którym się ukryją i zapomną, co widzieli.

Pobiegli, zostawiając dzieci za plecami. Nie mogli już korzystać z drzew, bo obie ręce mieli zajęte. Schowane szpony trochę im przeszkadzały, kalecząc nogi, ale i tak byli szybcy. Ból dodawał sił. Nawet ten głupi Ulfhedin, wilczy człowiek z hamramitrskiej sfory, nigdy nie potrafił ich prześcignąć.

Kierowali się w stronę przeciwną do gór. Znaczyli trasę smuzką krwi. Od czasu do czasu uderzali szmatą o drzewo, pozostawiając na korze czerwony ślad. Przy jesionie upuścili wątrobę, a przy grabie żołądek. Na stokrotkach ułożyli trzustkę, przeganiając motyle i pszczoły. Młody buk obwiązali jelitami. Żaden szaleniec nie zdoła się oprzeć zapachowi posoki i flaków – dawni bracia podążą tą drogą rzezi, by chłonąć zapach juchy, świeżych pąków oraz kwitnących kwiatów.

Usłyszeli ryk, wycie i kwik. Inni hamramirzy znaleźli już świeże trupy. Człowiek w głowie Jastrzębia wyraził głupią nadzieję, że dzieci zdążą uciec, zanim bestie wpadną w szal mordu.

Biegli, znacząc ziemię posoką, aż słońce znikło za horyzontem. Ciemność nie bardzo im przeszkadzała, a zresztą gwiazdy rozświetlały niebo.

Na koniec zostawili sobie głowy. Każdą z nich trzymali w osobnej ręce za długie włosy. Z przeciętych szyj zwisały żyły, strzępy skóry i fragmenty kręgow. Czerepy obijały się o ziemię, zahaczając o wystające kamienie oraz gałęzie i zmieniając się w czerwone kule ze zmiażdżonymi nosami, mętными oczami i odstającymi ochłapami czegoś, co kiedyś było uszami.

W końcu znudziła im się ta zabawa, a wiedzieli również, że towarzysze powinni już dotrzeć do gór. Postanowili wszakże zgotować swoim byłym braciom hamramirom jeszcze jedną niespodziankę. Zagadkę. Niech pogłównują, komu zawdzięczają ten wieczór pełen wrażeń i gdzie znajduje się ten, kto wodził ich za nos.

Wskoczyli na gałąź dębu i zaczęli się wspinać. Przy wierzchołku znaleźli odpowiednie gałęzie i nabili na nie głowy ofiar. Wilkowi zajmie trochę

czasu, zanim się zorientuje, gdzie urwał się ślad krwi.

Pozbywszy się ciężaru, mogli wrócić do ulubionego sposobu przemieszczania się po lesie. Przeskoczyli na następne drzewo, a potem na kolejne. Po drodze znaleźli strumyk, zmyli z siebie słodkawy zapach śmierci i wytarzali się w błotnistej ziemi.

Pachnąc już tylko lasem i człowiekiem, zawrócili w stronę gór, wybierając okrężną drogę, by uniknąć spotkania z byłymi braćmi, potworami.

13

Choć każdy z nich zdążył podczas tej podróży znienawidzić wzniesienia, wszyscy ucieszyli się, gdy rozpoczęli wspinaczkę, a pod nogami poczuli kamieniste podłoże. Ognista Sol, córka olbrzyma Mundilfarego, ustąpiła na niebie miejsca swojemu bratu Manemu, obecnie mającemu prawie pełne oblicze na tle nocnego mroku. Tymczasem tutaj, w świecie ludzi, odgłosy pościgu zaczęły się oddalać. To oznaczało, że byli bezpieczni, a hamramir dokonał tego, co obiecał.

Ainar domyślał się, co planował Haukr, a z miny Alego wyczytał, że i on zdawał sobie sprawę, jak można odciągnąć drapieżnika od zwierzyny łownej. Tylko Alosza w swojej młodzieńczej głupocie dopytywał się, gdzie poszedł Jastrząb, a dziewczyna nieśmiało mu wtórowała, choć widać było, że raczej cieszy się z nieobecności ich przewodnika.

Ruda radziła sobie całkiem nieźle. Jak każda tutejsza kobieta była silna i nie odstawała w marszu od towarzyszy. Po drodze minęli spaloną wioskę, co potwierdziło historię o wymordowaniu rodziny uratowanej panny. Jak dotąd nikogo też nie pogryzła, a odbicie kobiety w strumyczku wyglądało tak samo pięknie i kusząco jak jej ciało. Zdradziła im wreszcie swoje imię, Czerniawka, które pasowało do córki prostego smerda. Wprawdzie podejrzenia wzbudzała jej biegła znajomość mowy Vaeringów, ale

wytłumaczyła, że choć ojciec był zwykłym rolnikiem, w młodości wiele podróżował i handlował z przybyszami z Północy. Miał też taką nietypową zachciankę, że uczył córkę wszystkiego, co umiał, gdyż nie doczekał się syna.

Ali niezbyt długo cieszył się powodzeniem u dziewczyny. Wystarczyło, że Ainar uśmiechnął się, mrugnął okiem i zatańczył brwiami, a przybiegła szukać jego opiekuńczego ramienia. Żadna kobieta nie mogła oprzeć się mistrzostwu w składaniu strof, bystrości umysłu Skalda i jego szczupłej, choć umięśnionej sylwetce. Naznaczona bliznami twarz poety może nie uchodziła za piękną, a kiedy się uśmiechał, drengowie zwykli sięgać po broń, ale biła z niej męskość i pewność siebie, które sprawiały, że każda niewiasta chciała dostać od niego klapsa. Dlatego to przy jego boku szedł teraz rudzielec, na co Blamad spoglądał spode łba.

Pieśniarz znał się na dobrych obyczajach. Zawsze puszczał dziewczynę przodem i pomagał jej pokonać trudniejsze przeszkody, podtrzymując ją za tyłek. A było za co chwycić.

Trzymał się blisko niej jeszcze z jednego powodu, który ukrywał przed towarzyszami. Od jakiegoś czasu miał problem z widzeniem po zmroku. Otoczenie się zamazywało i mimo iż gwiazdy dawały dużo światła, dostrzegał wyraźnie jedynie to, co działo się w odległości kilku kroków od niego. Wspomnił słowa drauga, z którym kiedyś walczył – ówże żywy trup straszył go tęsknotą za słońcem i strachem przed ciemnością. Ainar wprawdzie w dalszym ciągu nie lękał się niczego, jednak czuł się pewniej za dnia. Jego kłopoty ze wzrokiem nasiliły się po spotkaniu z Mødulem. Przeklęty karzeł musiał mieć z tym coś wspólnego, podobnie jak z dziwnym snem o krwistej topielczynie, który prześladował Vaeringa co noc.

Obawa przed hamramirami, którą odczuwali drottmadowie, nakazywała im maszerować pod górę jeszcze długo po wschodzie Księżyca. W końcu nadeszła jednak chwila, kiedy wycie Wilka, ryk Tura i kwik Dzika ustały, a wędrowcy dotarli do osłoniętej przed wiatrem kotlinki, przez którą płynął strumyk. Mogli trochę odpocząć.

Rozłożyli się nad wodą. Skald z dziewczyną usiedli na kamieniach, a Ali

i Alosza natychmiast do nich dołączyli. Zdumiewające, jak kobieta potrafi połączyć oddział – przeszło przez głowę Östmadowi. – A pomyśleć, że niektórzy saekonungowie, morscy władcy, uważają, że kobieta w drużynie to same kłopoty.

Ainar od dłuższego czasu planował, jak rozegrać sprawę z panną. Najprostszego rozwiązania, wzięcia jej siłą, wcale nie rozważał – i to nie ze względu na groźby Blamada. Naprawdę nigdy nie musiał zmuszać dziewczyny, by zaspokoiła jego potrzeby. Berserk stanowił jednak kłopot, gdyż sam miał wyraźną chrapkę na rudowłosą. Poeta postanowił to wykorzystać.

– Możecie się przespać. Najdzielniejszy spośród dzielnych weźmie pierwszą wartę – powiedział głośno, podnosząc się z ziemi. – Hamramirzy mogą być jeszcze blisko.

– Siadaj, Skaldzie. Tylko berserk potrafi stawić czoło szalonemu wojownikowi.

Pieśniarz usłuchał, uśmiechając się pod nosem. Zawsze można było liczyć na chętność mężczyzny, który chce zajrzeć pod niewieścią spódnicę. Człowiek to nie ptak z kolorowym ogonem, ale i tak wie, że przed kobietą należy się popisywać.

Pozostał Czuryłowicz, ale z nim poszło Vaeringowi jeszcze łatwiej, bo w młodym wieku myśli się tylko o jednym. Ainar pokazał mu na palcach dwa i mrugnął znacząco. Vindmad uśmiechnął się i poszedł za drzewa, by czekać na swoją kolej, choć poeta chciał mu tylko pokazać, że podnosi swoją stawkę za uczestnictwo w wyprawie o jeszcze dwie sakiewki.

– Zmierzacie zatem do Treborgau – zaczęła rozmowę ruda, kiedy zostali sami. – A przed kim chcecie się tam schować?

– Dziecinko. Zwą mnie Ainarem Skaldem, największym pieśniarzem Północy. Ja przed nikim się nie chowam – odpowiedział, gładząc ją po ramieniu.

– Aha. To pewnie ochraniasz swoich towarzyszy, którzy szukają opieki kagana.

– Nie. Opieka jest raczej potrzebna tym, kto wchodzi w drogę moim druhnikom. Wielu drengów w życiu widziałem, ale ci tam, nawet ten młody łucznic, to prawdziwi rzeźnicy bitewnego pola, godni drapy.

– No to czego tam szukacie?

– Nie uwierzysz, kiedy ci powiem. Szukamy dziewczyny o złotych włosach, przy której klejnoty wydają się tylko szarymi kamyczkami. Chcemy ją zapytać, jak wyhodowała sobie te loki, a potem spróbować użyć tego sposobu na Alim. Kiedy łysina tego biedaczka pokryje się złotą szczecina, wszyscy czterej będziemy bogaci.

– Chi, chi – rudzielec słodko zachichotał. – Gdybym ja miała włosy ze złota, bym je sobie ucięła i kupiła dom dla mojej rodziny.

Śmiech przeszedł w smutek, gdy przypomniała sobie, co stało się z rodzicami.

– Nie płacz, głupia. Nikt nie zna ściegu, jakim szyją norny. Możemy się tylko śmiać, patrząc na jego zawijasy.

Dziewczyna zadygotała z zimna, więc objął ją ramieniem.

– Zatem nie jesteście zalotnikami? Bo słyszałam, że po złotowłosą córkę kagana ściągają wojownicy ze wszystkich stron świata.

Wiedział o kobietach dość, by zdawać sobie sprawę, że przyznanie się do zaręczyn z inną skutecznie wysusza studnię między ich udami. I nie miało znaczenia, że starał się o rękę Ingigerdy dla kagana, a nie dla siebie.

– Nie, dziecinko. Moje serce jest wolne i gotowe na miłosne przygody. Bo Göllnir obdarzył mnie nie tylko mistrzostwem miodowych mów, ale i biegłością w wychwalaniu kobiecego piękna.

– Jesteś więc pieśniarzem? Możesz mi coś zarecytować?

Nawet mroczne i krwawe wisy, wersy o walecznych czynach, zmiękczały nogi kobiet. Skaldyczne umiejętności najlepiej doceniali konungowie i kobiety, z czego Ainar bezustannie korzystał, dlatego zawsze miał w pogotowiu kilka zgrabnych strof. Teraz jednak postanowił skorzystać z tych lżejszych.

Skald zapragnął skarbu
schludnie schowanego
w nogach niecnej niewiasty.
Miecz chwycił więc mężnie
chwyt hulankom hołubiący
i dziabnął tarczę dziewicy.

Zgodnie z oczekiwaniami ruda zarumieniła się i zatrzepotała rzęsami.

– Jeszcze nigdy nie ułożono dla mnie strofy! To najlepszy podarunek, jaki dostałam – odpowiedziała nieśmiało. – Jesteś inny niż większość mężczyzn. U nas w wiosce chłopcy myśleli tylko o tym, żeby mnie zaciągnąć na siano. Nawet na słowa powitania ledwo się silili.

– Nie może być. – Poeta udał zdziwionego. – Takiej piękności należy układać wisy godne władców.

– Naprawdę uważasz, że jestem ładna?

To było za łatwe. Pieśniarzowi przemknęło nawet przez myśl, że panna zachowuje się zbyt wzorcowo, jakby była ożywieniem młodzieńczych marzeń sennych. Zapomniał wszakże o tych wątpliwościach, gdy jeszcze raz spojrział na jej pełne piersi. „Umiera bydło, umierają krewni i ty sam umrzesz. Ale jedna rzecz nigdy się nie zmieni: męski zachwyt nad kobiecą dupą” – mawiała mu babka i Vaering po raz kolejny przekonał się, że mądra z niej była kobieta.

– W całym Glaesirze nie spotkałem żadnej, która mogłaby się z tobą równać.

Czerniawka ponownie zachichotała, odsłaniając bielutkie i równe zęby.

– Wiesz... Tam, na polu bitwy, chcieliście wziąć mnie siłą. A ja jeszcze nigdy, no wiesz...

– Wiem, dziecinko – odpowiedział, kładąc jej rękę na tyłku i całując w ucho.

– Ale ja bym chyba chciała, żebyś był moim pierwszym. Jesteś taki delikatny, a to podobno strasznie boli.

– Nic a nic – skłamał. – To tylko sama słodycz.

– To...

Nie dał jej dokończyć, całując w usta. Prawie natychmiast mu odpowiedziała. Rozłożył ją na mchu i rozwiązał spodnie. Przykrył ją własnym ciałem i wszedł w nią w pozycji, w jakiej wyznawcy Krista nawracali czcicielki starych bogów. Poszło mu nadzwyczaj łatwo, jakby nie była niewinną dziewczyną, ale przypisał to swojej sprawności.

Chłonał jej wilgoć, a ona wiła się pod nim i jęczała jak doświadczona w dawaniu opłaconych rozkoszy córka bogini miłości Gefny. Musiała być więc jedną z tych, które się szybko uczą. Pachniała lasem. Tarmosił jej piersi i wypędzał z niej niewinność. Po kilkudziesięciu pchnięciach skończył, a ona uśmiechnęła się do niego z mieszanką lubieżności i nieśmiałości, jak to bywało z kobietami, które nie chciały się przyznać, że cielesne zbliżenie im się podobało.

Zszedł z niej i położył się na plecach. Pozwolił, by dziewczyna wsparła głowę na jego piersi. Zasnął prawie natychmiast.

Ali wiedział, że dał się nabrać Skaldowi, ale nie mógł nic na to poradzić. Ktoś musiał pilnować obozu, a zważywszy na niebezpieczeństwo ze strony hamramirów, właśnie on nadawał się do tego najlepiej. Zawsze miał dobry wzrok i słuch.

Mógł powstrzymać towarzyszy przed gwałtem, ale nie było jego sprawą, jeśli dziewczyna sama chciała się oddać poecie. Głupota jest nieuleczalna.

– Trudno cię dostrzec w tych ciemnościach – dobiegł go dziewczęcy głos.

Zaskoczyła go, bo choć wprawdzie usłyszał ją i rozpoznał jej chód na długo przed tym, jak się odezwała, przypuszczał, że szła tylko za potrzebą.

– Co tu robisz? Znudziło ci się towarzystwo Ainara?

– Tak. Okazało się, że niczym nie różni się od innych mężczyzn. Próbował się do mnie dobierać!

– Nie do pomyslenia.

– Śmiejesz się ze mnie? Może i jestem tylko prostą dziewczyną, ale mnie też można zranić. Pójdę już.

– Zostań, jeśli chcesz – powiedział odrobinę za szybko. – Co dwie pary oczu to nie jedna. Pomożesz mi wypatrywać niebezpieczeństw.

– Naprawdę? Mogę? Dziękuję!

Stali przez chwilę w milczeniu. Ali nigdy nie umiał rozmawiać z kobietami, bo i rzadko spotykał takie, z którymi warto byłoby pogadać. Swoją żonę poślubił, bo tak życzyli sobie ich ojcowie, ale nawet gdy już zamieszkali we wspólnej chacie, zajmowali się bardziej obowiązkami niż gawędziarstwem.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za ochronę. Wiem, że na placu boju uratowałeś mnie przed czymś strasznym... Ale wyglądałeś wtedy tak przerażająco, że to ciebie bałam się najbardziej. Czasem bywam strasznie głupia.

– Po prostu jesteś młoda. Nie przejmuj się.

I znów zapadła niezręczna cisza.

– Jeśli chcesz, mogłabym ci się odwdziaczyć – powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. – Mama uczyła mnie, jakie obowiązki ma kobieta.

– Co robisz? – zapytał zaskoczony.

– Ja... Och, przepraszam. – Cofnęła rękę i przytuliła ją do piersi. – Pomyślałam, że będziesz chciał mnie wziąć. Mężczyźni tego zwykle oczekują od niewiast. Ależ jestem niemądra. Jesteś gridinem Tirusa Wielkiego, więc pewnie nie podobają ci się biedne smerdowskie baby.

– Nie, to nie tak. Jesteś bardzo urocza. Po prostu łatwo się denerwuję i wolę unikać okazji do wpadania w gniew.

– Rozumiem – odpowiedziała ze łzami w oczach. – Chociaż zawsze chciałam, by ten pierwszy raz był z kimś tak męskim i stanowczym jak ty.

Poza tym myślałam, że gdy stanę się twoją kobietą, nie pozbędziecie się mnie przy pierwszej okazji. Bo teraz już wiem, że Skald mnie przygarnął tylko po to, by ze mną zlegnąć.

– Nie martw się tym. Obiecałem odstawić cię do Treborga i tak zrobię.

– Ach, dziękuję – powiedziała i wtuliła się w jego nagi tors.

Poprzez cienki materiał sukienki poczuł dotyk sterczących sutków. Ciepło ciała pannicy przeszło na niego i zaczęło krążyć w jego żyłach. Serce niebezpiecznie przyspieszyło, a mięśnie mimowolnie się naprężyły. Czując to, głupia dziewczyna nie tylko nie uciekła, ale jeszcze mocniej się przytuliła.

– Lepiej będzie, jak już pójdiesz – ostrzegł ją przez zaciśnięte zęby.

– Przecież widzę, że chcesz, bym została. Nie boję się już ciebie.

Rozdarł jej sukienkę, oparł pannę o pień sosny i wszedł w nią, nie zwracając uwagi na krzyki i protesty. Oczy zaszyły mu mgłą, a otoczenie przybrało odcień czerwieni. Zaciśnął pięść i z całej siły walnął o drzewo, odłupując spory kawałek kory. Poprawił drugą pięścią. Szał wyciągnął swoje macki i zaczął odbierać mu rozum. Uderzał dalej, aż część pnia powyżej głowy rudej została ogołocona z kory, a z pięści pociekła krew. Igły trzęsły się na gałęziach, a młode szyszki spadały u stóp dwojga ludzi. Ból jeszcze zwiększył podniecenie berserka, ale ten wiedział, że tylko go powiększając, nie skrzywdzi dziewczyny. Ta zresztą zdawała się czytać mu w myślach, gdyż wbiła paznokcie w jego plecy i zaczęła je rozorywać.

Skończył, rycząc w noc jak dzikie zwierzę. Tego rodzaju szal przynajmniej łatwo uchodził. Natychmiast opadło z niego napięcie i usłyszał w swojej głowie napomnienie kapłanów Wertragny, że znów stał się niewolnikiem podniety i skrzywdził niewinną kobietę. Ale przynajmniej teraz stanie się mniej drażliwy i przez jakiś czas łatwiej mu będzie się opanowywać.

– Nie podoba mi się ta ptaszyna – powiedział Jastrząb wewnątrz ich głowy.

– Pachnie lasem i ma tyle mięska w miejscach właściwych dla ptaszyny – odpowiedział człowiek o imieniu Hedin.

– Samica powinna być większa i silniejsza od samca. Tak zawsze bywa u jastrzębi.

– U ludzi może być odwrotnie. Słabszą ptaszynę łatwiej zatrzymać przy sobie.

– Ludzie są głupi. Nie wiedzą, że ptaszyny bywają tak samo drapieżne i sprytne jak ptaki.

– Ptaki są niemądre. Ludzie to wiedzą, ale lubią drapieżne kobiety.

Zgadzał się za to co do otoczenia – nie podobało im się nic a nic. Mało drzew, a jeśli już jakieś się zdarzały, to tylko iglaki o cienkich gałązkach, które nie były w stanie utrzymać ciężaru ptaka i człowieka. Dlatego musieli zadowolić się wysoką skałą, która tkwiła przy obozie rozbitym przez ich drott. Haukr i Hedin wspięli się na nią akurat, by zobaczyć, że ptaszyna grzeje Ainara pod derką. Kochankowie piszczeli i sapali cichutko, tak że tylko dzięki jastrzębiemu słuchowi podglądacze mogli ich usłyszeć. Inni druzymnicy w ogóle nie zdawali sobie sprawy, że rudowłosa robi piskłaki ze Skaldem. A poeta też nie okazał się przewidujący – po wszystkim od razu zasnął i nie zobaczył, jak ptaszyna denerwuje Alego. Pieśniarz przebudził się dopiero, gdy berserk zaryczał.

– Myślisz, że zabawi się i z nami? – zapytał człowiek wewnątrz głowy hamramira.

– Ona mi się nie podoba. Lepiej chodźmy zapolować – odpowiedział Jastrząb, choć czuł, że tym razem musi ustąpić Hedinowi.

Zeskoczyli i zakradli się do dziewczyny, która wracała do swojego posłania. Gdy ich zobaczyła, stanęła zaskoczona, ale wcale nie wydawała się bać. Stanęli dla niej na jednej nodze, rozłożyli ręce i pomachali swoimi pokraccznymi skrzydłami. Ptaszyna się zaśmiała. Oni też zajazgotali.

Chwycili ją za gardziółko i zaszli od tyłu. Szarpała się i udawała niedostępną jak prawdziwa jastrzębica.

– Zostaw ją! – krzyknął Ali.

Wiedzieli, że się zbliża, ale myśleli, że chce tylko popatrzeć. Jego reakcja ich zdziwiła. Czarny wojownik z potworną siłą chwycił ich za kurtki, podniósł i rzucił na odległość kilku kroków. Polecieli szerokim łukiem i zgrabnie wylądowali na ugiętych nogach. Przez chwilę chcieli odsłonić szpony, ale uznali, że drużynnik kagana chce tylko po przyjacielsku zaważać o prawo krycia ptaszyny. Odpięli więc pochwy z nożami.

Podbiegli do konkurenta, trzymając ręce przy ziemi.

Zanurkowali pod wyciągniętym do ciosu lewym ramieniem berserka. Znaleźli się z tyłu przeciwnika i uderzyli go w tył prawego kolana. Ali jęknął i ugiął nogę. Zrobili półobrót i znaleźli się z jego lewej strony. Walnęli go łokciem w nerki.

Czarny Berserk był twardy. Miał zadatki na hamramira. Nie poddał się i zmienił sposób walki. Nie uderzał już na oślep, by jednym ciosem zmiażdżyć im szczękę, ale dążył do tego, by złapać ich za rękę. Ale oni byli szybsi.

Uniknęli próby złapania i zrobili przewrót w tył, kopiąc Blamada w podbródek. Gridin Tirusa nawet się nie zachwiał. Spróbowali więc duszenia. Wybili się wysoko w powietrze i wskoczyli mu na ramiona. Berserk powinien paść na plecy i walczyć o oddech z oplatającymi jego szyję nogami. Ale stał dalej i uśmiechał się. Zrozumieli, że to był ich błąd.

Blamad chwycił ich za nogi i z łatwością je rozwarł. Na próżno starali się wyrwać. Bili go pięściami po głowie, lecz Ali nie zwracał na to uwagi. Przesunął uchwyt na ich kostki, zacisnął go jeszcze mocniej i zaczął machać ich ciałem, jakby byli derką, którą należy wytrzepać z kurzu. Bezradnie obserwowali, jak siłacz wali nimi o ziemię. Coś im trzasnęło w plecach.

Robiło się niebezpiecznie. Olbrzym wyglądał, jakby zaraz miał się rozgniewać. A w takiej sytuacji woleliby mieć swoje szpony przy sobie. Jednak nieoczekiwanie berserk ich puścił i cofnął się trzy kroki. Po raz kolejny odrzucił szaleństwo zesłane mu przez bogów.

– Odejdź, hamramirze, póki możesz! – powiedział, próbując opanować oddech.

– My nigdy się nie cofamy.

– W takim razie przyjdzie wam tu zginąć.

Przesunęli się w stronę, gdzie zostawili szpony. Ali wyciągnął miecz i zamachnął się nim na próbę. Szykowali się do ataku, gdy pomiędzy zwaśnionych wpadł Skald z obnażonym maekirem o imieniu Kvernbit.

– Nie będziecie się tu zabijać! Zapomnieliście, że mamy wspólne zadanie.

– Odejdź, Ainarze. Ta sprawa cię nie dotyczy.

– Dotyczy nas wszystkich. Tam stoi Alosza z napiętym łukiem. Kazałem mu zastrzelić tego, kto pierwszy rzuci się do ataku.

– Nawet nie wiesz, o co nam poszło.

– Nietrudno się domyślić. O dziewczynę. Leży tam pod drzewem i pochlipuje, patrząc na was wystraszona. Co sobie myślałeś? Przekonałeś nas do wzięcia jej ze sobą i oczekiwałeś, że nikt nie będzie zwracał uwagi na jej wdzięki? A może chciałeś ją zostawić dla siebie?

– Ja nikogo nie zawłaszczam. Ale obiecałem odstawić ją całą i bezpieczną do Treborga.

– I taką dostarczymy ją do grodu. Przecież nadal jest nietknięta, czyż nie?

– Mam taką nadzieję. – Ali popatrzył groźnie na poetę.

To zaciekało Heukra i Hedina. Drengowie nie połapali się jeszcze, że ptaszyna wabi ich obu. Skald słyszał ryk berserka, ale musiał pomyśleć, że był on związany z walką toczoną przez Blamada. Z kolei gridin zapewne uwierzył w zapewnienia ptaszyny o jej niewinności.

– W takim razie tę sprawę mamy załatwioną. Wezmę resztę warty, a wy idźcie spać. Wyruszamy przed świtem.

Czwartego dnia od rozpoczęcia wspinaczki nadeszła pora, by opuścić góry. Haukr twierdził, że teraz czeka ich zaledwie pół dnia drogi lasem do Treborga. Oczywiście o ile nie napotkają żadnych przeszkód.

Poprzednie dni przebiegły spokojne. Szli niższymi partiami gór, a same szczyty omijali dzięki ścieżkom odnajdywanym przez Jastrzębioskórego. Z obawy przed hamramirami trzymali się zasady, by nigdy nie przekraczać granicy, poniżej której rosły wysokie drzewa. Prawie każdego wieczoru Ainar rozmawiał z Czerniawką i odkrywał przed nią tajniki zaspokajania mężczyzn. Skald podejrzewał, że nie był jedynym, kto ją tego nauczał, bo Ali wydawał się dziwnie opanowany od czasu starcia z Haukrem. Poeta nie bardzo się tym przejmował, ale dla dobra wyprawy wołał, by berserk nie dowiedział się, że rudzielec pracuje na dwa kije – albo i na trzy, gdyż Alosza przestał się dopominać o swoją kolej w zlegnięciu z dziewczyną.

Podczas wieczornych spotkań panna sporo mówiła i oczekiwała tego samego od pieśniarza. Doszło do tego, że nie chciała rozłożyć nóg, dopóki nie odpowiedział na kilka pytań. A pytała o zwykłe sprawy: skąd pochodzi, jakim bogom składa ofiary, kim byli jego rodzice, które potrawy lubi jeść i jaki jest jego ulubiony pieśniarz. Musiał jej więc wyjaśnić, że urodził się w Noregu, że składanie ofiar uważał za stratę czasu, że jego ojciec był rozwrzeszczanym pijakiem, że jadał to, co się trafiało. A ponad wszystko powtarzał, że nie ma lepszego pieśniarza niż on sam. Czerniawka nie zniechęcała się tymi odpowiedziami i przepytywała go dalej, jakby chciała go za męża. Głupiutka gaska.

Skald opuszczał góry bez żalu. Co prawda były całkiem urokliwe, ale daleko im było do szczytów z jego rodzinnych stron. W Östlandzie zachwycał się skalistymi fiordami, bezlitośnie obijanymi przez morskie fale, oraz górami porośniętymi gęstym lasem, których turnie odbijały się w niezliczonych jeziorach, rzekach i strumykach. Tutejsze wierchy często były nagie już od podnóża, a okoliczne tereny wydawały się suche – a nawet gdy wędrowcy mijali jakiś potok, mieli wrażenie, że ten skąpił wody ziemi, w której żłobił koryto. Drużynnicy szli po trawie krótkiej

i poźółkłej od słońca, nadającej otoczeniu stepowego wyglądu. Podłoże było twarde, kamieniste. Nawet w miejscach, gdzie stąpali po mchu, czuli, że tuż pod tą cienką skórą bogini Jörd znajdują się jej grube kości z litej skały. Do tego panował chłód, mimo iż trwały słoneczne dni. Teraz najcieplej ubrany Czuryłowicz brał na pozostałych drottmadach odwet za poprzednie drwiny i sam naigrywał się z ich gęsiej skórki i rozgrzewających podskoków.

W dół powinno im się iść łatwiej i szybciej, ale Skald dostrzegł, że towarzysze jakoś mało zwawo stawiają kroki. Ociągali się zwłaszcza Ali i Alosza. Ten pierwszy zapewne martwił się rychłym rozstaniem z Czerniawką, a temu drugiemu wyjątkowo ciężać musiały obawy, jakie były udziałem ich wszystkich: czy słowa są szybsze od strzał pilnujących wałów Treborga Tattarów. Zbliżała się bowiem chwila, kiedy będą musieli publicznie ogłosić cel swojej wizyty, stojąc przed bramą grodu Kola.

Drzewa też wydawały się im groźne. Nie były może tak wrogo nastawione jak do pijaka włóczącego się po lesie, ale szumem liści przypominały o niewypowiedzianej groźbie, która wisiała nad wędrowcami. Mamiły ich słuch i bawiły się ich lękiem. Hałasowały, kiedy rozmawiali, a milkły, kiedy zawył wilk lub zaryczał niedźwiedź. Nie pozwalały drużynom zapomnieć, że gdzieś w lesie czają się strażnicy puszczy, najniebezpieczniejsi spośród dzikich bestii i najokrutniejsi spośród ludzi. Hamramirzy.

Fylgje, boginie szczęścia, były jednak na tyle łaskawe, że głosy drapieźników rozlegały się pojedynczo, co pozwalało mieć nadzieję, że należały do zwykłych dzikich zwierząt, a nie ścigających ich w grupie zmiennokształtnych. Ale i tak myśli Ainara skupiały się na hamramirach, a po minach towarzyszy poznał, że trapi ich to samo.

Wszystko o szaleńcach na służbie Kola mógłby im opowiedzieć Haukr, ale on jak zwykle milczał albo szeptał sam do siebie. Mogli więc tylko się domyślać roli, jaką kiedyś odgrywał wśród bestialskich wojowników.

– Za co można zostać wygnanym z braterstwa, które żyje z mordów, grabieży i gwałtów? – zapytał Vindmad, kiedy zatrzymali się pod wielkim

dębem, a Jastrząb wspiął się na jego szczyt, by rozejrzeć się po okolicy.

To samo pytanie od dawna trapiło Skalda. Hamramirzy w oczach większości ludzi i tak uchodzili za banitów, a chroniła ich tylko dobra wola niektórych władców. W każdym kraju, jaki poeta odwiedził, za czyny, których ci odrmadowie się dopuszczali, groziło wyjęcie spod prawa. On sam, choć szaleńcem nie był, za mniejsze przewiny musiał uchodzić z Noregu i wyspy Eriu.

– Za brak lojalności – wyjawiał swoje podejrzenie Ali. – Pies może szczekać i gryźć, bo jest tylko głupim zwierzęciem, ale gdy ukąsi rękę, która go karmi, musi odejść. Mały Kol słynie z tego, że pozwala swoim ludziom na bardzo wiele, ale mści się za każdą oznakę nieposłuszeństwa.

– I ja bym stawiał na nieposłuszeństwo, ale raczej wobec przywódcy sfory – powiedział Alosza. – Hamramirzy żyją jak wataha wilków i władzę bezwzględną ma nad nimi największy basior, przywódca stada. Każdy, kto mu się sprzeciwi, musi walczyć z wodzem o przywództwo albo odejść z podkulonym ogonem.

Oba wytłumaczenia były dobre i prawdopodobne. Dlatego Ainar w nie powątpiewał. Ani Blamad, ani tym bardziej Vindmad nie mieli pojęcia, kim jest Göllnir, bóg krzyku i szaleństwa, który stworzył świat wyjący z bólu i rozkoszy. Nic, co powołał do życia, nie było takie, jak nakazywałby zdrowy rozsądek. A już najmniej jego bestialscy ulubieńcy.

– A ty, dziewczyno? Jesteś stąd. Nie słyszałaś opowieści o wygnanym hamramirze?

Na tak szalony pomysł, by spytać kobietę o zdanie, mógł wpaść tylko wyznawca Göllnira. Ali i Alosza byli trochę zdziwieni pytaniem Skalda, ale z ciekawością spojrzeli na rumieniącą się Czerniawkę.

– Słyszałam, ale to tylko takie smerdowskie bajanie. Nie na wiele wam się przyda. Zresztą nie wiem nawet, czy dotyczą waszego towarzysza.

– To już my ocenimy – skarcił ją poeta. – Nie każ się prosić.

– No dobrze. Krąży opowieść, że sześciu kupców, którzy na stałe mieszkają w Treborgu, chciało oszukać kagana i dać mu mniej niż dziesiątą

część tego, co zarobili na wyprawie handlowej do miasta Bulgar. Gdy Kol Mały się o tym dowiedział, odebrał oszustom swoją należność, a do tego zabrał im pierworodnych synów i zatrzymał ich w grodzie jako zakładników. Mieszkali tam z nim przez rok i byli dobrze traktowani, jakby należeli do rodziny władcy. To musiało uspić czujność kupców, bo po kolejnej wyprawie znów spróbowali oszukać swego pana. Kiedy Kol Mały się o tym dowiedział, zaprosił oszustów na ucztę, w której usługiwać mieli ich synowie. Handlarze z ochotą zjawili się w grodzie, nie wiedząc, że ich matactwa zostały odkryte. A tam zamiast stołu zastawionego jadłem znaleźli przywiązanych do ławy synów, a nad nimi hamramira z uniesionym nożem. Padli więc na kolana, przyznali się do wszystkiego i zaczęli prosić kagana o łaskę, obmywając łzami jego buty. Ale ten pozostał nieugięty. Kazał szaleńcowi zabić dzieci. Pięć razy odrmad wznosił rękę i wbijał ostrze w karki wyrostków, nie zwracając uwagi na płacz malców i ich rodziców. Ale za szóstym razem. No cóż... O tym różnie się opowiada.

Dziewczyna zamilkła, przełykając głośno ślinę. Rumieniła się i trzepotała rzęsami, ale Skalda nie zdołała oszukać. Jak każdej młodej pannicy, podobało się jej, że przyciągnęła uwagę mężczyzn i sprawiła, że chcieli jej wysłuchać. Niewielu kobietom udawały się takie sztuczki.

– No mówże wreszcie – pogonił ją zniecierpliwiony Alosza.

– Według jednych hamramir na trzy uderzenia serca zawahał się, bo ostatnim zakładnikiem był dwulatek, a to przecież jeszcze prawie niemowlak. W końcu jednak się przemógł i wbił mu nóż w plecy, urywając ciche łkanie. To zawahanie podobno wystarczyło innym zmiennokształtnym do stwierdzenia, że brat ich zhańbił. Wyrzekli się go i zakazali mu kiedykolwiek wracać.

Jak prawdziwy sagnamad, opowiadacz sag – lub, mówiąc językiem tutejszych, skazitiel – ruda wstrzymała oddech, pozwalając, by słuchacze w pełni uświadomili sobie szaleństwo, jakie kryło się za postępowaniem bestialskich wojowników.

– No, ale mówi się o tym także inaczej – podjęła opowieść. – Niektórzy zarzekają się, że hamramir zmienił zdanie co do chłopca i zamiast dźgnąć

go nożem, uciął dzieciakowi głowę, pokazał ją kaganowi i wypowiedział służbę władcy, który zmusił go do rzezi niewiniątek. Podobno potem zawiesił sobie tę głowę na szyi, by przypominała mu o zbrodni, i uciekł do lasu, nie czekając na wyrok braterskiego sądu.

Obie wersje wydawały się pieśniarzowi wystarczająco szalone, by pasowały do zachowania Haukra. Nie zauważył jednak, by hamramir nosił naszyjnik z zasuszonym czerepem niemowlaka.

Czerniawka sprawiała wrażenie, jakby skończyła opowiadać. Spuściła głowę i podrapała się po rudej czuprynie. Następnie przykucnęła, zdjęła but i wytrzepała z niego ziemię i kamyczki.

– To wszystko? – upewnił się Ainar.

– Tak. To znaczy... nie do końca. Nieliczni powtarzają tę historię jeszcze inaczej, ale prawie nikt nie daje im wiary. Mówią, że odrmad ulitował się nad chłopcem, słysząc jego płacz, wziął go na ręce i wyskoczył z nim przez okno. Nie oglądał się na kagana, nie czekał na decyzję swoich braci, tylko pobiegł do lasu i zamieszkał tam wraz z dzieckiem, jakby ten by jego rodzonym synem.

Taka możliwość wydawała się zbyt szalona nawet jak na hamramira. Skald spojrzął na Blamada i Vindmada. Cała trójka wybuchła szczerym śmiechem, o wiele za głośnym, zważywszy na bliskość Treborga. Dziewczyna też się uśmiechała, ale jakoś tak niepewnie, jakby podejrzewała, że wyśmiewają się z jej naiwności.

Pogawędkę zakończył Haukr, który zeskoczył z drzewa, jak zawsze zwinnie lądując na ugiętych nogach.

– Ostatni chłopiec miał jasne włosy – powiedział, wpatrując się w pannę. – I wahałem się pięć uderzeń serca.

Śmiech utkwił im w gardłach. Zmiennokształtny miał zbyt ponurą minę, by dłużej chcieli go drażnić swoją wesołością. Nikt też nie odważył się zapytać, co stało się z malcem. Zresztą jakie to teraz miało znaczenie?

– Już blisko. Z drzewa widzieliśmy wieże. Pora ruszać.

Haukr nie czekał na odpowiedź, tylko zajazgotał, zrobił przewrót w tył

i ruszył przed siebie. Skald, Czarny Berserk, vindmadzki łucznik i ruda dziewczyna poszli śladem przewodnika.

– I kto jest większym odrmadem? – burknął pod nosem Ainar. – Szaleniec czy ten, który za nim podąża?

15

Dochodziło południe, gdy dotarli do Treborga. Miasto leżało na rozległej równinie, nieopodal rzeki Kamy. Wrodzone węglózerstwo uświadomiło Skaldowi, że wystarczyło spłynąć stateczkiem w dół Itilu, potem skrócić w jego lewy dopływ i płynąć w górę rzeki, by dotrzeć do głównego grodu Odainsaku. Ali wytłumaczył mu wcześniej, że właśnie taką drogę wybierali kupcy sprzedający sobole i niedźwiedzie futra w kraju Chazarów. A drużynnicy, z powodu dziwactw Haukra, spędzili dwa tygodnie na przedzieraniu się przez lasy i góry.

Ale piwo już się wylało i niewygodny podróżny mieli za sobą. Teraz mieli inne kłopoty. Wokół całego grodu koczowali Tattarzy, którzy rozbili las namiotów. To znaczy jurty – poprawił się w myślach poeta, wspominając, co na temat skośnookich mówił mu Ali.

– Są wszędzie. Jakby szykowali się na wojnę – powiedział do towarzyszy, przesuając dłoń w kierunku miecza.

– Lud al-Baganakija nigdy nie żyje w pokoju.

– Tfu! – Alosza splunął pod nogi. – Jak można było pozwolić Pieczyngom rozbić kureń pod samym grodem?! Śmierdzi tu, jakby od roku nikt się nie mył.

Rzeczywiście. Lud ten pachniał tak samo, jak wszyscy koczownicy: mieszanką końskiego łajna, mleka i baraniego tłuszczu. Przyglądając się z bliska ich kureniowi, czyli obozowi, pieśniarz zrozumiał, skąd brał się ten zapach. Konio-ludzie mieszkali razem ze zwierzętami. Między jurtyami

przemykały barany poganiane przez dzieci, a na łąkach pasły się stada koni i bydła. Kobiety gotowały koninę w kotłach, łątały mężom kubraki, lepily kulki sera i plotły kosze. Mężczyźni golili głowy, zostawiając na czubku cienki warkoczek, ostrzyli zakrzywione szable, zdobili dziiryty, przymocowywali groty do strzał i pletli cięciwy z końskiego ogona lub ścięgien. Wszyscy zajęci byli swoimi sprawami i nikt nie zwracał uwagi na mijających obóz wędrowców. No może oprócz kilku bachorów, zaciekawionych wysokim wzrostem Ainara, brzydota Alego i pokracznością Haukra. Dzieciaki otoczyły drużynników, mierząc w nich kijkami, i zagadywały w języku, który brzmiał jak rechot żab lub krzyki szpaków. Dały im przejść dopiero wtedy, kiedy Czarny Berserk uśmiechnął się do nich serdecznie.

Kiedy już drottnadowie przyzwyczaili się do smrodu, zaczęli dostrzegać zalety obozu. Vaering początkowo gardził myślą, że można przedkładać jurte nad ciepły drewniany dom, ale teraz był skłonny przyznać, że przynajmniej niektóre namioty miały swój urok. Bo choć wszyscy Tattarzy wydawali mu się tacy sami, to ich jurty nie mogły się bardziej różnić między sobą. Właściwie ich jedynymi cechami wspólnymi był okrągły kształt, drewniany (jak się domyślał) szkielet, otwór w dachu, przez który ulatniał się dym, ocieplenie z wojłoku i skórzane maty, które okrywały konstrukcje od zewnątrz. Większość miała też drewniane drzwi i niewielkie okna zakryte wełnianą siateczką. Różniły się za to zdobieniami i rozmiarem. Na płachtach zewnętrznych wyszywano różnorakie kolorowe wzory, a do skór podczepiano całą masę zwierzęcych czaszek i kościanych amuletów, mających zapewne odstraszać złe duchy. Wielkość konstrukcji raczej nie zależała od liczby członków rodziny, bo pieśniarz widział, jak i z tych najmniejszych namiotów wybiegały całe tabuny dzieci. Za to do tych największych, które rozmiarem przewyższały królewskie drewniane halle z rodzinnych stron poety, wchodziły tylko pojedyncze osoby, na dodatek bogato odziane.

– Może i są dzikusami z za krańca świata, ale znają zasadę przestrzeganą przez wszystkich ludzi władzy – powiedział Skald, mijając właśnie

największy namiot.

– Jaka? – zainteresował się Alosza.

– Rozmiar zawsze ma znaczenie.

Przyglądając się kureniowi, Östmad zauważył jeszcze jedną rzecz. Obóz można było bardzo łatwo zwinąć, a jurty zapakować na wozy i konie. Co więcej, część namiotów była na stałe umieszczona na dwu- lub czterokołowych wozach, cały czas gotowych do odjazdu. Ali wytłumaczył Vaeringowi, że były to kibity, czyli wozy mieszkalne, bo koczownicy słynęli z tego, że ich obóz potrafił być w pełni użyteczny, nawet kiedy znajdował się w drodze.

Doszli do skupiska Tattarów otaczających okrągły plac, wyznaczony przez ustawione wokół ogrodzenie. Na wolnym terenie jakiś chłopiec, na oko sześciolatek, próbował dosiąść na oklep rączego konia, a raczej na pół dzikiego kuca koczowników. Dzieciakowi udało się wskoczyć na grzbiet i przez kilka uderzeń serca utrzymać się na nim, trzymając kurczowo grzywy, ale w końcu spadł. Nie czekając, aż bachor się podniesie, do konia doskoczył kolejny maluch i spróbował tej samej sztuczki. Dzierżył w ręku kańczug, którym zdążył trzy razy wysmagać koński tyłek, zanim został zrzucony. Lądując na ziemi, złamał sobie rękę, która pękła z głośnym trzaskiem. Gówniarz, jak każdy Tattar, miał wykrzywioną twarz od urodzenia, więc nawet jeśli pojawił się na niej grymas bólu, nikt tego nie zauważył. Żadna łza nie zabłysnęła w oczach chłopaka, a z jego ust nie wydobyły się słowa skargi. Milcząc, uchylił się tylko przed kopytami i ustąpił miejsca kolejnemu śmiałkowi. Koczownicy nie rodzą się z kopytami, ale bardzo szybko zamieniają dwie własne nogi na cztery końskie – pomyślał Skald.

Poszli dalej, nie zwracając już uwagi na kolejnych wielbicieli jeździectwa. Ich uwagę przykuł gród, od którego dzieliło ich już tylko sto kroków. A widok Treborga zapierał dech w piersiach.

Gard ulokowano na wzniesionym najpierw ziemnym nasypie otoczonym fosą, nad którą poprowadzono drewniany most. Zewnętrzny pierścień umocnień tworzył wał, z którego w połowie wysokości wyrastał rząd

zaostrzonych pali wymierzonych w przybyszy. Jego szczytu broniła drewniana palisada zwieńczona zębami, między którymi dało się zauważyć głowy w hełmach oraz włócznie strażników. Wszystko to, choć bardzo solidnie wykonane, nie odbiegało jednak od konstrukcji, jakie Ainar spotykał w całym Gardariki. Różnicę robiły drzewa. Otóż obóz koczowników i miasto stały na całkowicie wykarczowanej równinie, na której nie wyrastała żadna roślina wyższa od trawy. Dlatego to, co zobaczyli za wałem, sprawiało niesamowite wrażenie. Tuż za umocnieniami widniał pierścień ogromnych drzew, splecionych ze sobą koronami. Szczyt nawałowej palisady sięgał ledwie połowy ich pni, więc wysoko w niebo sterczały gałęzie buków, jesionów i dębów. Nie bez przyczyny to miejsce nazywano Treborgiem – Drzewnym Grodem.

Gapiąc się z podziwem na te zielone cuda, drużynnicy doszli do bramy ustawionej między dwiema wysokimi wieżami o spadzistych dachach. Wierzeje stały otworem, ale strzegło ich dwóch vardkarłów, zbrojnych wartowników, którzy okazali się Vaeringami, co mimo wszystko zdziwiło Ainara, gdyż na tak dalekim wschodzie nie spodziewał się najemników z Północy. Wyglądali na zabijaków, którzy w niejednej bitwie odnieśli rany, a pilnowanie przejścia traktowali jako przykry obowiązek w rodzaju „swoje trzeba odstać”. Odziani byli w porządne kolczugi, a ich głów chroniły stożkowate hełmy z osłonami na nos. Opierali się leniwie na żelźcach toporów o długich styliskach i łypali na przybyszy z niechęcią, jako na tych, którzy przeszkadzają im w spokojnym staniu. Obok nich znajdowała się skrzynia, do której drottmadowie wrzucili po trzy kamienie znalezione wcześniej w lesie. Zostawianie takiego dziwaczego podarunku przez podróżnych było w Austrvegu popularnym zwyczajem, mającym bardzo praktyczne korzenie – w ten prosty sposób miasta bez zbędnych wydatków gromadziły materiał do wypełniania drewnianych izbic – skrzyń, z których wznoszono rdzeń wału.

– Czego? – starszy z miejscowych drengów przywitał wędrowców ulubionym hasłem wszystkich strażników.

Ali już otwierał usta, ale Skald okazał się szybszy. Słowa to była jego

działka.

– Wyprostować się! Stoicie tak niedbale, że byle podmuch wiatru by was przewrócił. Przynosicie wstyd swojemu dowódcy.

Posłuchali. Wypięli klaty, naprężyli mięśnie i podnieśli ciężkie topory, chwytając je w połowie styliska. Poeta wyczytał w ich oczach wdzięczność i ponure zadowolenie, że w końcu ktoś chce uwolnić ich od nudy.

– Przedstaw się, byśmy wiedzieli, komu ścinamy głowę i czyje imię wyskrobać na słupie hańby.

Haukr przestąpił niespokojnie z nogi na nogę, przybliżając dłonie do szponów, a Alosza głośno przełknął ślinę. Blamad znów chciał się wtrącić, ale pieśniarz nie pozwolił mu dojść do słowa.

– Nigdy nie ukrywam swojego imienia, bo wzbudza ono strach w sercach wrogów i zazdrość w oczach przyjaciół. Zwą mnie Ainarem Skaldem, tym, który wyrzekł się imienia ojca na rzecz przydomka^[7], a sławę zdobył biegłością w walce i zmyślnością w układaniu wersów. Obok mnie stoi Ali, berserk, przed którym nawet czarny lud blednie ze strachu, hamramir Haukr, który zawstydzą wilki w krwiożerczości, Alosza, dzielny Vindmad, który z łuku trafia w oko lecącą kaczkę, oraz dziewczka, którą znaleźliśmy w lesie. Same imiona podążających ze mną mężów powinny wystarczyć, by do waszych spodni zleciały się muchy, ale wiedzcie i to, że jesteśmy posłami do waszego kagana, Kola Małego, a na dodatek przyprowadziliśmy mu tę oto uroczą dziewczę, która szuka jego ochrony.

Vardkarlowie jeszcze bardziej się wyprostowali, ale rozluźnili chwyt na toporach. Jeśli to, co pojawiło się na ich twarzach, nie było lękiem, to przynajmniej ostrożnością i niepewnością. Ainar był przekonany, że to jego imię tak na nich podziałało, bo sława często go wyprzedzała. Wzmianka o poselstwie i imiona pozostałych członków wyprawy też mogły zrobić swoje, zwłaszcza że Haukr wciąż mógł być tutaj pamiętany.

Vaerińscy zbrojni uzgodnili wspólne działanie potaknięciem i rozstąpili się, pozwalając im przejść.

W środku panował przyjemny cień, jak w lesie. Czekał tam kolejny

strażnik, który musiał słyszeć ich rozmowę, gdyż bez zwłoki rzucił „za mną” i przyjął rolę przewodnika.

Idąc ulicą wymoszczoną przepołowionymi belkami, Ainar z zaciekawieniem obserwował umocnienia grodu. Tak jak podejrzewał, drzewa były wciągnięte w system obronny twierdzy. Pnie części z nich opasane były schodami, które stanowiły jedyną drogę na szczyt wału. Większość drewnianych stopni prowadziła jednak wyżej, do platform strzelniczych umiejscowionych w koronach drzew, które łączyły się systemem drabinek, lin i podestów, tworząc między liśćmi górną linię obrony.

Hamramir również przyglądał się tej zmyślnej konstrukcji i widać było, że z trudem powstrzymuje się przed wdrapaniem na drzewo i skakaniem po gałęziach niczym mały chłopiec, a raczej szalenciec z Jastrzębiem w głowie. Ali przyjmował te dziwy z opanowaniem godnym tego, kto służył w nie mniej niezwykłym grodzie, a Czuryłowicz kręcił niespokojnie głową, jakby chciał sprawdzić, czy z góry nikt nie celuje w nich z łuków.

Przestrzeń między wałem zewnętrznym a kolejnym pierścieniem umocnień była rozległa i prawie niewykorzystana. Znajdowała się tam studnia z żurawiem i kilka niedbale zbudowanych domów, które wyglądały na opuszczone. Panował tu nieporządek, a porzucone cebrzyki i narzędzia leżały obok krzaków, kęp pokrzyw i szmat. Między budynkami krążyło parę kóz, baranów i garbatych koni, a pilnowała ich grupka dzieci, bardziej zajętych zabawą niż obowiązkami. Skald domyślił się, że znajdowali się w miejscu, gdzie podczas wojny chroniła się okoliczna ludność, która w czasach pokoju nie miała ochoty gnieść się między wałami.

Przewodnik zaprowadził ich do kolejnej bramy, której otwór ział w podstawie wielkiej kwadratowej wieży. By dostać się do wieży, musieli się wspiąć po podeście z desek, gdyż wewnętrzna twierdza leżała na potężnym nasypie ziemnym, wzmocnionym belkami. Linię umocnień kremla tworzył gruby drewniany wał przykryty dachem. Znajdowało się w nim mnóstwo małych okienek, z czego można było wnioskować, że konstrukcja była pusta w środku i umiejscowiono w niej wiele izb

strzelniczych. Z daleka cała budowla przypominała olbrzymi kurhan.

Dwaj strażnicy przy wejściu byli opryskliwi i znudzeni jak ich poprzednicy przy bramie zewnętrznej. Mieli takie same hełmy, kolczugi oraz topory. I także byli Vaeringami.

– Broń zostawcie tutaj – rozkazał jeden z nich.

– Nie wiecie, z kim macie do czynienia. Rozstąpcie się i prowadźcie do Kola – poeta spróbował ich nastraszyć.

– Nigdy nie rozstajemy się ze szponami – dodał Jastrząb, stukając palcami o rękojeści saksów.

– Kołczan i włócznię możecie zatrzymać, ale łuk jest zbyt cenny, bym go wam powierzył – stwierdził Alosza.

– Możecie być krewnymi samego gardskonunga, pana Miklagardu, albo nawet drottnadami boga Magnego, ale broń i tak zostawicie. Tylko gridini Kola mogą przebywać na kremlu uzbrojeni.

– Skąd mamy wiedzieć, że w środku nie czeka nas śmierć? – Vindmad wypuścił się przed szereg.

Młody jest jeszcze, więc myśl nie zawsze nadąża u niego za językiem – próbował wytłumaczyć sobie Skald, ale i tak nie zdołał stłumić gniewu. Nienawidził głupoty. W oknach musieli czaić się łucznicy, a w wieży siedzieć zbrojni. Już przed chwilą drużynicy zostawili za sobą umocnienia zewnętrzne, których z pewnością strzegło kilkudziesięciu ludzi. Z bronią czy bez i tak byli na łasce kagana, choć niewątpliwie z żelazem w dłoniach zdołaliby zabrać ze sobą na tamten świat więcej przeciwników.

– To jak? Wchodzicie czy nie?

Zamiast odpowiedzi pieśniarz ściągnął pas z mieczem i położył go w skrzyni stojącej u stóp wartownika. Jego śladem poszli Blamad i Vindmad. Najdłużej ociągał się hamramir, ale i on w końcu prychnął na vardkarłów, wyciągnął szpony i odłożył je do skrzyni.

– Dobra, możecie wejść.

Strażnik obrócił się, trzy razy uderzył pięścią w drewniane odrzwia, zrobił przerwę i walnął kolejne dwa razy. Odpowiedział mu dźwięk

podnoszonej sztaby i odrzwia się otworzyły.

Weszli do środka i tam w końcu otrzymali należyte powitanie. Stał przed nimi karzeł, którego jedno oko było zielone, a drugie niebieskie. Mödul uklonił się gościom, a w tej samej chwili z kilku przejść w wale wyskoczyło dziewięciu mężczyzn, którzy otoczyli posłów i wymierzili w nich włócznie.

– Ainar Skald? Co za niespodzianka – mały człowieczek odezwał się płynnie w mowie Vaeringów. – Oddaję cześć twojej biegłości we władaniu słowem, która może się równać jedynie wprawie, z jaką bóg Jomali rzuca zaklęcia.

– Mądrze prawisz, karle, ale nie myśl, że pochwały uratują ci skórę – odpowiedział poeta, mrużąc oczy.

Mödul zaśmiał się głupekowato, ale szybko powrócił do powitań.

– Kogóż to ze sobą prowadzisz? Alego Czarnego Berserka, którego szaleństwo podziwiają hamramirzy. I wygnanego Jastrzębia, który wrócił do swojego gniazda. A tam, zza waszych pleców, nieśmiało wygląda Alosza, syn Czuryły, obiecujący bogatyra, który poznał sekrety jądów. I jeszcze ruda dziewczyna, w której oczach widzę krnąbrność i nieposłuszeństwo. Kol Mały z pewnością ucieszy się z waszych niespodziewanych odwiedzin. A jaki jest ich cel, jeśli wolno spytać?

– Nie udawaj! – zdenerwował się Blamad. – Dobrze wiesz, po co tu jesteśmy. Wysłał nas władca gwiazd Tirus Wielki, prawowity król tych ziem. Jesteśmy swatami i jeśli nas zabijesz, ściągniesz hańbę krzywoprzysięstwa na swojego pana. Każdy, kto przekroczy bramę tego grodu, może przystąpić do trzech prób i starać się o rękę Ingigerd o złotych włosach. To słowa twojego kagana!

– I tylko to was tu sprowadza? Bardzo ciekawe. No, ale nie ja jestem panem tego gardu i nie ja zdecyduję o waszym losie. Chodźcie za mną.

I znów poszło dosyć łatwo, choć groty włóczni znajdowały się niebezpiecznie blisko. Wewnętrzny głos w głowie Östmada zrzędził, że jeśli coś przychodzi bez wysiłku, potem dwa razy trzeba za to płacić. Nie miał jednak innego wyboru, niż podążyć za pokurczem.

We wnętrzu twierdzy było już o wiele mniej wolnej przestrzeni. Zabudowie daleko było do regularności, ale domy wykonane zostały porządnie i nie bez pewnego przepychu. Niektóre z nich ozdobiono w północnym stylu, co dowodziło obecności w Treborgu większej liczby Vaeringów. Przewagę wszakże stanowiły długie budynki mieszkalne, charakterystyczne dla Gardarikan. Widać było, że w obrębie wewnętrznego wału mieszkało wojsko i najbliżsi współpracownicy kagana. Tylko tyle Ainar zdążył zaobserwować i wywnioskować z otoczenia, bo większość uwagi poświęcił siedzibie władcy. A była to najwspanialsza i najbardziej zadziwiająca budowla w grodzie.

Z pewnością wzniosł ją ktoś z Noregu, choć tylko w niewielkiej mierze przypominała typową hallę konunga. Podstawa, długa na trzydzieści i szeroka na dziesięć kroków, wykonana była z kamienia, a ściany z dębiny. Dom miał trzy spadziste dachy kryte gontem, a każdy był mniejszy od poprzednika i wyrastał z niego w połowie jego wysokości, tak że całość sprawiała wrażenie olbrzymiej choiny. Po dokładniejszych oględzinach można było stwierdzić, że dachy są oddzielone niziutkimi ściankami wykonanymi z grubych bali, a szczytem ostatniego dachu biegnie przepiękna kalenica z drewnianych pierścieni połączonych ogniwami. Po obu stronach zakończona została rzeźbami jelenich łbów.

To był jednak tylko gmach główny. Do jego tylnej ściany przylegała okrągła wieża, która górowała nad całą zabudową i Ainar mógłby się założyć, że stała dokładnie w samym środku grodu, stanowiąc jego najważniejszą część. Wieża również miała trzy dachy – pierwszy z nich, półokrągły, łączył się z dolnym dachem głównej halli, a pozostałe, wzniesione powyżej pierwszego i mniejsze od niego, były już w pełni oddzielone i zbudowane na planie koła. Także i one pokryte zostały gontem, a układały się w kształt szyszki. Ich zdrewniałe łuski nie chroniły jednak nasion, ale pień nadzwyczaj grubego drzewa, którego pierwsze konary wyrastały tuż nad czubkiem najwyższego daszka. Było to najwyższe drzewo, jakie Skald widział w swoim życiu. Trudno mu było określić jego rodzaj. Kora przypominała dąb, gałęzie buk, a liście jesion. Zaczął się na

poważnie zastanawiać, czy nie ma przed sobą cudownego Laerada, od którego wszystkie drzewa wzięły swój początek, a Göllnir używa go jako rumaka w podróżach między światami.

– Nie jesteście tu, żeby zwiedzać – skarcił ich Mödul, bo wszyscy zatrzymali się, by podziwiać budowlę. – Kol nie będzie na was czekał.

Kolejnych dwóch strażników, tym razem Tattarów, otworzyło im drzwi gmachu, umiejscowione między dwoma słupami tworzącymi część ścian. Na szczytach owych słupów siedziały dwa drewniane smoki, mierzące w siebie językami, a nad drzwiami znajdowała się zdobiona trójkątna przestrzeń, opleciona żywymi gałązkami drzew, z których wyrastały liście. Skrzydła wrót ozdobiła płaskorzeźba, na której różnorakie drzewa spletały swoje konary, by na samej górze połączyć się w jedną koronę. Poeta wierzył, że byłby w stanie lepiej wykonać te przedstawienia, ale i tak patrzył na nie z odrobiną zazdrości.

W środku było zaskakująco jasno. Przez rząd okien w dłuższych ścianach wpadało sporo dziennego światła, które wspomagał blask ognia z ogromnego paleniska. Tak jak pieśniarz się spodziewał, oglądając budynek z zewnątrz, wewnątrz halli znajdowała się tylko jedna olbrzymia sala z ławami umieszczonymi przy dłuższych ścianach i długimi stołami ciągnącymi się od drzwi aż po małe, półokrągłe pomieszczenie, umiejscowione w podstawie wieży. Po sali krzątało się sporo ludzi, a wszyscy przerwali swoje zajęcia i wpatrzyli się w przybyszy. Nawet trójka dzieci przestała się gonić wokół stołów i szeroko rozwarła usta ze zdziwienia. Ainar poczuł się mile połączony, że wzbudził takie zainteresowanie i że znaczna część gapiów, niewątpliwie należących do niewolnej służby, spuściła z szacunku wzrok.

Mödul poprowadził ich do małego pomieszczenia u dołu wieży, a strażnicy z włóczniami nie odstępowali ich na krok. Tam czekał na nich olbrzym.

Skald wcześniej powinien się domyślić, że skoro Tirus Wielki był malcem, to Kol Mały okaże się wielkoludem. I rzeczywiście, nawet jak na Vaeringa, którym bez wątplenia był władca o blond włosach, niebieskich

oczach i dwóch złotych kolczykach w prawym uchu, kagan był wysoki, przerastał poetę o dwie głowy. Nosił drogi zielony płaszcz, spięty pod szyją złotą zapinką, a siedział na öndvegi, drewnianym siedzisku, którego oparcie wyglądało na wrośnięte w pień drzewa, a rzeźbione nogi były oplecione korzeniami.

Po prawej stronie tronu widniał mniejszy, ale równie pięknie zdobiony stołek, na którym siedziała promieniejąca urodą kobieta o złotych włosach. Miała na sobie czerwoną suknię z haftowanymi rękawami, a na szyi nosiła okrągły wisiołek ze srebra, który przedstawiał drzewo. Bez wątpienia Laerad, gdyż jego korzenie i gałęzie łączyły się ze sobą, tworząc obręcz tego kunsztownego świecidełka.

– Witajcie, mili goście, i wybaczcie, że przyjmuję was w tak skromny sposób. Gdybyście uprzedzili o swojej wizycie, kazałbym wyprawić ucztę na waszą cześć.

Pieśniarz pamiętał ostrzeżenie Tirusa, że na dworze Kola wszystko jest niczym jajko z niespodzianką, ale nawet bez tego nie dałby się omamić miłymi słówkami. Dzięki ojcu przekonał się, że życzliwi są tylko rodzice, którzy chcą przydybać dziecko na psocie i złoic mu skórę kijem. Jako mistrz słowa umiał wykorzystać tę wiedzę.

– O twojej gościnności krążą opowieści, a wkrótce dołączy do nich i moja pieśń. Trudno sobie wyobrazić siedzibę, która swoją potęgą bardziej honorowałaby gości. Pięknem zaś ustępuje tylko urodzie twojej ślicznej córki, siedzącej u twojego boku.

Kobieta zaśmiała się słodko, przysłaniając usta dłonią.

– Jestem jego żoną, głuptasie. Choć wiem, że wyglądam dużo młodziej od męża.

Kagan też wyglądał na rozbawionego, ale najbardziej uradowany był karzeł, który przysiadł na stopniu u stóp Kola.

– Wystarczy tych uprzejmości. Moja małżonka, Rogneda, z pewnością jest ci wdzięczna za pochlebstwa. Powiedzcie, jak mogę się wam odwdzięczyć.

Babka nauczyła Ainara, że gdy dają srebrny pierścień, trzeba nadstawiać ramię.

– Zaprawdę pod tymi korzeniami musi płynąć źródło Mimira, z którego codziennie pijesz wodę mądrości. Nam jednak, spragnionym podróżnikom, wystarczyłaby beczka miodu.

Pan grodu pstryknął palcami i dwaj służący wybiegli z halli.

– Wędrujemy od kilku dni. Pieczony dzik z pewnością pomógłby nam uzupełnić nadwątłone siły – sprytnie dołączył się Ali, który musiał czytać poecie w myślach.

Konung powtórzył gest i tym razem trzech thraellów, niewolnych, znikło za drzwiami.

– Ale za co? – wszystko zepsuł Alosza. – Za co chcesz się nam odwdzięczać?

– Ha. Dzielni, a do tego skromni. Jakie to szczęście, że moja córka natknęła się w lesie właśnie na was!

Choć jeszcze nie spróbowali miodu, który został im obiecany, pieśniarz już się zakrztusił i poczuł zamęt w głowie. Świadomość, że dał się oszukać dziewczynie, podziałała na niego jak najmocniejszy trunek. Niezbyt pocieszająca była też myśl, że wcale nie biegłość jego języka pozwoliła im łatwo ominąć strażników, ale widok córki władcy.

– A ty, dziecko? Nie masz mi nic do powiedzenia?

Rudowłosa podbiegła do ojca ze łzami w oczach i wskoczyła mu na kolana.

– Przepraszam, tatku. Już więcej nie będę uciekać – powiedziała niewinnie, trzepocząc rzęsami.

Kagan miał przez chwilę surową minę, ale zaraz się rozchmurzył i pogłaskał dziewczynę po głowie. Matka wyglądała na bardziej nieprzejednaną i kręciła głową na uległość męża.

– Już dobrze, dziecko – konung uspokoił córkę. – Nie maż się przy gościach.

Skald wraz z towarzyszami stali w milczeniu, przyswajając nową

wiedzę. Wnioski najszybciej wyciągnął Ainar, który znalazł dobre strony tej sytuacji.

– Tak właśnie. Uratowaliśmy twoją córkę, piękną Czerniawkę, z rąk Tattarów, którzy chcieli ją pohańbić...

Blamad chrząknął, chcąc przejąć rolę mówcy, ale poeta nie dał mu dojść do słowa.

– ...pozwól nam więc przedstawić prawdziwy cel naszej wizyty, albowiem przybywamy z polecenia Tirusa Wielkiego, władcy gwiazd i wszystkiego tego, o czym z pewnością później opowie ci nasz towarzysz Ali.

– To prawda, że wielu bandytów włóczy się po lasach, a niektórzy grabią i mordują, nie bacząc na urodzenie swoich ofiar. Ale na poszukiwanie córki wysłałem grupkę Pieczyngów, o której mi doniesiono, że została wybita w lesie. Całkiem możliwe, że to właśnie ich spotkaliście, a jeśli tak, to... No cóż. Skoro polegli, nie byli wart monet, które im płaciłem. Wybaczam wam więc ten, jak to nazwałeś, ratunek, ale nie wspominaj już o nim więcej. Czy to jasne?

– Tak – rzekł Östmad, tak krótką i prostą odpowiedzią raniąc swoją dumę kowala słów.

– Możesz mówić dalej – zachęcił go władca, lekko się uśmiechając.

– W imieniu naszego kagana chcemy prosić o rękę twojej córki, złotowłosej Ingigerdy, o której urodzie słyszano nawet na mroźnej Północy. Uświadcz nasze oczy jej widokiem, rozkazując ją tu przyprowadzić i przedstaw swoje słynne trzy próby, byśmy mogli zdobyć dla Tirusa żonę.

Haukr i Hedin zawsze lubili przebywać w Halli Drzewa. Pachniało tu lasem, a z czubka wieży widać było całą okolicę. Ale oni, hamramirzy,

rzadko mieli okazję tu przychodzić. Wprawdzie Kol Mały był ich przyjacielem i opiekunem, ale nie dopuszczał szaleńców do swojej rodziny. Mimo wszystko człowiek i Jastrząb w jednym ciele wyrzucali sobie, że nie rozpoznali dziewczyny, która od początku wydawała im się podejrzana. Na swoje usprawiedliwienie mieli tylko to, że ostatni raz widzieli ją, kiedy była małą dziewczynką o złotych, a nie rudych, włosach.

Stanęli blisko okna, bo lubili światło dnia, i jeszcze na wypadek, gdyby rozmowa przerodziła się w krwawą jatkę. Przysłuchiwali się, jak ich szaleni towarzysze pogrążają się w coraz większe kłopoty.

– Czyż nie wiesz, przenikliwy Skaldzie, że mam tylko jedną córkę, Ingigerdę właśnie, którą dostarczyliście strapionemu ojcu?

Wszyscy o tym wiedzieli. Nawet Haukr i Hedin powiedzieliby Ainarowi, że tak właśnie było, a Czarny Berserk i Vindmad świetnie znali opowieści o tym, jak Kol Mały szaleje za swoją jedynaczką.

– Wiem, oczywiście, że wiem – kłamał dalej poeta, ale nikt mu nie uwierzył. – Tyle tylko, że nigdy wcześniej jej nie spotkałem, a podobno jest blondynką. Pomyślałem więc, że Czerniawka to twoja druga córka, którą ukrywasz przed światem, tym bardziej że sama podała nam zmyślane imię.

– Ach tak. Jej włosy. Krnąbrność jedynaczki doprowadza matkę do szału. Ciągłe wymyka się z domu i farbuje się na rudo.

– Bo blondynki są głupie – powiedziała dziewczyna i pokazała wszystkim język w sposób, który niewinny mógł się wydawać tylko jej ojcu.

– Sami widzicie. Kazałem ją uczyć mojemu czarownikowi, Mödulowi, stosowania ziół i wiedzy o świecie, a ta próżna pannica zapamiętała tylko przepis na zmianę koloru włosów. Zaprawdę nie warto wbijać do głowy kobiety więcej niż to, co przyda się jej w roli gospodyni domu. Oby jej przyszły mąż nie powielił moich błędów. Tylko nie wiem, czy zechce rudą?

– To niczego nie zmienia – wtrącił Czarny Berserk. – Przyszliśmy po twoją córkę, a kolor jej włosów jest bez znaczenia. Ogłosiliśmy swoje zamiary, a ty nazwałeś nas swoimi gośćmi. Zgodnie więc z twoimi zapowiedziami mamy prawo starać się o jej rękę.

– Nie potrzebuję męża! – krzyknęła Ingigerd, splatając ręce jak rozwyrzony wyrostek.

– Cicho, dziewczyno. Ci wędrowcy przyszli z daleka i udowodnili, że mają tign, honor, tak jak ich kagan. Nie porwali cię, ale oddali ojcu, jak powinni zrobić drengowie, dla których właśnie tign jest najważniejszy. Dlatego pozwolimy im przystąpić do prób.

Haukr i Hedin słyszeli co nieco o tych zawodach i wiedzieli, że wielu zginęło, próbując je ukończyć. Nie wierzyli, by ktokolwiek oprócz hamramirów okazał się na tyle szalony, by je przeżyć.

– Wygrałem z boskim mistrzem zagadek Gestumblindim w turnieju na wiedzę, uwiodłem też kiedyś morską falę. Jak widzisz, panie, żadne wyzwanie nie jest mi straszne – oznajmił Ainar.

– Świetnie. Przydadzą ci się te umiejętności, bo próby są dosyć trudne. Pierwszą z nich jest polowanie. Wysoko w górach na wschód stąd żyją ptaki o złotych szponach i złotych dziobach. Są tak wielkie, że potrafią porwać i unieść w powietrze całą krowę. Ale najbardziej niezwykle są ich jaja.

– Niech zgadnę. Są ze szczerego złota? – zadrwił Skald.

– A więc i na Północ dotarły te opowieści. Świątek musi zakraść się do gniazda tych ptaków, leżącego na szczycie najwyższej z gór, i przynieść mi jedno z jaj.

Jastrzębi bracia hamramira potwierdzali, że wśród wierchów żyją takie ogromne ptaki, ale nic nie mówiły o złocie. Skrzydlaci łowcy nie zwracają uwagi na takie świecidełka, woląc się skupiać na krwistym mięsie.

– Druga próba będzie wyścigiem. Świątek będzie musiał wygrać bieg na dziesięć mil z najszybszą osobą w Austrvegu. Z moją córką.

– Mam mierzyć się z kobietą? – zdziwił się poeta.

– Niejeden ją lekceważył, dając przewagę na starcie, ale nawet rączy koń nie jest w stanie jej prześcignąć. To naprawdę urodzona biegaczka i powiadają, że swoją szybkość zawdzięcza dziewictwu.

Östmad i Blamad zachowali kamienne miny, ale Haukr i Hedin pozwolili

sobie na uśmiech. Zaletą szaleństwa było to, że nikt nie zwracał uwagi na ich grymasy. W słowach kagana prawdą było jednak to, że o szybkości Ingigerdy krążyły niestworzone historie.

– I w końcu trzecia, najtrudniejsza próba. Śmiałek musi pokonać Mōdula w szatrandż, a mój czarownik nigdy dotąd nie uległ w tej grze. I jeśli myślicie, że nie był w stanie znaleźć godnego siebie przeciwnika, bo całe życie mieszkał w lasach, jesteście w błędzie. Niegdyś trzy lata spędził w Miklagardzie i zwyciężył w turnieju zorganizowanym przez gardskonunga, na który przybyli gracze z całego świata.

– Nie powinno być trudno – rzucił pieśniarz, wyzywająco spoglądając na kagana i unosząc jedną z brwi do połowy czoła. – Kiedy możemy zacząć?

– Jutro z samego rana. Ale chyba nie zrozumieliście mnie do końca. Tylko jeden z was może przystąpić do prób, choć kiedy zawiedzie, może spróbować kolejny. O ile starczy mu odwagi. Mój drogi przyjaciel Tirus uprzedził was chyba, jakie są skutki porażki?

Haukr i Hedin wiedzieli, ale pozostali sprawiali wrażenie zaskoczonych. Najbardziej zdziwiony był Czarny Berserk.

– Na pewno to zrobił – konung odpowiedział na własne pytanie. – W końcu wysłał do mnie swoich najlepszych ludzi. Wiedzie zatem, że jeśli ktoś chce zabrać moją córeczkę, musi w zamian postawić na szali swoje życie. W razie przegranej znajdzie się na mojej łasce. Mogę go zniewolić lub ściąć mu głowę. A że nie zwykłem brać na służbę przegranych, od czasu ogłoszenia prób mam wiele krwi do podlewania mojego drzewka oraz sporo czaszek, z których baganakijscy rzemieślnicy robią mi kielichy na wino.

Kagan uśmiechnął się do posłów, wypatrując chyba oznak lęku na ich twarzach. Nie znalazł.

– To jak? Który z was będzie pierwszym śmiałkiem?

– Sprawa jest prosta – oznajmił Skald. – Najdzielniejszy z nas, czyli...

– Czyli odpowiemy jutro – wszedł mu w słowo Ali.

– Może być. Tylko się nie pozabijajcie o tytuł najdzielniejszego. Jednak wybierać możecie tylko spośród waszej trójki. Haukrhedinowi nie wolno przystąpić do prób, bo nadal ciąży na nim wyrok banicji. Poza tym zostanie odprowadzony do swoich braci, którzy poddadzą go własnemu osądowi.

Na znak władcy doskoczyło do nich sześciu strażników z włóczniami. Haukr i Hedin przykucnęli, odruchowo sięgając po szpony, ale tych nie było w pochwach. Człowiek i Jastrząb wciąż jednak mieli szansę. Przewaga liczebna w pełnym sprzętów pomieszczeniu nie była tak wiele warta, a w pobliżu znajdowało się jeszcze okno, droga do wolności.

– Poczekaj! – nieoczekiwanie wtrącił się Ainar. – On wchodzi w skład poselstwa i jest nam bratem. Nie możesz go tknąć.

– To szaleniec, ale najął się w służbie Tirusa i był naszym wiernym przewodnikiem – jeszcze bardziej nieoczekiwanie czarny gridin wziął w obronę odrmada.

– Gardzę oborotniczym, bo człowiek nie powinien udawać zwierzęcia, ale gdyby nie on, zgubilibyśmy się w górach. A z nami przepadłaby twoja córka. Przez wzgląd na to nie każ go bić zbyt mocno – wstawił się Czuryłowicz.

Haukr i Hedin byli bardzo poruszeni. Jego nowi bracia nie wyrzekli się ich... Człowiek i zwierzę w jednym ciele postanowili, że gdy będą mieć ku temu okazję, upolują dla towarzyszy jakieś zające.

– Nie martwcie się. Obiecuję wam, że w nienaruszonym stanie oddam go hamramirom i uszanuję ich wyrok. Zniewagę, jaką mi uczynił, lekceważąc mój rozkaz, już mu darowałem.

– Sprawiedliwość hamramirów bywa okrutna – zauważył poeta.

– Tak jak i wasz przyjaciel. Ale możecie wybierać: zginiecie tu wraz z nim albo pozwolicie moim ludziom go zabrać.

– Pójdziemy ze strażnikami – Haukr i Hedin przerwali ludziom kłótnię. Śmierć u boku towarzyszy była bardzo kusząca i z radością przyjęliby ten podarunek, ale chcieli się rozmówić z dawnymi braćmi.

Ali śnił o sawannie porośniętej żółtą trawą, o dżungli, której splecione gałęzie prawie nie dopuszczają światła, i o grzywiastym kocie, rykiem uciszającym nawet chichoczące psy. Bóg karał Blamada za występki, zsyłając mu wizję kraju ojców, którego nie zamierzał już nigdy odwiedzić.

Obudził się o świcie i przypomniał sobie o naukach Muhammada, które wpajali mu immamowie. Człowiek pobożny modli się pięć razy w ciągu dnia, odmawiając o świcie *salat as-subh*, w południe *salat az-zuhr*, po południu *salat al-asr*, o zachodzie słońca *salat al-magrib*, a wieczorem *salat al-isa*. Tylko że on już nie był człowiekiem prawym, bo wybrał życie w dżahilijji, ciemnocie, i przeszedł na stronę al-magus, niewiernych. Ale modlitwa nikomu jeszcze nie zaszkodziła, a starych przyzwyczajień trudno jest się pozbyć. Wstał, uklęknął, zwracając się ku wschodzącemu słońcu i... popełnił straszne bluźnierstwo, przynajmniej według immamów. Zamiast prosić Allaha o przebaczenie, odmówił jasztę, hymn pochwalny na cześć Wertragny. Prosił w nim Szalonego Odyńca, by zsyłał na niego szal tylko wtedy, gdy jest to niezbędne, i by zawsze potrafił nad nim panować.

Przyszli po niego w połowie modlitwy. Strażników było trzech, a jeden z nich ukuł go grotem włóczni w plecy, chcąc zmusić do pośpiechu. Nie zareagował, tylko spokojnie skończył hymn. Potem wstał i dał się poprowadzić przed oblicze kagana.

Przypuszczał, że jego towarzysze mieli podobną pobudkę. Rozlokowano ich w oddzielnych domach, wzniesionych dla gridinów kagana wokół Halli Drzewa. Oczywiście kazano im nocować razem ze zbrojnymi Kola, a że kilku z nich było Baganakijczykami, musieli się szybko przyzwyczać do smrodu.

Zapewnienie konunga, że w nocy będą mogli w spokoju przedyskutować wybór ochotnika, okazało się kłamstwem. Albo Kol bał się ich trzymać razem, albo uznał, że wyłonienie śmiałka będzie ciekawsze, gdy nie będą mieć ze sobą kontaktu. Ale to i tak nie miało znaczenia. Wszak to Skald

musiał poddać się próbom.

Tirus Wielki dobrze ocenił Ainara. Ten Vaering nosił w sobie życzenie śmierci i nienawidził świata. Przyjąłby każde wyzwanie, byle tylko poigrać z niebezpieczeństwem, udowodnić bogom i ludziom, że jest od nich więcej wart. Właśnie dlatego mądry władca gwiazd wybrał go na swojego posłańca. Ale on, Ali Czarny Berserk, wszystko wczoraj zepsuł, powstrzymując poetę przed zgłoszeniem się do podjęcia wyzwań. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił.

No, może nie do końca nie wiedział, uważał bowiem plan Tirusa za mało honorowy. Pieśniarz miał zająć się próbami, a Ali sprawdzić, czy najemników kagana nie da się przekupić. W razie zwycięstwa Skalda dostał też zadanie zaopiekowania się Ingigerdą oraz rozgłoszenia, że uczciwie pokonali Kola i jego karłowatego czarownika, dlatego wszyscy powinni pokłonić się przed potężnym Tirusem Wielkim. Gdyby jednak Ainar zawiódł, berserk miał wykonać plan zapasowy i zabić władcę Treborga. Tirus nie miał zamiaru znosić kolejnych upokarzających przegranych swoich ludzi i był gotów zgładzić znenawidzonego przeciwnika, nawet jeśli miałoby to oznaczać wojnę.

Czarny wojownik obiecał sobie, że dzisiaj nie powtórzy własnego błędu i pozwoli poecie się zgłosić. Choć wiele by dał, aby się z nim zamienić i samemu stanąć do honorowych prób.

Kagan ponownie przyjął go w Halli Drzewa, Ali wszakże nigdzie nie zauważył swoich towarzyszy, co trochę go zdziwiło. Uznał jednak, że Kol chce się zabawić ich kosztem i przyjmować osobno, by śmiałek nie czuł od nikogo wsparcia. Jakby on, wielki berserk, mógł liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony Ainara albo tego Saglaba, który na brodzie miał jeszcze ślady mleka.

Wczoraj władca promieniował dostojnością, był bogato odziany i pewny siebie, jakby spodziewał się ich wizyty. Dzisiaj zachowywał się inaczej. Stał tyłem do Blamada i opierał się rękami o pień, jakby chciał przepchnąć drzewo. Był całkowicie nagi, więc Ali mógł w pełni przyjrzeć się jego sławnym tatuażom. Na stopach widniały poskręcane korzenie, które

rozdzielały się na ścięgnach oraz palcach i znikwały za opuszkami, jakby wrastały w drewnianą podłogę, a może i jeszcze dalej, w same trzewia ziemi. Łydkami szły grube brązowe bele, które na plecach łączyły się, tworząc pień z chropowatą korą. Ramionami ciągnęły się konary, które na przedramionach i dłoniach przechodziły w gałęzie. Tatuaż kończył się na szyi, ale zmierzwione blond włosy sprawiały wrażenie, że głowa jest koroną z tysiąca złotych liści.

– Gdzie ona jest? – zapytał kagan, powoli się obracając.

Złe przeczucie skurczyło żołądek gridina.

– Kto?

– Nie udawaj. Moja córka!

Ingigerd? A skąd miał wiedzieć? Przecież całą noc spędził pod strażą. Gdyby miał zgadywać, postawiłby na to, że włóczyła się po grodzie, szukając kochanków. Czerniawka, czy jak tam kazała się nazywać córeczka tatusia, lubowała się w oszustwach. Cały czas miał w pamięci, jak dał się jej uwieść, a wtedy zrobiła z niego bezwolnego strażnika, gotowego spełniać każdą zachciankę sprytniej pannicy. Ale tego nie mógł powiedzieć jej ojcu, który najwyraźniej był przeświadczony o niewinności córeczki. W rodzinnych stronach Blamada powiedzieliby, że jej problemem jest brak obrzezania, bo tylko ono może pozbawić kobietę duchowego męskiego sobowtóra. Bez przeprowadzenia tego zabiegu cechy męskie nie dają jej spokoju i dlatego niewiasta nie może usiedzieć w jednym miejscu. Tego jednak czarny drużynnik tym bardziej nie mógł wyjawić Kolowi, a zresztą i tak nie miałby na to ochoty. Poznając w Serklandach nauki Muhammada, nauczył się bowiem cenić piękno i zrozumiał, że obrywanie płatków z kobiecego kwiatu jest występkiem przeciw dziewczęcej urodzie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Konung jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swojej nagości i sięgnął po płaszcz zawieszony na oparciu stołka.

– Nie wiesz? Nie miałeś też nic wspólnego ze zniknięciem swoich towarzyszy i zabójstwem sześciu moich ludzi?

To nie może być prawda – wmawiał sobie berserk. – Nie zostawia się współdrotmadów na łasce wroga. Wie to każdy dreng, bogaty i wojownik. Władca po prostu się z nim bawił i sprawdzał jego lojalność wobec towarzyszy.

– Skończ z tymi gierkami. Przecież nikt nie mógł uciec ze środka grodu otoczonego przez obóz koczowników, uprowadzając przy tym twoją córkę. To niemożliwe. Każ wezwać Ainara i Aloszę, a potem przystąpmy do zawodów.

Kol Mały popatrzył na niego badawczo, jakby oceniał jego prawdopodobność. Myślał nad czymś przez chwilę, marszcząc z wysiłku czoło, po czym zajął miejsce na siedzisku.

– A jednak moja córka zniknęła, twoi towarzysze również, a ja mam sześć trupów w gardzie.

Dla podkreślenia wagi tych słów uderzył pięścią w poręcz öndvegi. Na ten znak sługa otworzył drzwi halli i dwunastu ludzi wciągnęło do środka sześć ciał, znacząc drewnianą podłogę krwawymi śladami.

– Idź. Obejrzyj ich i powiedz, czy zrobili to twoi towarzysze.

Ali podszedł do ciał i zobaczył, że są zmasakrowane. Pocięte, porąbane, podżgane i zmiażdżone. Z pewnością nikt nie mógł twierdzić, że zmarli na zatrucie pokarmowe. Nosili ślady po ciosach mieczem i włócznią, ale przecież Czarny Berserk nie mógł ocenić, kto władał bronią, która zadała im śmierć. Z pewnością byli to jednak drengowie walczący z wielką zaciętością, którzy nie tylko zabili przeciwników, ale również wyładowali złość na ich martwych ciałach.

– Ainar to zabójca, który walczy szybko i uderza tak, by zabić, a nie okaleczyć – powiedział, wracając przed oblicze kagana. – Z kolei Alosza jest młodzikiem, więc po walce dziękuje bogom, że udało mu się przeżyć, a poległych zostawia na łasce padlinożerców. Żaden z nich nie jest okrutny i nie znęca się nad ciałami. Bardzo wątpię, by oni odpowiadali za śmierć tych ludzi. Zresztą zabraliście im broń.

– Chcesz powiedzieć, że zabili ich jacyś walczący w szale odrmadzi? A może wystarczy do tego jeden berserk?

- Ja tego nie zrobiłem. Przysięgam na Wertragnę.
- Co mi z twoich przysiąg?
- Posłuchaj więc głosu rozsądku. Gdybym ich zabił, czy spałbym spokojnie w domu, czekając, aż zjawią się twoi strażnicy?
- Nie. Pewnie uciekłbyś bez pożegnania.
- Właśnie.
- Tak więc wracamy do twoich towarzyszy. Skoro już przyznałeś, że ci, którzy zabili moich ludzi, musieli potem uciec, wypijesz to, co ci uwarzyli przyjaciele, bo wszak właśnie oni uciekli. A raczej zjesz, nie wypijesz. Słyszałem, że w czarnych krainach Blamadzi pożerają umarłych i ostrzą sobie zęby, by łatwiej przegryzać ludzkie mięso. Chcę to zobaczyć. Masz czas do wieczoru, by zjeść całą szóstkę.

Kagan mówił śmiertelnie poważnie, a i berserk musiał przyznać, że w Blalandzie rzeczywiście żyły plemiona, które zjadały ciała swoich wrogów. Ale on nigdy tego nie robił. Nauczył się jednak wykorzystywać strach, jaki biali żywili do zjadania pieczeni z człowieka.

– Nie jesteśmy dzikimi zwierzętami. Nie jadamy surowego mięsa – spróbował rozbawić konunga.

– Możesz ich sobie upiec, ugotować lub uwędzić. Mnie jest wszystko jedno. Ale o zachodzie słońca mają tu zostać same ogryzione kosteczki.

Zanosilo się na obfity posiłek. Alemu zrobiło się niedobrze. Nawet jeśli przewyciężyłby obrzydzenie, nie sądził, by podołał zadaniu zjedzenia więcej niż jednego ciała. Szybko musiał coś wymyślić.

– Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć córkę, oszczędzisz mi takiego obiadu.

Kagan zerwał się z öndvegi, wyrwał strażnikowi miecz i przyłożył jego sztych do gardła berserka. Wraz z dotykem żelaza czarny gridin poczuł narastający gniew. Kol nie powinien go aż tak denerwować. Władca miał broń, był wyższy od niego o głowę i prawie równie szeroki w ramionach, ale gdy Szalony Odyniec ześle na niego aesmę, to Blamad, choćby miał przypłacić atak własnym życiem, zabije wszystkich w tym gmachu.

– Czyli jednak wiesz, gdzie ona jest.

– Tak – skłamał, choć nienawidził tego robić. Towarzystwo Ainara czegoś go nauczyło. – Moi towarzysze porwali ją i ukryli w górach. Na moje polecenie.

Źrenice Kola rozszerzyły się i pojawiły się w nich iskierki szaleństwa. Naparł mocniej na miecz, więc Ali musiał odchylić głowę do tyłu, by jej nie stracić.

– Złamałeś zasady gościnności i pogwałciłeś warunki prób. Wszyscy dowiedzą się, jak wiarołomni są ludzie Tirusa i sam kagan Glaesiru. Na wszystkie strony świata rozejdzie się wieść, że nie odważył się osobiście stanąć do uczciwych zalotów o rękę mojej córki, tylko kazał ją tchórzliwie porwać. W całym Austrvegu stanie się jasne, że przysięga wierności złożona Tirusowi już nikogo nie obowiązuje, bo słowo dane krzywoprzysięzcy jest nic niewarte.

– Pohamuj się – drużynnik próbował dojść do słowa, ale konung tak się zapamiętał w gniewie, że nie zwracał na niego uwagi.

– Wiedz również, że rozpętałeś wojnę. Wysłałem już ludzi z czerwonymi strzałami, by wszyscy zgromadzili się pod sztandarem drzewa i uderzyli na Dyragard. I nie spoczniemy, dopóki nie wyrzniemy wszystkich jego mieszkańców, nie zabijemy każdej więzionej tam bestii, nie rozbierzemy tamtejszej kamiennej wieży, nie zburzymy wałów i nie spalimy domostw. Bo taki jest gniew mężczyzn z Odainsaku.

– Poczekaj. Twoje warunki jeszcze nie zostały złamane. Przecież nie powiedziałem, że porwano twoją córkę z rozkazu Tirusa. Po prostu mój nieufny towarzysz Ainar uznał, że musimy się zabezpieczyć na wypadek, gdybyś nie zechciał spełnić swoich obietnic, kiedy podołam wszystkim próbom. Zostawili mnie tutaj, bym stanął do zawodów, a sami obiecali pilnować twojej córki jak własnego dziecka. Jeśli wygram, weźmiemy ją do Tirusa. Jeśli polegnę, Skald z Aloszą oddadzą ci Ingigerdę.

– Chcesz, żebym ci uwierzył? Masz mnie za głupca? Poeta na pewno jest już w drodze do Dyragardu. Może więc po prostu nadzieję twój zdradziecki łeb na pal.

– Nie musisz zdawać się na wiarę. Daj mi tylko możliwość poddania się

próbom. Jeśli mnie teraz zabijesz, nic nie zyskasz i już nigdy nie zobaczysz córki. Natomiast jeśli przegram zawody... No cóż, wtedy i tak będziesz mógł mnie zgładzić, a do tego możesz liczyć, że pieśniarz okaże się człowiekiem honoru i odda ci córkę. Moje zwycięstwo oczywiście sprawi, że puścisz mnie wolno, a Ingigerd zaręczy się z Tirusem, ale to i tak nam już obiecałeś.

Kol Mały cofnął miecz, ale nadal trzymał go wymierzony w szyję berserka. Zastanawiał się, patrząc Blamadowi prosto w oczy.

– Posłuchaj go – wtrącił się Mödul, który nagle pojawił się u boku kagana. – Złożyłeś przysięgę boskiemu Jomaliemu i Jednorękiemu, że dopuścisz każdego śmiałka do prób. Wątpię, by to zwróciło ci córkę, ale nie możesz złamać danego słowa, jeśli nie chcesz, by Tirus Wielki ogłosił cię kłamcą.

Ali nie dostrzegł pokurcza wcześniej, ale zakładał, że czarownik cały czas przysłuchiwał się ich rozmowie, ukrywając się w cieniu drzewa. Karły to plugawe, skryte istoty, które przemieszczają się pod ziemią. Ale dziwnym zrzędzeniem Wertragny ten ghulowaty miłośnik *sihr*, czarów, chciał mu pomóc.

– Dobrze – władca wydał wyrok i w końcu opuścił miecz. – Ale jeśli zawiedziesz, dopilnuję, byś zjadł te sześć trupów, nawet jeśli będą się już wtedy rozkładać w ziemi. Lepiej więc zacznij pościć.

Czarny Berserk pomyślał, że przynajmniej kupił sobie trochę czasu. W powrót Ainara nie wierzył. Nie miał pojęcia, jak Skaldowi udało się uciec, ale skoro zniknął bez niego, z pewnością nie zjawi mu się też na ratunek. Jak zawsze pozostała mu wiara w samego siebie.

– Co do kosteczki – obiecał.

Opowieść o szaleństwie 2

Vaering nadal pracował nad figurką wilka, cicho przy tym pogwizdując. Z kolei szczupły młodzieniec płaśał po izbie, skacząc po ławach, a od czasu do czasu stawał na jednej nodze koło więźnia i wpatrywał się w niego, kręcąc głową z boku na bok.

Mężczyzna przy palenisku rozpałił ogień na tyle mocno, że już nie musiał się o niego troszczyć. Zdjął buty, siadł na pniaczku i wyciągnął stopy. Płomienie prawie lizały mu palce. Niewielu ludzi byłoby w stanie wytrzymać takie gorąco, ale on nic sobie z tego nie robił i jeszcze wziął na siebie obowiązek zabawiania więźnia rozmową.

– Vaering ma rację. Ja też wiele podróżowałem i rzeczywiście, niemal wszystkie ludy wiążą szaleństwo z działaniem sił nadprzyrodzonych. Pewien wędrowny Gyding – mieszkaniec kraju Judy – Jakub ibn Ibrahim, opowiedział mi historię wielkiego władcy, malika Nabuchodonozora, który kiedyś panował na krańcach świata. Stworzył królestwo tak ogromne, że przebycie go wzdłuż lub wszerz zajmowało wiele miesięcy. Popadł w dumę i pychę, wierząc, że zdobył niezliczone ziemie i bogactwa wyłącznie dzięki własnym umiejętnościom. Wtedy jednak Eloah zesłał mu sen, w którym malik zobaczył wielkie drzewo, którego korzenie sięgały środka ziemi, a gałęzie smagały chmury. W wizji tej pojawił się również drwal, który ściął wielkie drzewo. Kagan sprowadził mędrca, aby wytłumaczył mu sen – i przeląkł się, gdy dowiedział się, że dostał z niebios zapowiedź swego upadku. I rzeczywiście. Po dwunastu miesiącach, w dniu, w którym po raz kolejny zamyślił się nad wspaniałością swojego państwa, Bóg ukarał go za pychę i zesłał na niego szaleństwo. Władca uciekł z pałacu, wyjąc jak dzikie zwierzę, po czym udał się do dziczy, by żyć w odosobnieniu. Tam jadł trawę niczym wół i kąpał się w rosie. Jego

włosy urosły jak u orła, a paznokcie stały się szponami podniebnego drapieżcy. Wielu powiada, że rzeczywiście zmienił się w dzikie zwierzę, opętany szaleństwem.

– Opowiadka dobra dla hamramirów. Co mnie to obchodzi? Lepiej powiedźcie, dlaczego mnie tu trzymacie?

– A tak. Zapomniałem, że wolisz wyjaśnienia rozumowe. Dobrze zatem. Gdy studiowałem uczone księgi w Serklandach, wielu mędrców próbowało mi wytłumaczyć, czym jest gniew, który we mnie zamieszkuje. Twierdzili, że jestem obłąkanym majnunem lub cierpię na lunatyzm, chorobę księżycy, która nakazuje mi wychodzić w nocy do lasu i wyć w ciemność. Między nami mówiąc, mylili się, bo czasami szaleństwo nachodzi mnie również w dzień. Ale wracając do opowieści: uczeni objaśniali moją chorobę, odwołując się do Hipokratesa i Galena, ojców sztuki uzdrawiania. Mówili, że obłąkanie rzeczywiście może być bożą karą za nasze czyny, które pozbawiają człowieka równowagi duchowej i cielesnej. Na przykład występna miłość przyspiesza bicie serca, sprowadza dreszcze, powoduje nadmierne pocenie się i omamia umysł jedną tylko myślą: jak zaspokoić swoją chuć. Podobnie jest z niepohamowanym gniewem. Wywołuje drgawki, czerwony kolor skóry, napięcie mięśni, kołatanie w piersi i sprawia, że naszą obsesją staje się niszczenie i zabijanie. Serklandzcy lekarze przekonują, że wszystkiemu winien jest brak równowagi między czterema płynami krążącymi w ciele człowieka, które zwane są humorami: krwią, flegmą, czarną żółcią i żółtą żółcią, oraz ich czterema właściwościami: gorącem, zimnem, wilgotnością i suchością. Gdy któryś z tych płynów przeważa, człowiek popada w obłąd, dlatego też można wyróżnić cztery rodzaje szaleństwa: szał, manię, melancholię i bezmyślność. Wydaje się to trochę zawile, ale w istocie jest proste. Taki melancholik na przykład ma w sobie za mało czarnej żółci, a za dużo flegmy, która jest mokra oraz zimna, a przeważa nad gorącą krwią. Dlatego właśnie mężczyzna trapiiony tą dolegliwością płacze bez powodu jak dziecko i ślini się niczym głupek. Kobięcą odmianą tej dolegliwości może być histeria, która objawia się nieustanną wilgotnością łona, dającą się

wyleczyć jedynie poprzez regularne stosunki cielesne. Manię i bezmyślność powoduje zwykle nadmiar czarnej lub żółtej żółci. Niejaki Arystoteles, uczony Grikmad, pisał, że czarna żółć jest niczym wino, bo jej nadmiar daje takie same efekty, jak wypicie tego trunku. Ten, kto zwykle jest małomówny, zaczyna gadać od rzeczy, potem popada w zamroczenie, a w końcu trzepie się na ziemi jak ryba wyciągnięta na brzeg. Najciekawiej wyjaśnia się jednak szał. Ten jest spowodowany nadmiarem krwi, która sama w sobie jest gorąca, a złość dodatkowo ją podgrzewa, sprawiając, że wilgoć odparowuje z ciała. Opary te dostają się do głowy, a tam przenikają do oczu, przez co chory może mieć dreszcze, zawroty głowy i widzieć rzeczy, których nie ma.

– Daruj sobie tę przemowę, wiarołomny dzikusie. Możesz szukać przyczyn szaleństwa w najstarszych księgach i u najsędziwszych mędrców, ale nikt nie poda ci lepszego lekarstwa na tę dolegliwość niż ja.

– Lubię słowa. Mogę wysłuchać i twoich.

– Gdy pan zauważy, że jego psy są wściekłe, bierze pałkę, wali je po łbach, wkłada do worka i topi w rzece. Tak samo powinienem zrobić z wami trzema, gdy tylko was spotkałem.

Oprawcy zaśmiali się gromko.

– W tym szaleństwie jest cień prawdy – wtrącił Vaering. – Rzeczywiście, powinieneś tak zrobić.

– Zabawna rzecz z tym lekarstwem na szaleństwo – wrócił do swojej przemowy mężczyzna siedzący przy palenisku. – Istnieje tyle opinii, jak sobie z nim radzić, ile pomysłów, co go powoduje.

– Kristmadowie zalecają posty i modlitwy, wierząc, że w ten sposób przegonią złego ducha, który opanował ciało osłabione przez występek. – Rzeźbiarz zmarszczył brwi i uniósł wargę niczym wilk. Coś sobie przypominał, ale chyba nie było to nic przyjemnego. – W skrajnych przypadkach wybierają głodzenie demona, polewanie go lodowatą wodą lub wypędzanie batogiem.

– Próbowałem tego wszystkiego, ale nic nie pomogło. Najbardziej skuteczny jest sposób serklandzkich lekarzy, czyli upuszczanie krwi.

Rzeczywiście odbiera siły i zapewnia dobry sen, choć nie daje trwałego ukojenia. Większość tych sposobów wymaga jednak, by lunatyk chciał być uleczony.

Pląsający mężczyzna ponownie zatrzymał się naprzeciw więźnia i wreszcie się odezwał:

– A co pozwala ci twierdzić, że któryś z naszej trójki chce zostać uzdrowiony?

Księga II
SZACRANÓŻ

Kiedy słońce pokonało już trzy ćwiartki drogi po niebie, stanęli w obozie hamramirów. Położony był niedaleko Treborga, gdyby jednak przechodził w jego pobliżu przypadkowy wędrowiec, pewnie w ogóle by nie zauważył, że ktoś tam mieszka. Został ulokowany między drzewami, przy brzegu wąskiego strumyka, którego źródło wypływało tuż obok, ze skały. Dachy ziemianek były gęsto porośnięte trawą i krzakami, tak że wyglądały na małe pagórki, a przy dogasającym ognisku nie leżały żadne sprzęty domowe. Tylko ktoś, kto dokładnie wiedział, dokąd miał się udać, mógł znaleźć to miejsce, bo nie prowadziła do niego żadna ścieżka, a obóz zewsząd otaczały mokradła, chaszczce i jary, jakby sam las bronił do niej dostępu.

Nawet ich strażnicy dwa razy pobłądzili, choć widać było, że niejedyn raz przychodzili tu jako posłańcy. Byli to Vaeringowie, bo inni najemnicy Kola – czy to Vindmadowie, czy Tattarzy, czy nawet Bjarmalandczycy – bali się rozmawiać z leśnymi szaleńcami.

Huakr i Hedin mieli związane ręce z tyłu. Strażnicy nie popełnili błędu, słusznie uznając, że takie więzy nie wystarczą na odrmada. Jeden z nich stał więc za Jastrzębioskórym, mierząc w jego plecy włócznią, a dwóch innych pilnowało go po bokach, trzymając obnażone miecze. Czwarty wysforował się naprzód, a w rękach trzymał beczułkę miodu – podarunek dla hamramirów. Właśnie on zaczął rozmowę.

– Pokażcie się, bestie w skórze człowieka i ludzie o sercach bestii.

Jastrząb i Płaszcz już od jakiegoś czasu wyczuwali obecność braci. Wiedzieli, że przynajmniej od trzystu kroków byli obserwowani, i przypuszczali, że śledzącym był Ryś, bo tylko on umiał szybko i cicho

przemieszczać się po drzewach. Kiedyś to oni byli oczami bractwa.

Mieli rację. Ryś zeskoczył z jesionu za ich plecami, a pozostali wyszli zza pni.

– Nasz brat do nas dołączył. Nasza dwunastka ponownie jest razem – odezwał się Berhedin, przywódca.

Tuzin. Zawsze było ich tylu. Nie mniej i nie więcej. Sześciu ludzi i sześć bestii mieszkających w człowieczych ciałach. Haukr i Hedin cieszyli się, że nikogo nie przyjęto na ich miejsce. Z drugiej strony, szalonym wojownikom nigdy nie było łatwo znaleźć nowych braci.

Jastrząb i Płaszcz nie widzieli się z nimi od jesieni, ale hamramirzy niewiele się zmienili. Z radością im się przyjrzał.

Ber i Hedin – Niedźwiedź i człowiek o imieniu Hedin – byli przywódcami ich sfory. Berhedin miał na sobie postrzępione spodnie, nie nosił butów, a jego nagi tors porastały gęste włosy. Z szyi zwisała mu niedźwiedzia łapa, którą zwykł drapać się po plecach, kiedy w pobliżu nie było żadnego pnia. W rękach trzymał olbrzymią maczugę zakończoną czaszką miodożercy, w którą wprawił żelazne kolce, przypominające sterczące włosy rozgniewanego boga Magnego.

Urr i Hedin – Tur i człowiek o imieniu Hedin – byli najsilniejsi. Urrhedin miał chude nogi, płaski brzuch, szeroką pierś, ogromne ramiona i szyję grubą jak pień drzewa. Z powodu niskiego czoła i całkowitej łysiny jego głowa wyglądała jak idealnie okrągły głaz. Nos przebił sobie złotym kolczykiem. Jako jedyny w braterstwie nosił buty, które wzmocnił żelaznymi okuciami. Ubrany był w skórzany, czarny kaftan z krótkimi rękawami, a za uzbrojenie służyły mu dwa kiścienie: żelazne kule przywiązane rzemieniami do nadgarstków.

Svin i Hedin – Dzik i człowiek o imieniu Hedin – potrafili zjeść wszystko. Svinhedin był najmniejszy, ale i najgrubszy spośród braci. Miał krótkie nogi, zaokrąglony brzuch, masywne ramiona i nieproporcjonalnie wielką, podłużną głowę. Jego gęsta broda i krótkie włosy przypominały szczecinę. W jego uszach tkwiły kolczyki z kłów dzika, a z sutków zwisały dwa wisiorzki z szablami dzikiego wieprza. Ubrany był w krótki kurtak,

czyli kamizelkę z niewyprawionej skóry dzika. W rękach trzymał dwie lekkie włócznie.

Ulf i Hedin – Wilk i człowiek o imieniu Hedin – mieli najdłuższe zęby, które wystawały spod ich warg. Ulfhedin był cały szary – popielate były jego spodnie, kyrtil, włosy oraz oczy. Na głowie nosił czapkę z wilczego łba. Miał długie nogi i szczupłe ciało. Zawsze posługiwał się mieczem, chronił się za tarczą z malunkiem wilczego łba, a jego ulubionym sposobem walki był doskok i odskok.

Gaupa i Hedin – Ryś i człowiek noszący imię Hedin – byli największymi węglózcami w bractwie. Lubili spać i uwielbiali mleko. Gaupahedina uznawano za najzwinniejszego hamramira. W każdym jego ruchu znać było lekkość, nawet gdy drapał się po nosie. Potrafił chodzić bezszelestnie, a na krótkim odcinku był prawie tak szybki jak Jastrząb. Uszy miał lekko spiczaste, a włosy zmierzwiłone. Na głowie nosił opaskę z futra rysia, a jego ubranie składało się ze skrawków różnokolorowych szmat, które ciągle zmieniał, zależnie od otoczenia, w którym się znajdowali. Wszystko to dlatego, że lubił pozostawać niewidocznym, uwielbiał się chować i nie przepadał za towarzystwem, nawet swoich braci. Polował dwoma lekkimi toporkami, którymi potrafił bardzo celnie i daleko rzucać.

Tak wyglądała rodzina ptaka i człowieka, której się wyrzekli.

– Kagan polecił nam przekazać, że jest wasz. Róbcie z nim, co chcecie, a on zgodzi się z wyrokiem. Przysyła wam też beczułkę miodu oraz szpony Haukrhedina – powiedział swoje wysunięty do przodu vardkarl, kładąc wymienione przedmioty na ziemi.

– Zostanie osądzony. Możecie odejść – polecił Berhedin.

Vaeringowie pochodzili z odważnego ludu, ale nie trzeba było im tego dwa razy powtarzać. Szybko zniknęli między drzewami, choć ich kroki jeszcze długo były słyszalne.

– Cieszymy się bardzo, że postanowiliście do nas wrócić – odezwał się Niedźwiedź i człowiek.

Jastrząb i Płaszcz wiedzieli, że te słowa skierowane są do nich, choć przywódca spoglądał jeszcze w miejsce, w którym zniknęli strażnicy.

Poczułi, że Gaupahedin przecina im więzy. Znow byli wolni. Rozmasowali nadgarstki.

– Jastrząb chciał wrócić wcześniej, ale człowiek przekonał go, że nasza zdrada nie zostanie tak łatwo wybaczona.

– My nie wybaczymy – oznajmił przywódca.

– Nie wybaczymy! – zakrzyknęli pozostali.

Bracia otoczyli przybysza, a każdy trzymał w rękach broń. Ostrożność hamramirów była zbędna – Haukr i Hedin nie myśleli o ucieczce, choć okazję na wymknięcie się mieli wcześniej, podczas podróży ze strażnikami. Bo nawet związani byli szybsi od każdego człowieka.

– Może napijemy się miodu – zaproponował Berhedin, bo jeszcze nie urodził się taki szaleniec, który z ludzkiej natury nie zachowałby miłości do trunków. – Mamy sporo do omówienia.

– Napijmy się – zgodził się Urrhedin, bo tur wewnątrz jego głowy miał zawsze największe pragnienie.

Nikt nie zaprotestował, więc łysy odrmad odłożył kiścienie, sięgnął po beczkę, odetkał ją i przechylił do ust. Wypił tylko trzy łyki, a i tak wydawało się, że opróżnił ćwierć pojemnika. Potem przekazał go pozostałym i miód zaczął krążyć między zmiennokształtnymi. Nikt nie usiadł, bo bestie w ich głowach nie lubiły tej ludzkiej pozycji. W końcu beczka trafiła do Haukrhedina, a była już wtedy prawie pusta.

Człowiek i Jastrząb napili się, a trunek rozgrzał im wnętrzości. Od razu zrobili się weselsi.

– Opowiemy wam żart, który ćwierkają ptaki na gałęziach. Było raz tak, że wilk, dzik i tur poszli polować. Ale zamiast cierpliwie czekać na zwierzynę, wpadli w szal i pomylili drzewa z sarnami. „Coś twarde mają mięso” – mówili do siebie, a im twardsze było, tym mocniej je gryźli, aż zęby im popękały.

– Mało śmieszne – odpowiedział Svinhedin, wypluwając pod nogi nadgryziony żołędź.

– Nic nam nie pękło – dodał Ulfhedin, padając na czworaki i drapiąc się

stopą za uchem.

– Przypuszczaliśmy, że to byliście wy – wtrącił Urrhedin niskim głosem.
– Nikt inny tak szybko nie ucieka.

– Biega, chcieliście powiedzieć.

– Wystarczy – skończył kłótnię człowiek z niedźwiedziem w głowie. – Nie o tym mamy rozmawiać i nie to osądzać. Haukrze i Hedinie, uciekliście od nas bez słowa wyjaśnienia, okrywając nas hańbą.

Uciekli, sami to przyznawali. Tego dnia, gdy kagan wezwał ich, by wykonali wyrok, coś w nich pękło. Przy ostatnim chłopcu ręka zadrżała. Na pięć uderzeń serca. Tyle wystarczyło, by kagan spojrzął na nich z niedowierzaniem, a dwulatek się uśmiechnął. I uderzyli, chcąc zabić dzieciaka, zniszczyć jego uśmiech, który wdarł się do ich głowy i naigrywał się z Jastrzębia. Chcieli żyć jak dawniej. Zabijać i być ze sobą w zgodzie. Ale nie trafili i szpon wbił się w drewno obok głowy malca. Uznali to za znak od szalonego Göllnira, którego kaprysów nie da się przewidzieć. Wzięli więc dziecko na ręce i uciekli.

– Jastrząb nie mógł wykonać rozkazu bez ręki człowieka, a Hedin się zawahał. Chłopiec był tylko pisklakiem. Nikomu nie przeszkadzał.

– Nie nam kwestionować polecenia kagana, pana drzewa świata, wcielenia samego Göllnira!

– Bitewny Krzyk ma wiele masek, ale Kol nie musi być jedną z nich. Porzuciliśmy służbę i was. Bo tak postanowił człowiek, a Jastrząb na to przystał.

– Zdrada! – ogłosił Berhedin i ryknął głośno: – Bestia nie mogła się na to zgodzić! Człowiek ją przymusił!

Odpowiedziało mu wycie, kwik, ryk i groźne mruczenie. Ptaki siedzące na okolicznych drzewach zerwały się do lotu, a z lasu dobiegło nawoływanie drapieżników. Bracia się zgadzali.

– Muszą ponieść karę – powiedział Svinhedin, kiedy już się uspokoił, po czym rąbnął pięścią w otwartą dłoń, aż glista chodząca po jego ramieniu spadła na ziemię. Dzik musiał niedawno tarzać się w błocie, bo cały był

nim upaprany.

– To nie ulega wątpliwości. Już kiedy nas porzucili, nałożyliśmy na nich trzyletnią banicję. Wracając, złamali i to prawo. Kara musi być surowa. Ale zanim ją ustalimy, musimy im powiedzieć, co stało się z chłopcem, którego ocalili.

Tamtego dnia Haukr i Hedin wyskoczyli z okna i biegli nieprzerwanie przez trzy dni i trzy noce. Dopiero wówczas oddali chłopca nieznanym rodzinie, jak poradził im to pewien przyjaciel.

– Nigdy się nie dowiecie, co się z nim stało.

– Doprawdy? Przyprawdźcie dzieciaka!

Ulfhedin i Gaupahedin zniknęli w jednej z ziemianek, a po chwili wyszli, ciągnąc małe, na oko trzyletnie dziecko. Chłopaczek był podobny do płowowłosego dwulatka, którego Haukrhedin ocalił prawie rok temu, ale ani Jastrząb, ani Płaszcz nie mogli stwierdzić, czy to naprawdę ten sam chłopiec. Zresztą nie miało to już znaczenia. Los malca był łatwy do przewidzenia.

– Wiecie, jak królowie w Vallandii przyuczają jastrzębie i sokoły do polowań? – zapytał Niedźwiedź, choć wcale nie czekał na odpowiedź. – Przyprawdżają im chore lub niewyrośnięte zwierzęta, które nie umieją się bronić, by ptaki łowcze nauczyły się zabijać. A one bawią się z bezbronnymi ofiarami, aż zrozumieją, że zabijanie jest ich naturą.

– Umieemy zabijać. Kłujemy, tniemy, rąbiemy i zarzynamy. Jesteśmy w tym najlepsi. Ale tylko Jastrząb i człowiek mogą decydować, na kim użyjemy swoich umiejętności.

– I wasi bracia też. Zabijcie chłopca, naprawcie stary błąd, a będziecie mogli znów wejść do rodziny.

Biegać po lesie z Rysiem, brać się za bary z Turem, straszyć księżyc z Wilkiem, wybierać miód dzikim pszczołom z Niedźwiedziem i obżerać się z Dzikim. Razem spać, razem walczyć, razem gwałcić, razem palić, razem rabować i razem zabijać. Razem, społem, w dwunastu i w sforze. Być w bractwie. Jastrząb jazgotał w ich głowie, by się zgodzili, ale to

człowiek miał usta.

– Nie! – wykrzyczeli.

Ryk, kwik, wycie, ryk i groźny pomruk. We wszystkich dało się usłyszeć zawód i niedowierzanie.

– Wyrzekacie się swoich braci? – wrzasnął Berhedin tuż przy twarzy Haukra i Hedina, aż ci poczuli zapach zgniłego mięsa. Pewnie przywódca znów wybrał się z Rysiem i Wilkiem na poszukiwania padliny. Zawsze lubili to robić, ale wstydzili się przyznać.

– Wyrzekamy się.

Bo teraz mają innych braci. I są wolni. Nawet jastrzęb w ich głowie potrafił to zrozumieć.

– W takim razie zdecydujemy o waszym losie. A jeśli chodzi o chłopca...

Ulfhedin wziął dziecko na ręce, uniósł górne wargi, odsłaniając zęby, i nachylił się nad szyją malca, jakby chciał przegryźć mu grdykę. Chłopiec nie zapłakał. Żyjąc z hamramirami prawie przez rok, musiał zobojętnieć na śmierć.

– Czekaj – Niedźwiedź powstrzymał młodszego brata. – Tracimy dwóch członków rodziny, ale możemy zyskać nowych.

– Musi nas być dwunastu – zgodził się Wilk, który z nich wszystkich najbardziej lubił życie w sforze.

– A Haukra i Hedina oddajmy lasowi – dorzucił Ryś. – Niech puszcza zdecyduje.

Ryk, kwik, wycie, ryk i głośny pomruk tym razem oznaczały zgodę.

– Zatem postanowione. Za odwrócenie się od naszej bestialskiej natury, za tłumienie głosu Jastrzębia wewnątrz waszej głowy, za zlekceważenie rozkazu, za tchórzliwą ucieczkę i za zdradę braci zostaniecie oddani lasowi. Niech wszyscy jego mieszkańcy zdecydują, jaki los ma spotkać człowieka, który więzi bestię. Niech rozerwą skorupę i pozwolą Jastrzębiowi wzbic się w powietrze. A chłopiec dostanie szansę, by kiedyś stać się hamramirem. Być może kiedyś was zastąpi. Wasz los będzie dla niego pierwszą lekcją.

Wilk, jednak trochę zawiedziony, rzucił malca pod nogi Haukrhedina.

Urrhedin zniknął między drzewami, ale po chwili wrócił, trzymając w rękach bęben.

– Zatańczmy po raz ostatni dla naszych byłych braci – zaproponował i zaczął wystukiwać rytm.

Ryk, kwik, wycie, ryk i głośny pomruk zlały się ze śmiechem Hedinów. Hamramirzy uformowali szyk. Każdy obrócił się twarzą do pleców sąsiada i dobył broni. Pierwszy krok należał do Berhedina, ich najstarszego brata. Niedźwiedź przykucnął, podskoczył, zaryczał i potrząsnął maczugą. Pozostali wzięli z niego przykład. Gdy każdy zaprezentował się Göllnirowi i zaprosił szalonego boga do wspólnych płaśów, Niedźwiedź ruszył w podskokach, ścigając plecy grającego na bębnie Tura. Tak krążyli dookoła Jastrzębioskórego i malca, trzęsąc bronią, wymachując nogami na prawo i lewo oraz kręcąc głowami na wszystkie strony.

Hamramirzy zwani byli często tańczącymi wojownikami.

Po kilku okrążeniach Haukr i Hedin przestali widzieć ludzkie postacie, a ujrzeli cieszące się bestie. Chłopiec u ich stóp śmiał się i płakał równocześnie. W dziecku powoli budziło się szaleństwo.

18

Już od trzech dni byli w drodze, a poeta nadal miał związane ręce. Mógłby spróbować się uwolnić, nawet uciec, ale wolał poczekać, co wyszyją mu norny, gdyż szalone prządky zdawały się ostatnio być w wesołym nastroju. Wracali do Dyragardu, i to jadąc na garbatych koniach. Jako skald zawsze kochał wyzwania.

W vaerińskich opowieściach stworzenia te określano mianem *drómedari*. Jazda na nim różniła się od dosiadanania konia. Siedziało się wyżej, w siodle umieszczonym na garbie, co wbrew pozorom było bardzo

wygodne. Kości zwierzęcia wcale nie wbijały się w tyłek, bo siedzisko składało się z drewnianej konstrukcji pokrytej kilkoma miękkimi pledami z wełny z dromedara. Wierzchowcem kierowało się za pomocą tylko jednej wodzy, której końcówka umocowana była do kolczyka przebijającego nos zwierzęcia. Bolesna sprawa – pomyślał pieśniarz i szarpnął sznurem na próbę. W drugiej ręce powinien mieć jeszcze solidny kańczug, by poganiać leniwego dromedara, ale miał skrępowane dłonie, więc jego strażnik musiał dopieszczać zad wierzchowca.

Przy wsiadaniu omal nie przeleciał zwierzęciu przez głowę. Co prawda uprzejmie przed nim uklękło, pozwalając, by zasiadł na garbie, ale potem złośliwie i sprzecznie z końską naturą stanęło najpierw na tylnych nogach, a dopiero później na przednich. Gdyby w porę się nie odchylił, ośmieszyłby się w oczach Ingigerdy.

Podczas jazdy strasznie bujało. W tył i w przód, aż do znudzenia. Wszystko przez pokraczny chód wierzchowca, który stawiał jednocześnie dwie nogi lewe, potem dwie prawe.

– Jak na statku, co? – zagadnęła rudowłosa. Kobieta, która go porwała.

Kiedy trzy dni temu przyszła do domu, w którym został umieszczony jako gość, po czym kazała strażnikom wyjść i uśmiechnęła się do niego zalotnie, pomyślał, że chce go przeprosić za kłamstwa. Kiedy wyciągnęła nóż i przyłożyła mu do gardła, odkrył, że odrobina przemocy pomaga rozpałić namiętność, dał jej więc mocnego klapsa. Kiedy zaczęła wiązać mu ręce sznurem, uznał, że jest gotowy na nowe wyzwania. Kiedy do domu weszło dwóch zbrojnych i Alosza, trochę się przestraszył, bo nigdy nie przepadał za tłokiem w łóżku. Kiedy powiedziała: „Chodź za mną, potem ci wyjaśnię”, zrobił, co kazała, bo uznał to za zabawne – w końcu nie każdemu się zdarza zostać porwanym przez piękną córkę kagana.

Potem wyprowadzili go z domu, a Czuryłowicz głupkowato szczyrzył do niego zęby. Natknęli się na grupkę strażników i zrobiło się nieprzyjemnie. Skald, nie widząc dobrze w świetle księżyca, trzymał się na uboczu i tylko robił uniki, obserwując, jak radzą sobie pozostali. Vindmad coraz lepiej władał włócznią i nadział na nią dwóch Tattarów. Porywacze, którzy także

byli Baganakijczykami, wdali się w pojedynki na szable, które szybko zakończyli na swoją korzyść. Z resztą wrogów poradziła sobie Ingigerd, i to bez prawdziwej broni. Wyciągnęła spod spódnicy ciesielski młotek i zaczęła nim pracować. Nie była wysoka, więc narzędzie znajdowało się na nieprzyjemnej dla mężczyzn wysokości. Uderzała w podbrzusza, miażdżyła kolana i waliła w nerki. A gdy ktoś ślaniał się ze zmęczenia lub ran, dostawał obuchem w zęby. I naprawdę się zezłościła, kiedy jeden z Tattarów ugryzł ją w nogę. Nie zważając na to, czy nieprzyjaciel był martwy, czy tylko ranny, przybijala niewidzialne gwoździe do głów, piersi, ramion i nóg leżących, aż plac boju ściekł juchą, a kawałeczki mózgu zmieszały się z włosami i szpikiem ze złamanych kończyn. Poeta pomyślał, że przynajmniej dobrze, iż dziewczyna pofarbowała sobie włosy na rudo, bo nie było na nich znać krwi. Prawdę mówiła jego babka, że tylko nieliczni drengowie umieją wpadać w szal, za to zna go każda zdenerwowana kobieta.

– Hej? Śpisz w tym siodle?

– Hmmmm?

– Mówiłam, że można poczuć się jak na statku.

– Trochę. Tylko tutaj bardziej śmierdzi.

Zapach świeżych ryb, foczego tłuszczu i lin ze skór wieloryba był z pewnością przyjemniejszy od smrodu dromedarzej skóry i woni dobywającej się z pyska wiecznie przeżuwanego zwierzęcia.

– Może byś mnie w końcu rozwiązała?

– Nic z tego.

– Daj spokój. I tak chciałem cię porwać i dostarczyć Tirusowi. Mamy ten sam cel.

– Akurat.

Nie kłamał. Rzeczywiście myślał o jej porwaniu. Przynajmniej dopóki nie znaleźli się w Treborgu i nie zobaczył, że otacza go cały obóz koczowników. Wtedy powziął inny plan. Chciał podrażnić dumę Alego i skłonić czarnego wojownika, by zgłosił się do wykonywania prób. A po

kilku dniach goszczenia w grodzie może udałoby się znaleźć jakiś sposób na wspólną ucieczkę z Ingigerdą i na męskie rozmówienie się z Mōdudem. Tego dnia, gdy stanęli przed Kolem Małym, prawie powiodła mu się pierwsza część planu, ale sprytny Blamad przekonał kagana, by odłożyli decyzję na jutro.

Ruda miała jednak inne zamiary, na dodatek wiedziała, jak niepostrzeżenie opuścić gród. Po walce ze strażnikami podbiegli do studni i spuścili się po linie na jej dno. Dla Ainara nie było to takie łatwe, gdyż nie rozwiązali mu rąk. Na szczęście miał je związane nie za plecami, ale z przodu, więc mógł przytrzymać się sznura. Na dole było jednak trudniej, gdyż woda sięgała mu prawie do nosa. Przyszło mu wtedy do głowy, że szalony rudzielec chce się tutaj z nim utopić, w myśl jakiejś dziewczęcej mrzonki, choć jeśli marzyła jej się pieśń w rodzaju *O Ingigerd, co męża nie chciała i rzuciła się do studni*, powinna przecież zostawić poetę przy życiu. Jego wątpliwości rozwiązała jednak sama córka konunga, przecinając mu więzy, przykładając sobie palec do zamkniętych ust, a następnie robiąc nim uśmiech na szyi. Groźba nie była potrzebna, bo nie był tak głupi, by ściągać uwagę zbrojnych władcy, którzy w tym czasie musieli już znaleźć trupy. W takich okolicznościach zawsze najpierw zabijano obcych, a potem zastanawiano się, czy byli winni.

Wiedział już wcześniej, że blondynka pofarbowana na rudo nie należała do przyzwoitych kobiet, które beczynnienie leżą, czekając na działanie męzczyzny, tylko sama brała sprawy w swoje ręce. Tym razem było podobnie. Wzięła głęboki wdech i zanurkowała, dając wszystkim przykład, by zrobili to samo. Nie czekając na pozostałych, pieśniarz dał nura za przewodniczką, gdyż życie nauczyło go, by zawsze podążać za pięknymi dziewczynami, czyli puszczać je przodem. Zauważył, że Ingigerd wpłynęła do otworu w ścianie studni.

Od urodzenia był znakomitym pływakiem, a częste lekcje nurkowania pod lodem, których udzielał mu pijany ojciec, oraz burzliwy romans z morską falą nauczyły go długo wstrzymywać oddech. Nawet wszakże on ucieszył się, że wąski korytarz, którym płynęli, zaczął prowadzić ku górze.

Po kilkudziesięciu uderzeniach serca mogli wynurzyć głowy. W miejscu, gdzie tunel się wyrównywał i był do połowy wypełniony wodą, zaczęli iść na czworakach. O ile w samej studni księżyc dostarczał im trochę światła, o tyle tutaj panowała całkowita ciemność. Musieli się zdać na dotyk. Nie raz i nie dwa, macając teren wokół siebie, Ainar wcale nieprzypadkowo natrafił na tyłek powabnej pannicy. W końcu, brodząc w wodzie, ujrzeli przed sobą światło, a wędrowka, która zdawała się trwać w nieskończoność, dobiegła końca. Szybko wyprowadził ich wprost do rzeki, z której szybko wygramolili się na brzeg. Tam czekało już na nich kolejnych dwóch mężczyzn z dromedarami. Nie byli to jednak Tattarzy, jak jego porywacze, ale Burdasi, przedstawiciele południowego odłamu Bjarmalandczyków.

Skald popełnił wtedy błąd. Oszołomiony rozmywającym się w blasku gwiazd otoczeniem, na chwilę zapomniał o dwóch Baganakijczykach, którzy za nim podążali. Szybko został skarcony za nieostrożność. Konio-człowiek przyłożył mu szablę do pleców, a ruda lisica wyciągnęła spod spódnicy powróż i związała poecie ręce.

– W Serklandach nazywają dromedary okrętami pustyni właśnie dlatego, że tak bujają i są jedynymi wierzchowcami, które mogą cię przenieść przez morze piasków – wyrwała go z rozmyśleń.

– Aha.

– Nie wydajesz się zbyt zainteresowany.

– Mam inne rzeczy na głowie.

– Doprawdy? A ja zawsze myślałam, że pod czołem masz tylko zbiór kenningów i plany, jak uwodzić kobiety.

– Owszem, zabierają tam sporo miejsca, bo jestem w tych sprawach najlepszy, ale wciąż zostaje trochę przestrzeni na bieżące rozmyślanie.

– Takie jak?

– Jak daleko jest pościg?

– O to się nie martw. Mój ojciec nic nie wie o tym przejściu. Nie będzie mógł pojąć, jakim sposobem wydostałeś mnie z grodu otoczonego przez

koczowników. Bo to, że to ty mnie porwałś, zrozumie od razu. Ale najpierw zacznij przeszukiwać gard, myśląc, że gdzieś mnie ukryłeś.

– Nie musi wiedzieć jak, by poszczuć na nas hamramirów. Znając cel naszego poselstwa, od razu pomyśli, że porwałem cię dla Tirusa. A drogę do Dyragardu zna.

– A podobno Vaeringowie nie znają lęku? – zadrwiła. – Ale nie martw się. Dromedary potrafią być bardzo szybkie, a my trzymamy się z dala od hamramirskich lasów.

Podróżując do Treborga, drużyna pieśniarza wybierała góry i lasy, które lepiej nadawały się na potajemną wędrówkę dla pieszych. Teraz jechali przez równiny, miejscami przechodzące w step. Oczywiście najszybciej pokonaliby drogę do Glaesiru skipem – wystarczyło popłynąć nurtem Kamy, dotrzeć do wielkiego Itilu, a stamtąd już tylko dwa dni drogi dzieliłyby ich od siedziby Tirusa Wielkiego. Skośnookich było jednak zbyt niewiele, by zdołali obsadzić ławy wioślarskie statku, a poza tym rzeką ciągle kursowały skipy handlowe Kola i łodzie rybackie.

– O moją odwagę się nie martw. Po prostu nie chciałem, by tobie coś się stało.

– Och, jaki troskliwy skald mi się przytrafił. Wiesz co? A może uciekniemy razem i mnie poślubisz?

Nie dał się nabrać na te drwiny. Ale bezpieczeństwo dziewczyny naprawdę było ważne, bo od niego zależała jego nagroda.

– Po co ślub? I tak jestem twoim więźniem.

– Słuszna uwaga. Zresztą jestem już prawie zaręczona z innym.

Ainar szarpnął wodzą, by wierzchowiec się zatrzymał, ale bydlę tylko wykręciło szyję i o mało nie ugryzło go w dłoń. Żałował, że nie ma kańczuga, jak jadący z przodu strażnicy.

Ingrigerd roześmiała się, widząc jego nieporadność.

– Co z tobą? – zapytała. – Chcesz zostać sam na sam z dromedarem?

– Wystarczy tych gierek. Powiedz, po co to całe przedstawienie, albo dalej nie jadę!

– Co się stało? – zapytał doganiający ich Alosza. Cały czas jechał za plecami Östmada i uśmiechał się głupkowato, jakby uważał, że w pojedynkę go przechytrzył.

– Twój towarzysz ogłosił bunt. Nie chce jechać, dopóki nie zrozumie, co się dzieje.

– A to coś nowego. Wielki i sławny skald z Północy, który chełpi się swoją bystrością i mądrością, musi płaszać do muzyki, którą na kitarze przygrywa mu Czuryłowicz.

– Licz się ze słowami, chłopcze. Nawet związany mogę cię zabić na dwanaście sposobów.

Vindmad błyskawicznie sięgnął po strzałę, nałożył ją na cięciwę łuku i wymierzył w Skalda.

– Spróbuj.

Pieśniarza kusilo, by to zrobić. Miał prawie całkowitą pewność, że ludzie Ingigerdy by mu nie przeszkadzali, bo wbrew temu, co o sobie myślał młodzieniec, był tylko pionkiem. Dlatego to, co zrobili najemnicy, aż go zdumiało – widząc, że może dojść do walki, dwóch strażników zbliżyło się do Aloszy i dobyło szabel. Nie wymierzyli ich jednak w więźnia, tylko w młodego Vindmada.

– Uspokój się, junaku – poradziła Ingigerd, a by złagodzić władczy ton, uśmiechnęła się zalotnie.

Na szczęście dla siebie bogaty opuścił łuk i schował strzałę do kołczanu.

– Masz rację – zwrócił się do dziewczyny. – Żywego łatwiej jest wieźć niż martwego. Ruszaj więc, Skaldzie – powiedział, wskazując go palcem – i nie marnuj naszego czasu na wyjaśnienia.

– Myślisz, że jesteś taki sprytny? Głupi smarkacz, który ledwo zasmakował miodu damskich ud. Akurat ty jesteś dla mnie przewidywalny jak mucha posilająca się na gównie. Nic, co zrobisz, nie zdoła mnie zaskoczyć.

– Przechwałki – niedbale rzucił Czuryłowicz, ale zaczerwienił się ze

złości. – W gębie nikt ci nie dorówna, ale...

– Zaprzecz, jeśli się mylę – przerwał mu Ainar. – Zostałeś wysłany przez veche, radę Glaesiru, której zależy na wzmocnieniu pozycji miejscowych stormadów, potężnych kupców, kosztem władzy kagana. A gdy rada zrozumiała, że Tirus nie ożeni się z żadną z mieszkanek Dyragardu, uznała, że dobrze by wyglądało, gdyby to ona zdobyła dla władcy żonę. Dołączyłeś więc do naszej drużyny, a kiedy Ingigerd sama zaproponowała ci, że z tobą uciekniesz, chętnie się zgodziłeś, lecz postawiłeś jeden warunek: chciałeś wziąć mnie związanego. W ten sposób jako prawdziwy zwycięzca będziesz mógł wjechać do Dyragadu, przekazać konungowi narzeczoną, a w darze dorzucić Skalda, który nie wywiązał się z powierzonego mu zadania. Dzięki temu wszyscy rozumieją, że veche sama radzi sobie z kłopotami i nie potrzebuje korzystać z pomocy Vaeringów, obcych z Północy.

Ingriderd zapiszczała z radości i zaklaskała.

– Wspaniale, Skaldzie – pochwaliła poetę.

– To tylko część prawdy – dodał naburmuszony łucznik.

– Oczywiście. Bo pozostaje jeszcze sprawa wojny.

Rudzielec uśmiechnęła się do niego z podziwem.

– Nie wiem, o czym mówisz – zaparł się Vindmad.

– Nie? Toś głupszy, niż myślałem. Jako wysłannik veche musiałeś dobrze zdawać sobie sprawę, że porwanie córki kagana sprowokuje Odainsak do wojny. A ta, jak zgaduję, jest radzie na rękę. Opowiadałeś mi piękne historie o życiu mieszkańców Glaesiru w zgodzie z otaczającymi was ludami i o tym, jak gard bogaci się na pokojowym handlu. Ale tak naprawdę Treborg jest dla was niczym wrzód na tyłku. Rywalizuje z wami w handlu niewolnikami i skórą, a flotylle handlowe Kola płyną do Bulgaru i jeszcze dalej na południe, do Morza Tattarów, gdzie spotkać można kupców z Indialandu. Jednak pokojowe przejęcie władzy nad Odainsakiem was nie interesuje, bo tylko wzmocni władzę Tirusa, a gdy ten opodatkuję dochody tamtejszych kupców, jeszcze bardziej powiększy swój majątek i wpływy. Nie. Wy chcecie zniszczyć rywali i zrównać ich domy z ziemią. A łupy i niewolnicy, których zdobędziecie podczas wojny,

pozwołam wam wyrównać straty odniesione w bitwach i jeszcze sporo zarobić.

Ainar przerwał, zmierzył Aloszę groźnym spojrzeniem i pokazał mu jedną ze swoich ulubionych min. Uniósł prawą brew i lewą górną wargę, a po chwili opuścił je, podnosząc lewą brew i prawą górną wargę. Tyle zwykle wystarczało, by speszyć rozmówcę – tym razem też się udało. Vindmad spuścił wzrok i zaczął nerwowo uderzać palcem o siodło. Jego zachowanie utwierdziło poetę w przekonaniu, że jego przypuszczenia były trafne.

– Nie ty jesteś więc dla mnie tajemnicą – Vaering podjął temat – tylko ta ruda dziewczyna. Siedź więc cicho, kiedy będę z nią rozmawiał, bo w końcu przerzucę cię przez kolano i zleję rzemieniem.

Czuryłowicz zazgrzytał zębami, ale nic nie powiedział.

– A teraz przejdźmy do ciebie. – Pieśniarz wskazał Ingigerd związanymi rękami, przez co gest ten nie wyglądał tak władczo, jak Ainar sobie życzył.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedziała posłusznie.

Skald zebrał myśli, ale studnia, w której się ostatnio kąpali, widać nie należała do Mimira, bo wysiłek umysłowy nie dał oczekiwanego skutku. Postępowanie dziewczyny było dla niego pozbawione sensu, jeśli odrzucić pomysł, że było tylko przejawem zwykłego młodzieńczego buntu. Postanowił więc pytać.

– Jeśli od początku chciałaś uciec do Tirusa, dlaczego nie przedstawiłaś się nam od razu w lesie? Wtedy moglibyśmy cię szybko i bezpiecznie odstawić do Dyragardu, a wtedy nawet Ali by nie protestował, bo to przecież nie byłoby porwanie.

– Powiedzmy, że bywam kapryśna. Rude tak mają. Wtedy nie chciałam wychodzić za mąż i dlatego uciekłam z domu ojca. Chciałam trochę powłóczyć się po lasach i wioskach, poznać zwykłych ludzi. A kiedy poznałam was... No cóż. Zrozumiałam, że skoro Tirus Wielki ma tak wspaniałych ludzi, sam musi być znakomitą mężczyzną.

Poeta nie uwierzyłby w to, nawet gdyby czerwony był prawdziwym

kolorem jej włosów.

– Na takie rzeczy mogłaś mnie nabierać, gdy byłaś Czerniawką.

– Ale ja nie kłamię! Naprawdę uciekłam z domu, bo nie chciałam być tylko nagrodą w zabawie wymyślonej przez rodziców. Pomógł mi jeden kupiec i ukrył u rodziny swojego przyjaciela. Właśnie tam pomieszkiwałam, gdy odnalazł mnie oddział Baganakijczyków wysłanych przez ojca. Za ukrywanie córki kagana cała wioska została zniszczona, ale mnie udało się zbiec do lasu i natrafiłam na was. Nie zdradziłam swojego imienia, bo nie wiedziałam, czy mogę wam zaufać. Mogliście przecież wziąć mnie na zakładnika i zażądać okupu. I skąd w ogóle miałam wiedzieć, że jesteście zalotnikami? Przecież nie powiedzieliście, po co udajecie się do Trebarga, a gdy cię o to zapytałam, kłamałeś, by skłonić mnie do rozchylenia ud. Wybaczyłam ci to jednak, bo wszystko dobrze się skończyło. Odstawiając przybłędę do Trebarga, udowodniliście swoją wartość.

Wyjaśnienia okazały się mętne, ale trudno było orzec, czy zostały w całości zmyślane. Panna już wcześniej pokazała, że językiem włada niczym Lopt, bóg kłamstwa.

– Niezbyt mnie obchodzi, co się dzieje między tobą a Kolem, więc nie próbuj zbaczać z tematu, by zaciemnić mój osąd. Lepiej przejdź do tego, dlaczego mnie porwałaś. Bo ta opowiadka o nagłym wybuchu miłości do Tirusa mnie nie przekonała. Gdybyś naprawdę chciała go poślubić, zaczekałabyś przynajmniej do końca prób.

– Skald, a nie wierzy w potęgę miłości? Myślałam, że to uczucie leży u podstaw każdej dobrej poezji.

– Nie w moich stronach.

– Wierz lub nie, ale mój ojciec wraz ze swoim karłowatym doradcą Mødulem wymyślili takie próby, aby nikt im nie sprostował. Weźmy chociaż ptaki o złotych dziobach. Nikt nie ma pewności, czy w ogóle istnieją! Zresztą, nawet jeśli dzięki jakimś czarodziejskim sztuczkom komuś udałoby się je odnaleźć, zdobyć ich jaja i zdać pozostałe próby, ojciec i tak nie oddałby mnie swojemu największemu wrogowi. Zwycięzca poślizgnąłby

się na schodach i rozbił głowę albo spadłby po pijanemu z wału, albo nadział się na przypadkowo wystrzeloną strzałę. Nie. Tatko prędzej sam poderznąłby mi gardło, niż pozwolił, by Tirus Wielki stał się legalnym następcą tronu Odainsaku. Ucieczka była więc dla mnie jedynym rozwiązaniem i wybrałam ku temu najlepszą chwilę – kiedy nie przystąpiliście jeszcze do prób i mój ojciec niczego się nie spodziewał.

– Wszystko pięknie sobie wymyśliłaś, tylko dlaczego mnie w to wpłatałaś? Wiem, że kobiety nie mogą mi się oprzeć, ale wystarczyło poprosić.

– Zdążyłam dobrze poznać całą waszą trójkę i doszłam do wniosku, że Vindmad najprędzej odstawi mnie do swojego kagana, bo jest najwierniejszym z was. Alosza postawił mi jednak warunek, że masz jechać z nami.

Pieśniarz podejrzewał, że to raczej Ingigerdzie zależało, by przeżył, ale drażnienie tego tematu uznał za mało ważne.

– Chcesz, bym uwierzył, że uciekłaś z domu z powodu kaprysu i nie obchodzi cię, że ściągniesz wojnę na swój kraj? Bo skoro nawet Vindmad na nią liczy, tym bardziej ty musiałaś przewidzieć zachowanie ojca.

– Wojna. A co robiliby mężczyźni, gdyby nie mogli się zabijać? Pokój i tak już wisiał na włosku, więc jeśli jego złamanie jest wolą i mojego ojca, i przyszłego męża, mogę stać się przyczyną wojny. Zresztą czy istnieje chwalebniejszy powód do rozlewu krwi niż miłość do kobiety?

Ainar znał ich kilka, a wszystkie łączyły się z bogactwem, dlatego pomyślał, że Ingigerd naprawdę musi być szalona. Coraz bardziej go to jednak podniecało, bo czy może być coś bardziej podniecającego niż cielesne zespolenie z odrkoną – kobietą niespełna zmysłów? Spółkowanie jest przecież uniesieniem, które drwi sobie z powściągliwości i zdrowego rozsądku. To śmiech i ból, który kończą się krzykiem. To pojedynki nagich ciał bez przegranego i z dwoma zwycięzcami.

– Jedziemy czy dalej będziesz się dąsał?

– Jedźmy, ale z powrotem do Treborga.

Tym razem córka kagana popatrzyła na niego jak na odrmada, co miało swoje uzasadnienie, bo poetycka biegłość była przecież szaleństwem zsyłanym przez gniewnego Göllnira.

– Zwariowałaś? Gdy mój ojciec cię zobaczy, każe drzeć z ciebie pasy.

– Nie, jeśli ponownie zwrócę mu córkę i przekonam, że porwał cię Alosza, a mnie zawdzięczasz ratunek.

– Dromedar musiał cię kopnąć w głowę, jeśli myślisz, że na to przystanę – wtrącił się Czuryłowicz, choć jego głos nie brzmiał tak pewnie, jak młodzian by sobie życzył.

– A po co chcesz tam wracać? – zaciekawiała się Ingigerd. – Stęskniłeś się za swoim czarnym przyjacielem? Przykro mi to mówić, ale w tej chwili zapewne już nie żyje. Ktoś musiał zapłacić za porwanie córki kagana.

Rzeczywiście. Trudno było przypuszczać, że Czarny Berserk wyjdzie z tego cało. Skald odczuwał nawet coś na kształt żalu, ale nie po towarzysza chciał wracać.

– Nie zdążyłem się rozmówić z waszym czarownikiem.

– Z Mödulem? A czego chcesz od tego karła?

Nie mógł tego zdradzić bez wyjawienia prawdy o swoich kłopotach ze wzrokiem. A o nich nie mogli się dowiedzieć. Jak mawiała jego babka: „Dreng, który rano pochwali się tępym mieczem, nie doczeka wieczora”.

– Takie tam męskie sprawy. Chciałem pogadać przy rogu z piwem o krajach, jakie odwiedził. Nigdy nie wiadomo, gdzie nogi mnie poniosą za jakiś czas.

– Piwa napijesz się w Dyragardzie. Poproszę męża, by dał ci całą beczkę. A teraz pogoń grzecznie swojego wierzchowca, bo inaczej Burdasi tak go zleją kańczugami, że podczas biegu garb ci wlezie do tyłka.

– Dobra – zgodził się, gdyż i tak nie miał wyboru. Wbił pięty w boki garbatego konia. Zwierzak bezczelnie splunął, ale żwawo ruszył.

Ruda została w tyle z Vindmadem. Skald nie słyszał, o czym rozmawiali, ale łucznik szybko odzyskał dobry nastrój.

Po bokach poety jechało teraz dwóch Burdasów. Już wcześniej

zauważył, że mówią językiem podobnym do tego, jakim posługiwali się Bjarmalandczycy, więc potrafiłby się z nimi dogadać, gdyby nasza go ochota. Byli jednak prostymi hodowcami dromedarów, więc nie za bardzo mieliby o czym rozmawiać. Z braku lepszych zajęć uważniej się im jednak przyjrzał.

Podobieństwo wskazywało, że byli braćmi. Nie mieli skośnych oczu charakterystycznych dla Tattarów, ale ich ubiór nie bardzo różnił się od odzienia żółtoskórych koczowników. Nosili spodnie i kaftany z dromedarzej wełny, a mimo wczesnego lata na głowach mieli burnusy – wysokie futrzane czapy. Właśnie oni byli właścicielami wszystkich garbatych koni z kawalkady Ingigerdy i to oni czekali na córkę konunga nad rzeką, w noc ich ucieczki. Skąd znali kogoś tak wysoko urodzonego jak rudowłosa panna, pozostawało kolejną tajemnicą.

Mimo iż byli jego strażnikami, odnosili się do niego życzliwie i nie przepadali za dwójką Baganakijczyków, którzy z nimi jechali. Skald miał wiele talentów, a jednym z nich było bezbłędne odczytywanie ludzkiej niechęci. Była to cenna umiejętność, bo tam, gdzie czaiła się wrogość, zawsze istniała możliwość zdobycie czegoś dla siebie.

Gdy przyzwoity człowiek chce zjeść posiłek, zsiada z konia, rozbija obóz, spoczywa wygodnie pod drzewem i dopiero wtedy zajada się smakołykami. Niestety, strażnicy byli koczownikami, o których się mawia, że nawet żonom dogadzają bez schodzenia z siodła. Pieśniarz mógł więc tylko pomarzyć o postoju.

Jeszcze przed zachodem słońca dostał w drewnianej misce wczesną wieczerzę – potrawę, którą Burdasi nazywali ajranem. Po smaku i charakterystycznym zapachu rozpoznał, że były to wysuszone kulki z dromedarzego sera, obtoczone zakwaszonym ciastem i oczywiście zanurzone w dromedarzym mleku. Nie kierując się odpychającym smrodem posiłku, Vaering przyłożył brzeg miski do ust i wychłęptał mleko, po czym wyjadł kulki. Smak też nie okazał się miły, ale jedzenie przynajmniej solidnie napełniło brzuch.

Potem dostał bukłak z kumysem. Nie miał wątpliwości, że do

wytworzenia zarówno napoju, jak i naczynia potrzebny był garbaty koń. Trunek smakował obrzydliwie, jak zepsute mleko, ale przyjemnie wykrzywił gębę. Nie był to napitek zdolny powalić drenga, gdyż miał tyle mocy, co piwo, ale przynajmniej rozgrzewał ciało od środka.

Gdy zaczęło się robić ciemno, skierowali się w stronę małego zagajnika, gdzie zamierzali przenocować. Noc nie zapowiadała się na gwiazdzistą i lepiej było nie ryzykować podróży w takich warunkach.

Ainar nienawidził tej pory dnia. Kiedy dzienny wóz tchórzliwej Sol, do którego zaprzężone były niebiańskie konie Promyk i Blask, zbliżał się do horyzontu, a jej strachliwy brat Mani zajeżdżał na niebo nocnym pojazdem ciągniętym przez Pełnię i Nów, dwoje dzieci Mundilfarego mogło tylko przez krótką chwilę popatrzeć na siebie z przeciwległych stron gwiazdzistego całunu. Dla nich chwila ta była dobrodziejstwem, dla Skalda przekleństwem, wtedy bowiem widział najgorzej. Przed oczyma pojawiały mu się plamki, a świat rozmywał się w smugach i cieniach. Przebywając w towarzystwie, udawał, że nic mu nie dolega – przymykał oczy, jakby drzemał. Trzymał się też blisko ludzi, bo ich głosy pozwalały lepiej się orientować i przypominały, że jeszcze nie znalazł się w świecie duchów.

Ciągle nie mógł się przyzwyczaić, że tak jak dromedar wstaje, najpierw prostując tylne nogi, to kładzie się, zaczynając od zgięcia przednich. Na dodatek czuł się lekko oszołomiony przez problemy ze wzrokiem, dlatego nie zdążył się przechylić do tyłu, gdy włochaty wierzchowiec zgiął kolana. Poeta przeleciał przez łeb zwierzęcia i tylko dzięki wrodzonemu sprytowi uniknął złamania karku. Fiknął w powietrzu i wylądował plecami na twardej ziemi. Powietrze uleciało mu z płuc, a zanim zdążył ponownie je nabrać, dobiegł go szydrczy śmiech strażników. Najgłośniej śmiali się Burdasi.

Tign i *tirr* – honor i sława. Pieśniarz dobrze się na nich znał. Długo trzeba było na nie pracować, a szybko mogły zmienić się w hańbę i zapomnienie. Dlatego szanujący się dreng musi szybko odpowiadać na każdą obrazę. Pęknięcie lodu też zaczyna się od maleńkiej rysy.

Związanymi dłońmi wymacał kamień. Na szczęście noc zapowiadała się

na wyjątkowo gwiazdzistą, więc i jego wzrok zaczął się poprawiać. Wciąż nie był jednak tak dobry, jak za dnia.

By atak miał szansę powodzenia, Vaering musiał poczekać, aż wszyscy zsiądą z wierzchowców. Śmierć jednego człowieka powinna wystarczyć, by poeta odzyskał twarz. Jeśli norny będą mu sprzyjać, może nawet w zamieszaniu uda mu się wskoczyć na swojego garbatego konia i uciec.

Zważył zimny kawałek skały, rozważając, czy nie warto by nim cisnąć. Porzucił jednak ten pomysł, gdyż nie ufał swym oczom, a poza tym rozwalenie łba kamieniem w bezpośrednim starciu wydawało mu się bardziej przystające do celu, którym było odzyskanie honoru. A jako Skald musiał dbać o swoją widownię.

Za cel obrał Tattara, który siedział jeszcze w siodle, gdy inni rozkulbaczali już zwierzęta. W końcu także dromedar wybranej ofiary rozpoczął rytuał, tak przypominający modlitewne zwyczaje wyznawców Maumentsa. Ainar zerwał się na nogi, by znaleźć się przy Baganakijczyk, gdy tylko ten postawi stopę na ziemi. Wtedy usłyszał świst lecącego pocisku.

Krótką włócznia przeleciała koło jego głowy i trafiła w pierś kładącego się właśnie wierzchowca. Zwierzę zaryczało żałośnie, podskoczyło i popędziło przed siebie, potrącając ludzi i inne dromedary. Jeździec, który zdołał utrzymać się w siodle, bezskutecznie próbował zapanować nad garbatym koniem.

Skald rzucił się w stronę najbliższego drzewa, trzymając głowę nisko pochyloną. Nim zdążył do niego dotrzeć, coś oplotło mu nogi, więc zarył twarzą w ziemi.

– Do broni! – krzyknął Alosza.

Poeta o mało nie został stratowany przez dromedary, które słysząc ryczenie i rżenie rannego pobratymcy, zaczęły uciekać, zrzucając z siebie na wpół zdjęte siodła. Östmad chciał się przeturlać w kierunku krzaków, ale coś zaczęło wlec go do tyłu. Zobaczył, że nogi spętał mu bicz, a jego właściciel, skośnooki Tattar siedzący na kucu, ciągnie za jego rękojeść. Pieśniarz szarpnął i słabowity pokurcz zachwiał się w siodle,

wypuszczając broń.

Chowanie się między drzewami nic by nie dało, bo napastnicy otaczali ich ze wszystkich stron. Vaering uwolnił nogi i rozejrzał się za jakimś żelazem. Nie spostrzegł żadnej porzuconej broni, musiał więc zadowolić się kamieniem, który wciąż ścisnął w dłoniach. Dostąpił do najbliższego konnego, zanurkował pod toporem na długim stylisku i grzmotnął napastnika w nogę, miażdżąc mu kolano. Skośnooki Hun zawył z bólu, ale się nie poddał. Obrócił konia w miejscu i ponowił atak.

Ainar rzucił się w bok i okręcił na pięcie. Ostrze musnęło mu włosy. Chwycił uzbrojoną rękę i pociągnął. Tattar spadł z siodła, a Skald nie dał mu czasu na powstanie. Usiadł na nim okrakiem i rozbił twarz kamieniem.

Krok od niego leżał topór. Przykłęknął przy nim, umieścił ostrze między nogami i zaczął pospiesznie piłować krępujący mu ręce sznur. Zdawało się to ciągnąć w nieskończoność.

Inni byli zajęci walką albo umieraniem. Tylko Ingigerd powróciła do roli wiejskiej sierotki i głośno płakała, chowając się za drzewem.

Dreng, już wolny, wstał z toporem w rękach gotów zabijać. Jeśli Göllnir zapraszał go dzisiaj go Gmaszyska Zarzniętych, poeta miał zamiar wziąć ze sobą wielu niewolników, którzy będą mu usługiwać w zaświatach. Mógł przebierać we wrogach, ale nie był wybredny. Wybrał najbliższego jeźdźcę, którego w miarę wyraźnie widział, i pobiegł w jego stronę.

Jakiś cień przeleciał mu nad głową i pieśniarz poczuł, że coś zaciska się na jego ramionach. Próbował się szarpnąć, ale uścisk stał się tylko mocniejszy. Vaering obrócił się i stwierdził, że pochwycono go na sznur niczym byka. Podążył wzrokiem za arkanem i jak przez mgłę dostrzegł, że jego koniec był przywiązany do łąku siodła, w którym siedział wysoki Tattar. Ainarowi zdało się, że napastnik się uśmiechnął, więc zrozumiał, co za chwilę nastąpi. Jeździec spiął konia ostrogami i ruszył z kopyta.

Skald poczuł się jak drzewo ścinane przez drwala. Poleciał w górę, barkiem uderzył o ziemię i rozpoczął przejażdżkę, wycierając z trawy wieczorną rosę, zabarwioną krwią.

Gdy Hun w końcu się zatrzymał, człowiek Północy poczuł, że bolą go

nawet włosy na kłacie. Przykuśtykał do niego skośnooki, ale wcale nie był to jeździec, który użył Skalda niczym szmaty. Wróg miał zmasakrowaną twarz, a w ręku trzymał ten sam kamień, którym chwilę wcześniej poeta ubijał mięso na potrawkę dla kruków. Ainar nie miał pojęcia, jak mężczyzna mógł to przeżyć, bo zamiast nosa miał krwawy placek, zamiast zębów puste przestrzenie, a zamiast oczu dwa czarne punkty, nieśmiało wyglądające spod opuchlizny. Uśmiechnięty koczownik wzniósł kawałek skały do ostatecznego ciosu. Östnad pomyślał, że wymyśliłby dla siebie lepszy koniec. „Norny to głupie prządky, a nie pieśniarki” – burknął pod nosem.

Cios jednak nie spadł. Jeździec, który złapał Skalda na sznur, krzyknął do Tattara z kamieniem, a ten odpowiedział mu po huńsku, kipiąc ze złości. Musiał jednak uznać wyższość konnego, gdyż rzucił z wściekłością kamień na ziemię i odszedł.

– Jesteś Vaeringiem, prawda? – odezwał się do niego łamanym językiem Północy właściciel arkanu.

Ainar nie raczył odpowiedzieć.

– Hardyś, ale jak my mawiamy, po rzezaniu każdy mięknie. Dostanę za ciebie dobrą cenę.

19

Pierwszą próbą było zdobycie jaja. Dostał siedem dni na znalezienie legendarnego ptaka i zabranie mu złotej kuli spod kupra. Zadanie było wręcz stworzone dla Haukrhedina, ale o hamramirze słuch zaginął, Ali musiał więc radzić sobie sam. Wiedział tylko, że niezwykle ptaki można spotkać wysoko w górach. Tam też się skierował.

Otrzymał z powrotem swój półksiężycowaty *saif* ze znakomitej stali, którego nazywał Ludożercą. Imię świetnie oddawało sławę, jaka ciągnęła

się za tą bronią, ale było też żartem z obyczajów niektórych plemion zamieszkujących królestwo Wagadou.

Przy boku mile ciążył mu także katar, sztylet nakładany na pięść, który zakupił niegdyś od kupców z Indialandu. W rękę trzymał włócznię ze swych rodzinnych stron, a na plecach niósł tobolek z prowiantem i solidną liną. To wszystko dodawało mu pewności siebie, bo nic tak nie wzmacnia wojownika jak jego własna broń. Wiele by dał, by próba polegała na walce, choćby nawet ze smokiem, ale zanosilo się raczej na długie i zmudne poszukiwania.

Na szczęście Blamad wiele wiedział o poszukiwaniach, w końcu strawił na nich pół życia. Już kiedy wyruszył z rodzinnej wioski, nauczył się, że gniew maleje, gdy cały czas jest się w ruchu. Dla wszystkich było lepiej, kiedy opuszczał ludzkie siedziby, nim ich mieszkańcy zaczęli go denerwować. Ale od czasu, gdy spotkał immamów z Indialandu, potężnych al-magus, nauczył się panować nad wściekłością, aesmą – świętym szałem. Wtedy trochę się rozleniwił i zaczął doceniać to, na co natykał się tu i teraz, zamiast nieustannie szukać czegoś nowego. Dlatego wyprawa po złote jajo wcale go nie cieszyła, a wręcz przeciwnie – wprawiała w ponury nastrój. Kolejna wędrówka na kraniec świata.

Cały jeden dzień zajęło mu dotarcie do gór – tych samych, które nie tak dawno przemierzał ze Skaldem i resztą ich drottu.

Przez drugi i trzeci dzień przeszukiwał góry, wspinając się na najwyższe szczyty i docierając na niedostępne półki skalne. Wchodził też na wysokie drzewa, gdzie zwykły wic gniazda drapieżne ptaki. Znalazł ich wiele, dlatego śniadania i wieczery obfitowały w jaja smażone na rozgrzanych kamieniach. Żadne nie miało jednak złotej skorupki.

W przerwach między odwiedzaniem kolejnych wierchów rozważał, czy nie warto uciec. To mogła być jego ostatnia szansa, bo podczas kolejnych zadań z pewnością będzie dobrze pilnowany. Oczywiście porzucenie prób oznaczałoby wybuch wojny, ale przynajmniej mógłby uprzedzić o niej swego pana. Dał jednak słowo obu kaganom. Tirusowi Wielkiemu, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by udowodnić swoją wyższość nad karłem

Mödulem i jego władcą, co miało doprowadzić do upadku Kola. Władcy Treborga obiecał z kolei, że wypełni próby lub umrze, próbując tego dokonać. Zareczył też, że w razie jego porażki Ainar odda Kolowi córkę. A że wątpił, by Skald wrócił, musiał za wszelką cenę wygrać zawody.

Nie chciał wyjść na kłamcę, bo słowo było dla niego wszystkim. Jeśli z religii przodków jeszcze w coś wierzył, tym czymś była właśnie wiara w moc słów. Słów, w których płynie krew, jak w istotach żywych, i które swą siłą oddziałują na zachowanie innych stworzeń. Pamiętał jeszcze opowieść swojego ludu o Słowie, które pomyślało i wypowiedziało samo siebie, tworząc świat. Kiedy przebywał w Serklandach, przekonywano go, że imię tego Słowa brzmi „Allah”, ale wiedział, że wszystkie te określenia nie są niczym więcej jak *benne So* i *bolo So* – słowami bocznymi i tylnymi, które odkrywają tylko część prawdy. Albowiem tajemnicę i prawdziwą istotę *So day*, Jasnego Słowa, znają tylko bogowie. Dlatego mimo iż Ali porzucił rodzinne tradycje, potem wyrzekł się wiary proroka Muhammada, a najbliższy stał się mu bóg Wertragna, to z rozważą używał słów, brzydząc się oszustwem.

Jakże inny był Skald. Vaering również miłował słowa, ale nie darzył ich szacunkiem. Raczej bawił się nimi i wykorzystywał do tworzenia pustych form, które nazywał poezją. Był jak Jurugu, Płowy Lis z opowieści ludu Alego, który ukradł ziarna słów, by zyskać władzę i od tej pory mamił nieprawdą bogów oraz mieszkańców ziemi. Słusznie napisano w świętej księdze spisanej przez Muhammada: „A jeśli chodzi o poetów, to postępują za nimi ci, którzy błędzą”^[8].

Czarny Berserk bardzo zawiódł się na pieśniarzu. Wszystko wskazywało na to, że Ainar porwał Ingigerdę, za nic mając obietnicę daną Tirusowi i drottnadzką wierność. Pierwsze dwa wieczory Ali spędził na zadumie, by powściągnąć gniew, ale potem doszedł do wniosku, że wiarołomstwo Östmada mogło im wszystkim wyjść na dobre. Nie ukrywał przed sobą, że rudowłosa córka kagana rozpałała w nim od dawna przygasły ogień pożądania. Przywiązał się do niej i nie wiedział, czy teraz zdołałby ją zabić, a przecież było to najlepsze rozwiązanie. Tirus Wielki wyraźnie mu

polecił, by jeśli uzna, że Ingigerd nie jest piękną złotowłosą dziewczyną i nie nadaje się na potulną żonę, ma się jej ukradkiem pozbyć. Kobieta z pewnością była urodziwa, choć bardziej w wiejskim niż królewskim stylu, a jej włosy mogły po odrośnięciu znów być złote. Niestety, charakteru panny nie dało się zmienić.

O poranku dnia czwartego, gdy zaczynał już wątpić w powodzenie wyprawy, dostrzegł na niebie olbrzymiego ptaka. Nadleciał od strony słońca i berserkowi zdało się, że nie tylko jego dziób i szpony, ale i wszystkie pióra są pokryte złotem. Stworzenie wyglądało dostojnie, a jego skrzydła miały rozpiętość równą wzrostowi dorosłego mężczyzny. Wrażenie niesamowitości trwało jednak krótko, bo ptak zniknął za jednym ze szczytów, wydając z siebie odgłos podobny do jazgotu orła.

Drużynnik kagana nie był pewny, co właściwie zobaczył. Czarodziejskiego ptaka czy może słońce zrobiło mu psikusa? Nie miał jednak żadnego innego tropu, ruszył więc śladem stworzenia.

Przez trzecią część dnia wspinał się, przedzierając przez rzadki las i krzaki. W końcu wszedł na tereny, gdzie piargi dominowały nad zielenią. Grań grzbietu górskiego była stąd widoczna jak na dłoni – wiła się nad halami niczym gigantyczny wąż Bida, którego obraz miał wytatuowany na plecach. Wczesne popołudnie Ali spędził, krążąc między skalnymi półkami, aż w końcu dotarł do najwyższej turni w okolicy. Stała tu olbrzymia forma skalna, która wyrastała wprost ze świerkowego lasu. Wcale się nie dziwił, że właśnie stamtąd dobiegł go jazgot podobny do tego, który usłyszał o poranku. Podszedł do skały i ją obszedł. Po dłuższej chwili dostrzegł półkę, niemal na samej górze, z której wystawała półokrągła plecionka z gałęzi i suchej trawy. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Położył włócznię i miecz na ziemi. Zdjął kocią skórę, zostając tylko w workowatych szarawarach, po czym rozciągnął mięśnie rąk. Przewiesił przez ramię linę, a za pas wetknął solidny nóż, ale nie katar, którego używał wyłącznie do walki, tylko pospolite ostrze z gardarikańskiej kuźni. Podniósł garść kamyczków, skalnego pyłu oraz ziemi, po czym roztarł to między dłońmi. Poznał tę sztuczkę w Serklandach – dzięki niej dłonie mniej

się ślizgały po skale.

Przypatrzył się ścianie, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów i wybrać najłatwiejszą trasę. Po czterdziestu uderzeniach serca był gotowy. Znalazł dwa pierwsze uchwyty i rozpoczął wspinaczkę. Początkowo szło łatwo, od razu odnajdował oparcie dla stóp. Miał spore doświadczenie we wspinaczce, gdyż podczas wędrówek musiał pokonać niejedną górę. Zresztą i w swoich rodzinnych stronach nie brakowało wspinaczkowych wyzwań, a niektóre wioski królestwa Wagadou były wręcz wykute w skale.

Kiedy wspiął się już powyżej linii drzew, dotarł do rysy, która ułatwiła dalszą trasę – wystarczyło szukać oparcia dla stóp, a palce po prostu wkładać w kolejny odcinek szczeliny. Przez to poruszał się trochę nienaturalnie, pnąc się bokiem.

W połowie wysokości ściany rysa przechodziła w wąski komin, do którego się schował. Odpoczął w nim chwilę, opierając się plecami o jedną ścianę i zapierając nogami o drugą. Niestety, komin nie był długi i kiedy Blamad wznowił wspinaczkę, znalazł się na niemal płaskiej ścianie.

Wtedy zaczęły się kłopoty. Czarny Berserk spróbował pójść wszerek ściany, gdyż wydawało mu się, że po lewej stronie skała jest bardziej poszarpana. I rzeczywiście, gdy tam dotarł, udało mu się dosyć łatwo wspiąć jeszcze o kilka długości ciała. W końcu dotarł jednak do miejsca, w którym najbliższy uchwyt znajdował się wysoko nad jego głową, więc w żaden sposób nie mógł go sięgnąć. Wtedy dobył noża. Wypatrzył szparę, w której z trudem zmieściłby dwa palce, i wsadził do niej ostrze. Sprawdził, czy nóż dobrze się zaklinował, po czym podciągnął się na jednej ręce, a drugą złapał upragniony kawałek wystającej skały. Następnie znalazł oparcie na stopy, choć tak małe, że postawił na nim tylko końcówki palców.

Jeszcze trzy razy powtórzył sposób z użyciem noża, zanim dotarł na łatwiejszą część ściany. Resztę drogi pokonał dosyć szybko, a żeby nie musieć odgrywać roli pająka na powale, skręcił i dotarł do półki nie od spodu, ale z jej lewego boku. Gdy stanął na krawędzi i spojrzął w dół,

podziękował Szalonemu Odyńcowi, a na wszelki wypadek także Allahowi, że ręce mu nie drżały podczas wspinaczki.

Na półce było mało miejsca, gdyż prawie całą przestrzeń zajmowało gniazdo – olbrzymie, wysokością niemal dorównujące Alemu. Zbudowane zostało z gałęzi, przez które czarny gridin musiał się przebić, używając noża. Wreszcie zerknął do środka.

Wnętrze wyścielone było trawą, liśćmi, wrzosem i sierścią, lecz Blamad ledwo to zauważył, gdyż od razu wbił wzrok w trzy białawe pisklaki, bawiące się resztkami padliny. Jeśli rzeczywiście odnalazł siedzibę złotego ptaka – a kolor orląt na to nie wskazywał – spóźnił się o jakieś dwa miesiące. Ptaki drapieżne w końcu nie są kurami, by codziennie znosić jaja. Lęg mają zwykle raz do roku.

Poczuł wściekłość. Ryzykował złamanie karku na próżno. Dłonie zacisnęły mu się w pięści, a w głowie zagościła myśl, żeby roznieść gniazdo na strzępy. Opanował się jednak i wezwał imię Wertragny, który zsyła na swoich wyznawców tylko słuszny gniew – i tylko w odpowiednim czasie i miejscu. Skalna półka z pewnością nie nadawała się do wpadania w berserksgang.

Gdy już się uspokoił i zaczął trzeźwo myśleć, rozważył, czy nie wziąć ptaków na rosół. Wyglądały jednak na tak chude i kościste, że niewiele by się na nich ugotowało. Zresztą w pobliżu musiała krążyć ich matka, a jej odpowiedź była łatwa do przewidzenia. Z łatwością sobie wyobraził, jak ptak zaskakuje go podczas schodzenia, rozdrapuje nagie plecy i dziobie po głowie. Prawie czuł ból w przedramieniu, którym zasłaniałby się przed atakami, prawie słyszał chrzęst łamanych żeber przy upadku z tej wysokości. Nie. Zupa nie była tego warta.

Na szczęście miał ze sobą linę. Zrobił pętlę i zacisnął ją na wystającym głazie, a drugi koniec sznura zrzucił na dół. Schodzenie przyszło mu łatwo. W połowie drogi ujrzał wracającego do gniazda ptaka. Brązowego, z białymi plamami na piersi i skrzydłach. Dziób i łapy były żółtawe, ale nie miały w sobie nic ze złota. Zwykła orlica. Ali zrozumiał, że słońce zadrwiło z niego dzisiejszego poranka.

Ptak zaskrzeczał groźnie, wydał nieprzyjazny jazgot i przeleciał koło Blamada. Musiał jednak uznać, że schodzący człowiek mu nie zagraża, gdyż przysiadł na gnieździe i tylko uważnie, niczym doświadczony strażnik, przyglądał się zsuwającemu się ku ziemi nieproszonemu gościowi.

Lina była stracona, ale Blamad wiedział, że zejście bez jej użycia byłoby igraniem z życzliwością bogów. Zresztą i tak nie zamierzał już więcej się wspinać. Doszedł do wniosku, że tym sposobem niczego nie osiągnie. Musiał wymyślić inny sposób.

Na dole pozbiierał swoje rzeczy i ruszył w drogę. Zamierzał znaleźć kogoś, kto powiedziałby mu więcej o złotym ptaku.

Gór nie opuścił, ale trzymał się ich niższych partii, gdzie było większe prawdopodobieństwo spotkania miejscowych. Wędrował tak przez większość popołudnia, aż natrafił na gospodarstwo zagubione w lesie. Żyjąca tam rodzina pospiesznie schowała się w domu, przestraszona jego kolorem skóry i dziwnym ubiorem. Nie miał ochoty wypytywać ich na mękach, więc poszedł dalej.

Noc spędził na posłaniu z leszczynowych gałęzi, a rano wznowił poszukiwania.

Przed południem dnia piątego nareszcie spotkał kogoś, kto nie uciekł na jego widok. Garbata kobieta w średnim wieku zbierała właśnie jagody. Jędza musiała niejedno w życiu przeżyć, gdyż wcale się go nie przestraszyła. Popatrzyła tylko podejrzliwie, splunęła przez ramię, podrapała się po tyłku i spytała w języku Saglabów, ale nieco inaczej wymawiając słowa, niż czynił to Alosza:

– Czego?

– Szukam złotego ptaka, dobra kobieto.

– Głupia czarna masa. Czy gdybym wiedziała, gdzie takiego znaleźć, tkwiłabym w tej dziurze, zbierając jagody dla niewdzięcznych wnuków?

Słuszna uwaga.

– Może zatem słyszałaś opowieści o dziwnych ptakach żyjących w tej okolicy?

– Nie. Ale jeśli pokażesz mi swojego, będę mogła opowiadać o jednym, całym czarnym.

– Licz się ze słowami, starucho.

– Kogo nazywasz starą, czarny kocie?

– Garbuskę o siwych włosach. Jeszcze raz mnie obrazisz, a...

– A co? Przewieszysz mnie przez kolano i zlejesz? – Cmoknęła w jego kierunku i pogroziła palcem.

– Raczej kark przetrączę.

– I proszę. Wyszło wychowanie młodego człowieka. Najpierw dobrą kobietą cię zwie, a potem zabójstwem grozi. A bij, jeśli chcesz. W domu i tak czekają na mnie kije męża.

Rozmowa z tutejszymi mieszkańcami zawsze należała do trudnych, nieważne, czy należeli do Saglabów, Chazarów, Burdasów, czy tych, których Ainar nazywał Bjarmalandczykami. Twardzi ludzie, bo żyli w ciężkich warunkach.

– Nie ma się co denerwować, dobra kobieto. Po prostu chciałem porozmawiać. W Treborgu krąży opowieść o złotym ptaku. Myślałem, że i ty ją słyszałaś.

– A czego to wielcy panowie nie wymyślą, mój ty czarny kocie. Złote ptaki i złote jajka? Jakby się jeden z drugim przeszedł do kurnika, zobaczyłby, że kupa jest brązowa, a jajko białe. Ale jak chcesz uganiać się za pijackimi opowieściami, dam ci wskazówkę. Tylko głodna strasznie jestem, bom wyszła bez śniadania.

Berserk wyciągnął z tobołka kawałek suszonej koniny i dał go niewieście. Wzięła go pospiesznie i w całości włożyła do ust. Drużynnik kagana musiał poczekać, aż nieznajoma przeżuje i przełknie przynajmniej część jedzenia.

– W Lesie Leszy, tam, za tamtą górą – zaczęła z pełnymi ustami i wskazała palcem zachód – mieszka w pieczarze Dziad o imieniu Sigmund. Wielki z niego czarodziej i władca puszczy. W zeszłym roku byłam u niego, bo bolały mnie plecy. Dał mi cudowną maść. A do tego sprzedał piękny

dzban, bo zna się nie tylko na uszczęśliwianiu schorowanych kobiet, ale zabija czas, lepiąc naczynia z gliny. Tak. Jeśli szukasz uzdrowienia lub dobrego dzbanka, musisz go odnaleźć.

Blamad nie zapytał o skuteczność maści, bo kobieta cały czas stała zgarbiona. Jeśli starzec rzeczywiście był magiem, to kiepskim.

– I myślisz, że on wskaże mi drogę do gniazda złotego ptaka?

– A skąd! Ale podobno zna się na ptakach jak nikt inny. Jeśli złote jajka istnieją, tylko on może coś o nich wiedzieć. Ale jak już jakieś znajdziesz, nie zapomnij wrócić do biednej kobiety i odpłacić jej za pomoc – powiedziała, cały czas śmiejąc się z nedorzeczności swoich słów.

– Dziękuję – odparł i odszedł.

Był prawie pewny, że jędrza zadrwiła z niego i naciągnęła na solidną porcję koniny. Ale i tak nie miał pomysłu, co robić dalej. Zresztą, jeśli starzec mieszkał w lesie od dawna, przynajmniej będzie mu w stanie opowiedzieć coś o okolicy.

Poszedł wskazaną drogą i przeciął górę w połowie jej wysokości. Późnym popołudniem dotarł do rzadkiego świerkowego lasu, rosnącego na zboczu niedużego wzniesienia. Wskazówki kobiety nie były zbyt dokładne, więc wiele czasu spędził, krążąc między iglakami i szukając oznak ludzkiej obecności. W końcu wpadł na pomysł, że jeśli starzec miał choćby krztynę rozumu, zamieszkał w pobliżu wody. W podeszłym wieku nie miało się ochoty na dalekie spacerowanie.

Gdy dotarł do niewielkiego strumyka, ruszył w górę jego biegu. Po kilkuset krokach natknął się na dziurawy cebrzyk i ślady stóp na miękkiej ziemi, które prowadziły ku wydeptanej w trawie ścieżce. Podążył nią i niedługo potem dostrzegł starca.

Siwy mag siedział na pniaczku przy wejściu do pieczary. Ubrany był w koszulę tak poplamioną, że wydawała się zlepkiem różnokolorowych szmat. Na szczęście łań był na tyle długi, że zasłaniał wstydlive części ciała mężczyzny, który nie miał spodni. To znaczy miał je, tyle że trzymał je na kolanach i cerował. Czynność tak go zajmowała, że nie zwrócił uwagi na Alego, nawet gdy ten stanął wprost przed nim, zasłaniając światło.

– *Д’обры́й день, старі́ке* – pozdrowił go Blamad w mowie Saglabów.

– *Djalfusins helvíti* – mag zaklął szpetnie w języku Vaeringów, bo właśnie ukuł się kościaną igłą w palec. Ale na przybysza dalej nie zwracał uwagi.

– *Góðan daginn, gamall mad* – czarny gridin przywitał się ponownie, tym razem w mowie, w której gospodarz przeklinał.

Starzec wsadził zraniony palec do ust.

– *Szumbram! Koda erjam?* – Ali spróbował po mordwińsku, lub jak by to powiedział Ainar, po bjarmalandzku.

Czarownik wrócił do szycia.

– *Salve, magne mage! Marhaban, al-magu?* – drużynnik kagana użył najpierw języka Romverjów, a potem Serklandczyków, ale bez większej nadziei na zrozumienie.

– Co się tak ciągle powtarzasz, synku? – w końcu odezwał się Dziad, używając mowy ludu Północy. – Starczą zaćmę masz w głowie? Słyszałem za pierwszym razem, że życzysz mi dobrego dnia. Ale nie widzisz, że jestem zajęty? Musisz poczekać, aż skończę.

Staruszek rozumiał pięć języków, co było równie zaskakujące jak to, że siedział gołym tyłkiem na pniaku, bo nikt o zdrowych zmysłach nie siada bez gaci na drzazgach. Przybysz nie miał lepszego pomysłu, niż posłuchać gospodarza.

Włócznie oparł o drzewo, tobołek położył na ziemi i rozejrzał się po okolicy. Pieczara, w której mieszkał starzec, mieściła się w stromym zboczu wzniesienia. Wejście do niej było ledwie widoczne, albowiem całe zbocze przykrywała leśna ściółka, na której rosły karłowate drzewa. Przed jaskinią znajdowało się obłożone kamieniami palenisko, nad którym wisiał żelazny kociołek. Wokół niego widniały porozrzucane niewielkie kości. Świeżo ogryzione. Ze wszystkich stron dochodziło gdakanie, kwakanie i pisk różnorodnych ptaków.

Pierzaste stworzenia były pozamykane w drewnianych klatkach poukrywanych między drzewami lub w zagrodach wzniesionych w różnych

częściach polany. Czarny Berserk nie umiał nazwać wszystkich tych zwierząt, ale potrafił rozpoznać najbardziej pospolite: gęsi, kury, kuropatwy, kaczkę, sroki, wrony, skowronki, szpaki i wróble. Widział też jednak i bardziej niezwykle stworzenia, z kolorowymi piórami i wspaniałymi ogonami. Wśród nich znał jedynie fanfary, które potrafiły przedrzeźniać ludzką mowę.

Dziad nie przejmował się obecnością gościa i zupełnie się nie spieszył. Ślamazarnie łątał dziurę trzęsącymi się rękami, plamiąc spodnie kropelkami krwi z poranionych palców. Kiedy wreszcie skończył, wstał, pochylił się, pokazując berserkowi blady tyłek, nałożył spodnie, chybocząc się przy tym na boki jak sosna podczas wichury, i przemówił:

– Na Północy jest taki zwyczaj, synku, że ten, kto przychodzi w gości, przedstawia się pierwszy. Ci, którzy nauczyli cię ludzkiej mowy, nie wspominali o dobrych obyczajach?

Bardziej rozbawiony niż rozłoszczony gridin przyjął napomnienie starca.

– Moje imię jest długie i trudne do wymówienia. W tych stronach zważ mnie Alim Czarnym Berserkiem.

– Witam cię, Blamadzie. Mnie ojciec nazwał Sigmundem, a ludzie przeważali Ptasim Czarodziejem. Niektórzy mówią, że jestem leszą, ale nie przejmuj się takim gadaniem, synku. Jestem po prostu starym dziadkiem, który lubi samotność. Ale ty chyba strachliwy nie jesteś? Nie. Na pewno nie. A powiedz mi, synku, nie wiesz, że od przebywania na słońcu można się spalić na węgiel? Bardzo niezdrowo wyglądasz.

Podczas pobytu wśród Saglabów i innych zamieszkujących te tereny ludów Ali przyzwyczał się do takich drwin. Często był jedynym czarnoskórym, jakiego ludzie widzieli w całym swoim życiu. Do najmniej uciążliwych zachowań należało dotykanie jego skóry, a do bardziej – próby wykrojenia z niej kawałka na pamiątkę. Kiedyś, gdy wszedł do świątyni kristmadów, kapłan wylał na niego wiadro święconej wody i zasłonił się przed nim drewnianym krzyżem. To, co obce, zawsze wywołuje strach, a czarny druzymnik również często z tego korzystał, jak za to płacił. Postępowanie starca było jednak inne. Nie bał się, ale żartował, zupełnie

jak Ainar. Przybysz nie miał już wątpliwości, że mężczyzna nie tylko mówił językiem Vaeringów, ale również pochodzi z Północy.

– Mam tak od urodzenia – wyjaśnił, wskazując na swoją twarz.

– Nie zazdroszczę twojej matce, synku. Pewnie nie raz zgubiła cię w ciemności.

– Nie przyszedłem wysłuchiwać obelg, starcze! – wojownik podniósł głos, powoli tracąc cierpliwość.

– O? Synek jest obraźliwy. I ma chyba czarne myśli, bo strasznie marszczy czoło.

Blamad odsłonił spiłowane zęby i zawarczał. Gniew pobudził jego mięśnie, które zaczęły się napinać. Odruchowo zacisnął pięści. Łeb węża na jego głowie zakołysał się, gdy gridin pokręcił szyją, strzelając kręgami.

– Dobrze ci radzę, starcze. Nie denerwuj mnie.

– Co się tak pienisz, jak pies na widok suki? Przecież tylko grzecznie pytam, by się dowiedzieć, co ci dolega. Inaczej nie będę mógł pomóc.

Ali potrzebował wszystkich nabytych doświadczeń w sztuce odzyskiwania spokoju, żeby nie rozłupać czaszki wrednego starucha.

– Nic mi nie dolega. Szukam złotego ptaka. Powiedziano mi, że możesz coś o nim wiedzieć.

– Dojdziemy i do tego. Najpierw porozmawiamy o tych twoich napadach złości. Siadaj, synku, na tym pniaczku albo połóż się na ziemi, jeśli wolisz.

Czarny Berserk wziął kilka głębokich oddechów i uspokoił bicie serca. Jeśli miał się czegoś dowiedzieć, rękoczynny musiał poczekać. Usiadł we wskazanym miejscu, gdyż nie miał ochoty kłaść się u stóp szalonego maga.

Dziad pokiwał głową z zadowoleniem i postępując, przyturlał sobie drugi pniak spod paleniska.

– Opowiedz mi o swojej matce – zaproponował, siadając naprzeciwko.

– Różni ludzie przychodzą do mnie, bym naprawił ich głowy, i wierz mi, że większość problemów zaczyna się w dzieciństwie.

– Nie przyszedłem rozmawiać o swojej młodości – odpowiedział Blamad, walcząc ze szczękościskiem.

– Dużo mówisz o powodach, dla których tu nie przyszedłeś. Spróbujmy się zatem dowiedzieć, dlaczego naprawdę się zjawiłeś. Ale by to osiągnąć, musisz odpowiadać na pytania, synku. Rozumiemy się?

– Tak. – Drużynnik Tirusa doszedł do wniosku, że kłótnia do niczego go nie doprowadzi. Lepiej było umiejętnie naprowadzać rozmowę ku ciekawszemu tematowi.

– To co z tą matką?

– Rodzicielka jest bliska mojemu sercu. Cały czas czuję jej obecność.

– Aha! – krzyknął uradowany gospodarz. – Umysł masz prostszy, niż myślałem. W twojej głowie tkwi wspomnienie ojca, który oderwał cię od piersi matki, by sam się nimi pobawić. Kto wie, może i nakryłeś rodziców w łóżnicy i wtedy poczułeś zazdrość, a nawet więcej. Nienawiść! Tak, obwiniasz ojca, że on, a nie ty, posiadał matkę! I właśnie to uczucie zagnieździło się w twoim sercu, powodując nieustanny gniew. W każdym mężczyźnie widzisz ojca, rywala, który chce się kochać z twoją matką, a ty pragniesz go za to zabić. Miotasz się między popędem i chęcią zaspokojenia cielesnej żądz z rodzicielką a zasadami, jakie narzuca ci otoczenie. Jedynym lekarstwem jest oswojenie tego lęku. Pogodzenie się z tym, że marzysz o powrocie do łona, które kiedyś opuściłeś, i uświadomienie sobie, że to całkiem zwyczajne uczucie. Ja do dziś budzę się z porannym ożywieniem, gdy przyśni mi się wspaniała kobieta, która wydała mnie na świat, a mimo to w mojej głowie panuje ład.

Ali popatrzył na starego lubieżnika, nie wiedząc, czy skrócić mu kark, czy tylko połamać ręce. Na szczęście dla uzdrowiciela berserk był tak zdumiony, że czuł się bardziej rozbawiony niż zdenerwowany.

– Po prostu czuję obecność matki, bo wraz z resztą rodziny zjadłem ją na uczcie pogrzebowej. W naszych stronach spożywamy przodków, by ich ciała krążyły w krwi potomków, a ich duchy opiekowały się nimi. W ten sposób ród zawsze jest razem.

Był to jedyny raz w życiu, kiedy skosztował ludzkiego mięsa. Brzydził się tym rytuałem, ale dopełnił go przez wzgląd na ojca i pamięć matki, która zjadła niejedną krewną.

– Wspaniale! Muszę zapamiętać ten sposób na radzenie sobie z rodzinnymi niesnaskami. Ale skoro nie dotyczy cię problem matki, po co do mnie przyszedłeś?

– Już mówiłem. Szukam złotego ptaka. Słyszałeś coś o nim?

– Oczywiście! – zakrzyczał staruszek i palnął się w czoło. – Że też wcześniej na to nie wpadłem. Nosisz u pasa długi, zakrzywiony ku górze miecz i szukasz złotych jaj. I do tego masz odsłoniętą pierś, łysą głowę i wielkie mięśnie. Można bardziej podkreślić swoją męskość? Powiedz mi, jak często zdarzają ci się nocne problemy.

– Sypiam dobrze.

– Tak, tak. Nie ma się czego wstydzić. Nie jesteś już młodzieniaszkiem. W tym wieku każdemu może się zdarzyć męski zwis. Marzysz, by mały berserk był wielki jak twój miecz, a kuleczki twarde niczym złote jaja? Powiedz mi, synku, co się dzieje, gdy kobieta rozkłada przed tobą nogi. Twój mały przyjaciel jest w gotowości bojowej czy tchórzliwie udaje, że śpi?

Blamad rozważył, czy większą przyjemność sprawiłoby mu wyprucie Dziadowi flaków kataram, czy ucięcie mu głowy mieczem. Rozbawienie znów przeszło w rozdrażnienie. Musiał wykorzystać całą siłę woli, by odsunąć dłoń od rękojeści seifa.

– Zwią mnie Czarnym Berserkiem, sługą Szalonego Odyńca. W miłosnym gniewie rozrywam kobiety na pół, a na moim przyrodzeniu można tępić miecze.

– Ciekawe. O biczowaniu mi opowiadano, ale o zabawie z mieczem jeszcze nie. Próbowaleś tego kiedyś?

– Nie denerwuj mnie, starcze! – krzyknął, zrywając się z miejsca i waląc pięścią w otwartą dłoń. Ból jeszcze tylko zwiększył gniew. Odwrócił się od maga, bo jego głupkowaty uśmiezek doprowadzał go na skraj szaleństwa. Ukłonił się, dotykając rękami ziemi, po czym wyprostował się, złożył dłonie wysoko nad głową i stanął na jednej nodze. Kontrola nad ciałem pozwalała panować nad gniewem. Kiedy już był spokojniejszy, powrócił na pniak.

– Przyjmij do wiadomości, starcze, że nie mam żadnych problemów ze swoją męskością. Przyszedłem do ciebie, ponieważ kagan Odainsaku, Kol Mały, zlecił mi odebranie jajka z gniazda złotego ptaka. Opowieści o tym stworzeniu są szeroko rozpowszechnione. Słyszałybyś o nich, gdybyś od czasu do czasu opuszczała tę norę.

– Dobra. Założmy, że złoty ptak rzeczywiście nie jest kenningiem na twoje przyrodzenie. Zatem naprawdę wierzysz w istnienie tej istoty? Bardzo interesujące. Powiedz, synku, pijesz dużo nabidu i miodu? A nie zbierasz czasem tych czerwonych grzybków z białymi plamkami, które tak ładnie odbijają promienie słońca?

– Piję w rozsądnych ilościach, jak na bogatyra przystało, a za grzybami nie przepadam...

Były to *benne So*, słowa boczne, tylko w części prawdziwe, gdyż nie miał zamiaru zdradzać swoich sekretów. Magowie z Indialandu, u których pobierał nauki, dali mu do spróbowania somy, wyciągu z czarodziejskich grzybów, by poczuł jedność z Szalonym Odyńcem. W Serklandach nauczył się też popalać haszisz, co pomagało mu się rozluźnić i panować nad gniewem.

– ...a dlaczego pytasz?

– A taka tam starcza ciekawość. Mamy więc u ciebie urojenia pochodzenia naturalnego. Często widzisz się z tym, jak go nazwałeś?... Szalonym Odyńcem? Odwiedzają cię też inni bogowie?

– Wertragna udziela mi swojego błogosławieństwa i zsyła na mnie aesmę, kiedy się zdenerwuję.

– Mój przyjaciel z czasów młodości, Karl Młody, miałby na to inne wytłumaczenie. Powiedziałaby, że tkwi w tobie ciemna, zła strona, z którą nie możesz sobie poradzić. Dlatego przenosisz ją na wymyślone bóstwo, aby je obarczyć winą za swój gniew. A tak naprawdę bestia siedzi w tobie, synku.

Zadziwiająca, jak szybko pod wpływem głupot mówionych przez starca złość mogła się przerodzić w rozbawienie. Ali znów się uśmiechnął.

– Wiem to i bez ciebie. Dzięki Szalonemu Odyńcowi umiem jednak panować nad gniewem.

– Dobrze. Samouświadomienie jest ważnym etapem leczenia. Ale potrzebuję więcej wskazówek. Powiedz, synku, czy miewasz zaniki pamięci i stany zniechęcenia? A czy nie ogarnia cię czasem potworne zmęczenie?

Starzec zaskoczył wojownika. Wydawał się tylko wrednym lubieżnikiem, ale najwyraźniej miał pewną wiedzę o ludziach.

– Czasem. Gdy minie szal po bitwie, zapominam, jak walczyłem, i przez następny dzień leżę niczym bez życia.

– Nie pytam, jak ci się układa z rodziną, bo pewnie całą zjadłeś. Ale co z innymi ludźmi? Masz przyjaciół czy jesteś odludkiem?

– Lubię samotność i wiele podróżuję.

– Wspaniale. Dochodzą więc kłopoty z przystosowaniem. A podczas naszej pogawędki stwierdziłem u ciebie też otępienie, problemy ze zrozumieniem pytań i w ogóle z porozumiewaniem. Wszystko jasne. Cierpisz na manię, a twoje urojenia wskazują, że masz rozszczepiony mózg. Jest to odpowiedź twojego umysłu na nieustanne zagrożenia, na jakie się wystawiasz. I tak niezwykle, że nie zmieniłeś się w wiejskiego głupka, który nie jest w stanie wybełkotać słowa i zamyka się we własnej głowie niczym hamramir.

Czarny Berserk westchnął. Naprawdę lubił rozwiązywać spory na drodze pokojowej. Rozmowa jest w końcu najlepszym ćwiczeniem dla rozumu, bo i od głupca można nauczyć się czegoś mądrego. Dlatego go bolało, że sprawa będzie musiała zakończyć się w sposób, jaki od dawna przewidywał. Wstał, podszedł do Dziada i podniósł go jedną ręką.

– Nie mówili ci, czarowniku, że nie warto denerwować lunatyka?

– Ale... synku? Przecież chciałem tylko pomóc!

Czas odpowiadania na głupie pytania dobiegł końca. Gridin rzucił staruszką na klatki z kurami. Drewno pękło, kilka ptaków zostało zmiażdżonych, a reszta uciekła w panice, gdacząc i machając przykrótkimi

skrzydłami.

Blamad znał różne sposoby na odzyskanie opanowania, ale czasem najskuteczniejszym było tradycyjne mordobicie.

Podniósł staruszka za nogę, zamachnął się i rzucił go szerokim łukiem do zagrody z gąsiorami. Ptaki gęganiem zaprotestowały przeciwko takiemu traktowaniu i zaczęły dziobać czarownika, mszcząc współwięźnia, który zginął pod tyłkiem człowieka.

Ali nie miał żadnego planu – chciał jednak nauczyć Dziada, że grzebanie w czyjejs głowie nie należy do dobrych obyczajów. Chwyił mądrąłę w pasie, uniósł wysoko nad głowę i zamarł w bezruchu.

Zobaczył niezwykłego ptaka, ukrytego w klatce za niskimi jodełkami. Stworzenie było piękne. Prawie wszystkie jego pióra błyskały złotem, szyję ozdabiał pierzasty kołnierz z czerwono-czarnych pasów. Do tułowia nie pasował tylko białawy ogon, dłuższy niż reszta ciała i nakrapiany czarnymi plamami, ale ten można było przecież oskubać. Piórka na głowie sprawiały wrażenie długich blond włosów, buńczucznie zaczesanych do tyłu, a żółte oczka z czarną źrenicą osadzone były nad złotym dziobem. Nawet łapki ptaka zdawały być się wykonane z najszlachetniejszego metalu.

– Co to jest? Mówiłeś, że złoty ptak nie istnieje!

– Co? – Czarownik powiercił się w uścisku olbrzyma. – Nic nie widzę.

Ali obrócił maga twarzą w stronę klatki.

– A, chodzi ci o złotego bażanta^[9]. Ale on przecież nie jest ze złota. Ma tylko taki kolor. Podarował mi go pewien skośnooki kupiec z krainy leżącej jeszcze za Indialandem w zamian za maść na swoje przyrodzenie. Prawda, że piękny?

– A jakie jajka znosi?

– Postaw mnie, a ci pokażę.

Drużynnik potrząsnął Dziadem, aż odpowiedź sama z niego wypadła:

– A jakie ma mieć? Zwykłe, kremowe, jak u kury.

– Nie można mieć wszystkiego.

Blamad opuścił staruszka i uderzył go czołem w skroń. Odrzucił w bok

zamrozonego maga i wziął się do roboty.

Wszedł do pieczary, po czym solidnie przeszukał znajdujące się tam rzeczy. Znalazł wiele kosztowności, w tym złote naszyjniki i pierścienie. Słusznie założył, że skoro Sigmunda odwiedzają zamożni kupcy z obcych krajów, muszą mu sowicie płacić. A samotnik raczej wiele nie wydawał. Czarny gridin zabrał złote przedmioty i wyszedł na zewnątrz.

W kraju Chazarów wyznawcy Eloaha pokazali mu, jak wytapiać złoto, i przekonali, że wyrobom powinno się nadawać kształt okrągły niczym moneta lub półkulisty jak kopuła świątyni Salomona. Okazał się pilnym uczniem, a zdobytą wiedzę wykorzystywał od czasu do czasu w pracy złotniczej, która zawsze i wszędzie była w cenie.

Najpierw przygotował palenisko. Wykopał niewielki dół, głęboki na dłoń i szeroki na pół kroku, a potem otoczył go pierścieniem z kamieni. Do środka włożył tyle węgla drzewnego, ile udało mu się znaleźć. Na szczęście starzec musiał choć trochę znać się na kowalstwie, a przynajmniej na węglarstwie, gdyż nieopodal jaskini Ali znalazł dziury w ziemi z wypalonym węglem drzewnym. Pewnie dziadek robił sobie opałowe zapasy na zimę.

Potrzebował jeszcze tygla i formy. Nie miał ochoty szukać gliny i wypalać ich własnoręcznie. Ale jędza spotkana w lesie miała rację – Dziad nie tylko był znawcą ptaków, ale i znakomitym garncarzem. Tak wokół jaskini, jak i w jej środku stały w równiutkich rzędach gliniane wyroby, różnego kształtu i wielkości. Blamad szybko znalazł odpowiednią miskę, ale z wyborem naczyń nadającego się na formę zeszło mu troszkę dłużej. W końcu natrafił na przedmiot, który na pierwszy rzut oka wydawał się zupełnie niepraktyczny. Był to pękaty dzbanek z wąskim dzióbkiem i zaokrąglonym denkiem, tak że nie dało się go równo postawić. Z pewnością ani miska, ani dzban nie zostały zahartowane piaskiem i bydlęcymi odchodami, ale czarnoskóry człowiek nie wybrzydzał. Do tak prostej roboty powinny się nadać.

Do miski włożył kosztowności, po czym wrócił do paleniska i zagrzebał oba naczynia między węglami. Następnie rozpałił ogień i zaczął pichcić

strawę dla bogaczy.

Gdy złoto zaczęło się roztopiać, wyciągnął miskę z paleniska za pomocą dwóch podłużnych kamieni. Ostrożnie wlał błyszczący płyn do rozgrzanego do czerwoności dzbanka. Poczekał chwilę, aż metal przyłgnie do formy, po czym i ją wyjął z ognia. Czekał, aż złoto ostygnie, grzał się przy ogniu i pogryzał pieczoną kuropatkę.

Gdy już był najedzony, rozbił dzbanek i spojrzął z podziwem na złote jajo własnego pomysłu.

20

Jastrząb i człowiek wisieli na drzewie głową w dół. Dyndali w przód, w tył i na boki, a niekiedy wiatr zataczał nimi kręgi.

Po wielu dniach huśtania się nie byli w stanie sobie przypomnieć, czy zawisli na gałęzi dębu, jesionu czy buka. Wiedzieli jednak, że drzewo było ich Yggdrasillem – Straszliwym Rumakiem, który miał ich przewieźć do krainy śmierci. Tylko że ten drewniany koń cały czas szedł ledwie stępa, a droga była daleka.

„Oddajemy człowieka lasowi – powiedzieli dawni bracia, wiążąc Haukrhedinowi ręce za plecami i smarując jego ciało krwią jelenia. – Niech duchy lasu przemówią do Hedina – dodali, napychając mu usta czerwonymi grzybami. – Niech bestie osądzą wojownika, który uwięził w sobie bestię” – oznajmili, przywiązując linę do nóg i spychając go z grubego konaru.

Pierwszego dnia osądziły ich wilki. Przybiegły za zapachem krwi i zdziwiły się, że nie czeka na nie rogaty przysmak. Zawarczały oskarżycielsko i pokazały kły. Haukr i Hedin wisieli nisko nad ziemią, więc wilcze łby znajdowały się na wysokości ich głowy. Nie znali lęku, więc odpowiedzieli groźbą – zajazgotali i zapiszczeni, dając do

zrozumienia, że nawet związani są niebezpieczni. Wataha okrążyła ich, a jeden basior ośmielił się zlizać krew z ich twarzy. Dalej jednak nie posunął się żaden ulf, a kiedy stado znudziło się wyciem i obsikiwaniem pobliskich drzew, poszło w swoją stronę.

Potem odwiedził ich niedźwiedź. Wróg pszczoł zaryczał i rozbijał ich, waląc łapą w brzuch. Misiowi nie spodobała się ta zabawa – co oznajmił, kłapiąc zębami koło ich nosa. Haukr i Hedin wytłumaczyli mu, że nie wiszą tu celowo i nie chcą przeszkadzać władcy lasu. Nie wiedzieli, czy miłośnik miodu zrozumiał. Fuknął na nich, podszedł do Yggdrasilla, stanął na tylnych łapach, wytarł futro o korę i odszedł.

Wiewiórki przyjęły ich jak swoich. Codziennie przebiegały po nich do dziupli, którą miały na drzewie. Jeśli był wśród nich boski posłaniec Ratatosk – Niosący Niezgodę – tym razem nie udało mu się skłócić ze sobą zwierząt.

W rolę sędziego wcielił się też ryś. Wdrapał się na drzewo, przespacerował po konarze i przysiadł tuż nad powieszonymi. Zamruczał i prychnął nieprzyjacielsko.

Jastrząb w ich głowie nigdy nie lubił rysia. Koty zakradały się do gniazd i zjadały pisklaki. Skrzydlaty brat przejął władzę nad ciałem skazanych i wspólnym głosem zajazgotali. Podrażniony ryś skoczył im na plecy i zsunął się na ziemię. Potem ryknął wyzywająco, lecz odszedł, zostawiając im na grzbiecie dwa piekące ślady.

Ból miał być częścią kary. Przypomnieli sobie, kiedy po raz pierwszy zostawiono uwięzionego w ich wspólnym ciełe człowieka na pastwę lasu. Zdarzyło się to podczas obrzędu, który miał przekształcić chłopca w hamramira.

Nie pamiętali już, jak wtedy nazywał się wyrostek. Włóczył się po świecie, kradnąc i walcząc o przetrwanie, aż spotkał odrmadów, którzy go przygarnęli. Kiedy był już wystarczająco szalony, by przystąpić do prób, jego oraz trzech innych śmiałków przywiązano do Kruczej Skały. Bez jedzenia i picia wisieli dziewięć długich nocy i dni, smagani wiatrem, przypiekani słońcem. Czarni posłańcy Göllnira dziobali tych, którzy nie

mieli siły się bronić. Ptaki oddzielały mięso od kości. Trzech towarzyszy bezimiennego chłopca zostało zjedzonych prawie w całości.

Wtedy była nadzieja. Teraz tylko pustka. Przed ośmioma laty wyrostek trzymał się życia, wiedząc, że dnia dziewiątego hamramirzy przetrną mu więzy i nadadzą połowę nowego imienia. Został wtedy Hedinem, Płaszczem, w który, niczym w nową skórę, miał się przyoblec duch zwierzęcego brata.

Dziś, jutro ani w dniach kolejnych nikt nie przyjdzie ich uwolnić. Tym razem przed nimi była tylko śmierć.

Na trething, sądowe zgromadzenie leśnych istot, przyleciały też wróble. Zawsze miały coś do powiedzenia, zwłaszcza w stadzie. Najbardziej tchórzliwe i zniewieściałe stworzenia lasu. Niegdysiejsze ofiary, pierzchające na sam widok jastrzębiego cienia, stały się teraz ćwierkającymi prześmiewcami. Mściły się za dawne krzywdy i naigrywały z bezradności Haukra i Hedina. Przysiadły na górnych gałęziach i napaskudziły na ich wycieńczone ciało. W końcu odleciały.

Upodlenie było niczym. Wtedy, po tym, jak chłopiec przeszedł próbę dziewięciu dni, musiał sam o siebie zadbać. Dostał tępy nóż. Polował. Zabijał i kradł. Walczył o przetrwanie. Nie raz wrywał padlinę z kruczych dziobów i spał w błocie, wyjąc z głodu. Brud przestał mu przeszkadzać. Nauczył się, że nawet na wysuszonych odchodach można upiec mięso.

Dziś nie zapomniały o nich również dziki. Odyńce, świnie i małe warchlaki przebiegły obok, ocierając się szczecina o ich twarz. Później cała rodzina zrobiła wokół nich okrążenie, biegnąc w szeregu od największego do najmniejszego, a wreszcie uciekła w las. Dziki też nie chciały zakończyć ich męki.

Oczywiście zjawiły się kruki i wrony. Ale one bały się do nich zbliżyć. Siedziały tylko na pobliskich drzewach i czekały na świeżą padlinę.

Nieopodal, wystarczająco daleko, by człowiek i Jastrząb nie mogli ich dosięgnąć, ale dostatecznie blisko, by dobrze je widzieli, zostały wbite w ziemię ich dwa szpony. Miały im przypominać o życiu w bractwie, którego się wyrzekli.

Przypęły też trzy żmije. Wyłoniły się spod korzeni, utworzyły zbite kłębowisko pod ich głową i zaczęły syczeć. Nie rozumieli tego skrytego języka, ale domyślili się, że węże ich przeklinały. W końcu jastrzębiom zdarza się na nie polować. Gdy żmijom znudziło się narzekanie, jedna z nich wyskoczyła wysoko w górę i ugryzła ich w nos. Zapieкло, gdy jad przedostał się przez skórę.

Nic w lesie nie dzieje się bez wiedzy tura. Wielki grubas zjawił się, przeganiając węże. Zaryczał, aż liście zatrzęsły się na drzewie, uderzył kopytem w ziemię i pochylił głowę, celując rogami w wisielców. Pobiegł, aż się zakurzyło.

Poczuł ukłucie w brzuch. To jeden z rogów ich skaleczył, ale lekko. Bestia zatrzymała się tuż przed skazańcami. Prychnęła, a wtedy gorąca para owionęła ich twarz. Tur bywał porywczy, ale rzadko zabijał nieatakowany. Widząc, że więźniowie nie stają do walki, potrząsnął łbem, trącił ich przyjacielsko nosem w pierś i odszedł.

„Ofiara czy myśliwy?” – przypomnieli sobie słowa, które zadano chłopcu podczas prób. Żywot gospodarza czekającego na wyroki losu czy wojownika, który z mieczem w dłoni bierze to, na co ma ochotę. Długie życie w nędzy czy krótkie w dostatku. Śmierć starca trzęsącego się ze strachu w swoim łóżu czy młodzieńca posiekanego na polu bitwy. Wtedy wybór wydawał się prosty. Przetrwać za każdą cenę i gardzić słabością.

A teraz? Co znaczą te słowa? Były tylko owocami dmuchawca, nierozważnie zdmuchniętymi przez krwiożerczych hamramirów. Krążyły po świecie, niekiedy trafiając na młodą, chłonną gniewu ziemię, ale w rzeczywistości były tak błahe i ulotne, że najslabszy spośród oddechów pana wiatru Karego przeganiał je na twarde skały ludzkiego rozumu. Bo same nie niosły żadnej mądrości.

Zabijany czy zabójca? Jakie to ma znaczenie? Człowiek pokoju też zabija. Na wojnie, w obronie własnej czy oddając niechciane dziecko skalnym olbrzymom. Człowiek głodny też zabija, by jeść. Człowiek znudzony poluje, by się rozerwać. Ich bratem był jastrząb, który nie widział różnicy między tymi rodzajami zabójstw. Bo śmierć godzi we wszystkich,

a Göllnir nie słucha wyjaśnień, kto powinien umrzeć pierwszy. W śmiechu odrzyna i krzyku Göllnira tkwi ziarno prawdy: życie i śmierć są dwoma obliczami tego samego szaleństwa, a ono drwi sobie ze zdrowego rozsądku.

W końcu przyleciały jastrzębie. Dziwne, że pojawiły się w grupie, a jeszcze bardziej niezwykle, że towarzyszyły im orły, puchacze i sokoły. Właśnie drapieżnym ptakom wyznaczono rolę sędziów głównych. Mieli zdecydować, czy Hedin więził ich brata wbrew jego woli i czy złamał umowę, którą człowiek zawarł z jastrzębiem osiem lat temu.

Kiedy jeszcze nie stanowili jedności, Hedin udał się na polowanie do Lasu Bestii, zgodnie z odwieczną tradycją hamramirów. Trzy dni pościł, posilając się tylko świeżo zebranych słonecznymi grzybami, zanim nagi przekroczył granicę boru. Miał tylko nóż. Nie wiedział, które zwierzę powinien zabić, bo wybór ten nie należał do niego, a do mieszkańców lasu.

Różne stworzenia pokazały się wtedy, by go ocenić. Ryś, wilk i żbik, wąż, pies i orzeł, rosomak, żubr i sokół, dzik, niedźwiedź i tur. Wszystkie go odrzuciły, nie dając się złapać. Ostatni zjawił się jastrząb o brązowym upierzeniu – największy ptak, jakiego Hedin spotkał w życiu, choć przez wizje zesłane po zjedzeniu czerwonego grzyba wszystko wydawało mu się okazalsze. Haukr, siedząc na gałęzi, bardzo długo wpatrywał się w Hedina. Żółtymi oczami o czarnych, okrągłych źrenicach przewiercał człowieka na wylot i sprawdzał, czy w jego głowie jest wystarczająco dużo miejsca dla nich obu.

Głupi chłopak myślał, że byłby w stanie złapać jastrzębia, wspinając się na drzewo i rzucając się na niego z góry. Ptak pozwolił mu na tę zuchwałość i nie uciekł, kiedy młodzieniec wchodził na wysoki buk. Ale gdy ten skoczył, jastrząb poderwał się z gałęzi. Hedin uderzył o ziemię, gubiąc nóż. Wtedy drapieżca uznał, że chłopak nie boi się wysokości, postanowił więc dać mu szansę. Spadł na plecy człowieka, orając je szponami. Ich ciało do dziś ma blizny po tamtej walce. Wyrostek wytrzymał ból i sięgnął do tyłu, chwytając ptaka za skrzydła. Haukr dziobnął go w palce, ale te nie puściły. Długo się siłowali, bo chłopiec nie jadł od

wielu dni, a ptak był ogromną bestią zmiennokształtnego boga Arnhofdiego, a jego szpony cięły jak noże. Człowiek okazał się godny tej walki. Zdołał ściągnąć z siebie jastrzębia i przygniótł go do ziemi. Po czym zadał mu pytania, nie wypowiadając słów.

„Czy chcesz być mi bratem – ani starszym, ani młodszym – i wraz ze mną, a nigdy nade mną ani pode mną, zabijać, mordować, zarzynać, dusić, ćwiartować i nabijać na pal? Czy pragniesz, by moja siła stała się twoją, a twoja zwinność moją, byśmy mogli kłuć, ciąć, przebijać, miażdżyć, rąbać, strzelać, piłować, łamać i kruszyć ciała nieprzyjaciół? Czy godzisz się, by moje usta przemawiały za ciebie, a twoje myśli były moimi, by straszyć, rabować, gwałcić, palić, niszczyć i burzyć? Razem będziemy sobą, oddzielnie pozostaniemy nikim”.

Haukr zajazgotał wtedy, a dźwięk ten prawie rozsadził głowę Hedina. Bestia zgodziła się okrzykiem bojowym. Człowiek zacisnął palce na ptasiej grdyce i wycisnął z niej życie. Potem oskubał z piór ciało, w którym już nie było ducha, i zjadł je w całości. Hedin zrobił miejsce w swojej głowie, wyrzucając wspomnienie dzieciństwa, po czym przyjął Haukra do siebie. Tak narodzili się jako Haukrhedin.

Dziobnięcie orła w czoło odeгнаło wspomnienia. Znów wisieli na drzewie, kołysani przez wiatr. Ptaki wydały wyrok i przystąpiły do wykonywania kary. Drzemliki, rarogi, sokoły, a nawet przybyły z dalekiej Północy białozór wzbily się wysoko w niebo i zapikowały, celując szponami w brzuch i plecy wiszących. Rozrywały i szarpały. Stary wredny puchacz dziobnął ich w goleń i zarysował kość. Drzemlik zrobił im szramę na szyi, a raróg wyrwał kilka włosów. Ale to było tylko wstępem do kary, jaką wymierzył olbrzymi gołębiarz z częściowo oskubaną szyją. Jastrząb zawisł w powietrzu, naprzeciw głowy skazańca. Towarzyszyły mu dwa krogulce, które ustawiły się po jego bokach niczym strażnicy. Smakosz gołębi zmierzył ofiarę wzrokiem, jakby chciał dojrzeć swojego jastrzębiego brata w oczach Haukrhedina. A potem zaatakował.

Dziób wbił się w lewe oko. Człowiek i Jastrząb poczuli, jak coś płynnego, gęstego spływa im po czole. Hedin pisnął, ale nie zawył. Haukr

wcale nie był zadowolony z okaleczenia człowieka. Wzrok był dla nich najważniejszy, bez niego nie umieli polować.

Jastrzębie są mściwe, a gdy karzą, to surowo.

Mijały dni, a oni wciąż wisieli, cierpieli i konali. Smagani przez wiatr, męczeni przez głód i pragnienie. Ale kruki nadal nie nadlatywały.

Wiedzieli, że las ma wielu mieszkańców. Jeszcze nie wszyscy ich odwiedzili. Jastrząb i Płaszcz nie lękali się śmierci, ale bali się spojrzeć w twarz tego, który jeszcze nie nadszedł, a kto nie był bestią.

Puszcza nie zna jednak litości, tym bardziej nie słyszeli o niej hamramirzy. Haukr i Hedin stracili rachubę czasu, ale w końcu nadszedł dzień, kiedy przyszedł po nich mały chłopiec z nożem w ręku.

Trzylatek wyglądał na przestraszonego, lecz zdecydowanego. Nie powinien jeszcze wiedzieć, czym jest śmierć, nie powinien nosić na swoich drobnych barkach ciężaru wspomnień o zabitych ludziach. Ale przez rok wychowywali go odrmadowie. Dzieciak był jeszcze za mały, by przystąpić do prób, jednak wiszący na drzewie przeczuwali, że tańczący wojownicy każą mu dokonać pierwszego zabójstwa, by sprawdzić, czy się nadaje.

Gdy nie lubisz zabijać lub przynajmniej nie umiesz sobie radzić z nawiedzającymi cię we śnie poległymi, nie możesz zostać hamramirem. Haukr i Hedin nie mieli z tym nigdy kłopotów, choć duchy zamordowanych czasem do nich mówiły.

Szaleńców w bractwie zawsze było dwunastu, dlatego hamramir, który przeszedł wszystkie próby, mógł odejść, by szukać watahy o niepełnym składzie, lub zostać i pozbyć się jednego z konkurentów. Gdy Haukr i Hedin powrócili z Lasu Bestii, wybrali to drugie rozwiązanie i wyzwali do walki doświadczonego Ormhedina, Węza i Płaszcz, który walczył zatrutymi nożami. Pojedynek był długi i choć przypłacili go siedmiodniowym paralizem, zabili truciciela. Inni zmiennokształtni powitali ich wtedy z wielką radością, bo choć kochali Węza niczym brata i oplakali go jak krewnego, jednak nie należał do ich ulubieńców.

Zapewne odrmadowie powiedzieli trzylatkowi różne kłamstwa. Że to Haukr i Hedin byli odpowiedzialni za śmierć jego ojca oraz innych dzieci,

czyli za cały okrutny los, który doprowadził chłopca do tego miejsca i kazał mu mieszkać w lesie z potworami. Ale to i tak nie miało żadnego znaczenia. Bo hamramirzy musieli dzieciakowi dać wyraźnie do zrozumienia, że ma wybór: zabić lub samemu zginąć. U szalonych wojowników wszystko się do tego sprowadzało.

Chłopiec musiał stanąć na palcach, by dosięgnąć ich nożem. Ale wcale nie celował w głowę.

– Daj ręce – powiedział piskliwym głosem.

Haukr i Hedin początkowo nie zrozumieli. Słyszeli słowa, ale uszy nie chciały przekazać do głowy niemożliwego.

– Ręce – powtórzył malec, a oni bezwiednie wygięli ku ziemi związane z tyłu dłonie.

To był tylko niezręczny dzieciak, więc upuścił im trochę krwi z przegubów rąk, zanim udało mu się przeciąć powróż. Wtedy wzięli od dziecka nóż, podciągnęli się i przecięli linę przy kostkach nóg. Spadli na plecy i poczuli przyjemny ból wolności.

Chłopiec o płowych włosach wpatrywał się w Haukrhedina mętym wzrokiem, więc człowiek i ptak w ich wspólnej głowie zrozumieli, że malec już od dawna jest nieobecny na tym świecie.

– Jak masz na imię? – Kiedyś wiedzieli, ale myśli szybko wylatywały z ptasiej głowy.

– Grani.

– Zapamiętamy. Zawsze będziemy pamiętać.

Usiedli, wzięli dziecko na ręce, przytulili i poczuli bicie małego serduszka.

– Nie bój się, płowowłoso. To tylko sen o potworach.

Grani uśmiechnął się z wdzięcznością, bo chyba przeczuwał, co się wydarzy. Haukrhedin skrzył mu kark jednym szybkim szarpnięciem, by chłopiec nie poczuł bólu.

W tym jednym hamramirzy się nie mylili: zabić lub zginąć. Malec dokonał wyboru. Po tym, co przeżył, nie mógłby już wyrosnąć na zwykłego

kupca czy gospodarza. A śmierć, jaką zadaliby mu odrmadowie po niezdanej próbie, byłaby straszliwa i odarłaby go z człowieczeństwa.

Położyli chudziutkie ciało pod drzewem, oddając je lasowi. Bezskrzydły jastrząb i jednooki człowiek, którzy nie mieli już braci wśród hamramirów, wyszarpnęli szpony z ziemi i ruszyli na wschód.

21

Ainar zdecydowanie wolał być porywany przez piękne córki kaganów niż przez śmierdzących łowców niewolników. W obu przypadkach miał związane ręce, ale w tym pierwszym jechał na dromedarze, oglądając świat z wysokości, a w tym drugim kroczył przywiązany do garbatego konia, spoglądając na jego zad. Złośliwe zwierzę musiało zdawać sobie sprawę z przewrotności losu i bezlitośnie mściło się za poprzednie pociągnięcia wodzą. Szarpało całym cielskiem, prawie wrywając Skaldowi ręce z barków, a także pierdziało i oddawało nieczystości wprost pod nogi człeka będącego odar smidem, kowalem słów. Prawdą było, że zwierzę nie potrafi docenić poezji.

Pocieszał się, że inni wcale nie mieli lepiej. Aloszę i Burdasów spotkał ten sam los – szli na powrozach za swoimi wierzchowcami. Baganakijczycy polegli w boju i zapewne teraz galopowali gdzieś po podniebnych stepach u boku swego boga Tengriego, szydząc z losu tych, którzy przeżyli.

Za to Ingigerd jak zwykle potrafiła się ustawić. Wspaniale odegrała porwaną i bezbronną dziewczynę, a że urody i wdzięku nie sposób jej było odmówić, uznano, że jest zdobyczą, za którą kupcy z Serklandów sporo zapłacą. Tym bardziej że popisywała się swoją dworskością i ogładą – cechami bardzo pożądanymi przez tamtejszych właścicieli przybytków uciech. Nie było mowy, by ścierała sobie skórę ze stóp, więc dano jej własnego dromedara. Zapewniono jej również wszelkie wygody, jakie

w podróży mogła otrzymać niewolnica. Dostawała tyle jedła i picia, ile zechciała, poza tym nie wiązano jej rąk – ani w trakcie podróży, ani podczas postojów. W zamian, o dziwo, nie musiała nic dawać, choć utkwionych w niej było wiele spragnionych spojrzeń. Przywódca oddziału traktował rudą jak swoją brankę i albo chciał zatrzymać ją dla siebie, albo w swojej niezmiernie głupocie uwierzył, że dziewczyna jest nietknięta – a jako taka miała znacznie większą wartość.

Vaering patrzył na nią z coraz większym podziwem, bo biegłością w słowach i robieniu min mogłaby rywalizować z niejednym pieśniarzem. Była też sprytna i umiała zwodzić mężczyzn niczym sam kłamliwy Lopt. Przypominała mu jego zmarłą Halfridę, matkę Znajdy. Tę, którą uwiódł, porzucił i pozbawił ojca oraz braci.

Odegnął wspomnienia, bo jak mawiała jego babka: „Kto patrzy w tył, tego włócznia nadzieje od przodu”. Dreng nigdy nie powinien żałować swoich czynów, Ainar skupił się więc na swoich oprawcach, którzy zapewnili mu obecne niedogodności.

Nie trzeba było kosztować miodu ze studni Mimira, by poznać, że napastnicy na stałe, a nie tylko przy okazji, trudnili się handlem niewolnikami. Oddział składał się z tuzina dobrze uzbrojonych mężczyzn, którzy przed swoimi wierzchowcami pędzili pięciu niewolników. Byli to synowie smerdów, pojmani w jednej z wioszek dzień po tym, jak Skald z towarzyszami wpadli w zasadzkę. Cała piątka szła w grupie, pilnowana przez tylko jednego strażnika. Każdy z pozostałych jeńców, łącznie z Ainarem, miał własnego ciemężyciela, gdyż łowcy niewolnych słusznie uznali, że schwytani wojownicy potrzebują pilniejszej opieki niż zwykli smerdowie.

Biegłość w łapaniu ludzi wskazywała, że obcy byli mieszkańcami kraju al-Hazar. Dla Ainara byli po prostu kolejnymi Tattarami, ale nawet on musiał przyznać, że Chazarowie różnili się nieco od swoich skośnookich pobratymców. Przede wszystkim byli wyznawcami dziwacznej religii, którą przyjęli od Gydingów – słynnych kupców przycinających sobie męskość. Śmierdzieli też trochę mniej od innych koczowników, a ich stroje

były schludniejsze i bogatsze. Nosili pikowane przesywanice lub kolczugi, a na głowach zamiast futrzanych czap mieli żelazne hełmy ozdobione końskimi kitami. Nie nosili zakrzywionych szabl, a proste miecze podobne do maekirów z Północy. Szczycili się zaś długimi włóczniami przymocowanymi do przednich łęków siodeł. Siodła te, zdobione okładzinami z rogu i srebra, zostały wykonane z największym kunsztem, na jaki było stać ludy stepu. Każdy z jeźdźców miał na plecach kołczan, lecz nie ze strzałami, a trzema dzirytami, jak koczownicy zwali krótkie oszczepy o trójgraniastych grotach. Jak już wcześniej przekonał się Östmad, wielu z łowców ludzi posiadało arkany i kańczugi – pierwsze służące do łapania niewolnych, a drugie do poganiania brańców oraz zwierząt. Oręż uzupełniały lekkie toporki i małe żelazne tarcze, co ostatecznie utwierdziło Skalda w przekonaniu, że w przeciwieństwie do innych Tattarów Chazarowie przedkładali bój w zwarcu nad walkę z dalszej odległości. Dobrze to świadczyło o ich odwadze.

Wędrowali razem już od czterech dni, cały czas kierując się na południe. Przemieszczali się lasostepem, z zadziwiającą regularnością wjeżdżając w zadrzewione obszary i po połowie dnia porzucając je na rzecz bezleśnych przestrzeni. Ainar miał więc trochę czasu na zaplanowanie ucieczki, choć wiedział, że musi do niej dojść w niedługim czasie, udało mu się bowiem podsłuchać, że w ciągu kilku najbliższych dni ma do nich dołączyć liczny oddział łowców niewolników.

Pierwszym pomysłem było wykorzystanie mistrzostwa w skaldskapie – składaniu strof. zaproponował więc przywódcy, że w zamian za wolność i sakiewkę srebra ułoży o nim pieśń pochwalną. Jeździec okazał się jednak prostakiem i wyśmiał ten pomysł, nawet wtedy, gdy Vaering wspaniałomyślnie zrezygnował z sakiewki. Wódz powołał się przy tym na jakiegoś wróżbitę o imieniu Mosze, który nakazywał kamienować niewiernych oddających cześć innym bogom niż Eloahowi. Poeta uważał, że to głupie. Przecież sam Chazar powtarzał, że nie ma innych bogów poza Tym, Który Jest, zatem powinien traktować czczenie innych bóstw jako co najwyżej nieszkodliwe marnotrawienie czasu. Zostawił jednak te

przemyslenia dla siebie, bo zaciętrzewienie koczownika za bardzo mu przypominało sposób myślenia irskich munków i ich wiarę w jedyne Boga.

Drugim pomysłem była tradycyjna ucieczka w nocy, kiedy wszyscy spali. Przeszkodą okazało się samo ciało Skalda – po tym, jak przeciągnięto go po ziemi, przypominało jeden wielki czerwony strup, a po wyczerpujących marszach nie miał dość sił, by pieszo uciec przed konnymi prześladowcami. To i tak były tylko puste rozważania, bo nie miał przy sobie żadnego ostrza, którym mógłby przeciąć krępujący go sznur. Poza tym na poważnie wziął sobie do serca ostrzeżenie Chazarów, że zostanie poddany rzezaniu po przyłapaniu na jakiegokolwiek próbie ucieczki. Jeśli zaś dotrą do celu, o zdolności bojowej młota pomiędzy nogami poety miał zdecydować przyszły właściciel Vaeringa, który kupi go na targu niewolników. Ale do tego czasu jeszcze wiele mogło się zdarzyć.

Jedyną szansą było więc zdanie się na dar wymowy i przekonanie łowców niewolników, że przyda im się jako najemnik. W końcu z pewnością był lepszy w walce od pokurczów, którzy go zniewolili.

Biegłością w dobieraniu słów mógł się wykazać tylko przed przywódcą, bo inni nie znali ludzkiej mowy. Pohukiwali i wydawali z siebie szczekające odgłosy, nieprzyjemne dla wrażliwych uszu pieśniarza. Zresztą mowy wodza też nie można było nazwać ładną, bo przekręcał słowa i nie znał się na rytmie wyrazów ani całych zdań.

Okazja, by zagadać do naczelnego Tattara, nadarzyła się podczas wieczornego postoju. Mężczyzna przyszedł wyszczotkować swojego rumaka, a nierozsądnie przywiązał go do palika w pobliżu miejsca, gdzie siedział Skald.

– Władco koni! – Östmad zaczął od nieszczerego pochlebstwa. – Podziwiam waszą biegłość w ujeżdżaniu. Prawdę mówią w naszych stronach, że Tattar wychodzi z kobiecego łona na ziemię, ale mężczyznę staje się na koniu.

Lub z koniem – dodał w myślach, bo na Północy krążyły opowieści o konio-ludziach, którzy w każdy możliwy sposób ujeżdżali swoje konie,

przez co wiele ich dzieci rodziło się z kopytami.

– Nawet Vaering może czasem powiedzieć słowa prawdy – burknął koczownik, ale dał się wciągnąć w rozmowę.

Jak na Tattara był rosły – sięgał Ainarowi prawie do nosa. Miał też dosyć szerokie ramiona, ale tak jak pozostali łowcy niewolników był szczupły. W jego wyglądzie największą uwagę przykuwało uczesanie. Głowę miał wygoloną w ten sposób, że tylko z jej czubka wyrastały mu czarne włosy splecione w warkocz, ciasno obwiązany końskim rzemieniem i łagodnie opadający na kark. Na jego brodzie i policzkach nie było znać nawet śladu zarostu, za to czarne wąsy były wcale okazałe, choć nieco cienkie: ich końce zwisały znad warg i splatały się pod brodą w niewielki warkoczek ozdobiony rogowymi i wielokolorowymi koralikami. Osobliwości dodawały mu jeszcze srebrne kolczyki w obu uszach i liczne blizny na policzkach. Z rozmów koczowników Skald zdążył się dowiedzieć, że mężczyzna ma na imię Bułan.

– Prawdą jest również to, że nie ma bitniejszych i lepiej wyszkolonych drengów niż Vaeringowie. Przydałby się wam taki towarzysz jak ja, choć musielibyście mi zapewnić korzystny udział w łupach.

Szczotka w dłoni wodza zatrzymała się na zwierzęcym karku, a jej właściciel spojrzał na poetę z niedowierzaniem. A potem wybuchnął śmiechem. Inni Hunowie odwrócili się w ich stronę, zaciekawieni, co tak rozbawiło przywódcę, ale żaden nie porzucił swojego zajęcia. Wszyscy pielęgowali lub dokarmiali swoje konie, a pieśniarz miał wrażenie, że nie oderwałoby ich od tego nawet tuzin nagich córek Gefny. I jak tu zrozumieć obcych?...

– Może i dobrze rąbiesz mieczem – powiedział koczownik, gdy już skończył się śmiać – a my, Chazarowie, potrafimy docenić tę umiejętność. Ale nie dałbyś rady w siodle, piechurze.

– Phi! – Skald prychnął, bo choć rzeczywiście wolał pod stopami czuć ziemię lub chociaż pokład statku, zawsze był pewny swoich umiejętności. – Jeszcze się takie zwierzę nie urodziło, którego bym nie umiał okiełzać. Mam twardą rękę.

– Czcze przechwałki. Zresztą z naszymi końmi łączy nas coś więcej niż tylko posłuszeństwo uzyskiwane używaniem siły.

Ainar powstrzymał cisnące mu się na usta szyderstwo. To było zbyt łatwe do obśmiania, by się wysilał. Zresztą czuł, że Bułan nie zrozumie żartu.

– Daj mi konia, to się przekonasz.

Wódz zamyślił się, drapiąc wierzchowca za uchem.

– Opowiem ci historię, którą w naszym ludzie każdy ojciec przekazuje swojemu synowi. Onego czasu, kiedy na świecie były tylko morza traw i niekończący się bezkres nieba, w niewielkiej jurcie narodził się chłopiec o imieniu Chaz. Było to wątłe dziecko o lichym wzroście, tak że nie tylko dorośli, ale wszyscy rówieśnicy wyśmiewali się z niego. Jego krótkie ręce zawsze ostatnie sięgały do wspólnej miski, a jego krótkie nóżki nie pozwalały mu dosięgnąć bukłaka z mlekiem, zawieszzonego na ścianie jurty. Ale dziecko, mimo iż wygłodniałe, nie płakało. Wiedziało bowiem, że świat jest tak urządzony, by większy i silniejszy rządził słabszym, tak jak potężny bóg niebios włada ludźmi. Zaciskało więc zęby i ćwiczyło się w sztuce wojennej, podtrzymywane nadzieją, że kiedyś urośnie i to ono będzie gnębić słabych. Lata jednak mijały, a chłopiec urósł niewiele, tak że nawet dziewczynki w jego rodzie zaczęły go przerastać. Mimo to w oczach malca ani razu nie zagościła łza, bo za każdym razem, gdy zbierało mu się na płacz, nacinał sobie policzki nożem, by przyzwycząić się do twardego życia. W końcu pewnej nocy przyszedł do niego we śnie Tengri, bóg nieba, i kazał mu wyruszyć na step. Zaraz po przebudzeniu Chaz opuścił jurte, nie biorąc ze sobą jedzenia i picia, gdyż w pełni zawierzył bogu. Nikt też nie spostrzegł jego nieobecności, bo słaby chłopak nic nie znaczy dla rodu. Dzieciak wędrował przez trzy dni i trzy noce, aż o wschodzie słońca dnia czwartego ujrzał żrebaka o złotej grzywie, który uklonił się przed nim i pozwolił mu się dosiąść. Usłyszał też wtedy głos z nieba: „Odtąd nie będziesz już wątłym chłopcem, ale Jeźdźcem, postrachem nieprzyjaciół, obrońcą rodu, poskromicielem wojowników i panem słabych. Bo jesteś teraz władcą koni”. I Chaz pogalopował do swojej jurty, a kiedy dotarł na

miejsce, nie był już chłopcem na źrebaku, ale mężczyzną na wspaniałym wierzchowcu. A cały ród padł na kolana przed jego słusznym gniewem i odsłonił plecy przed jego kańczugiem, uznając go za swojego kagana. Nowy władca podzielił się wiedzą ze swoim ludem i nauczył poddanych, jak okiełznywać dzikie ogiery i hodować klacze. Tak Chazarowie stali się władcami stepu i wzięli na swoich niewolników tych, którzy chodzili pieszo.

Tattar wrócił do szczotkowania konia, chcąc najwyraźniej dać Ainarowi czas na przemyślenie swoich słów. Próżny wysiłek, gdyż Skald i tak swoje wiedział. Na Północy spotkał wielu piechurów, większych i silniejszych od karłów dosiadających swoich małych koników. A silny dreng z dwuręcznym toporem z łatwością poradzi sobie z każdym jeźdźcem. Dowodem byli chociażby Vaeringowie, którzy świetnie radzili sobie w krainach Austrvegu i wcale nie dali się podporządkować Chazarom ani ich wydumanym roszczeniom do władzy nad światem. Ale zamiast tego powiedział:

– Historia warta pieśni.

– I niejedna została o tym ułożona, choć teraz wiemy, że prawda o tym wydarzeniu była trochę inna.

– Niebawem – zakpił poeta, który często opowiadał ludziom zmyślane historie, ale rzadko w nie wierzył.

– A jednak. Bo to nie Tengri przybył do naszego praprzodka, ale sam Eloah. Musiało jednak upłynąć wiele lat, nim nasz wielki kagan, a mój imiennik, przyjął naukę proroka Moszego i poprawnie odczytał historię naszego ludu. Ale mniejsza o to. Teraz już rozumiesz, czym koń jest dla Chazara.

Östmad rozumiał. Choć zdziwiło go trochę, gdy po wyszczotkowaniu ogiera Tattar wyciągnął kawałek koniny i zaczął przeżuwać część największego przyjaciela swojego ludu.

– Nawet pieszo mogę być cennym sojusznikiem.

Hun spojrział na niego z wyższością, co było o tyle łatwiejsze, że wyższy od niego więzień siedział na ziemi. Bliskość wierzchowca i pewność

siebie dodawały mu też wzrostu. Uśmiechnął się drwiąco i przeciągnął między palcami wąsaty warkoczyk. Zostawił na nim kilka końskich włosków, przed chwilą ściągniętych ze zwierzęcego karku.

– Nie. Może nadasz się do gwardii jakiegoś szacha w Serklandach albo, jeśli szczęście ci dopisze, sprzedam cię na służbę do Miklagardu. Słyszałem, że twoi pobratymcy są tam w cenie. Ale nam się nie przydasz.

Na tym skończyła się rozmowa. Tattarzy nie słynęli z gadulstwa, zwłaszcza mało odzywali się do niewolników, więc skłonienie przywódcy do opowieści i pogawędki Skald przypisał swojej wrodzonej umiejętności do zaciekawiania ludzi.

Nie na próżno nazywano go jednak mistrzem upartych i gnębicielem milczków. Spróbował ponownie kolejnego dnia. Tym razem postawił na stary i sprawdzony sposób.

– Chciałbym posłuchać o waszym bogu – zagadnął, gdy stanęli przy strumyku napoić zwierzęta.

Takiej zachęcie nie mógł oprzeć się żaden gorliwy człowiek ofiar, nieważne, czy nosił czarny munkowski płaszcz, czy śmierdzącą przeszywanicę.

– El Shaddai, Wszechmocny, jest tylko jeden, choć w *Sefer Yetzirah*, księdze opisującej stworzenie, zapisano wiele jego imion. Wszyscy ludzie powinni mu być posłuszni i składać ofiary ku chwale jego majestatu. To on sprawia, że trawa dla koni jest soczysta, a mięso tych zwierząt daje siłę wojownikom, by gromili niewiernych i szerzyli naukę proroka Moszego. Tak zapisano w *Piśmie*.

– A co, jeśli ktoś ma większe potrzeby niż trawa i konina?

Kańczug świsnął tak szybko, że Ainar nie zdążył się uchylić. Rzemień zakończony żelazną kulką uderzył Skalda w policzek, zostawiając na nim czerwoną pręgę. Zapiekło, choć kolejna blizna na twarzy nie robiła Vaeringowi różnicy.

– Twoje słowa obrażają Adonaia, naszego pana. Przekazuję ci naukę prostego jeźdźca, który nie zna pisma i mądrości rabinów, ale umie

dostrzec prawdę, jaką światu przekazał Eloah Hazar, Bóg Chazarii. El Shaddai jest łaskawy dla tych, którzy oddają mu cześć, ale wymaga bezwzględnego posłuszeństwa słabych istot, jakimi są ludzie. Jeśli chcesz poznać jego naukę, musisz stać się drobnym i błahym niczym pył na moich butach. Nie będę już marnował czasu na rozmowy z tobą. Może twój nowy pan będzie miał tyle uporczywości i dostatecznie twardego batoga, by nauczyć cię uległości.

I rzeczywiście, Hun nie odezwał się już więcej do poety, mimo iż ten podjął jeszcze kilka prób rozmowy. Pieśniarz nie obwinił się za wypowiedzenie tych kilku słów za dużo, bo przestał się łudzić, że przekonałby handlarza niewolników do uwolnienia zdobyczy i rezygnacji z zarobku. Nie był w końcu pierwszym lepszym smerdem i musiał być wart wiele srebrnych dirhamów. A jeśli chodzi o tego ich boga, opowieści o nim i tak go nudziły. Skald i Eloah Hazar nie mieli ze sobą po drodze, bo obaj woleli błyszczeć, niż brudzić czyjeś buty. A rywale nigdy nie mogą być przyjaciółmi. Jedną rzecz ich jednak łączyła. Węglózerstwo.

El Shaddai zalecał swoim wyznawcom, by raz w tygodniu nic nie robili. Mieli po prostu siedzieć i podziwiać boskie stworzenie. Pan niebios chazarskich z pewnością miał w sobie coś z poety, bo uwielbiał, gdy ludzie zachwycali się jego dziełami. Vaering rozważał nawet, czy nie warto stać się ofiarnikiem tego dziwaczego bóstwa tylko na ten jeden dzień. Odrzucił jednak ten pomysł, bo wolał oddawać się nieróbstwu wtedy, kiedy sam miał na nie ochotę, czyli znacznie częściej niż raz w tygodniu.

Šabbat, jak koczownicy nazywali dzień obijania się, przypadł pięć dni po ich porwaniu. Wbrew temu, co „dniem” nazywali wszyscy rozumni ludzie na świecie, Chazarowie uparli się, że akurat sabbat zaczynał się nie o wschodzie słońca, ale o zmierzchu dnia poprzedniego. Dlatego gdy niebo pokryło się popołudniową czerwienią, zatrzymali się w niewielkim lesie i rozbili obóz. A gdy tylko słońce uciekło z nieba, wyciągnęli bukłak z czerwonym winem i samolubnie wypili go, mamrocząc przy tym jakieś modlitwy. Ainarowi przypomniawszy się rytuał irskich munków, którzy też popijali wino przy świątynnym stole i nie dzielili się nim z niewiernymi.

Nie był to koniec obchodów dziwnych obyczajów dnia lenistwa. Sabbatowej nocy nie rozpalono ogniska, choć po zachodzie słońca na stepach bywa chłodno. Jakby Eloah chciał sprawdzić wytrwałość swoich ofiarników, właśnie ta noc była jeszcze zimniejsza od poprzedniej. Za pierwsze dwa protesty Skald dostał kańczugiem w plecy, a za trzecim razem rzucono mu derkę ściągniętą z dromedara. Jakoś doczekał do rana.

Po wschodzie słońca Tattarzy nie rozpoczęli przygotowań do wyruszenia w drogę. Wyciągnęli natomiast spore kawałki sera i plastry miodu, którymi obficie się najedli. Dali solidny posiłek niewolnikom.

Z pełnym brzuchem Skald zdrzemnął się, oparty o pień drzewa. Tak dotrwał do południa.

Obudził go dziwny hałas. Coś jakby kwik dzika. Wyteżył słuch, ale dźwięk się nie powtórzył. Mimo wszystko miał złe przeczucia. Ostatnio nie był ulubieńcem norn, a zapijaczone prządki zbyt często plątały ścieg na tkaninie jego życia.

– Nie powinniśmy zbyt długo przebywać w lesie – powiedział w kierunku Hunów.

Żaden nie odpowiedział.

– Jak chcecie. Tylko później nie mówcie, że nie ostrzegałem – rzekł z wściekłością, gotów na przyjęcie nowych razów, ale dość już miał lekceważenia. O dziwo, nikt nie sięgnął po kańczug, a kilku Tattarów wykrzywiło się w uśmiechu.

– Nasz niewolnik boi się złego wilka z lasu – odezwał się Bułan, a kiedy powtórzył to we własnym języku, towarzysze zawtórowali mu śmiechem.

Skald burknął pod nosem przekleństwo, lżąc ich grzywiaste matki rżące z rozkoszy na dotyk przykrótkich kutasów tatarskich bękartów. Ale dostatecznie cicho, by nie zostać usłyszanym. Jeśli nie dziwi ich kwik dzika w stepowej okolicy, to ktoś inny wyleczy ich żelazem z głupoty. Z braku innych możliwości był jednak zmuszony zrobić to, czego unikał przez całą drogę. Zwrócił się do tej vindmadzkiej gnidy, Aloszy, który w tak bezczelny sposób go zdradził.

– Pssst. Teraz jest dobry czas na ucieczkę.

Bogaty siedział przywiązany do sąsiedniego drzewa – wystarczająco blisko, by mogli porozumieć się szeptem. Mimo to tylko lekko się uśmiechnął i nadal udawał, że śpi.

– Nóż budzi tych, którzy nie słuchają ostrzeżeń.

– Teraz sobie o mnie przypomniałeś? – odezwał się w końcu Czuryłowicz, wciąż nie otwierając oczu.

Rzeczywiście, Alosza kilkakrotnie namawiał go na wspólną ucieczkę, ale Skald zawsze mu odmawiał, uważając, że to zbyt ryzykowne. Poza tym nie mógł postawić złamanego peninga, że łucznik jest wart zaufania. Ale teraz wolał nie czekać, aż kwikowi dzika zawtóruje wycie wilka, muczenie tura czy pomruk niedźwiedzia.

– Trafiła nam się okazja. Pomyśl. To dzień nieróbstwa. Może nie będą nas ścigać, nie chcąc narazić się na gniew swojego boga. A podsłuchałem, że jutro mają się spotkać z kolejnymi łowcami niewolników. Wtedy będzie już dla nas za późno.

Ainar wątpił, by koczownicy byli aż tak głupi, aby nie ścigać ich w dzień lenistwa. Może i byli gorliwymi ludźmi ofiar, ale ich lud nie podbiłby olbrzymich stepów nad rzeką Itil, gdyby chazarskie armie rygorystycznie przestrzegały sabbatowych obyczajów w każdy siódmy dzień tygodnia. Ale dla Aloszy to mogła być wystarczająca zachęta.

Junak zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

– Co planujesz?

– Zerwij się z miejsca i zaatakuj ich, a ja tymczasem czmychnę do lasu.

– Nie ma mowy.

Poeta nie miał wielkich oczekiwań względem rozsądku większości ludzi, ale głupota niektórych ciągle go zaskakiwała. Przecież byli związani, zatem oczywiste było, że tylko szydził z Vindmada.

– Skoro strach cię obleciał, to od razu przejdźmy do planu *urr...* znaczy zapasowego planu – dodał, widząc niezrozumienie na twarzy młodzieńca. – Musimy przeciąć liny. A taki truciciel jak ty na pewno trzyma gdzieś ukryty

grot. Tak na wszelki wypadek...

Alosza nie odpowiadał. Chyba rozważał powstałe możliwości, bo zmarszczył czoło, wydał dolną wargę i zdmuchnął włosy spadające mu na oczy.

– Miałem jeden grot w kaptordze, ale mi ją zabrano. Na szczęście zawsze trzymam nożyk do jadów ukryty w nogawce spodni. Jednak sam do niego nie sięgnę.

– To przysuń się, tylko bez przytulania.

Wysłannik veche rzucił mu wrogie spojrzenie, ale nie odpowiedział na obelgę. Na szczęście mieli pewną swobodę ruchu, ponieważ Tattarzy przywiązali ich do drzew za pomocą długich powrozów, jakby byli końmi, a nie jeńcami. Skorzystał z tego bogaty, który zbliżył się do Ainara i wyciągnął prawą nogę, aby znalazła się przy dłoniach Vaeringa.

Chazarowie byli czymś rozbawieni, bo siedzieli w kole i ciągle się śmiali. Widać opowiadali sobie jakieś historie, na szczęście tak zajmujące, że żaden nie obrócił się w stronę niewolników.

Ainar wymacał palcami owłosione i lepjące się od brudu łydki Aloszy i w końcu natrafił na małą skórzaną pochwę. Skald wyczuł rękojeść i ostrożnie wyjął nóż. Gdy chował go w rękaw koszuli, poczuł przyjemny chłód żelaza i ukłucie, gdy ostrze nacięło mu skórę. Miał nadzieję, że łucznik wymył nóż z jadów, zanim go schował.

Odsunęli się od siebie, by nie wzbudzać podejrzeń, gdyby któryś z łowców jednak się nimi zainteresował. A potem pieśniarz zaczął wytrwale piłować sznur. Nie było to łatwe, ale na szczęście miał zręczne dłonie, jak wypominali mu to obrabowani, a dziękowały mężatki. Zatem choć długo to trwało, zdołał się uporać z więzami.

– Pssst – zwrócił się do Czuryłowicza. – Jestem wolny. Rzucam ci nóż.

Przeszło mu przez myśl, czy nie uciec w pojedynkę, ale we dwóch mieli większe szanse, poza tym wciąż zamierzał odebrać sakiewkę, obiecaną mu za powrót do Dyragardu z dziewczyną. No i nie obraziłby się na fylgję, piastunkę szczęścia, gdyby mógł osobiście odpłacić Vindmadowi za jego

wiarołomstwo.

Ale ten nie miał ochoty korzystać ze wspaniałomyślności towarzysza niedoli. Gdy łucznik się do niego uśmiechnął, pieśniarz już wiedział, że dał się nabrać.

– Uciekinier! – krzyknął Alosza na całe gardło.

Vaering wciąż miał wolne ręce i nóż w dłoni. To dawało mu chociaż cień szansy. Powinien zdążyć podziurawić zdradliwe gardło bogatyrę, nim dopadną go Hunowie. Ale tym sposobem sam skazałby się na śmierć. Zerwał się więc na nogi i pobiegł w las.

Pokurcze były o wiele szybsze, niż się spodziewał. W uczciwym wyścigu nie miałoby z nim szans, ale on wciąż odczuwał skutki bicia i wleczenia po ziemi, poza tym był ścierpięty od więzów. Pętla arkanu przeleciała przez jego głowę i zacisnęła się na ramionach. Powietrze uciekło mu z płuc, ale złapał oddech szeroko otwartymi ustami. Poczł szarpnięcie, tym razem jednak nie dał się przewrócić. Odwrócił się do prześladowców i na drugim końcu sznura zobaczył Bułana, który zapierał się nogami o ziemię. Ainar posłuchał liny i pobiegł w stronę jej właściciela. Po drodze zrzucił z siebie pętlę i zmienił chwyt na rękojeści noża, ustawiając broń w pozycji najlepszej do zabijania – ostrzem w dół. Na nic wszakże mu się to zdało. Zza pleców przywódcy wyskoczyło dwóch Tattarów, mierząc w poetę włóczniami. Spomiędzy drzew wyszli kolejni, trzymając gotowe do rzutu dziryty.

Skald nie zatrzymał się, woląc zginąć w walce, niż zostać sprzedanym w niewolę jako rzezaniec. Nie zauważył kolejnego arkanu, który nadleciał z tyłu i zacisnął się na jego szyi. Szarpnięcie prawie zmiażdżyło mu krtań. Poczł dotyk grotów na piersi. Wzrok mu zmętniał. Wypuścił nożyk i opadł na kolana. Mógł tylko przekląć w myślach Czuryłowicza i obiecać, że nadejdzie jeszcze dzień zemsty.

Kopniakiem obalono go na ziemię, a następnie skrupowano dłonie i przywiązano do nich linę. Ktoś pociągnął go do obozowiska, wygniatając w ściółce krwawy ślad, na który od razu zleciały się muchy.

Gdy dotarli do obozu, przerzucono krępujący Östmada sznur przez

solidną gałąź i pociągnięto jeńca do góry. Zawisł dwie stopy nad ziemią, dyndając na wietrze niczym śledź w wędzarni. Ktoś podszedł do niego od tyłu i rozdarł jego czerwony kyrtil, odsłaniając mu plecy.

– Obiecałem ci rzezanie, Skaldzie, za najmniejszą próbę ucieczki – zwrócił się do niego przywódca Chazarów, tak by słyszeli go wszyscy niewolnicy.

Ainar dostrzegł Tattara, któremu kilka dni temu rozbił twarz kamieniem. Jego rany dalekie były od zagojenia. Wargi pokryte były strupami, zmiażdżony nos nadal wyglądał jak plaster kielbasy, a bezzębne usta nie nadawały się nawet do gryzienia chleba. Pokurcz spoglądał na więźnia, a w jego oczach dało się wyczytać tyleż nienawiści, co radości. W rękach trzymał długi nóż i powoli ostrzył go na skórzanym pasie.

– Stępisz dobre żelazo na tym młocie, karle – pieśniarz pozwolił sobie na kpinę, wiedząc, że i tak nie ma nadziei na ocalenie skóry.

– Mocny w gębie, miękki w kroku – odpowiedział wódz łowców. – Tak u nas mawiają o takich jak ty. Ale masz szczęście. Dzisiaj jest dzień poświęcony Eloahowi, więc jego wyznawcy nie powinni przelewać krwi...

Kowal słów odetchnąłby z ulgą, gdyby jakiś głos nie krzyczał mu w głowie, że to niewielka pociecha. Przypuszczał, że raczej złośliwe dysy przybyły się pośmiać z wielkiego drenga, który tak marnie skończy.

– ...dlatego na razie to musi ci wystarczyć.

Bułan podszedł do Skalda, wziął zamach i z całej siły uderzył go pięścią w przyrodzenie. Ainar poczuł, jakby sprawca kobiecych westchnień schował się do brzucha i wdał się w zapasy z żołądkiem.

– Miłośnik obmierzłej miłości *ergi* zawsze znajdzie okazję, by dotknąć czyjejs męskości – wyszeptał piskliwie.

– A piszcz sobie, piszcz, zmijowy języku. To tylko przedsmak. Jutro osobiście utnę ci żrebaka. Za rzezanych śpiewaków płacą w Serklandach nie gorzej niż za doświadczonych rębaczy. A tymczasem poradzimy sobie z tobą tak, jak z upartym dromedarem. Za pomocą kańczuga.

– Tylko uważaj, by nie uszkodzić skóry. Każda kropla mojej krwi to

obraza dla twojego boga.

– Masz się za sprytnego? My, Chazarowie, rzeczywiście nie przelewamy krwi w święty dzień, ale nikomu nie narzucamy praw sabbatu. Wśród niewolników na pewno znajdzie się ktoś, kto wymierzy ci karę. Prawda? – ostatnie słowo skierował do spętanych mężczyzn.

Poeta nie musiał przemęczać umysłu, by zgadnąć, kto zgłosi się na ochotnika. Ale i tak zalała go fala nienawiści, gdy Alosza podniósł spętane dłonie.

Tattarzy podnieśli łuczника, rozwiązali mu ręce i wcisnęli w nie kańczug. Bułan zagroził, że młodzian podzieli los skazańca, jeśli nie przyłoży się do bicia. Złośliwy grymas, jaki Vindmad przywołał na twarz, przekonał wszystkich, że te słowa były zbędne.

Bicz świsnął w powietrzu i skórzany rzemień zakończony metalową kulą spadł na plecy Skalda. Skóra pieśniarza od razu pękła i została ozdobiona krwistą pręgą, ciągnącą się od prawego ramienia do lewego krańca pleców. Ainar zakołysał się na gałęzi, ale bogatyry miał dość wprawy, by nie musieć czekać, aż więzień znieruchomieje. Uderzył ponownie, gdy tylko plecy jeńca znów zbliżyły się do niego.

Razy bolały i piekły, ale Vaering nie zamierzał się skarżyć jak dziewczka podczas comiesięcznego krwawienia. Nie próbował też tłumić ani lekceważyć bólu. Zapamiętywał go skrupulatnie. Każdy trzask bicza rył czerwony ślad w jego wspomnieniach. Kiedyś ten ślad przypomni mu, w jaki sposób odpłacić wrogom, gdy zamieni się z nimi miejscami.

Przy piątym uderzeniu rzemień spadł w taki sposób, że wisielec zaczął się nie tylko huścić, ale i obracać. Na chwilę Ainar znalazł się przodem do niewolników i zauważył ich zalęknione oblicza. Odszukał wzrokiem Ingigerdę, ale na jej twarzy nie dostrzegł śladu współczucia czy strachu. Dziewczyna była raczej zaciekawiona obrotem sprawy i wyczekiwała jej zakończenia niczym widz obserwujący walkę koni. Skald zrozumiał, że rudzielec nigdy nie da się podporządkować żadnemu mężczyźnie, a odwagą przerasta wielu drengów. Poczł podniecenie.

Po siedmiu razach przywódca koczowników gestem powstrzymał Aloszę

przed zadaniem kolejnego uderzenia, po czym podszedł do Östmada. Stał pół kroku od niego, a trzonkiem kańczuga przytrzymał rozkołysanego jeńca, by nie pobrudzić się krwią.

– Masz coś jeszcze do powiedzenia, Skaldzie? – Tattar chciał mu to chyba powiedzieć prosto w twarz, ale że był niski, a poeta dodatkowo wisiał nad ziemią, musiał sporo odchylić głowę, by spojrzeć człowiekowi Północy w oczy.

– Nawet pobity i uwięziony, Skald nad wami góruje.

Bułan odsunął się i skinął na łucznika. Świsnął bicz, a kilka kropel krwi tym razem poleciało nieco dalej i spadło na warkoczyk z wąsów pod brodą Huna. Ainar pomyślał, że to nie spodoba się wszędobyłskiemu bogu Chazarów, więc zatańczył brwiami z radości. Przywódca łowców wytarł czerwień rękawem, ale choć był wyraźnie wściekły, nie rzekł słowa. Dopiero po dwóch kolejnych uderzeniach wstrzymał gestem Vindmada, podszedł do wisielca i zachowując tę samą ostrożność co poprzednio, ponownie zapytał:

– Masz coś do powiedzenia, Skaldzie?

Vaering domyślił się, że będą go bić tak długo, aż odpowie przecząco. Nie zamierzał się ugiąć, tym bardziej że miał dla nich niespodziankę.

– A nie mówiłem?

Koczownik zrobił głupią minę i przesunął w górę trzonek kańczuga, wbijając jego koniec w grdykę jeńca.

– Co?

– Ostrzegalem, że nie powinniście obozować w lesie.

Wtedy wszyscy usłyszeli ryk niedźwiedzia, kwik dzika, pomruk rysia i wycie wilka. Zwały się w jeden okrzyk bojowy, którego nie powstydzilby się sam Göllnir. Nikt już nie naśmiewał się z odgłosów lasu, bo dobiegały zza najbliższych drzew. Chazarowie pobiegli po broń, ale zanim zdążyli się całkowicie uzbroić, do obozowiska wbiegło dwóch bosych i nagich od pasa w górę drengów, którzy z rykiem i kwikiem rzucili się na koczowników.

Tylko Ainar nie był zaskoczony, bo usłyszał zbliżających się hamramirów już przy piątym uderzeniu bicia. Złamanie gałązki, poruszenie kamyczka, strącenie deszczówki z liści. Wszystkie te odgłosy nie dotarły do uszu ludzi stepu, ale on był skaldem i niewielu ludzi miało równie dobry słuch.

Pieśniarz nigdy nie widział tych odrmadów, ale z łatwością ich rozpoznał. Nie było tajemnicą, jakie imiona nosili zmiennokształtni tego bractwa.

Pierwszy, porośnięty brązowymi włosami przypominającymi futro, musiał być Berhedinem – niedźwiedziem w ludzkiej skórze. Gdy jeden z Tattarów stanął mu na drodze, wziął potężny zamach i opuścił maczugę wprost na głowę pokurcza. Niedźwiedzia czaszka zmiażdżyła hełm i kości, a jeden z kolców, którymi nabita była broń, wszedł tak głęboko, że sięgnął prawego oczodołu. Gęsty płyn z oka i krew zlały się w jedno, by pociec po policzku, a kropla mazi dosięgła ziemi szybciej niż martwe ciało Huna.

Drugi szaleniec zapewne był Svinhedinem – dzikiem w ciele człowieka. Niższy od brata, ale i tak wyższy od otaczających go wrogów, pochylił masywny łeb i zaszarżował, trzymając w obu rękach krótkie włócznie. Tattar, którego obrał sobie za cel, uzbrojony był w dziryt, ale zamiast nim rzucić, chwycił go w obie ręce, przyjmując obronną pozycję i wydał bojowy okrzyk: „Eloah Hazar!”. Jeśli wezwanie boga dodało mu odwagi, to na hamramirze z pewnością nie zrobiło żadnego wrażenia. Bestialski dreng, nie zwalniając, jedną włócznią zbił dziryt przeciwnika, a drugą przedziurawił brzuch Huna. Umierający zmienił bitewne zawołanie i zakwicział jak świnia. Svinhedin, obracając grot w jego trzewiach, pomógł mu utrzymać melodię swoim własnym kwikiem. Następnie uniósł na drzewcu przebite ciało i wziął udział w zawodach na rzucanie trupem na odległość. Lecący człowiek stepu poszybował szerokim łukiem i uderzył w plecy Aloszy.

Vindmad dotychczas był zaskoczony nie mniej niż pozostali. Głupiec nie wiedział, co powinien zrobić, mimo iż miał przecież kańczug w dłoni i wolne nogi. Stał w miejscu, zastanawiając się pewnie, czy cieszyć się

z kłopotów prześladowców, czy martwić zamiarami nieoczekiwanych wyzwolicielei. Skald po raz kolejny przekonał się, że umysł łuczника nie jest tak lotny jak jego strzały. A jak wiadomo, za tych, którzy nie biorą spraw w swoje ręce, decyduje ktoś inny. W tym przypadku był to lecący koczownik, który obalił młodzieńca na ziemię.

Sznur utrzymujący poetę przekręcił się w ten sposób, że pieśniarz nie mógł dostrzec, jak bogatyр sobie poradził. Obserwował za to kolejnych hamramirów dołączających do walki.

Ulfhedin zaatakował zniecka najslabszego przeciwnika, tak jak drapieznik, który mieszkał w jego głowie. Wilk wypadł za plecami Chazarów, którzy zdołali uformować szereg i dawali opór nacierającym.

Odrmad z wilczym łbem zamiast hełmu ciął nisko. Miecz trafił pod kolana jednego z łowców niewolników, przecinając ścięgna i żyły. Tattar padł twarzą na ziemię, nie widząc nawet, kto zrobił z niego kalekę. Dwóch innych konio-ludzi obróciło się ku nowemu zagrożeniu i zamachnęło na szaleńca toporami na długich styliskach. Wilk przyjął oba uderzenia na tarczę i zaczął się cofać, pociągając za sobą rozochoconych koczowników. Ukryty za drewnianą osłoną z malunkiem wilczego łba od czasu do czasu wyprowadzał cięcia i pchnięcia, lecz nie tak, by zabić, a tylko rozjuszyć zwierzynę i odciągnąć ją od stada. Gdy mu się to udało, do walki przystąpił ostatni hamramir.

Gaupahedin zeskoczył z drzewa dokładnie w lukę, jaka powstała między Hunami walczącymi z Niedźwiedziem i Dzikim a tymi, którzy ścigali Wilka. Ubranie odrmada, składające się ze zszytych ze sobą zielono-brązowych łat, tłumaczyło, dlaczego tak długo pozostawał niewidoczny, choć siedział na drzewie nieopodal walczących. Ryś dopadł do jednego z pokurczy ścigających tarczownika i wbił mu między łopatki dwa niewielkie toporki. Pociągnął w dół i pozostawił na plecach ofiary ślad przypominający ugryzienie wielkiego kota. Drugiego z Tattarów pokonał sam Wilk, wbijając mu sztych miecza w szyję. Wyciem obwieścił swoje zwycięstwo, a zawtórował mu Ryś, który głośno zamruczał, zlizując krew z toporków. Razem spadli na tyły Chazarów, którzy walczyli z ich braćmi.

Na polu walki zapanował zamęt, w jaki po pewnym czasie przeradzała się każda bitwa. Na nogach stało jeszcze siedmiu konio-ludzi, którzy mimo coraz poważniejszych ran wciąż zaciekle walczyli z napastnikami.

Żelazo pobrzękiwało o żelazo, stukało o drewno i milkło w ciałach. Biczę świstały w powietrzu i strzelały na skórach hamramirów. Kości łamały się z trzaskiem, a jucha, zmieszana z błotem, chlupotała pod stopami. Podrzuwane gardła charczały, a usta wszystkich wypełniały okrzyki:

„Eloah Hazar!” – i kwik Dzika,
„El Shaddai!” – i wycie Wilka,
„Tengri” – i pomruk Rysia,
„Adonai!” – i ryk Niedźwiedzia.

Imiona chazarskiego boga – i to stare, i to nowe – mieszały się z zawołaniami odrmadów w jeden wrzask gniewu, nienawiści i podniecenia, w głos jedyne prawdziwego boga rzezi – Göllnira.

Towarzyszyło mu rżenie koni i beczenie dromedarów. Wszystko przez Gaupahedina, który wpadł między wierzchowce i rąbnął w szyję gniadosza. Z rany bryznęła krew na pozostałe konie. Ogier wierzgnął, uderzając kopytami sąsiadów. Ci zaczęli szarpać liny wiążące ich do palików i gryźć inne zwierzęta. Wojna ludzi stała się zaczynem bitwy koni z dromedarami, która nie była mniej okrutna, gdyż kopyta i zęby raniły nie gorzej niż prawdziwa broń.

Berrhedin miażdżył, kruszył i kiereszował.

Ulfhedin ciął, godził i gryzł.

Svinhedin kłuł, dźgał i nawlekał Hunów na włócznie.

Gaupahedin rąbał, rozcinał i rozpłatywał, z rzeźnicką wprawą oddzielając toporkami mięso od kości.

Tattarzy odpowiadali ciosami dzirytów, włóczni, mieczy, toporków i kańczugów. Bywali skuteczni, ale kiedy tylko udawało im się trafić któregoś z przeciwników, ten wpadał w jeszcze większą wściekłość, niczym ranna bestia. A jego gniew udzielał się pozostałym szaleńcom,

którzy mścili każdą kroplę krwi swojego brata.

Skald zrozumiał, że bestialscy drengowie wpadli w *hamask*, uświęcony przez Göllnira szał, który pozwalał wyzbyć się ludzkich uczuć i czerpać dziką przyjemność z przelanej krwi. Powiadają, że hamramirzy tym się różnią od berserków, iż potrafią ten stan dzielić ze swoimi braćmi. W ten sposób gniew każdego z nich napędza pozostałych, a wściekłość wszystkim udziela się każdemu.

Szał łączący braci,
których nie matka rodzi,
ale krew nieprzyjaciół.

Wisielec wymyślił z nudów tę zagadkę i miał jeszcze ochotę dograć w niej *hattr* – miarę wierszową, ale norny zesłały mu nowe, godniejsze drenga zajęcie. Od grupy walczących oderwał się jeden z Tattarów i pobiegł w jego stronę. Ainar nie zdziwił się, że napastnikiem był Chazar ze zmiażdżoną twarzą, który w obliczu śmierci wolał zabrać ze sobą tego, który tak go oszpecił. Być może myślał, że z tego powodu nawet wszytkowiedzący Eloah Chazar nie rozpozna go u bram rajy. A nawet jeśli zdoła tam wejść, komuś z tak pokiereszowaną gębą nie odda się żadna z niebiańskich kobiet. Głupiec. Skoro wierzy w prawdziwy raj, nie będzie tam musiał pytać bab o zgodę – pomyślał Skald, odpowiadając na własne domysły. Ale za cokolwiek Hun chciał się mścić, pewne było, że pragnął zabić pieśniarza.

Poecie, jako urodzonemu węgłozercy, wielu rzeczy nie chciało się teraz robić, a umieranie było jedną z nich. Choć obolały, pobity i lekko zamroczony, zdołał podciągnąć nogi i kopnąć w pierś nacierającego koniarza. Mężczyzna bez twarzy upadł, ale szybko się podniósł i udowodnił, że w głowie ma coś więcej niż koninę i kumys – zaczął okrażać Ainara, chcąc zająć go od tyłu. Skald szarpnął się, próbując okręcić się na linie, ale opornie mu szło. Konio-człowiek z łatwością znalazł się za nim i ukłuł go nożem w lewą pachę.

– Bwagaj o litosc – nieudolnie wyseplenił Tattar w języku Vaeringów.

– Wolę zachować twarz w obliczu śmierci.

– Argggh!!! – zaryczał Chazar, ale wbrew oczekiwaniom pieśniarza nie wbił mu noża w serce. Okrzyk przeszedł w charczenie, a Östmad usłyszał, jak jego prześladowca pada na ziemię. Gdy zdołał się wreszcie obrócić, zobaczył, że w plecach koczownika tkwi mały toporek, a jego właściciel właśnie po niego biegnie. Gaupahedin wyrwał broń z ciała, spojrzął na poetę, przysunął się do niego i obwąchał.

– Czujemy na tobie jej zapach. Gdzie ona jest?

Nietrudno się było domyślić, że chodziło im o Ingigerdę. Pieśniarz w lot pojął, że dziewczyna musiała się gdzieś schować podczas zamieszania. Postanowił to wykorzystać.

– Powiem, ale najpierw mnie uwolnijcie.

– Mów albo uwolnimy twojego ducha, a ciało zjemy.

Vaering udał, że się zastanawia. Chciał zagrać na czas, bo odwleczona śmierć jest lepsza od natychmiastowej. W końcu odpowiedział:

– Przekonaliście mnie. Ukryłem ją w lesie, ale tylko ja umiem odnaleźć to miejsce.

Ryś milczał chwilę, po czym pociągnął kilka razy nosem i zaczął kręcić głową. Ainar dostrzegł, że jego uszy są lekko spiczaste, a zlepione krwią włosy przytrzymuje opaska z rysiej skóry.

– Kłamiesz. Czujemy, że gdzieś tu jest.

– A słyszycie tętent?

Nie mogło być inaczej, bo wprawdzie Skald miał świetny słuch, ale nie mógł się pod tym względem równać ze zwierzęcymi zmysłami hamramirów. Składaczowi strof już wcześniej się wydawało, że słyszy ten odgłos, ale bitewny zgiełk skutecznie go zagłuszał. Teraz jednak tętent stał się głośniejszy i z pewnością nie zapowiadał pojedynczego jeźdźca. Poeta przypomniał sobie o łowcach niewolników, którzy mieli dołączyć do do grupy Bułana.

– Wiesz, gdzie znajdę Ainara Skalda? – odrmad odpowiedział pytaniem.

– Tego kowala słów, którego pieśni są trwałe niczym żelazo? Wiem. Tak się składa, że towarzyszył nam przez pewien czas, ale uciekł, robiąc z Tattarów głupców. Pokazać wam, w którą stronę ruszył?

– Mów.

– Najpierw obiecacie, że mnie nie zabijecie.

– Przysięgamy na Göllnira – zgodził się Ryś bez targów i zwyczajowej groźby „mów albo zginiesz”. Musiało mu się spieszyć.

– Najpierw podążył śladem Magnego udającego się zabijać olbrzymy, potem zawrócił, by złapać Sol uciekającą przed wilkiem Sköllem^[10], a w końcu wspiał się, by z wysokości śmiać się z nieprzyjaciół.

– Myślisz, że nie zgadniemy? Hedin odgadł, że ruszył na wschód, by zawrócić na zachód, a Ryś podpowiada, że wspiał się na drzewo. Czyli musi być gdzieś niedaleko.

– Rozum ostry niczym pazury.

Tętent robił się coraz głośniejszy. Jeźdźcy musieli być nie dalej niż o pięćdziesiąt kroków. Berrhedin zaryczał wściekle, a zawtórował mu kwik Urrhedina, wycie Ulfhedina i niechętny pomruk Gaupahedina.

– Wrócimy po ciebie, jeśli kłamiesz – powiedział Ryś w ciele człowieka i pobiegł w las.

To samo uczynili jego bracia, porzucając trzech Tattarów, którzy rozsądnie ustawili się tyłem do siebie i walczyli już bardziej o honor niż życie. Chazarowie wyglądali na zdziwionych. Bułan pierwszy wyrwał się z osłupienia. Wystąpił przed towarzyszy i przypomniał sobie, że do dobrego wojennego obyczaju należy lżenie wrogów, którzy pokazują plecy.

– Uciekajcie, sucze syny! – zakrzyknął po vaerińsku, słusznie podejrzewając, że szaleńcy mogliby nie zrozumieć jego języka. – Nasi bracia już po was jadą!

Gdy kończył mówić, spomiędzy drzew rzeczywiście wyjechało tuzin jeźdźców. I to ciężkozbrojnych. Mieli na sobie długie kolczugi i szyszaki z osłoną nosa, a w rękach dzierżyli tarcze w kształcie liści dębu oraz długie włócznie, opuszczone teraz do ataku. Nie zatrzymali się, tylko szarpnęli

wodzami, obierając kierunek natarcia. I nabili na włócznie zaskoczonych Tattarów. Na końcu zginął Bułan, a grot ze skrzydełkami ugodził go w kark z taką mocą, że głowa prawie odpadła od ciała. Martwy, uderzył czołem o ziemię, ostatni raz oddając pokłon swojemu chazarskiemu bogu. Jego dwa warkoczyki znikły pod warstwą błota, krwi i pokruszonych kości, a reszta ciała została stratowana końskimi kopytami.

Jeźdźcy pognali dalej w las, szukając kolejnych przeciwników, ale po chwili spomiędzy drzew wyjechali kolejni zbrojni. W obozowisku zrobiło się tłoczno. Część obcych zsiadła z wierzchowców i zaczęła uwalniać więźniów. Szybko znalazł się też Alosza, który wygramolił się spod trupa Chazara i zaczął rozmawiać z przybyszami w języku swoich ojczystych stron. Skald nie miał już wątpliwości, że jeźdźcy byli Gardarikanami, pozostało tylko pytanie, kto jest ich panem. Do ich głównego grodu, Kaennugardu, było stanowczo za daleko, zatem wątpliwe, aby należeli do poddanych konunga Sviatisleifa i jego matki Helgi. Należało raczej założyć, że byli najemnikami, co ucieszyło poetę. Z tymi, którzy lubią srebro, łatwiej się dogadać.

Vaering od razu dostrzegł, kto jest ich przywódcą – właśnie ów bogaty, który wydzięrgał Bułanowi krwawy wzorek na szyi i jako jedyny nie ruszył w pościg ze swoją strażą przednią, ale poczekał w obozie na resztę oddziału. Dosiadał największego rumaka o smolistej maści i lśniącej czarnej grzywie, który zmuszony do stania, nerwowo rżał i niecierpliwie przebierał kopytami. Wódz przyglądał się swoim ludziom i bacznie obserwował wszystko dookoła. Jego wzrok zatrzymywał się na każdym trupie, jakby pan zbrojnych próbował sobie wyobrazić przebieg walki, która miała miejsce przed jego przybyciem. Oceniał też każdego uwalnianego niewolnika, najwięcej czasu poświęcając dziewczynie.

Ingigerd zrzuciła z siebie dromedarzą skórę i podniosła się z posłania rozłożonego między dwoma bukami. Bez wątpienia było to miejsce spania przywódcy Chazarów, bo inni Tattarzy sypiali razem, przytuleni do siebie jak kawałki sera w misce. Skald wątpił, by ruda czekała na właściciela futer – raczej ukryła się tam na początku walki. Nic tak bowiem nie

śmierdzi jak skóra garbatego konia, nic więc nie nadawało się lepiej, by oszukać wzrok i węch hamramirów. Córka kagana miała wolne nogi, ale związane ręce, co w tej chwili pomogło jej w zachowaniu słodkiej nieporadności. Kiedy wstawała, jej lewa pierś wyskoczyła z sukienki i stwardniały sutek pokazał się światu. Długie rude włosy zakrywały co prawda większą część białego wzniesienia, ale dodawały też dziewczynie tajemniczości, która patrzącym obiecywała radość odkrywania. Tym przepięknym widokiem można się było jednak cieszyć tylko przez chwilę. Panna oblała się rumieńcem i pospiesznie poprawiła sukienkę. Ainar za długo ją znał, by niefortunne ukazanie piersi uznać za przypadek, ale przywódca Gardarikan dał się nabrać. Podkręcił sumiastego wąsa, ukrywając zmieszanie, po czym zsiadł z konia, zdjął z jego grzbietu czerwony płaszcz, podszedł do dziewczyny i okrył ją wełnianą tkaniną. Podziękowała mu skinieniem głowy i udając onieśmienie, spuściła wzrok. Bogatyż rozmawiał z nią przez chwilę, aż w końcu wskazała wiszącego Skalda i zamilkła.

Wąsaty junak w końcu zwrócił uwagę na tego, kto był tu najważniejszy. Podszedł do skazańca, ściągając po drodze wymyślny hełm zwieńczony końską kitą – tak długą, że opadała mężczyźnie na plecy. Miał krótko obcięte brązowe włosy, nienoszące śladu ani siwizny, ani łysiny.

– Dziewczyna mówi, że wyjaśnisz mi, kim jesteście – odezwał się w mowie Północy.

Rozsądniej byłoby najpierw wy badać rozmówcę, ale Göllnir krzyczał pieśniarzowi do ucha, że ryzyko szczerości się opłaca, a Mimir podpowiadał mu, iż schludność i karność oddziały pasuje do poddanych tego, kto nawet wielkie koty potrafił obłaskawić. Poza tym wisielec czuł się trochę nieswojo, że musiał ukryć swoje imię przed hamramirem, choć sposób, w jaki oszukał Rysia, dodawał mu wiary we własne zdolności.

– Ainarem Skaldem mnie zwa, bo nie ma bieglejszego w strof składaniu i sprawniejszego w karmieniu kruków.

– Zatem dyndasz tu z miłości do ptaków. Z pewnością będą ci wdzięczne, choć masz trochę żylaste ciało.

Vaeringowi spodobał się ten wążacz. Był zabawny, pewny siebie, a do tego była od niego taka otwartość, że pieśniarz miał nieodpartą ochotę się z nim napić.

– Mnie nie tkną. Jestem dla nich niczym jedynym żywicieli rodziny. Popatrz wokół. – Wiszący zakreślił głową, wskazując zabitych. – To moja zasługa.

– Wszystkich nas kiedyś zjedzą. Perun obiecuje sławę bogatyrom, ale nie umie powstrzymać kruków. Ale wystarczy tych wisielczych żartów. Jestem Igor Dirowicz, dowódca na służbie Tirusa Wielkiego. Ścigaliśmy tych łowców niewolników od dłuższego czasu, choć nie sądziłem, że zdołali pochwytać tak cenną zdobycz. Słyszałem o twojej misji. Czy dobrze się domyślam, kim jest ta dziewczyna?

– To kwiat Aurstvegu i najcenniejszy klejnot Odainsaku. Przedstawiam ci córkę Kola Małego i przyszłą małżonkę Tirusa Wielkiego, którą bohatercko wyrwałem z ojcowskiej niewoli, okrywając chwałą i sławą jej przyszłego męża. Kagan ozłoci cię za pomoc w jej dostarczeniu.

– Najpierw zobaczymy, co ma do powiedzenia ten drugi. – Wążacz wskazał na Aloszę, który zapamiętałe kłócił się z jego ludźmi, by dopuszczono go do rozmowy z przywódcą.

Bogatywr obrócił się od Skalda, ale nim odszedł, wykrzyknął słowa, które Östmadowi wydały się wspaniałą lausawisą – pieśnią, która niedociągnięcia rytmu z nawiązką odbijała sobie przebogatą treścią:

– Odciać, opatrzeć i dać konia!

22

Zdążył na czas. Po południu dnia siódmego pojawił się u bram Treborga. Bez zwłoki został wezwany do Halli Drzewa, gdzie zdążył się już zebrać tłum ciekawskich. Kol Mały siedział na podwyższeniu przy drzewie, a u boku miał swoją złotowłosą małżonkę. Pokraczny karzeł Mödul siedział

u stóp władcy, bawiąc się leszczynową laską. Przyboczni konunga – dwunastu Vaeringów – tworzyli korytarz przed tronem, a inni gridini, w których skład wchodziłi Burdasi, Baganakijczycy i Saglabowie, podpierali ściany. Przybyło nawet kilku kupców z córkami na wydaniu, którzy gnieździli się z tyłu sali, przy drzwiach. Wszystko po to, by zobaczyć złote jajo lub upadek wielkiego Alego Czarnego Berserka.

Blamad stanął przed królewską parą, schylił głowę i czekał w milczeniu. Podczas swoich podróży spotkał wielu władców, którzy różnie się tytułowali, ale wszyscy mieli jedną wspólną cechę. Lubili się czuć panami sytuacji. Pokorę, nawet tę udawaną, Ali uznawał za oznakę mądrości.

– Czy przyznajesz się do porażki? – zaczął zniecierpliwiony kagan. – W takim razie mam nadzieję, że przybywasz głodny.

Wojownik z dalekiego Południa uśmiechnął się, odsłaniając zaostrome zęby.

– Rzeczywiście, nigdy nie pogardzę dobrym posiłkiem. Ale nie. Nie zawiodłem.

Gmach wypełnił się szeptami. Śmiałek nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że kupcy zerkają na siebie zdziwieni i stają na palcach, by jak najlepiej widzieć przestrzeń przed tronem. Brzęk broni i kolczug powiedział mu z kolei, że nawet gridini zaczęli się wiercić i wychylać z szeregu.

Ali pozwolił, by trochę się zniecierpliwili. Skald nauczył go, że niezwykle nowiny, tak jak i dobra pieśń, powinny być poprzedzone długim wyczekiwaniem.

– Pokaż więc to jajo – rozkazał konung.

Blamad niespiesznie wyjął złotą kulkę z woreczka zawieszzonego na piersi i podniósł ją wysoko nad głowę, by wpadające przez okna promienie słońca odbiły się od złota.

Zgromadzenie zapało z zachwyty.

– Długą drogę przebyłem w poszukiwaniu tego jaja i wiele niebezpieczeństw pokonałem, by je zdobyć. Musiałem wspiąć się na

najwyższą górę świata, zmierzyć się z wielkim orłem i pokonać potężnego czarownika, który umie mieszać ludziom w głowach. Ale oto jestem z wami, gdyż poznałem sekret złotego ptaka. W moich rodzinnych stronach wierzymy, że na początku było Słowo, które samo się wymyśliło i wypowiedziało, a na ziemię zesłało swoich braci pod postacią jajek, by ludzie je odnajdywali, poznawali ich kształt po skorupce, istotę po białku, a prawdę, która się w nich kryje, po żółtku. W ten sposób Słowo nauczyło nas mówić i myśleć, a to odróżniło nas od zwierząt. Spójrzcie więc na to doskonałe jajo i powiedzcie, jaką prawdę w sobie kryje?

Zgodnie z oczekiwaniem nikt nie zabrał głosu.

– Taką – sam podsunął odpowiedź – że tylko bogaty, którego odwaga nie jest mniejsza od przymiotów jego umysłu, mógł wejść w jego posiadanie. I jeszcze taką, że taki dreng musi służyć wspaniątemu kaganowi, bo wielki śmiałek nie wybrałby sobie słabeusza za pana. Wiedźcie zatem, że władca Dyragardu jest godny najpiękniejszej kobiety świata, córki mądrego i szczodrego kagana Kola! Wykonałem pierwszą próbę, dlatego już wkrótce nasze kraje, najbogatsze spośród kaganatów całego Wschodu, zjednoczą się pod panowaniem Tirusa Wielkiego i jego żony Ingigerdy.

Podniosła się wrzawa, a kilku zgromadzonych nieśmiało krzyknęło na cześć mówcy. Czarny gridin wiedział, że tłum stał już za nim, ale nie okazał mu pełnego wsparcia bez przychylności kagana.

– Rzuć mi tę kulkę, chłopcze – poprosił Mödul.

Ali podszedł do karła i wręczył mu jajo.

Czarownik zważył przedmiot w ręce, poniósł do światła i uważnie się przyjrzał, po czym podrzucił jajo, złapał, zbliżył do ust i nadgryzł.

– Szczere złoto. Nie ma wątpliwości.

Blamad ledwo się powstrzymał, by nie westchnąć z ulgi.

– Przecież mówiłem.

– Tyle tylko, że to zwykła kulka ze złota, a nie żadne jajko.

– Nazywasz mnie kłamcą? – spytał berserk, udając zdenerwowanie.

Dopiero teraz zauważył, że władca i jego czarownik byli dziwnie spokojni i uśmiechnięci, jakby wcale nie przejęli się tym, że ktoś zdał ich próbę.

– Tak. I to na dodatek głuchym.

– Nie będę wysłuchiwał obelg karła. – Ali przeniósł wzrok na kagana. – Mogę przysiąc na Wertragnę, Allaha i węża Bidę, że odnalazłem złotego ptaka, a w jaskini, w której mieszkał, odszukałem to złote jajo.

– Doprawdy? – zakpił Mōdul. – Powiem ci, na czym polegała ta próba. Nie na wykazaniu się w walce, nie na chodzeniu po górach, nie na zwinności ani nie na sile. Miała sprawdzić, czy zalotnik odznacza się mądrością, męstwem i odwagą, które pozwolą mu udowodnić i przyznać przed nami, że złoty ptak nie istnieje. Czy naprawdę każesz nam wierzyć, że gdzieś tam w górach lata bestia ze złotymi szponami, która znosi złote jajka? Ale rzeczywiście, nieźle pomyślałeś, by odlać jajo ze złota. Dziękujemy ci za nie, bo każda ilość kruszcu przyda się podczas nadchodzącej wojny.

– Coś jeszcze, czarny drengu – wtrącił kagan. – Czy mam kazać podawać trupy do stołu?

Wysłannik Tirusa nie wierzył w ani jedno słowo karła, ale zrozumiał, dlaczego jeszcze nikt nie zdał tej próby. Wysyłano śmiałka po nieistniejące jajo, a gdyby ktoś wrócił z pustymi rękami, zarzucano mu porażkę, bo mały czarownik z pewnością nie dałby sobie udowodnić, że ptak jest tylko stworzeniem ze smerdowskich opowieści.

– Wyruszając w podróż, też powątpiewałem w istnienie tego stwora, ale uznałem, że skoro sam kagan mnie o tym zapewnia, nie mam prawa przypuszczać, że tylko bawi się moim kosztem. Szukałem więc wytrwale i znalazłem ptaka ze złota, choć nie tak wielkiego i drapieżnego, jak w waszych opowieściach. Bogowie mi jednak podpowiedzieli, że w gmachu Kola Małego z pewnością znajdzie się kilku niedowiarków. Dlatego wziąłem stworzenie ze sobą.

Zdjął z pleców worek i włożył do niego rękę. Wcześniej wyskubał nieładne pióra z ogona ptaka i uspił go, wkładając mu głowę pod skrzydło i kręcąc zwierzęciem dookoła. Teraz rozprostował mu szyję, potrząsnął

jego ciałem, wyjął z worka i rzucił w stronę öndvegi.

Ptak obudził się, zagdakał niczym kura i zatrzepotał skrzydłami. Promienie słońca, które wpadały przez okna, odbiły się od piór, a te zaślniły niczym najszczerze złoto. Bażant, śmiertelnie wystraszony, zgodnie z oczekiwaniem Alego ruszył w stronę, która najbardziej przypominała mu dom. Podskakując i podlatując, dotarł do drzewa i przysiadł na jego korzeniach, nieopodal stóp żony konunga.

– Ależ on piękny! – zakrzyczała Rogneda, wiercąc się na siedzisku.

– I oto kolejna prawda. Złoty ptak wybrał sobie siedzibę przy tronie, wskazując, jak bogaty i sprawiedliwy jest wasz pan oraz jak piękna jest jego złotowłosa żona.

Z twarzy Kola dało się wyczytać sprzeczne uczucia. Może był wściekły, że ktoś zdołał go przechytryć, ale z powodu wrodzonej wszystkim władcom próżności musiał być również zadowolony z podkreślenia przez gościa jego potęgi.

Mödul nie pokazał żadnej oznaki złości, za to się uśmiechnął. Jego lewe, całkowicie zielone oko zabłysło z radości, natomiast prawe o niebieskich źrenicach zmrużyło się, zdradzając ciekawość. Później Ali doszedł do wniosku, że karzeł musiał się wtedy ucieszyć, iż znalazł godnego przeciwnika do zbliżającej się gry w szatrandż.

– Ptak rzeczywiście wygląda jak ze złota – przyznał czarownik. – Ale skąd mamy wiedzieć, że właśnie on zniósł jajo? Zwierzę o złotym upierzeniu najwyraźniej gdzieś złapałeś, ale jego jajko mogłeś przetopić z monet.

– Nie wystarczy wam tych dowodów?! – krzyknął Blamad, zwracając się do zgromadzonych. – Przyniosłem złotego ptaka i jego jajko. W umowie nie było mowy, że ma je znieść w Halli Drzewa. Ale jestem przekonany, że jeśli otoczycie bażanta troskliwą opieką, w końcu doczekacie się kolejnego lęgu. Tylko nie oczekujcie, że tak wyjątkowy przedmiot będzie wylatywał z ptasiego kupra co tydzień!

Wśród zgromadzonych podniosły się głosy poparcia. Kilku gridinom oczy zaświeciły się z chciwości. Zapewne wyobrazili sobie, ile można

zarobić, hodując takie zwierzę albo sprzedając je gardskonungowi z Miklagardu.

Wszystkich uciszył Kol, który wstał i podniósł ręce. Górował nad swoimi ludźmi niczym olbrzym z północnych sag, bo oprócz tego, że był bardzo wysoki, stał na podwyższeniu.

– Ali Czarny Berserk przyniósł nam jajo i złotego ptaka. Uznaję próbę za wykonaną.

Ludzie krzyknęli zgodnie, posypały się pochwały na cześć śmiałka. Ten uśmiechnął się, odsłaniając paskudny szereg spiłowanych zębów. Zawsze dbał, by oprócz poszanowania wzbudzać strach.

– Nie ciesz się tak, Blamadzie – zwrócił się do niego Mödul, który nie rozpaczał po porażce. – Nadal masz przed sobą dwie próby, i to o wiele trudniejsze.

Kagan usłyszał te słowa, choć dobiegały gdzieś z wysokości jego kolan.

– Nadszedł czas, by zapoznać naszego zalotnika z kolejną próbą – powiedział w stronę zgromadzonych. – Pierwotnie miał się ścigać z moją córką, ale ponieważ ta zaniemogła, do wyścigu stanę ja.

Tłum zawył z radości. Uwadze Alego nie umknęło, że konung ukrył powód nieobecności córki. Czarnego gridina nie było w grodzie przez ostatni tydzień, ale nie wierzył, by plotki o porwaniu nie rozeszły się po Treborgu. Jednak jeśli nawet tak było, to nikt choćby lekkim uśmiechem nie dał po sobie poznać, że powątpiewa w słowa Kola Małego o chorobie spadkobiercy.

– Godniejszy mi się wydaje wyścig z potężnym władcą niż z kruchą dziewczyną – obwieścił wyznawca Wertragny, choć długie nogi pana Treborga i jego smukła sylwetka świadczyły, że będzie bardzo groźnym przeciwnikiem.

– Nie czekajmy więc. Chodźmy nad rzekę! – krzyknął kagan, a tłum odpowiedział mu okrzykiem radości.

Karzeł popatrzył się na berserka z politowaniem, jakby zaczął mu współczuć, po czym wstał, zastukał laską w drewniane podwyższenie,

chwycił stopę i rozciągnął łydkę, jakby sam miał szykować się do biegu, a w końcu się zaśmiał. Blamad pomyślał, że pokurcz rechocze niczym majnun opętany przez demony.

Kol wykazał się sprytem. Nie chciał czekać z wyścigiem, podejrzewając, że Ali wrócił z podróży głodny i zmęczony. Nie wiedział, że czarny druzynnik porządnie najadł się drobiem, korzystając z gościnności Sigmunda, a na drogę wziął pieczone udka, miał więc pełny brzuch i czuł się wypoczęty.

Liczni gapie odprowadzili rosnącego zawodnika nad rzekę. Po drodze pochód przeszedł przez obóz koczowników. Berserk zauważył z niepokojem, że był on większy niż przed kilkoma dniami. Zwiększyła się nie tylko liczba jurt, ale także koni i jeźdźców, których oddziały ćwiczyły się w walce. Wrzaski dzieci, napomnienia kobiet i gwar kupców, które panowały tu niepodzielnie jeszcze przed kilkoma dniami, były teraz zagłuszane przez odgłosy kucia żelaza, szczęk broni i głośnie rozkazy. Nie było wątpliwości. Szykowano się do wojny.

Wycieczka nie trwała długo, gdyż Kama toczyła swe wody niecałą milę od Treborga. Na jej lewym brzegu zbudowano podgrodzie. Ali wiedział, że za wałem znajduje się ogromna przystań i rozległy plac, na którym kupcy wymieniali towary. Pochód nie skierował się jednak w stronę zabudowań, tylko bardziej na południe, ku stromej skarpie rzeki.

Na kagana musieli poczekać. Konung dbał o swoje dostojeństwo, nie wyruszył więc z tłumem, tylko wraz z przybocznymi udał się po konie.

Korzystając z chwili spokoju, gridin Tirusa zrzucił z siebie skórę kota i zaczął rozciągać mięśnie nóg, czym wzbudził spore zdziwienie miejscowych. Podczas polowań w rodzinnych stronach, kiedy musiał daleko gonić ranną zwierzynę, nauczył się jednak, że gdy przed wysiłkiem poczuje ciepło w mięśniach, potem podczas pościgu rzadko doskwierają mu ból i zmęczenie.

W końcu nadjechał władca. Dosiadał wielkiego karego ogiera, a towarzyszyli mu Mödul na chudej szkapie i żona na srokatej kłaczycy. Cała trójka pasowała do siebie tak, jak struthio do kurnika, ale wszyscy

prezentowali się dostojnie. Za nimi pieszo podążali drużynicy.

Karzeł zeskoczył z konia i podbiegł do Rognedy, by pomóc jej zejść. Do kagana również podbiegł jakiś zbrojny, ale Kol nie zamierzał korzystać z pomocy. Zwinnie zeskoczył na ziemię i kiwnął na przeciwnika, by ten do niego podszedł.

– Z moją córką mierzyłbyś się tylko w wyścigu biegowym. Wiedząc jednak, jak dobrze poradziłeś sobie z poprzednią próbą, Mōdul przekonał mnie, że warto urozmaicić te zawody, byś nie poczuł się obrażony.

Czarny olbrzym rzucił czarownikowi przelotne spojrzenie, a ten mrugnął do niego, jakby mówił „nie ma za co”.

– Spróbuję dorównać wielkiemu kaganowi w każdych zawodach – odpowiedział pokornie, choć Wertragna zsyłał już na niego rozdrażnienie.

– Mam nadzieję, że lubisz pływać. Widzisz ten skip? – Konung uśmiechnął się złowieszczo i wskazał ręką statek, który odbił od przystani i kierował się na drugi brzeg rzeki. – Kazałem jego kapitanowi wbić dwie włócznie pod starym jesionem.

Berserk spojrział we wskazanym kierunku i nie bez wysiłku wypatrzył samotne drzewo. Nie miał wątpliwości, że o nie chodziło, bo na całym prawym brzegu rzeki rozciągał się step.

Władca dał mu trochę czasu, by oswoił się z celem. W tym czasie sam zdjął przez głowę kyrtil oraz drugą koszulę i wtedy, pozostając w samych spodniach i butach, przeszedł do dalszych wyjaśnień:

– Musimy przepłynąć rzekę, dobiec do włóczni, wyrwać jedną z nich, wrócić do rzeki, dotrzeć do miejsca, w którym stoimy, i przerzucić oszczep na drugi brzeg – tak, by ten wbił się w ziemię. Jakies pytania?

– Po co ten drugi statek ustawia się na środku rzeki?

Zgromadzeni zaśmiali się, zdradzając, że już się tego domyślili.

– No tak. Byłbym zapomniał o najważniejszym. Kiedy będziesz przepływał rzekę, musisz wspiąć się na okręt i przebiec po wszystkich jego wiosłach. Ale nie martw się. Wystarczy, że zrobisz to raz, albo za pierwszym przepłynięciem, albo gdy będziesz wracał. Pamiętaj jednak, że

w tym samym czasie tylko jeden z nas może wykonywać wiosłarską próbę.

Blamad zrozumiał, że wybór jest pozorny – z pewnością łatwiej było skakać bez włóczni w dłoniach. Pierwszym celem wyścigu będzie więc statek. Postanowił jednak grać głupka, gdyż dawno nauczył się czerpać korzyści z tego, że biali ludzie go lekceważą. Uśmiechnął się i podrapał po łysej głowie.

– Kolejność nie robi mi różnicy. Byle tylko wiosła równo leżały na pokładzie.

Zgodnie z jego oczekiwaniem wśród gapiów znów zapanowała wesołość. Tylko Mödul się nie zaśmiał, rzucił mu za to badawcze spojrzenie, charakterystyczne dla tych, którzy posiadli umiejętność przenikania wzrokiem cudzych masek.

– Na pokładzie nie znajdziesz żadnych kończyn rzeczno rumaka. Wiosła pozostaną wystawione, a ich pióra będą uniesione nad wodą. Lepiej poproś więc bogów, by prąd łaskawie obchodził się ze skipem.

Ali spojrział na nurt i ocenił, że nie jest rwący. Przypuszczał jednak, że bez pomocy wiosła statek może zostać zniesiony w stronę któregoś z brzegów. Od kaprysu rzeki zależało zatem, czy po płasach na wiosłach śmiałek będzie znajdował się bliżej, czy dalej celu.

– Kiedy zaczynamy?

– Gdy tylko będziesz gotowy – odpowiedział kagan i zaczął ściągać spodnie.

Berserk poszedł za jego przykładem i pozbył się szarawarów. Obaj zostali tylko w skórzanych butach i bieliźnie do kolan, na co rozległ się chichot kilku młodszych kupieckich córek, które wszakże nie odwróciły wzroku.

Kol pomachał ramionami, poklepał się dłońmi po łopatkach, po czym wyprostował kark i napiął mięśnie tak, że drzewo na jego plecach wygięło się, jakby było targane przez wichurę. Czarny gridin nie pozostał mu dłużny i również naprężył mięśnie, a wąż Bida zaczął się więc niczym podczas ataku. Tłum, który przyglądał się im jak koniom przed wyścigiem, zapiął

z zachwytu, po czym zakrzyknął raz i drugi na ich cześć. Niektórzy ze zgromadzonych zaczęli obstawiać zakłady. Z tego, co Blamad zdołał usłyszeć, większość wierzyła w zwycięstwo kagana, bo stawka wynosiła cztery do jednego na korzyść władcy. Prawie nikt nie zakładał się o monety, tylko o łokcie materiału, świnie, krowy, konie. Nie dziwiło to Alego, ale poczuł się lekko urażony, gdy ktoś postawił cztery kury na jego porażkę.

– Zaczynamy? – zwrócił się do konunga. – Woda nie robi się cieplejsza.

Kol skinął głową i ruszył w kierunku rzeki. Zatrzymał się na samym krańcu stromej, ale niewysokiej skarpy. Drużynnik Tirusa, który ruszył śladem władcy, ocenił, że przy samym brzegu woda sięgała dorosłemu mężczyźnie do pasa, a kilka kroków dalej dno przestawało być widoczne.

Pomiędzy zawodnikami stanął karzeł, który uważnie przyjrzał się każdemu, oceniając ich gotowość. Potem splunął do rzeki, badając siłę prądu. Następnie podniósł z ziemi kamień.

– Ruszycie, gdy rzucony przeze mnie kamień dotknie wody. Ale najpierw przysięgnijcie na swoich bogów, że będziecie uczciwie walczyć i pokornie przyjmiecie zwycięstwo przeciwnika.

– Przysięgam! – krzyknęli niemal równocześnie.

– Dobrze. W takim razie i ja wzywam Jednorękiego oraz Jomalego, by sprawiedliwie wyłonili zwycięzcę. – Jeszcze zanim skończył mówić, mocno rzucił kamieniem.

Ruszyli.

Wskoczyli do wody równocześnie, opryskując zgromadzonych na brzegu gapiów. Ali wylądował na ugiętych nogach i gdy tylko poczuł kamienie pod stopami, odbił się od dna. Pierwsze długości ciała przepłynął pod powierzchnią, haratając dłońmi po rzeczonym żwirze i mącąc wodę mułem. Kiedy się wynurzył, nie dostrzegł przed sobą kagana. Uznał, że prowadzi.

Po kilku zamachach ramionami zauważył jednak, że Kol wynurza się dwie długości ciała przed nim. Przekląłby, gdyby to nie groziło zachłyśnięciem się wodą. Kagan musiał być doświadczonego pływakiem, gdyż wiedział, że płynąc pod powierzchnią, poruszasz się szybciej, niż

płynąc na niej.

Blamad pozwolił, by Szalony Odyniec natchnął go odrobiną gniewu. Przyspieszył i odległość między pływakami zaczęła się zmniejszać. W końcu zdołał złapać przeciwnika za stopę, ale ten z łatwością wyrwał się z uścisku, kopiąc go boleśnie w palce. Gridin Tirusa nie miał zamiaru się poddawać. Zanurkował i tak długo płynął głębia, aż zobaczył nad sobą kolano konunga. Wtedy chwycił go za nogę i pociągnął w dół.

Nie było to oszustwo. Zapasy w wodzie były częścią każdego zawodów pływackich i obaj musieli być na nie przygotowani. Zachowanie władcy było jednak zaskakujące. Nie próbował utrzymać się na powierzchni ani nawet uwolnić z uścisku, tylko pozwolił wciągnąć się w odmęty. A gdy znaleźli się już blisko dna, uśmiechnął się do Alego, wypuszczając nosem kilka pęcherzyków powietrza, i chwycił go za głowę. Berserk zrozumiał, że popełnił błąd.

Trwali w tych nieprzyjaznych objęciach tak długo, aż czarny drużynnik poczuł pieczenie w piersiach. Wtedy uznał, że pora dać za wygraną, by przynajmniej dożyć końca wyścigu. Puścił nogę przeciwnika i spróbował wyszarpnąć się z jego oburęcznego uścisku. Ten trzymał jednak mocno. Blamad uderzył kagana pięścią w brzuch, aż z ust pana Treborga uciekło kilka pęcherzyków powietrza. Poprawił w bok, a potem znowu w brzuch, chcąc zmusić Kola do oddania ciosu. Ale ten nie dał się sprowokować i dalej trzymał jego łysy czerep.

Oczy berserka zaszyły mgłą. Uderzył jeszcze przeciwnika w udo, ale za słabo, by coś wskórać. Przypomniawszy sobie żółte łąki rodzinnych stron i czarną, spaloną słońcem ziemię. Wspomniał chatę z gliny i piękną żonę. Żonę, która wypięła się przed jego bratem, żonę, którą rozszarpał gołymi rękami. Wertragna zakwiczał i prychnął gniewnie. Gorące powietrze unoszące się z nozdrzy Żelaznobokiego Dzika wypełniło piersi gridina, dodało sił. Zacharczał, chwycił nogę konunga, przyciągnął ją do ust i wbił w nią spiłowane zęby. Poczłł słodki smak krwi, a potem uderzenie w skroń.

Uścisk kagana zelżał. Berserk puścił nogę wroga i nie bronił się, gdy Kol

wsparł stopy na jego ramionach i odbił się, wpychając Alego jeszcze głębiej.

Oswobodzony Blamad ruszył śladem kagana, choć w tej chwili nie myślał o wyścigu. Naśladując żabę, wypłynął na powierzchnię i zaczerpnął powietrza. Zakrztusił się wodą. Potrzebował kilku oddechów, by pieczenie w piersiach ustało, a głowa przestała pękać. Tyle czasu wystarczyło, by przeciwnik wyprzedził go o cztery długości ciała.

Ali ruszył w pościg. Podczas gdy toczyli pod wodą zacięte zapasy, nurt ściągnął ich w dół rzeki i teraz, by dotrzeć do statku, musieli płynąć pod prąd, który okazał się o wiele mocniejszy, niż się berserkowi wcześniej wydawało. Wiosłował więc mocno ramionami, a nogami rozdawał kopniaki rzecznyemu duchom, trzymając się ustalonego rytmu: prawa, lewa. Nie miał wątpliwości, że miał więcej krzepy niż przeciwnik, ale kagan był bieglejszym pływakiem. Na początku wyścigu przeciwstawiał jeszcze swą siłę doświadczeniu władcy, ale teraz, walcząc ze zmęczeniem i prądem, nie był w stanie zmniejszyć dzielącej ich odległości. Zrezygnował więc z próby dotarcia do statku i obrał sobie za cel drugi brzeg. Miał nadzieję nadrobić straty podczas biegu. Przestał walczyć z prądem i popłynął na ukos, by mieć nurt po swojej stronie.

Zagarniając wodę lewą ręką, podpatrywał konunga. Ten dotarł już do skipu i przy użyciu zrzuconej mu liny wspiął się na rufę. Na rozkaz Kola wiosłarze wyjęli pióra z wody i ustawili drągi poziomo, równoległe do powierzchni wody. Władca stanął na burcie, wskoczył na pierwsze wiosło i zaczął biec. Blamad porzucił nadzieję, że przeciwnik okaże się mało zwinny. Pan Treborga mknął, skacząc po drzewcach jak po głazach wystających ze strumyczka. Tylko raz się zachwiał, ale odzyskał równowagę, machając rozłożonymi rękami. Gdy dotarł do dziobu, przeskoczył przez burtę i zniknął po drugiej stronie statku, by pokonać drugi rząd wiosła.

Wyznawca Wertragny skupił się na pływaniu. Po kilku machnięciach ramionami usłyszał głośny okrzyk załogi i plusk – znak, że kagan skończył próbę i rusza w pościg.

Gdy Czarny Berserk natrafił rękami na dno, wstał i rozbryzgując wodę, wyszedł na brzeg, znacznie łagodniejszy po tej stronie Kamy. Opuścił wodę pierwszy, ale prąd zniósł go daleko od wyznaczonej trasy. Drzewo, do którego miał dotrzeć, znajdowało się teraz nie na wprost niego, ale po prawej. Ruszył biegiem, przedzierając się przez przybrzeżne krzaki. Lubił biegać i chociaż nie należał do chudzielców, szczycił się swoją szybkością i wytrzymałością.

Dalej od rzeki rosła stepowa trawa. Sięgała mu powyżej kolan i utrudniała patrzenie pod nogi. Z zarośli przed nim poderwała się do lotu kuropatwa, ale nie zwrócił na nią uwagi. Wbił wzrok w dwie włócznie tkwiące w ziemi przy drzewie.

Obejrzał się przez ramię i dostrzegł, że kagan również wyszedł z rzeki. O wiele wcześniej, niż można się było spodziewać. Na dodatek dopłynął do brzegu wyżej niż gridin i miał do przebiegnięcia mniejszą odległość.

Blamad wykrzesał z siebie dodatkowe siły i przyspieszył. Trasy ich biegu były na tyle różne, że skrzyżować się mogły dopiero przy samym drzewie.

Minął trzy pasące się krowy, które spojrzały na niego spode łba i zamuczały z wyrzutem, że przeszkadza im w jedzeniu.

Po kolejnych pięćdziesięciu krokach spojrzał w prawo. Długie nogi pana Odainsaku zdawały się nie dotykać podłoża. I choć w pływaniu mało kto mógłby mu dorównać, właśnie bieganie wydawało się jego żywiołem. Już tylko nieznacznie przegrywał z czarnym wojownikiem.

Berserk poczuł w sobie moc Wertragny, mistrza szaleńczych szarż. Żelazne racice dzika dodały mu siły i ostatnie kroki pokonał swoim najszybszym biegiem.

Udało się, dotarł do włóczni pierwszy. Wyrwał bliższą i kopniakiem przewrócił drugą, by utrudnić zadanie przeciwnikowi. Zawrócił i prawie zderzył się z kaganem. Wyminął go zręcznym unikiem i uśmiechnął się, odsłaniając postrach tchórzy. Na Kolu nie zrobił wrażenia.

Ruszył z powrotem, ale również i tym razem nie wybrał najkrótszej drogi. Pomny doświadczeń z nurtem, wołał go mieć po swojej stronie –

skierował się więc w górę rzeki. Poza tym skip, którego zniosło po tańcu konunga na wiosłach, odzyskał już sterowność i wracał na poprzednie miejsce.

Ociężałość w nogach dawała o sobie znać, ale Blamad nie był tchórzem, który poddaje się zmęczeniu. Liczyło się tylko zwycięstwo. Allah musiał go jednak karać za trwanie w dzahilijji, bo wygrana zaczęła się od niego oddalać. Władca po raz kolejny wybrał najkrótszą trasę do rzeki i już wyraźnie wyprzedzał berserka.

Wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Z trawy wyłonił się ogromny pies i zaatakował kagana. Ali pomyślał, że psia pomoc była dla niego zbyt korzystna, by można ją było uznać za przypadkową. Przeszło mu przez myśl, że może ktoś specjalnie wypuścił psa. Nie była to jednak odpowiednia chwila na przemyślenia. Ogar nie miał szans w starciu z Kolem i szybko zdechł, przebity włócznią, ale zdołał opóźnić konunga.

Wysłannik Tirusa dotarł do rzeki pierwszy i nie oglądając się za siebie, wskoczył do wody. Nurt go wspierał, gdyż statek nie zdołał jeszcze dopłynąć do wysokości, na której znajdował się Blamad.

W lewej ręce trzymał broń, więc machać mógł tylko prawicą. Natrafił na wir, który wciągnął go pod wodę, ale szybko sobie z nim poradził. Rozchlapywał wodę na wszystkie strony, zagłuszając pluskiem coraz głośniejsze szyderstwa, które dobiegały ze skipu.

Zerknął na kagana, który z zakrwawioną włócznią w dłoni wskakiwał właśnie do wody. Gridin miał jeszcze przewagę, ale wciąż musiał wykonać próbę wiosła.

Dopłynął do rufy i uderzył pięścią w poszycie. Ból dodał mu sił. Rozejrzał się za liną, ale tej nikt mu nie podał. Na szczęście burty były niskie, więc zdołał samodzielnie wspiąć się na górę. Gdy zawołał „do wiosła”, załoga bardzo powoli wyjęła pióra z wody, a część żeglarzy sprawiała wrażenie, jakby niezbyt pewnie trzymała drągi. Wkroczył na pierwsze wiosło i omal się nie przewrócił, gdy to nieznacznie ugięło się pod jego ciężarem. Zmienił uchwyt na włóczni i uniósł ją na wysokość piersi, trzymając równoległe do wiosła. Przeskoczył na kolejny drąg

i jeszcze następny. Tajemnicą bieglego chodzenia po wiosłach był ciągły ruch i niezatrzymywanie się na okrągłych i śliskich kończynach statku. Zauważył, że jeden z wojowników uśmiechnął się wrednie, więc skoczył daleko, omijając jego drzewce. I dobrze, bo gdy mijał je w powietrzu, niby przypadkiem wyslizgnęło się z dłoni żeglarza i zanurzyło w wodzie. Berserk szybko dotarł do ostatniego wiosła na sterburcie i jednym skokiem znalazł się na drągach bakburty. Skip był dwunastoławkowcem, więc wojownik z Południa miał jeszcze tuzin wiosel do pokonania. Po pierwszych czterech przebiegł bez kłopotów, na dwóch kolejnych poślizgnął się, ale nie spadł. Po tej stronie nie było złośliwców, a kilku brodatych Vaeringów nawet dodawało mu otuchy pokrzykiwaniami. Gdy dotarł na rufę, spojrzął, gdzie jest jego konkurent. I zrozumiał, że tego wyścigu nie wygra.

Kagan prawie dopłynął do brzegu.

Blamad zaryczał z wściekłości i ugryzł się w wargę. Przestał opierać się gniewowi. Woda, do której wskoczył, wydała mu się czerwona od krwi. Już nie płynął, ale wściekle bił i kopał odnęty, poruszając się do przodu nie dzięki zręczności, ale brutalnej sile. Dziki nie są jednak dobrymi pływakami i pomoc Wertragny na niewiele się przydała.

Gdy dotarł na płyciznę, konung już czekał na suchym lądzie. Od jakiegoś czasu był gotowy do rzutu, ale czekał, by przeciwnik był świadkiem jego pełnego zwycięstwa. Dopiero gdy napotkał wściekle spojrzenie czarnego gridina, naprężył ociekające wodą ciało, wziął zamach i rzucił. Nawet kipiący nienawiścią berserk musiał przyznać, że był to wspaniały pokaz siły i celności. Pocisk poleciał wysokim łukiem, jego grot załśnił w słońcu i wbił się w kark krowy, która pasła się daleko na drugim brzegu. Zwierzę padło martwe.

Zgromadzeni kupcy, smerdowie i zbrojni zakrzyknęli z radości i zawołali „chwała kaganowi” oraz „zwycięstwo pana na Treborgu”. Kto miał miecz, uderzał nim o tarczę, a kto miał laskę, bił nią w ziemię. Kol Mały, który nie wyglądał na zmęczonego, promieniał z radości i dumnie prężył pierś przed poddanymi. Posłuszna żona podeszła do niego, otarła mężowi tors

śnieżnobiałą tkaniną i stanąwszy na palcach, pocałowała go w policzek. Została za to nagrodzona kolejnymi wesołymi okrzykami gawiedzi.

Blamad wygramolił się na skarpe. Ziemia przykleiła się do jego mokrego ciała, jakby i ona chciała okryć go hańbą. Podpierając się włócznią, podszedł do kagana, schylił przed nim głowę i powiedział:

– Wspaniałe zawody, wielki konungu. Niejeden bogaty powiedziałby, że przegrać z tobą to żaden wstyd.

Władca spojrział na niego z góry, ale bez wyniosłości. Jakiś niewolnik zarzucił mu na plecy zielony płaszcz i spiął go na szyi złotą zapinką.

– Podobasz mi się, czarny drengu. Umiesz docenić przeciwnika i oddać mu hołd po porażce. Może nawet daruję ci życie? Oczywiście, jeśli najpierw zjesz, co obiecałeś. Także ty dobrze się dzisiaj spisałeś. Musiałem się spocić, by cię pokonać. A z tą krową miałem trochę szczęścia.

Ali zdziwił się słowami pana Odainsaku. Większość znanych mu konungów wolałaby zginąć na mękach, niż przyznać, że o zwycięstwie zdecydowało coś innego niż ich niezwykła siła i umiejętności. Musiał jednak przyznać, że rzut w rogatą miłośniczkę trawy był niezwykłym wyczynem. Prosto w krowi kark. Gdyby był z nimi Skald, pewnie ułożyłby prześmiewczą strofę o niespotykanym zakończeniu wielkich zawodów. Ainar, znawca słów, nie odmówiłby sobie przyjemności, by... „Oczywiście, dlaczego wcześniej na to nie wpadłeś?!” – odezwał się karcący głos w jego głowie.

– Porażce? Ale ja przecież jeszcze nie przegrałem. Wciąż mam do wykonania rzut.

Gwar umilkł, a ci, którzy nie chcieli uszanować ciszy, zostali do niej zmuszeni łokciami swoich sąsiadów.

– Twoja porażka jest jasna, nie musisz kończyć próby, bo ja wygrałem – powiedział kagan, choć w jego głosie dało się słyszeć wahanie.

Mödul spojrział na wysłannika Tirusa z zainteresowaniem i błyskiem zrozumienia w oku.

– Nie o to chodzi – Czarny Berserk zapewnił władcę.

Cofnął prawą nogę, ugiął lewą w kolanie, wziął zamach i rzucił. Włócznia dumnym łukiem przecięła powietrze i wbiła się w ziemię na drugim brzegu rzeki, o wiele bliżej niż leżała martwa krowa.

– Dobra próba, tylko trochę spóźniona – powiedział konung, który zaczął odzyskiwać pewność siebie, choć wciąż spoglądał na rywala jak na głupca.

– Późniejsza niż twoja, ale wcale nie spóźniona. Dotarłem tu drugi, ale za to jako jedyny prawidłowo ukończyłem zawody. Pływanie, skakanie po wiosłach, bieganie i w końcu rzut włócznią na drugi brzeg – tak by wbiła się w ziemię. Wszystko poprawnie zaliczyłem. A twoja włócznia, panie, gdzie tkwi?

Zgromadzeni spojrzeli na przeciwległy brzeg, choć przecież dobrze wiedzieli, że grot znalazł schronienie w krowim karku.

– Bzdura! Celem było przerwienie włóczni na drugą stronę rzeki. Nie jest ważne, w co wbije się grot! – krzyknął Kol.

– Wyraźnie słyszałem, że ostrze pocisku ma utkwić w ziemi. Jest na to wielu świadków.

Owi świadkowie, którzy jeszcze przed chwilą przysuwali się bliżej zawodników, by lepiej słyszeć rozmowę, teraz zgodnie wycofali się i zaczęli oglądać niebo oraz śledzić lot końskich much.

– Widzisz? Nikt nie potwierdza twoich słów – zauważył kagan, uśmiechając się z wyraźną ulgą. – Musiałeś się przesłyszeć.

Ali uśmiechnął się, choć całe jego ciało żądało, by wpadł w berserksgang i rozerwał na strzępy wiarołomnych Odainsakczyków.

– Tchórzliwych masz ludzi, którzy boją się mówić prawdę. Ale karzeł nie może zaprzeczyć moim słowom. Przysiągł, że dopilnuje uczciwości zawodów, i wezwał swojego boskiego Jomalego na świadka.

Wywołany do odpowiedzi Mōdul cały czas uśmiechał się i przewracał oczami. Teraz wsparł czoło o laskę, jakby chciał sobie coś przypomnieć. W końcu powiedział:

– Język potrafi być kłopotliwy. O tak, potrafi. Rzeczywiście, kaganie,

twoje usta nie wypowiedziały dziś tego, co miała na myśli głowa. Ziemia miała być celem włóczni. Taki warunek sam postawiłeś. Niestety, nasz czarny gość ma rację.

– Zatem zwyciężyłem! – krzyknął gridin, by wszyscy słyszeli.

Nastąpiła chwila wyczekiwania. Zgromadzeni wiedzieli, kto miał rację, ale Blamad nie łudził się, że to załatwiało sprawę. Bo prawda wypowiedziana przez władcę ma wartość nadrzędną i wszystkie inne boczne słowa muszą jej podlegać. Jeśli konung pójdzie w zaparte i ogłosi się zwycięzcą, nikt otwarcie mu się nie sprzeciwi. Ale dbający o własną sławę władca powinien być wierny swoim słowom. W końcu jeśli okaże się wiarołomny, składane mu przez poddanych przysięgi również stracą ważność.

– Wypełniłeś drugie zadanie – krótko powiedział kagan, który zapewne chciał, by jego głos zabrzmiał dumnie i wspaniałomyślnie, ale i tak wszyscy usłyszeli w nim tłumioną złość.

Ali pokornie skłonił głowę, choć nie uszło jego uwadze, że Kol nie przyznał otwarcie, iż jego gość zwyciężył. Słowa konunga Blamad uznał jednak za w pełni go zadowolające, gdyż jeszcze nie spotkał Vaerigna potrafiącego z godnością pogodzić się z porażką.

Władca odwrócił się i podszedł do swojego konia. Widać było, że powstrzymuje się, by nie biec. Żona, karzeł, przyboczni i gapie ruszyli jego śladem. Przed odejściem kilku zbrojnych i kupców spojrzęło jednak w stronę czarnego wojownika i kiwnęło mu głową. Choć nikt tego jawnie nie okazywał, berserk zdobył sobie szacunek.

23

Biegli, ciesząc się wolnością.

Czuli się jeszcze za słabi, by mknąć w gałęziach drzew, jak na

drapieżnego ptaka przystało. Ale używanie pokracznych ludzkich nóg też było dobre. Było tylko poczuć wiatr we włosach i zmęczenie w mięśniach.

Rano wytarzali się w rosie i napoili wodą ze strumyka. Potem upolowali zająca, wypili jego ciepłą krew i zjedli na surowo mięciutkie mięsko. Powoli nabierali sił.

Pędzili, chcąc prześcignąć myśli. Skupiali się na bólu i miarowym oddechu. Ich ręce i nogi musiały nabrać krzepy.

Cel był nieistotny. Ważny był sam bieg, który zwykle pomagał im opanować wściekłość. Ale nie tym razem. Każda część ciała i oba duchy zamieszkujące głowę odczuwały gniew. A las lękał się ich bitewnej złości. Zraniony hamramir jest groźną bestią, zatem mieszkańcy puszczy, zabierając mu oko, powinni przewidzieć, na jaką odpłatę się narażają.

Przez dwa ostatnie dni władał nimi hamask. Hedin był wtedy głęboko schowany w ich głowie, a ciałem rządził Haukr i jego bestialski szal. Nie wiedzieli, co się wtedy z nimi działo, a gdy człowiek przestał się ukrywać, okazało się, że nie oddalili się zbyt daleko od obozu tańczących wojowników.

Dzisiaj Jastrząb i Płaszcz byli na tyle spokojni, by przemyśleć minione zdarzenia. Zostali osądzeni, uwolnieni i wykluczeni z bractwa. Berhedin powiedział im, że człowiek stłamsił w sobie bestię, dlatego Haukrhedin przestał być hamrarmirem. Ale przywódca tańczących wojowników nie miał racji. Ptak i wojownik nigdy nie czuli ze sobą takiej bliskości. Nienawiść zespoliła ich duchy.

Największą niechęć czuli do Kola Małego, który rozkazał im zgładzić chłopca. Gardzili też swoimi byłymi braćmi, gdyż ci stali się wiernymi kundlami ze sfory konunga. To Hedina skazano za zdradę, choć przecież Płaszcz nie zrobił niczego przeciw członkom bestialskiego drottu. Za to hamramirzy zostawili go wiszącego na drzewie i pobiegli wykonać kolejne zachcianki swojego pana. Człowieka.

Haukr i Hedin zabrali chłopcu życie, ale mogli mu coś dać w zamian. Zemstę. Wszyscy, którzy przyczynili się do śmierci Graniego, będą cierpieć katusze. Stracą to, co mają najcenniejsze. Tylko kto był winny?

Hamramirzy, kagan? Tak. Oni na pewno. Choć zrobili tylko to, co musieli i co dyktowała im zwierzęca natura lub ludzka chciwość. Czy więc wilk ma być winny zabicia owcy? Tylko wobec baranów.

Nie! Wina nie jest ważna. Chodzi nie o nią, tylko o zemstę. O pomszczenie krzywd. Czemu więc nie zabić ich wszystkich? Dlaczego nie urządzić rzezi całych wiosek i grodów? Ilu było obojętnych na los kupieckich synów? Ilu siedziało w domach i udawało, że nie obchodzi ich, co się dzieje w Halli Drzewa?

Tego, który ich ścigał, słyszeli już od jakiegoś czasu, choć jemu zapewne się wydawało, że porusza się bezszelestnie. Jastrzębie może i nie mają węchu, ale słuchu i wzroku zazdrości im każde zwierzę. Jeden z hamramirów podążał ich śladem.

Gdyby zechcieli, zdołaliby mu uciec, nawet pobici i głodni.

Usłyszeli odgłos łamanej gałęzi i plusk wody. Prześladowca dotarł już do strumyczka, który oni zwinnie przeskoczyli w południe.

Wsłuchali się w miarowy tupot ciężkich butów uderzających o ziemię. Tylko jeden z hamramirów miał buty podkute żelazem i poruszał się tak ociężale.

Pozwolili dogonić się pod wieczór, a wcześniej po to tylko uciekali, by podrażnić ścigającego.

Urrhedin wybiegł spomiędzy drzew i choć próbował ukryć zmęczenie, jęzor wisiał mu prawie do pasa, a szeroka pierś wydymała się przy każdym oddechu. Tur był silny i nawet dosyć szybki, ale tylko na krótkich odcinkach. Podczas długich przebieżek powłóczył chudymi nogami wolno niczym wół.

Nie było potrzeby pytać, po co ich gonił. Prześladowca odpiął od pasa kiścienie, przywiązał ich rzemienie do nadgarstków i opuścił żelazne kule na leśną ściółkę. Zadudniły i wyrzuciły w górę drobinki ziemi oraz zeszłoroczne igły. Haukr i Hedin wiedzieli, że hamramir nazywa swoją broń rogami.

– Długo kazaliście na siebie czekać. Może chcecie odsapnąć przed

walką?

Tur prychnął i głośno wciągnął powietrze nosem, którego przegrodę ozdabiał złoty kolczyk.

– Wy, ptaszki, lubujecie się w tchórzliwych ucieczkach. Ale teraz mamy was w garści.

Człowiek i Jastrząb obnażyli szpony. Chwycili za rękojeści saksów, mierząc sztychami w ziemię. Zaczęli krążyć wokół przeciwnika.

– Las wydał swój wyrok i puścił nas wolno. Ale wy nadal chcecie naszej krwi.

– Jesteście wolni. Ale my nie jesteśmy już braćmi. Cóż więc stoi na przeszkodzie, byśmy się trochę pokaleczyli?

Nic nie stało na przeszkodzie.

Urrhedin podniósł kiścienie, nawijając sobie więcej rzemienia na nadgarstki. Lewą kulę rozkołysał stopę nad ziemią, a prawą zaczął zataczać kręgi nad głową. Ugiął nogi i pochylił łysy łeb.

– A gdzie wasi bracia? – zapytał Jastrząb, obserwując świszczącą broń. Nie raz widzieli miażdżone nią czaszki.

– Zapewne ucztują na zwłokach waszych nowych przyjaciół. Jak nisko trzeba upaść, by bratać się ludźmi?

Uderzenie przyszło bez ostrzeżenia. Kula krążąca nad głową Tura zmieniła tor i pomknęła w stronę Haukra i Hedina. Zwinnie uskoczyli i żelazo uderzyło w drzewo. Od pnia odpadły kawałki kory.

– Daleko im do zwykłości. Krzyk Göllnira często miesza im w głowach – odpowiedzieli i spróbowali podrapać wroga szponami.

Urrhedin zrobił krok w tył i zamachnął się lewym kiścieniem. Jastrząb i człowiek przeskoczyli nad kulą lecącą na wysokości kolan.

– To tylko sługusy Tirusa, który myśli, że da się obłaskawić bestie.

Haukr i Hedin przez cały czas byli w ruchu. Robiąc uniki, przeskakując nad gałązkami i zataczając saksami wzory w powietrzu, wspomnieli swoich niedawnych towarzyszy. Widzieli ich ostatnio w Halli Drzewa i od tej pory nie mieli o nich żadnych wieści. Ich drogi się rozeszły, a Jastrząb

i Płaszcz nie odczuwali potrzeby, by podążać ich tropem. Pewny siebie Ainar, złękniiony swoim gniewem Ali i przebiegły Alosza dobrze ich jednak traktowali. Przyjęli do swego stada. Dlatego Haukr i Hedin mogli się przynajmniej dowiedzieć, co spotkało nowych braci.

– Zatem wygrali zawody?

– Tylko głupcy łądzą się, że można tego dokonać. Blamad przeżył już dwie próby, ale w trzeciej poległ. Skald i Vindmad też długo nie pożyją. Ukradli córkę Panu na Drzewnym Siedzisku, więc nasi bracia ruszyli za nimi w pościg.

Urrhedin spróbował kolejnego ataku. Zaczął coraz szybciej machać prawym kiścieniem, a kiedy kula rozmyła się w powietrzu, wyprostował rękę.

Haukr i Hedin pochyłili się i żelazo przeleciało im nad głową. Za późno się zorientowali, że to była zmyłka. Tur trafił ich w brzuch lewą kulą. Na szczęście zdążyli się odchylić, więc cios nie zmiażdżył im wnętrzości. Padli na plecy i zrobili przewrót w tył. Tam gdzie jeszcze przed chwilą były ich kolana, uderzył prawy kiścień. Haukr i Hedin powstali i schowali się za drzewem.

– Nie uciekniesz, ptaszyno. Wkrótce dołączysz do towarzyszy.

– My nie uciekamy, choć potrafimy szybko biegać. Nie to, co Tur, którego zostawia się na tyłach.

Pamiętali, że zawsze gdy bractwu się spieszyło, zostawiano Urrhedina w odwodzie. Jastrząb i człowiek nie dziwili się więc, że i tym razem ociężały byk został pilnować obozu, gdy reszta ścigała Ainara.

– Och, chcieli nas ze sobą zabrać – odparł Tur. – Cóż to bowiem za wyścig, gdy przeciwnikami są ludzie? Ale postanowiliśmy, że nasze dwa duchy i jedno ciało powinny być świadkiem leśnego sądu nad wami. I zostać waszym katem, jeśli bestie boru postanowią was oszczędzić. Jesteśmy wdzięczni nornom, bo dawno już nie spotkaliśmy przeciwnika wartego wyciągania kiścieni.

Haukrowi i Hedinowi również miłe były pojedynki. Człowiekowi

przywodziły na myśl zmagania o honor, sławę i monety, a Jastrzębiowi przypominały powietrzne walki o prawo pokrycia samicy. Krwawe *einvig* między hamramirami były rzadkością i odbywały się niemal wyłącznie podczas rytuału dołączenia do bractwa. Miały tylko jedną zasadę. Walka musiała się toczyć na śmierć i życie.

Jastrząb i Płaszcz wyszli z ukrycia i rzucili się na przeciwnika. Zanurkowali pod prawym kiścieniem, uchylili się przed drugą kulą, która otarła im bok. Znaleźli się przy udzie Tura, wbili w niego szpony i szarpnęli. Krew trysnęła na spodnie i czarny kubrak Urrhedina. Ale nie starali się zadać zbyt głębokiej rany, nie chcieli jeszcze zarzynać zwierzyny.

Odskoczyli poza zasięg kiścieni. Tur zaryczał.

Zraniony byk szarżuje bez opamiętania, ale potężnemu odrmadowi udało się powstrzymać szal. Zmienił za to sposób walki – prawą kulą nie wymachiwał już nad głową, a zaczął nią zataczać kręgi wzdłuż boku ptasiego hamramira. Lewy kiścień natomiast ujął w dłoń, czekając na okazję do rzutu.

Człowiek i Jastrząb czekali na ruch przeciwnika. Wrócili do okrążania byczego szaleńca. Tur był jednak sprytny i trzymał się ich lewej strony, tej pozbawionej oka.

– Co się stało? Ptaszek cię dziobnął?

– Sprzeczka między braćmi.

Haukr i Hedin zamarkowali wypad z prawej, ale pomknęli w lewo. Zrobili przewrót w przód, zerwali się na nogi i dziabnęli przeciwnika w zad. Tur obrócił się i kopnął ich kolanem pod żebra. Polecieli i wylądowali trzy kroki dalej.

Poderwali się z ziemi, zniknęli za spróchniałym jesionem, a wynurzyli się zza dębu, mierząc szponami w plecy wroga. Urrhedin obrócił się i rzucił lewą kulą. Odchyłili się. Żelazo, szarpnięte przez ramię, zatrzymało się dwa palce od ich twarzy. Cięli w trok i kula z hukiem spadła na ziemię. Tur został z jednym rogiem.

Byk ponownie zaryczał i tym razem nie zdołał się uspokoić. Zawładnął

nim hamask, co widać było po przekrwionych, nieobecnych oczach bestii. W takim stanie Urrhedin walczył bezmyślnie, ale nadrabiał zaciekłością i krzepą. Zasypał ptasiego odrmada lawiną ciosów. Nie celował. Chciał po prostu zniszczyć wroga samą siłą uderzeń. Większość z nich kruszyła pnie, łamała gałęzie i odciskała dziury w ziemi, ale jeden czy dwa razy kula dosięgła ramienia ptasiego szaleńca. Coś trzasnęło w pokraczynym ludzkim skrzydle, ale nadal był w stanie nim ruszać.

– Oddaj mi się – Haukr jazgotał Hedinowi w głowie. Była to pokusa, której uwielbiali ulegać. Walka jest tym, co czyni człowieka mężczyzną, a zadawanie śmierci tym, co czyni mężczyznę bestią. Pozwolili, by zalało ich czerwone morze gniewu.

Człowiek znalazł schronienie na dnie ich głowy. Był już tylko Jastrząb i Tur.

Haukr dziabnął, dziobnął i dźgnął. Urr uderzył, ubódł i ukuł. Dwie bestie zapląsały, chcąc pokaleczyć się na śmierć.

Jastrząb zaorał szponami ścięgną w lewej nodze Tura i zarysował mu kość w prawej ręce. Rogaty hamramir zaczął kuleć i pocić się ze zmęczenia, ale odpłacił się ciosem w brzuch. Ptasi wojownik plunął krwią.

Haukr usłyszał poruszenie trawy, gdy Urr zarył okutym butem w ziemię i zerwał się do szarży. Zaraz potem ptasi drapieżca dostrzegł, że przeciwnik odrzuca róg, pochyła masywną głowę i mierzy nią prosto w jego pierś. Nie zdołał się uchylić. A może wcale nie chciał. Okrągły łysy łeb, twardy niczym żelazo, uderzył go w mostek, a potężne łapy objęły w pasie i uniosły nad ziemię.

Tur pobiegł, niosąc Jastrzębia na swoim czerepie. Dziwaczny ten lot trwał dwadzieścia wolnych oddechów. Gdy jednooki poczuł na plecach uderzenie pnia, użył szponów. Bo on, w przeciwieństwie do głupiego byka, nie rozstał się z bronią. Wbił oba saksy w ramiona osiłka, ale nie na tyle głęboko, by przebić je na wylot i sięgnąć pach. Unieszkodliwił go tylko, bo chciał popatrzeć, jak gniew i życie ulatniają się z byłego brata.

Uścisk zelżał, ale Urr nadal trzymał. Haukr czuł jego gorący oddech na swoim brzuchu i słyszał cichy ryk, pełen bólu i bezsilnej złości.

Nawet hamramira muszą kiedyś opuścić siły. Tur padł ciężko na ziemię, a Jastrząb lekko spadł na leśną ściółkę.

Gorąca krew smakuje najlepiej. Ptasi odrmad oblizał szpony i ślinka pociekła mu na myśl o świeżej, parującej wątróbce wyrwanej wprost z byczego brzucha.

– Zostaw – zepsuł wszystko Hedin, gdy Haukr szykował się do wycinania smakowitego kęsa.

Człowiek wyszedł z ukrycia i znów było ich dwóch w jednej głowie.

– Musimy się zastanowić, co zrobić – odezwał się Płaszcz.

– Zarznijmy go – odpowiedział Jastrząb. – Zasady einvigi są jasne. Porażka jest śmiercią.

– Nie jesteśmy już hamramirom braćmi. Ich prawa nas nie dotyczą.

– Zasłużyli na śmierć. Tur i człowiek chcieli walczyć i przegrali. Pragnęli też, byśmy zginęli na sznurze. I wraz z innymi przysłali do nas chłopca.

– Prawda to.

– Na co więc czekamy?

Hedin sam nie wiedział, czemu się waha. Jeszcze przed chwilą chciał zabijać, kłuć, dźgać i zarzynać. Ale teraz, patrząc na dogorywającą bestię, pomyślał, że to i tak nic nie zmieni. Śmierć rozwiązuje problemy, ale tylko tego, kto umiera.

– Zapytajmy Göllnira – zaproponował.

Rozejrzeli się i szybko znaleźli to, czego szukali. Zerwali stokrotkę i usiedli na wykrwawiającym się Urrhedinie.

– Dobić – powiedział Jastrząb, wyrywając pierwszy płatek.

– Nie dobić – rzekł człowiek, wyrywając kolejny.

– Dobić.

– Nie dobić.

– ...

– Rrrmuuu! – ryczał, a może bardziej muczał Tur.

A oni dalej pytali, aż na kwiatku nie został ani jeden płatek.

– Göllnir mówi, że dawni bracia mają pecha – Haukr i Hedin ogłosili wynik wróżby. – Straciecie dzisiaj kolczyk, a padlinożercy zdecydują o waszej doli.

Sięgnęli po złotą ozdobę i szarpnięciem wyrwali ją razem ze sporą częścią nosa. Urrhedin tylko trochę głośniej zamuczał, bo nie miał siły protestować.

Jastrząb i Płaszcz schowali ozdobę do woreczka na szyi i odeszli na wschód.

24

Gdy tylko słońce rozpoczęło swoją odwieczną ucieczkę przed wilkiem, oświetlało pozostałości po tych, którym nie dane było dożyć poranka.

Pozostałości owe były rozczłonowanymi trupami. Ofiary nie ginęły w sposób czysty i chwalebny – nie padały w walce, rzucając obelgi w twarz przeciwnika. Włócznia, miecz, maczuga i topór, które odbierały im ostatni oddech, wyłaniały się za ich plecami, a niosły śmierć w ciszy i ciemności, przynosząc hańbę tak poległym, jak mordercom. W stronach Ainara taką zbrodnię nazywano skammarvigiem – hańbiącym zabójstwem – a tego, kto ją popełnił, uznawano za najpodlejszego nidinga, nikczemnika, któremu honor i sława są całkowicie obce. Poległym w ten sposób nie można było współczuć, bo dali się przecież zarżnąć niczym kobiety lub cielęta, nie broniąc się i nie dobywając broni. Dla tych zaś, którzy pokazują plecy swoim wrogom, nie było miejsca przy stole Valfuda, choćby sami nie byli winni takiemu rodzajowi własnej śmierci.

Hamramirzy mieli jednak swoje prawa. Nawet mord dokonany w ciemnościach nie mógł sprowadzić na nich hańby, bo przecież nigdy nie

mieli żadnego honoru. Cieszyli się też przychylnością Göllnira, a że jego krzyków bali się i bogowie, i ludzie, przymykano oczy na nieczne czyny bestialskich wojowników, podziwiając ich skuteczność i biegłość w zadawaniu śmierci. Gardarikanie nie zdawali sobie sprawy z tych wszystkich rzeczy, a choć ich wierzenia były nieco podobne do wierzeń ludzi Północy, nie mieli żadnego zrozumienia dla postępowania zmiennokształtnych drengów. Nazywali ich więc bękartami wilczej suki zgwałconej przez sforę zdziczałych, bezpańskich kundli. I powtarzali to ze strachem i odrazą za każdym razem, gdy odnajdowali ciała pozbawione rąk, dłonie pozbawione palców, głowy z wydlubanymi oczami i wybebeszone brzuchy.

Oddział Gardarikan stracił pierwszych wojowników jeszcze pierwszego dnia, w sabbat. Spośród tych zbrojnych, którzy wyruszyli w pościg za szaleńcami, nie wrócił co trzeci. Pozostali opowiadali o potworach zeskakujących z drzew i wyłaniających się spod ziemi. Wąsacz zareagował szybko i mądrze. Zarządził natychmiastowy powrót do Dyragardu, bo przecież i tak działali już więcej, niż mieli w planach.

W dzień, gdy galopowali przez step, było bezpiecznie.

Noce okazały się wszakże złym snem wyjętym z głowy odrmada. Nie można było spać, bo cały czas słyszano kwik Dzika, ryk Niedźwiedzia, wycie Wilka i pomruk Rysia. A także złowieszcze krakanie.

Krwawe ochłapy ludzkich ciał leżące w wysokiej trawie, zaroślach oraz w błotnistych kałużach przyciągały chmary czarnych posłańców śmierci. Daniami ptaków byli zwykle wartownicy, ale zdarzały się również mięsne potrawki z tych, którzy za bardzo oddalili się od ogniska.

Ptaki odganiano, ale niedługo wracały i leciały za jeźdźcami niczym upiorny korowód kristmadzkich żałobników. Wrony i kruki były jednak szlachetniejsze od wyznawców Krista, gdyż bardziej interesowały się samym zmarłym niż tym, co posiadał za życia. Gardarikanie nie potrafili jednak docenić ptasiego uwielbienia ludzkiego ciała i złośliwie palili zwłoki, lekceważąc wszelkie kraczące protesty. Zatem jedyną pociechą padlinożerców były te kęski, które nie zostały znalezione przez ludzi.

Oczywiście bogatyrzy próbowali przeciwdziałać conocnym morderstwom. Igor każdego ranka wysyłał ludzi, by wytropili hamramirów, lecz podjazdy albo szybko wracały, gdyż ślad odrmadów się urywał, albo nie wracały wcale, wpadając w pułapki bestialskich drengów, zastawiane w wysokiej trawie stepu. Przywódca zaprzestał więc zwiadów i nakazał podróżować nawet w nocy, jeśli księżyc i gwiazdy były dla nich łaskawe.

Jednak ataki cały czas się powtarzały, a Dirowicz nieustannie mrucał pod nosem przekleństwa i podkręcał wąsa, nie mogąc się nadziwić, jakim sposobem piechurzy dotrzymywali kroku konnym.

Potem było jeszcze gorzej.

By dotrzeć do Dyragardu, musieli kierować się na północ i przejechać przez gęsto zalesione tereny. Tam zaś nawet w dzień zdarzały się ataki, więc wódz junaków zrezygnował z przedniej i tylnej straży, nakazując podróżować wszystkim w jednej grupie. Utworzono szeregi po czterech jeźdźców, z których środkowa para trzymała nastawione włócznie i obnażone miecze, a skrzydłowi dzierżyli przygotowane do strzału łuki. To spowolniło jazdę, ale zdecydowanie ograniczyło straty. W końcu udało im się dotrzeć nad Itil.

Koryto rzeki chroniło ich z lewej strony, a po prawicy las zamienił się w przybrzeżne krzaki, więc zrobiło się w miarę bezpiecznie. Ludzie mogli trochę odetchnąć i z mniejszym strachem kładli się spać przy ognisku.

Żaden Gardarikanin oczywiście nie przyznał, że wcześniej odczuwał strach i gotów był wyrznąć w mordę każdego, kto twierdziłby inaczej. Zresztą przez całą podróż zbrojni Tirusa starali się zachować opanowanie. Śmiali się do rozpuku z rubasznych opowieści i obficie popijali miodem udawaną wesołość. Ale tak naprawdę wszyscy zazdrościli Skaldowi, który jako jedyny przesypiał całe noce i nawet w siodle zdarzało mu się drzemać.

Ainar lubił mitrężyć czas, ale nigdy nie marnował go na zbędne lękanie się niebezpieczeństwa. Człowiek o jego umiejętnościach nawet w chwilach bezczynności potrafił się rozerwać, układając strofy w głowie, przypominając sobie miłosne zapasy z męzałkami lub rzeźbiąc w drewnie. Tym razem czas podróży minął mu jednak głównie na dochodzeniu do

siebie. Kiedy w sabbat odcięto go z gałęzi, był tak słaby, że ledwo stał na nogach. Ludzie Igora musieli przywiązać go do siodła, by nie spadł w drodze. Po zmroku stawał się natomiast tak senny, że zasnąłby nawet w gawrze z zimującym niedźwiedziem. No może z niedźwiedzicą, bo zwykł sypiać tylko z kobietami.

Jak na węgłozercę przystało, swoje posłanie rozkładał zawsze przy ognisku. Ze względu na nocne zabójstwa było tam tłoczno, ale zawsze potrafił znaleźć miejsce, bo nikt oprócz niego nie miał odwagi spać tak blisko płomieni. Dlatego też co rano wstawał z osmolonymi brwiami i przypalonymi nogawkami.

Gorąco, jakie co noc wlewało się do jego ciała, gasił miodem, którym częstowali go gardarikańscy Vindmadowie. Szybko zdobył ich uznanie, zdradzając im znane na Północy porzekadło, że prawdziwy dreng jest niczym dąb lub jesion, który nie tylko łączy ziemię z niebem, ale potrzebuje być ciągle podlewany, by móc pewnie stawać do boju. Odrzekli na to, że przecież pewność kroku i ręki nie idzie w parze z zapitą głową, ale wyjaśnił im, że choć drzewo chybocze się podczas wichury, to jednak nie daje się łatwo złamać. Bogatyrzy zaśmiali się wtedy i wznieśli niezliczoną ilość toastów wielbiących mądrość i natchnienie ukryte w miodzie. Tak poeta zdobył sobie wierne grono słuchaczy i nie zaszkodziły mu nawet kłamstwa Aloszy, który próbował wszystkich przekonać do swojej wersji minionych wydarzeń.

Okazało się bowiem, że wysłannik veche miał jad nie tylko na strzałach, ale i na języku. Zarzucił pieśniarzowi, że ten nic nie zrobił w sprawie Ingigerdy, a tylko dwukrotnie dał się porwać. Skald pogłodził go za to pięścią po pysku, ale Gardarikanie rozdzielili walczących, zanim doszło do poważnej bójki. Jakkolwiek by patrzeć, ludzie Igora mówili w tym samym języku co Czuryłowicz, choć wyraźnie za nim nie przepadali i chyba należeli do innego ludu vindmadzkiego niż łucznik. Zniechęcili go jeszcze bardziej, gdy Ainar wyjawiał im prawdziwy przebieg wydarzeń, a przynajmniej taki, jaki zamierzał utrwalić w dwudziestoczterozwrotkowej drapie, którą układał. Opowiedział zbrojnym, jak to z Alim Czarnym

Berserkiem przechytrzyli kagana, przekonując Ingigerdę, by sama uciekła od ojca, tylko dla niepoznaki biorąc Skalda w niewolę. Nie zapomniał wspomnieć, jak własną piersią chronił rudą przed łowcami niewolników i jak własnoręcznie – oraz bez broni – ukatrupił trzech Tattarów. Pochwalił się też, że przekonał konio-ludzi, by nie tknęli dziewczki, gdyż jako dziewczica jest więcej warta. I jak Chazarowie ukarali go za próbę uwolnienia przyszłej żony Tirusa. Z rozmysłem nie poskarżył się na zdradziecki czyn Aloszy, bo bycie przechytrzonym przez truciela nie przydałoby mu sławy. Za to wygłosił ludziom Dirowicza całą zwrotkę o tym, jak oszukał hamramirów w kwestii swojego imienia:

Skald zagadkę stworzył
zgubną dla zakały wojny
miodem Mimira niepojonego.
Hamramir chwalcący się
chytrością i myślenia chyżością
pobłądził, po pniach się pnąc.

Nikt – oczywiście z wyjątkiem Czuryłowicza – nie ośmielił się podważyć jego słów, a to za sprawą Ingigerdy, która słuchając opowieści poety, trzepotała rzęsami, rumieniła się i kiwała głową, wzdychając: „Ach, prawda to, prawda!”.

Dreng winien wiedzieć, co kryje się pod kobiecą spódnicą, ale co lęgnie się w jej głowie, zgadnąć może tylko druga niewiasta. Ainar nie wysiłał się zatem, by przeniknąć tajemnice rudej, zwłaszcza że jej postępowanie wymykało się każdemu rozumnemu wnioskowaniu. Ale jeśli miałby zgadywać, to podejrzewał, że chciała za wszelką cenę skłócić go z veche. Nie miał jednak pojęcia dlaczego.

Dziewiątego dnia od krwawego sabbatu dotarli w pobliże Dyragardu. Poeta dowiedział się od Igora, że gdy jego oddział opuszczał gród, liczył sobie trzy tuziny mężczyzn. Teraz pozostała ich ledwie połowa. Wraz ze zbrojnymi do gardu Tirusa przybyli też uwolnieni niewolnicy, którzy z lęku

przed hamramirami woleli się nie odłączać.

Dirowicz wysłał posłańca, który powiadomił kagana, iż wiozą mu małżonkę. Ten sam człowiek szybko wrócił i przekazał słowa konunga: „Czekać przed gardem, aż wyjdę wam na spotkanie”.

Ainar zapytał dowódcę jezdnych, czemu mają sterczeć pod bramą niczym zmoczone kundle skamlące na progu o łaskę gospodarza, a kiedy dowiedział się, że chodzi o godne przywitanie małżonki przez władcę, zażądał, by mógł osobiście oddać Ingigerdę w ręce kagana. Bogatyry nie chcieli na to przystać, napominając Vaeringa, że w swoich łachmanach wyglądał jak włóczęga, a świeże rany na twarzy dodawały mu uroku trupa po spotkaniu z bitewnym młotem. Ale Skald uparł się, bo dobrze wiedział, że właśnie osobie, która będzie prowadzić córkę Kola, ludzie przypiszą wszelkie zasługi związane ze zdobyciem żony dla konunga. Gardarikan w końcu ustąpił i nawet użyczył mu czerwonego płaszcza, by Östmað godnie wyglądał, stając przed obliczem władcy.

Tirus nie spieszył się z powitaniem, kazał im czekać do popołudnia. Może ma nadzieję, że przez ten czas urośnie i będzie się lepiej prezentował przed narzeczoną? – pieśniarz zadrwił w myślach. Jeśli rzeczywiście takie były zamiary kagana, na niewiele się zdały. Gdy późnym popołudniem władca wyszedł przed bramę, był tego samego lichego wzrostu, co wcześniej. Nadrabiał jednak ten niedostatek przepychem.

Tirusowi towarzyszył orszak, którego nie powstydziliby się Göllnir, harujący po niebie z disami i andimi w długie zimowe wieczory. Na czele pochodu kroczył przyboczny grid, a każdy z drengów miał na sobie lśniąca kolczugę, świeżo pomalowaną tarczę i długą włócznię błyszczącą naostrzonym grotem. Za drużynnikami podążały służki w białych sukniach i z koszami wypełnionymi kwiatami. Następnie szli dwaj chłopcy o ciemnej skórze. Blamadowie ubrani byli tylko w przepaski biodrowe i prowadzili na postronkach pasiaste konie. Zwierząt dosiadały dziewczyny w zielonych sukienkach. Ich długie blond włosy były trzymane w ryzach przez wianki z polnych kwiatów. Panny jechały na oklep i Ainar gotów byłby oddać dzień życia, byle tylko móc wybrać się z nimi na wspólną przejażdżkę.

Gotowość ta nie trwała jednak długo, bo nie zamierzał płacić za coś, co mógł zdobyć za darmo.

W oczach stworzeń, które stąpały za dziewczynami, dało się dojrzeć to samo pożądanie, co u Skalda, ale obiektem ich zainteresowania były nie dziewczyny, tylko ich niezwykle koniki. Dwa duże koty o prążkowanym futrze prowadzone były na srebrnym łańcuchu przez samego kagana. Zwierzęta pomrukiwały głośno, ale szły dostojnie i spokojnie, uległe wobec swojego pana.

Władca odziany był w ozdobny płaszcz podszyty futrem i czerwoną koszulę wyszywaną na rękawach złotymi nićmi, a na piersi ozdobioną przedstawieniem ryczącej paszczy wąsatego kota. Na szyi miał złoty wisiołek w kształcie głowy dziwnego stworza o wielkich kapuścianych uszach i długim węzowym nosie. Najbardziej osobliwą część stroju nosił jednak na głowie. Był to hełm ze złotymi rogami. Ainar nie rozumiał, po co ktoś miałby się upodabniać do krowy i niszczyć bojową przydatność żelaznej czapy. Rogi osłabiały przecież konstrukcję hełmu, zwiększały jego wagę i dawały nieprzyjacielowi możliwość chwytu, którym mógł skrócić kark właścicielowi metalowego nakrycia głowy.

Gdy pochód zbliżył się do ludzi Igora na odległość dwudziestu kroków, przyboczni drengowie zatrzymali się i rozstąpili, tworząc korytarz. Na ten znak do przodu ruszył Ainar, trzymając w prawicy lewą dłoń Ingigerdy. Kiedy podeszli do zbrojnych, służki zaczęły sypać kwiaty pod ich nogi. Skald uważał, że to zbyt cenny gest, ale docenił, że okazują mu takie uwielbienie. Kwiecistym traktem dotarli przed oblicze kagana i pozdrowili go skinieniem głowy – lekkim poety i głębszym narzeczona.

– Wielki i potężny władco Glaesiru, któremu gwiazdy oddają cześć swoim blaskiem, a Księżyc ucieka z nieba, zawstydzony twoją dostojnością, gdy wstajesz o poranku. Przywiodłem ci wybranek, kwiat Wschodu, najcenniejszy klejnot Austrvegu. Przedstawiam ci Ingigerdę Złotowłosą!

Tirus Wielki spojrzał krytycznie na dziewczynę, zapewne zawiedziony tym, że nie widzi jej osławionych złotych włosów. Jeśli miał do siebie żal,

że wcześniej nie wysłał swojego człowieka na oględziny wybranki, nie okazał tego po sobie. Uśmiechnął się i kiwnął palcem stojącemu z tyłu niewolnikowi. Ten zrobił krok do przodu, zrównał się z kaganem i otworzył trzymaną w rękach dębową szkatułkę. W środku znajdował się złoty wisiołek w kształcie ptasiej głowy o szafirowych oczach.

– Witaj w domu, moja pani. Przyjmij ten skromny podarek, mający podkreślać twoje piękne złote włosy, które nieco ściemniały przez podróży pył.

Dziewczyna zrobiła to, co umiała najlepiej. Oczarowała kolejnego mężczyznę. Uśmiechnęła się niewinnie, oblała wstydlwym rumieńcem, a ciepłym głosikiem, który u każdego drenga wywoływał chęć przytulenia tej bezbronnej istoty – chęć zmieszana z pragnieniem wyruszenia dla tej pannicy na wyprawę po smoczy skarb – powiedziała:

– Wybacz, kaganie. W szesnaste urodziny złożyłam śluby Gefnie, że prawdziwy kolor mych włosów zobaczy dopiero mój mąż. Wszystko po to, bym mogła nierozpoznana dotrzeć do ukochanego pana.

Skald w myślach pogratulował Ingigerdzie giętkości języka.

Konung, który chwalił się wiedzą pozwalającą przewidzieć ruchy gwiazd na niebie, speszył się jak wyrostek i odpowiedział, pozbywając się z głosu wszelkich śladów złościwości:

– Pani, o twoją urodę zazdrosne być powinny wszelkie disy, nieważne, jakiego koloru są dziś twoje włosy. Jestem zaszczycony twoimi słowami. Pozwolisz?

Nie czekając na zgodę, sięgnął po wisiołek, podszedł do wybranki i zawiesił ozdobę na jej szyi. Starał się jak mógł, by jego ruchy wyglądały dostojnie, ale zdaniem pieśniarza wyszło raczej śmiesznie, gdyż czubek hełmu kagana ledwie sięgał nosa dziewczyny.

Vaering pozwolił sobie na lekki uśmiech, a potem zmrużył lewe oko i podniósł prawą brew. Z bogiem Grimmirem dzielił niezwykłą umiejętność przywdziewania masek, z której korzystał zwykle wtedy, kiedy zamierzał wyprowadzić rozmówcę z równowagi. Teraz, z powodu sińców i strupów, jego twarz wyglądała jeszcze bardziej przerażająco i dziwacznie, przez co

przyciągała uwagę wszystkich członków orszaku, nie wyłączając konunga. Grunt to zostać zapamiętanym.

Skończywszy przystrajać wybranek, władca wręczył jej kolejny podarunek.

– Widzę, pani, że przybyłaś do mnie samotna. Przyjmij więc na służbę te dwie dziewczyny, które pochodzą z najznakomitszych rodów Dyragardu.

Wskazał na panny dosiadające pasiastych koni, a te zwinnie zeskoczyły na ziemię, podbiegły do Ingigerdy i uklęknęły przed nią na jedno kolano.

Córka Kola ani na chwilę nie wyszła ze swojej roli i po raz kolejny zatrzepotała rzęsami, onieśmielona hojnością przysłego męża.

– Jesteś dla mnie zbyt dobry, panie – odpowiedziała i gestem nakazała dziewczynom wstać.

Zadowolony Tirus wziął przyszłą małżonkę za rękę i cały orszak ruszył z powrotem w stronę bramy. Ainar wrócił po swojego konia i razem z bogatyrami Igora utworzył ogon pochodu.

Wiść o przybyciu małżonki kagana rozeszła się z szybkością knöra płynącego z wiatrem. Gdy narzeczeni weszli do dolnego gardu, powitał ich tłum wykrzykujących na ich cześć mieszkańców. Niektórzy rzucali im pod nogi kwiatki i kawałki jedwabiu. Na twarzach większości malowała się ciekawość i wesołość, choć nieliczni spoglądali na Ingrigerdę z podejrzliwością i niechęcią. Nie zapomniano również o tym, bez którego udziału nie doszłoby do sprowadzenia córki konunga. Kilkakrotnie wykrzyczano „Ainar Skald!”, choć Vearing uznał, że robiono to odrobinę za rzadko.

Tłum napierał, a w pierwszym szeregu, odwrotnie niż na wojnie, gniotły się ciekawskie baby, i to te najstarsze. Ustawieni po obu stronach pochodu gridini musieli robić użytek z włóczni – trzymając je w poprzek, dbali, by orszak nie został zgnieciony.

W górnym grodzie zrobiło się luźniej, gdyż strażnicy przy bramie nie wpuścili gawiedzi. Idących traktem z belek obserwowali więc jedynie ludzie z bezpośredniego otoczenia kagana: osobiści niewolnicy, ulubieni

rzemieślnicy i co znaczniejsi junacy.

Ingigerd była zachwycona – albo przynajmniej dobrze udawała – wspaniałościami tego miejsca. Wydawała z siebie „achy” i „ochy” na widok każdego dziwaczego drzewa czy osobliwego stworzenia sprowadzonego z Indialandu albo Blalandu. Kiedy mijali klatki z człekokształtnymi kudłaczami, zapiszczała ze strachu, a kiedy doszli do zagrody z konio-ptakami, zaklaskała z radości.

W końcu dotarli do wieży, gdzie zaprowadzono ich do przestronnej sali na pierwszym piętrze.

Pomieszczenie okazało się o wiele okazalsze od tego, które Ainar zwiedził podczas pierwszej wizyty w budynku. Była to sala, w której kagan rozsądzał spory, przyjmował gości i planował wojny. Jednym słowem: rządził. Łatwo było się tego domyślić po öndvegi – krześle dla władcy, stojącym na podwyższeniu pod północną ścianą. Oparcie dębowego siedziska ozdabiały płaskorzeźby dzikich zwierząt, a podłokietniki były zwieńczone przedstawieniami ryczących kocich łbów. Sala łączyła w sobie cechy budownictwa Vaeringów i Gardarikan. Przestronność była zgodna z duchem Północy, podobnie jak tarcze powieszona na ścianach i skóry porozkładane na podłodze. Z kolei cztery murowane ściany równej długości i brak ław do spania wskazywały na gardarikańską solidność w budownictwie i żołnierską surowość.

Kagan wszedł na podwyższenie i teraz rzeczywiście górował nad zebranymi. Dwóch czarnych chłopców, którzy poprzednio prowadzili pasiaste konie, usłużnie zdjęło płaszcz z ramion konunga i hełm z jego głowy. Władca spoczął na krześle i zaprotestował, gdy Ingigerd chciała pokornie przysiąść u jego stóp:

– Jesteś zbyt zmęczona podróżą, moja droga. Służki odprowadzą cię do sypialni.

Ainar znał dziewczynę wystarczająco długo, by zauważyć iskrę gniewu w jej oku. Ale reszta zgromadzonych dostrzegła tylko posłuszne skinienie głową i dostojny chód, jakim opuściła salę wraz z nowymi dwórkami.

– Teraz opowiedz mi wszystko o próbach – władca zwrócił się do

pieśniarza. – Szkoda, że nie mogłem zobaczyć miny Kola, gdy wygrałeś od niego córkę!

Skald zadumał się i zdrapał z brody zaschnięty strup. Fylgja szeptała mu do ucha, że powinien unikać tego tematu.

– Próby? Wszystko odbyło się zgodnie z planem i przywiozłem ci żonę. Szczegóły przedstawię w pieśni, którą właśnie układam. Obawiam się jednak, że będzie mi ją trudno ukończyć bez natchnienia, jakie daje odgłos sypanych na wagę złotych monet... – I dodał, przypominając obiecaną przez konunga nagrodę: – A Ingigerd, tak na oko, waży z osiem i pół kamienia^[11].

– Dostaniesz zapłatę. Wszystko w swoim czasie. Najpierw chcę dokładnie poznać przebieg wyprawy. Ale nie martw się. Na razie wystarczy mi zwykła opowieść, a nie poemat.

– Nie było żadnych prób! – krzyknął ktoś z tyłu.

Wszyscy obrócili się ku drzwiom i ujrzeli Aloszę w towarzystwie kilku starszych mężczyzn w pysznych płaszczach, którzy starali się przepchnąć przez sznur strażników.

– Wpuście ich! – rozkazał kagan.

Poeta domyślił się, co zaszło. Łucznik wprawdzie nie uzyskał posłuchu u ludzi Igora, ale gdy tylko dotarł do grodu, szybko porozumiał się ze starszyzną veche. Pieśniarz żałował, że nie zabił truciciela w trakcie podróży, jednak Czuryłowicz za dobrze się pilnował i zawsze starał się przebywać pośród Gardarikan. Zresztą Vaering nie sądził, by młodzian mógł mu poważnie zagrozić. Vindmad mógł co najwyżej postawić swoje słowo przeciw jego słowu, a wiadomo było, że to Skald jest mistrzem języka. No i miał jeszcze Ingigerdę po swojej stronie.

Starsi przybysze rzucili strażnikom pogardliwe spojrzenia. Z ich oczu dało się wyczytać poczucie wyższości i napomnienie: „Mówiliśmy, że to ważne!”. Podeszli do öndvegi, skłonili głowy, a jeden z nich, z potężną łysiną i złotymi kolczykami w uszach, powiedział:

– Nie słuchaj tego żmijowego języka, panie. Nasz wysłannik, który brał udział w wyprawie, powie ci, jak było naprawdę, albowiem to on wykazał

się męstwem..

– Zamilcz, Suchmanie – konung rzekł dosadnie, choć bez unoszenia głosu. – Wysłucham ich obu.

Złotouchy spuścił głowę, a władca zwrócił się do Ainara:

– Ciekawych rzeczy się dowiaduję. Opowiedz mi dokładnie, jak zdobyłeś dla mnie żonę, a potem wytłumacz, gdzie są Ali i Haukrhedin.

– Skoro nalegasz – usłudnie odparł Östmad. – Podróżowaliśmy wiele dni, wykazując się męstwem i zdobywając tirr, wieczną chwałę dla kagana, który nas wysłał. Po licznych przygodach stanęliśmy przed obliczem Kola Małego i zgłosiliśmy gotowość przystąpienia do zawodów. Słyszając, na czym mają polegać, tylko roześmialiśmy się z ich prostoty, a Ali i ja spieraliśmy się o zaszczyt wykonania prób. W noc przed pierwszą z nich przyszła do nas jednak Ingigerd i opowiedziała, że ojciec trzyma ją w domu wbrew jej woli i nie odda nikomu, nawet jeśli ten ktoś uczciwie ją wygra. Dziewczyna była nami tak zachwycona, że padła na kolana i błagała, byśmy zabrali ją do naszego władcy. Wszystkim jest bowiem wiadome, że męstwo drengów świadczy o wspaniałości tego, komu służą. Przekonywała, że najlepiej będzie uciec jeszcze przed próbami, kiedy ojciec nie będzie się tego spodziewał. Cóż mieliśmy zrobić? Zgodziliśmy się jej pomóc, a Ali wziął na siebie obowiązek zostania w Treborgu, by wyjaśnić Kolowi, że jego córka opuściła dom z własnej woli. Jeśli natomiast chodzi o Haukrhedina, to zaraz po naszym przybyciu udał się do swoich braci, by wyjaśnić z nimi jakieś zaszłości.

W oszukiwaniu Ainar dorównywał samemu bogowi Loptowi. Wiedział, że najlepsze kłamstwa to takie, które tylko przekształcają prawdę, a nie jej zaprzeczają. Kagan wcześniej czy później i tak by się dowiedział, że próby się nie odbyły, więc pieśniarz wołał, by usłyszał to od niego. W ten sposób łatwiej będzie go przekonać do własnej wersji wydarzeń.

– A co ty masz do powiedzenia, Alosza?

– Skald powiedział prawdę w tym samym stopniu, co morderca zarzekający się, że tylko skaleczył swoją ofiarę. Prób rzeczywiście nie było, ale to ja przekonałem Ingigerdę, by ze mną uciekła, a Vaeringa

związaliśmy i wzięliśmy do niewoli, by pokazać ci jego nieudolność.

– Ten młodzian miałby uwięzić mnie, wielkiego Ainara Skalda? Kto w to uwierzy? Każdy widzi, że chłopak umie tylko szyć z łuku z ukrycia i wykonywać rozkazy mądrzejszych od siebie.

Tirus zamyślił się, stukając palcami o poręcz krzesła. Pieśniarz zatańczył brwiami, pewny, że to jemu uwierzą wszyscy łącznie z władcą. I nie pomylił się.

– Skoro nasz gość z dalekiej Północy twierdzi, że to jemu winien jestem wdzięczność za przyprowadzenie żony, muszę mu wierzyć. Ale jestem przekonany, że Alosza nie tylko przyglądał się działaniu Skalda. Obaj zasługujecie więc na taką samą nagrodę. Zawieście na tej samej gałęzi, a wasze ciała zostaną ogryzione do kości przez smoki.

Uniesione brwi poety zastygły, a dłonie zacisnęły się w pięści. Widząc jego rosnący gniew, dwóch stojących nieopodal drużynników wymierzyło w niego groty włóczni.

Czuryłowicz był nie mniej wstrząśnięty. Popatrzył na starszyzną veche, szukając wsparcia, ale członkowie rady tylko pospuszczali głowy, unikając jego wzroku.

W końcu łucznik pokazał wszystkim, jak tchórzliwa drzemie w nim natura. Padł do stóp konunga i zaczął błagać jak kobieta:

– Ależ panie... Służyłem ci najlepiej, jak umiałem. Przyprowadziłem twoją wybrankę, tak jak chciałeś. Powiedz, czym zawiniłem, bym zrozumiał swój błąd i mógł służyć ci lepiej w przyszłości.

Kagan nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Utkwił za to wzrok w Ainarze.

– A ty nic nie powiesz, Skaldzie?

– Macie tutaj smoki? A myślałem, że Sigurd zarznął ostatniego^[12].

Tirus uśmiechnął się, unosząc prawy kącik ust, ale w tym grymasie mało było wesołości.

– Nie myśl, że bezczelnością kupisz sobie życie. Nie znam litości dla tych, którzy mnie zawiedli i nadużyli mojego...

– Skończ z tym. Lichy jest twój wzrost, nie ma więc co się dziwić, że brakuje ci szczodrości wielkiego władcy. Nieważne, jaki wykręt znalazłeś. Obaj wiemy, że po prostu skąpisz zapłaty. Bo ja wywiązałem się z umowy.

Konung grzmotnął pięścią w podłokietnik i zerwał się z miejsca. Wszyscy zgromadzeni w sali cofnęli się o krok i wstrzymali oddech, pragnąc ukryć się przed gniewem władcy.

– Zamilcz albo każę ci przebić język kołkiem! Nazywasz mnie skąpcem i łamaczem umów?! Przypomnij sobie zatem nasze ustalenia. Miałeś pojechać do Trebarga i przejść trzy próby! Myślisz, że obchodzi mnie jakaś głupia dziewczka?! Liczyło się tylko upokorzenie Kola! Wszyscy mieli zobaczyć, że czarownik Mödul nie jest sprytniejszy od moich ludzi, a osiłek z Trebarga nie jest tak niezwykły, jak mu się wydaje. A gdyby odmówił wam żony po wygranych zawodach? Tym lepiej. Wszyscy zobaczyliby, że jest wiarołomnym krzywoprzysięcą, więc składane mu przez poddanych przysięgi straciłyby ważność. Wtedy z łatwością zapanowałbym nad Odainsakiem, czy to przez małżeństwo, czy krótką wojnę. A tymczasem przez wasze głupie porwanie to ja wyszedłem na... – kagan zawahał się – ...kogoś, kto źle dobiera ludzi.

Pieśniarz nie dał się nabrać. Tirus Wielki wyszedł na łamacza umów, który pogwałcił zasady tej dziwacznej rywalizacji między władcami. Co zrozumiałe, nie chciał się do tego przyznać przed swoimi ludźmi. Vaering pomyślał, że konung sam jest sobie winien. Mógł mu przecież o tym wszystkim powiedzieć, zanim wyruszyli w drogę. Chociaż nie do końca – uświadomił sobie. W przebiegu zdarzeń przedstawionym teraz przez kagana były małe szanse na przeżycie zalotników, gdyby zatem poeta wiedział o tym wcześniej, nie zgodziłby się na udział w wyprawie. Na miejscu Tirusa zdradziłby plan tylko zaufanemu członkowi wysłanego drottu, czyli Alemu, a łatwowiernych głupków mających poświęcić życie na próbach nakarmiłby mrzonkami o łatwym zarobku. Östnad był wściekły, że dał się tak nabrać.

– Ostrzegałem cię, że ta sprawa jest delikatna niczym jajko! – wydierał się kagan. – A ty je rozbiłeś, by od razu dobrać się do żółtka!

I bez użycia siły skosztowałem zółtka twojej przyszłej żony – miał na końcu języka Ainar, wstrzymał się jednak, przypominając sobie groźbę przebiccia języka.

– Władco gwiazd i księżycy – odezwał się leżący na podłodze tchórz. – Uwierz mi! Nic nie wiedziałem o prawdziwym celu naszej wyprawy. Myślałem, że pożądasz tylko córki Kola, a jego samego zgładzimy w zbrojnym ataku na Treborg.

– Oczywiście, że nie wiedziałeś. Skald miał rację. Nadajesz się tylko do wykonywania poleceń. Twoja śmierć będzie ostrzeżeniem dla tych, którzy pchnęli cię do działania.

Konung zmierzył wzrokiem przedstawicieli veche, ale nikt z nich nie zdradził się nawet mrugnięciem oka, że był pomysłodawcą porwania. Poeta zrozumiał, że kupcy wysłali swojego przedstawiciela nie po to, by wziął udział w próbach, ale by doprowadził do wojny. Podejrzewał też, że rada od początku wiedziała, jak sprawa się skończy, i umyślnie poświęciła Aloszę. Nawet łucznik musiał zdawać sobie sprawę, że Tirus chce pokojowo przejąć Odainsak, lecz zapewne oczekiwał, że veche uratuje go przed gniewem kagana. Pieśniarz współczułby młodzianowi, gdyby nie to, że gardził głupotą.

– Jeszcze nie wszystko stracone – zapewnił Östmad, któremu opiekuńcza hamingja szepnęła pomysł do ucha. – Mówiłem już, że w Treborgu został Ali. Miał udobruchać Kola i przekonać go, by nie złościł się z powodu wyjazdu córki. Czarny Berserk mówił coś o pomysłe, dzięki któremu nie dojdzie do wojny – skłamał.

Władca usiadł z powrotem na swoim miejscu. Widać było, że uspokoił się na samą wzmiankę o Alim i jego tajemniczym planie, jakby oczekiwał, że Blamad rzeczywiście może rozwiązać sprawę.

– Przez wzgląd na to, że Ingigerd jest o wiele urokliwsza, niż oczekiwałem, odroczę wykonie wyroku. Jednak pętle będą na was czekać i z chwilą, gdy Kol Mały wyruszy na wojnę, zacisną się na waszych gardłach. Tak powiedziałem ja, Tirus Wielki, i nie ma od tego odwołania.

Czuryłowicz w podziękowaniu walnął czołem w drewnianą podłogę,

a Ainar zaczął obmyślać przekleństwo, jakie rzuci na oprawców tuż przed powieszeniem. Z pewnością padną tam słowa: „Karłowaty kagan, kulawe krowy kochający, którego kraj klątwa karmiciela kruków ukarze”.

25

Gra miała się zacząć o świcie, dlatego tuż przed brzaskiem przyszło po Alego dwóch zbrojnych Vaeringów i zaprowadziło go przed hallę, a dokładniej pod wieżę, w której rosło drzewo. Blamad wystarczająco długo przebywał z Ainarem, by wiedzieć, dlaczego właśnie to miejsce wybrano na rozgrywkę. Ludzie z Północy wierzyli, że pod korzeniami jesionowego pnia płynie źródło mądrości, które może ich natchnąć rozumem. A pomysłu był jedyną rzeczą, która umożliwiła zwycięstwo w szatrandżu.

Mödul już czekał. Siedział na jednym z dwóch ustawionych pod gołym niebem pniaczków i uśmiechał się przebiegle. Wokół zgromadził się niemal cały dwór, któremu nie przeszkadzała wczesna pora. Zjawił się oczywiście i kagan, który stanął za plecami karła. W długim zielonym płaszczu sam wyglądał jak dąb. Miejsce obok zajęła złotowłosa Rogneda w czerwonej lnianej sukni, której rękawy, rąbek i dekolty wyszyte były złotymi nićmi, tworząc ten sam wzór, który widniał na przepasującej ją szarfie.

– Wreszcie raczyłeś się pojawić – kagan przywitał zawodnika Tirusa.

Ali uklonił się z szacunkiem, zostawiając dla siebie cisnącą się na usta odpowiedź, że jego „raczenie” nie miało tu wiele do powiedzenia, a podziękowania należą się strażnikom.

– No, co tak stoisz? Siadaj i graj – zganił go karzeł, wskazując ręką wolny pniak.

Siedzisko było tak samo niskie jak to, na którym spoczywał Mödul. Gdy Blamad na nim usiadł, kolana miał tuż pod brodą, co zostało zauważone

i obśmiane przez zgromadzonych. Berserk nie przejął się niedogodnością, która bez wątpienia miała go wytrącić z równowagi. Wbił za to wzrok w tkaninę stanowiącą planszę do gry.

Niewielki kobierzec rozłożony został wprost na trawie, pomiędzy zawodnikami. Była to drogocenna materia, warta pewnie trzech ogierów z Serklandów. Na jej brzegach wyszyto zieloną nicią pnącze z liśćmi o różnorodnych kształtach, które otaczało właściwy wzór: kratę składającą się z sześćdziesięciu czterech pól. Obok kobierca leżały figurki wykonane z kości jednorożca. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie wykonał ich żaden Serklandczyk. Postacie były zbyt dokładnie przedstawione, a wiadomo przecież, że prorok Muhammad zabronił tworzyć podobieństwa ludzi i zwierząt.

– Czarne czy białe? – zapytał Mödul, po czym plasnął się dłonią w czoło. – Głupie pytanie. Jakimi pionami może grać Czarny Berserk?

Gridin Tirusa nie zwrócił uwagi na docinek, ale i tak sięgnął po czarne, albowiem prawie wszystkie białe były już ułożone na tkaninie po stronie karła. Najpierw ustawił ośmiu piechurów. *Al-beizaq* był najmniej ważnym pionem w tej grze, ale figurki wszystkich pieszych braci wykonano z wielką pieczołowitością. Przedstawiały wojowników w hełmach, którzy zagryzali zęby na obrzeżach tarcz. Berserkowie, jak nazywali ich Vaeringowie, ponieważ zawsze walczyli w pierwszym szeregu i mogli tylko ślepo poruszać się do przodu, nie wiedząc, co to odwrót. Widzowie uśmiechali się do Alego za każdym razem, gdy brał do ręki kolejnego z czarnych beizaqów.

Gdy szaleni drengowie stali już gotowi do walki, Blamad poszukał w trawie szacha. *Al-shah*, choć najważniejszy w tej grze, nie miał dużej wartości bitewnej. Jego figura była największa, nosiła najpiękniejsze szaty, a na jej głowie widniał turban. Ali bywał w wielu krajach i słyszał różne nazwy tego piona: kagan, konung, basileus, rex. Wszystkie oznaczały władcę, bo właśnie on rządził na kraciastym kobiercu i mógł się przesuwać we wszystkie strony, choć tylko o jedno pole. Berserk ustawił go na czwartym kwadracie, licząc od swojej prawej strony. Następnie sięgnął po

jego towarzysza.

Al-firzan, czyli mędrzec, zwany często wezyrem, miał wygląd starca. Z zamyśloną miną siedział na krześle. Nie była to mocna figura, a mogła poruszać się tylko ukośnie o jedno pole, ale że służyła radą swojemu szachowi, Ali ustawił ją po lewicy władcy. Gracz był rad, że rzeźbiarz tego zestawu pionów nie posłuchał podszeptów Vaeringów i nie ubrał wezyra w kobiece szaty. Wszyscy bowiem wiedzieli, że konungowie z Północy lubią być posłuszni swoim żonom, więc gdy tylko poznali tę grę, nie tylko zmienili jej nazwę na *skáktafl*, ale też nadali mędrcowi miano *drottning*, którym to wyrazem zwykli określać żonę władcy.

Potężny szach z Serklandów nigdy nie wyruszał na wojnę bez swoich słoni. Także i tej bitwy nie mógł stoczyć bezbronny, dlatego Ali postawił przy nim, tak jak i przy wezyrze, po jednym z ogromnych zwierząt wyposażonych w wieżyczki bojowe. *Al-fil* był figurą o średniej sile, trudną do prowadzenia zarówno w prawdziwej potyczce, jak i w grze. Fil mógł poruszać się tylko skośnie i tylko co drugie pole, bo każdy, kto widział słonia, wie, że nikt nie ma od niego dłuższego kroku. Vaeringowie nie umieli wymyślić lepszej nazwy dla tego piona i przekształcili ją tylko na *alfin*.

Zostawienie słoni bez osłony konnych byłoby szaleństwem, na które żaden gracz, nawet Czarny Berserk, nie mógł sobie pozwolić. *Al-faras* był najbardziej ruchliwą figurą i przedstawiał konnego łucznika należącego do ludu at-Turk. Jego zwrotność oddawały ruchy, jakimi poruszał się na kobiercu: przeskakiwał o dwa pola, po czym nagle zmieniał kierunek jazdy o jedną kratkę w bok. To czyniło go drugą pod względem siły figurą w szatrandżu. Zwłaszcza na początku gry dawała szansę na szybkie zarżnięcie szacha przeciwnika. Świadomi jej znaczenia ludzie Północy nadali jej nazwę *riddari*, co oznaczało ciężkozbrojnego konnego z Kristlandów. Każdy zawodnik miał do dyspozycji dwóch takich jeźdźców i Blamad postawił ich obok filów.

Do rozstawienia pozostały jeszcze dwie figury, i to nie byle jakie, bo najpotężniejsze. W polu mogą walczyć wielkie armie, które wygrają wiele

potyczek, ale żadnej wojny nie da się przetrwać bez twierdz. *Al-roch* siała w szatrandżu prawdziwe spustoszenie i niczym lawina niszczyła wszystko, co spotkała na swojej drodze. Pewnie dlatego Vaeringowie nazwali ją *hrókr*, czyli skała. Rzeźbiarz przedstawił oba zamki właśnie jako skalne iglice, w których, niczym w wieżach, wyryto okrągłe okienka.

– Skoro szyk wyjściowy został w końcu ułożony, możecie zaczynać – oznajmił kagan, a obserwatorzy zrobili krok do przodu, by lepiej widzieć, co dzieje się na kobiercu.

Nie było ważne, kto wykona pierwszy ruch. Ustalono, że każdy gracz ustawi na swojej połówce materii *tabbiyya* – bitewny szyk, a będzie miał na to nie więcej niż dziesięć ruchów. Ich kolejność nie była istotna i zawodnicy mogli je wykonywać w tym samym czasie. Czarny wojownik postawił na świński łeb. Dwóch najdzielniejszych berserków przesunął do przodu o dwa pola, a pozostałych ustawił tak, by tworzyli klin. Słonie umieścił w środku łba, tuż za parą szalonych drengów, jeźdźców zaś postawił za filami, a przed wezyrem i szachem. W ten sposób środek jego armii był bardzo mocny, a flanki pozostawały strzeżone przez dwie twierdze.

Mödul postawił na inny *tabbiyya*, przypominający ulubione ustawienie bitewne Gardarikan, w którym *beizaqowie*, przesuając się o jedno pole, tworzą prawie równy szereg. Prawie, bo o dwa pola wysforowali się piechurzy stojący na trzecich polach, licząc od prawej i od lewej strony, przez co środek armii był nieco cofnięty. Karzeł posłał również do boju konnicę, umieszczając ją tuż za najbardziej wysuniętymi pionami. Ustawienie takie zapewniało zachowanie równowagi między atakiem a obroną i świadczyło o doświadczeniu gracza.

– Ruszaj – zaproponował czarownik, gdy obaj byli gotowi. Wcale nie okazywał tym wspaniałomyślności, po prostu do dobrych obyczajów należało, by wyzwany zaczynał pojedynek.

Blamad posłał do boju czarnego berserka, dając sygnał do ataku pozostałym pionom świńskiego łba. Mödul był bardziej ostrożny i wysłał tylko piechurów z lewego skrzydła na zwiad. Ali odpowiedział ze środka

i zbił białego beizaą. Czarny Berserk pokazał odwagę godną pieśni i zginął od miecza przeciwnika.

Karzeł uśmiechnął się z wyższością, jakby już odgadł sposób walki gridina z Dyragardu.

W szatrandżu istniały trzy sposoby na wygraną. Pierwszy – i wielbiony przez serklandzkich poetów – zwano *māt*, czyli zarżnięcie króla. Najlepsi gracze zawsze starali się do niego dążyć. Druga metoda polegała na takim zablokowaniu szacha przeciwnika, że gdziekolwiek by się ruszył, znalazłby się na polu atakowanym przez jakiegoś piona. Oba te rodzaje zwycięstw były trudne do osiągnięcia, dlatego najczęściej próbowano wygrać trzecim sposobem: krwawą rzezią. Naśladując zwyczaje bitewne Vaeringów, gracz zarżynał pionów przeciwnika tak długo, aż na placu boju zostawali tylko królowie i przynajmniej jeden żołnierz zwycięskiej armii. Czarny Berserk usłuchał podszeptów Wertragny i wybrał krwawe rozwiązanie. Ale nawet ono nie mogło przyjść szybko.

Czarownik mądrze unikał jego ataków i starał się oskrzydlić bojowy szyk Blamada. Drużynnik Tirusa ustawiał zasadzki, ale pokurcz dostrzegał każdą z nich i zawsze w porę się wycofywał. Do południa więc tylko się badali, staczając od czasu do czasu pojedynki między żołnierzami.

Zgromadzonym szybko znudziły się zawody. Kiedy okazało się, że berserk umie grać i partia zapowiada się na długą, większość gapiów odeszła, po czym wracała tylko co jakiś czas, by sprawdzić ustawienie pionów na kobiercu. Jedynie kagan i jego małżonka wytrwale stali przy zawodnikach, przerywając wszakże obserwację, gdy niewolnicy przynosili posiłki. Zapach jedzenia przypominał grającym o kolejnym utrudnieniu: nie dostawali jedzenia ani picia, by głód i pragnienie przeszkadzały im w zachowaniu skupienia. W Serklandach nie stosowano takiego warunku, ale tam partie między przyjaciółmi mogły toczyć się przez wiele dni. Tutaj nie zamierzano tyle czekać.

Po południu na tkaninie zrobiło się trochę luźniej. Czarny słoń zdeptał białego mędrca, po czym sam został ustrzelony przez jeźdźca. Krwawa wymiana nikogo nie przybliżyła do zwycięstwa.

- Berserk nigdy nie będzie dobrym graczem – powiedział wtedy Mödul.
- Szatrandż wymaga nie tylko mądrości, przebiegłości i poświęcenia, ale i cierpliwości. A tej ostatniej zalety z pewnością nie masz.

Ali nie odpowiedział, bo trudno mu było się z tym spierać. Magowie z Indialandu nauczyli go panowania nad sobą, ale z pewnością nawet dziś nie można go było nazwać człowiekiem spokojnie planującym każde działanie. Gniew, nawet ten głęboko schowany i stłumiony, zawsze pchał go do przodu i podpowiadał, że zabijać należało jak najszybciej, zanim wróg zdąży zaatakować.

Biały piechur, za nic sobie mając szacunek dla starszych, uderzył czarnego mędrca i złożył z niego ofiarę na cześć zwycięstwa. Blamad prawie zawył z wściekłości, ale zdążył się opanować, biorąc dwa głębokie wdechy.

- Mówili ci, że podczas podróży po Serklandach i Grikklandzie zdobyłem tytuł alyiata? – pochwalił się karzeł.

– Musieli zapomnieć.

– Bo tutaj nie docenia się takich rzeczy. Ale gracz równie wytrawny jak ty musi wiedzieć, co to oznacza i że obecnie tylko dwóch ludzi na świecie może siebie tak określać.

Blamad sporo grywał, gdy poznawał nauki Muhammada, dobrze więc poznał stopnie biegłości nadawane mistrzom szatrandżu. Mianem alyiatów określano najlepszych graczy, którzy potrafili planować na dziesięć ruchów do przodu. Tego tytułu nigdy nie nadawano więcej niż trzem graczom jednocześnie, a zdarzały się czasy, kiedy tylko jedna osoba zasługiwała na to miano. Obecnie najbardziej znanym mistrzem gry był Sallam ibn Rasid, starzec z miasta Bagdad, ale w Serklandach krążyły opowieści o tajemniczym przybyszu z kraju Saglabów, który trzy razy z rzędu ogrzał sławnego mistrza, a ten ogłosił go równym sobie. Potem, po słynnych i wspomnianych już przez kagana zawodach w Miklagardzie, nieznajomy zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. Czarownik wyraźnie podsuwał berserkowi myśl, że właśnie on jest tajemniczym alyiatem, a sposób jego gry udowadniał, że mogła to być prawda. Mödul nie

wiedział jednak, że Blamad też nie był pierwszym lepszym miłośnikiem szatrandżu i choć jego styl gry bywał niecierpliwy, zwykle dawał zwycięstwo. Gdy Ali służył szachom serklandzkich ziem, nie spotkał wielu zawodników, którzy zdołali go pokonać. Zdobył nawet tytuł muta qaribata, czyli tego, kto umiejętnościami ustępuje tylko alyiatowi, choć potrafił wygrywać nawet z wielkim mistrzem – pokonał Sallama w dwóch spośród dziesięciu partii, które między sobą rozegrali.

W końcu karzeł wpadł we wnyki. Przybysz z Południa zaplanował, że gdy biały jeździec cofnie się przed szarżą czarnego słonia, a potem da się złapać na przynętę z berserka i ucieknie przed zemstą mędrca, będzie musiał stanąć na polu znajdującym się pod ostrzałem czarnego Tattara. Gridin z radością chwycił białego jeźdźca i dołączył go do innych poległych leżących na trawie.

Czarownik pokiwał głową z uznaniem, przewrócił swoimi różnokolorowymi oczami i podrapał się po zmierzwionej brodzie. A potem ruszył do ataku.

Ali musiał się nagłówkować, by odeprzeć zacięty szturm, ale udało mu się go przetrwać bez większych strat. Sam też dawał przeciwnikowi do myślenia własnymi ruchami, a kiedy Mōdul myślał nad kolejnym ruchem, on rozglądał się po gardzie i obserwował przygotowania do wojny.

W środku grodu nie były one aż tak bardzo widoczne. Tylko na drzewach górujących nad wałem zewnętrznym trzymało straż trochę więcej wojowników, gridini kagana trochę częściej ćwiczili rozcinanie tarcz mieczami, a w pracowni kowala ani na chwilę nie gasł ogień i nie ustawał odgłos kucia żelaza.

Za to poza wałem, jak Ali zdążył zauważyć w poprzednie dni, panował nieustanny ruch. Przybywały nowe oddziały, przede wszystkim najemnicy z plemion at-Turk, różniący się tak rodzajem uczesania, jak i mocą smrodu, który za sobą ciągnęli. Niewielka ich część znała nauki Muhammada, większość była kafirami, czyli niewiernymi. Baganakijczycy, Chazarowie, Bulgarzy oraz jeźdźcy al-Guezzijs. Przybyło również wielu Burdasów na dromedarach i pieszych Saglabów. Nie mogło również zabraknąć

Vaeringów, którzy zawsze potrafili zwęszyć wojnę i pojawiali się wszędzie tam, gdzie można było coś złupić.

Miano najosobliwszych przybyszy należało się z pewnością członkom oddziału z północnego wschodu, z ziem, których Ali nigdy nie odwiedził, a z których podobno pochodził Mödul. Vaeringowie nazywali ich Bjarmalandczykami z Permu i utrzymywali, że wszyscy oni znali się na czarach. Blamad nie bardzo w to wierzył, gdyż pobratymcy Ainara słynęli z przesądności i uprzedzeń w stosunku do innych ludów. Permianie rzeczywiście byli dziwni – niżsi od Bjarmalandczyków, jakich berserk spotykał w Dyragardzie, o lekko skośnych oczach, czarnych włosach i śniadej skórze. Wykazywali się tak dalece posuniętą małomównością, że odzywali się jedynie do swoich towarzyszy, a i to dosyć rzadko. Czterech spośród nich przykuwało szczególną uwagę. Nosili szare płaszcze i nigdy nie ściągali z głów podróżnych kapturów. Wszędzie chodzili razem, a ich zażyłość była tak wielka, że niekiedy trzymali się za ręce, gładzili po policzkach i szeptali sobie do ucha. Wszyscy, nawet ich pobratymcy, unikali zakapturzonych, a kiedy tylko na nich spojrzeli, spluwali przez ramię. Nawet ktoś nieobeznany w obyczajach plemion świata zdołałby zauważyć, że łączyła ich niezdrowa więź pożądania, za którą wyznawcy Muhammada ucinali zwyrodnialcom przyrodzenie, by zaraz potem zrzucić z wysokiej skały lub ukamienować. Czarny drużynnik brzydził się takimi mężczyznami i uważał, że najlepszą karę wymyślili dla nich Guezzijczycy. Koczownicy słynęli ze swobodnego podejścia do nagości, ale kiedy złapali cudzołożnika lub miłośnika grzechu ludu Loota^[13], przywiązywali go do naciągniętych ku sobie gałęzi dwóch drzew, które następnie puszczały, tak że zbrodniarz zostawał rozerwany na pół.

Ku niezadowoleniu Blamada właśnie ta czwórka magów przybyła późnym popołudniem pod hallę. Permianie ukłonili się kaganowi, a zrobili to tak równo, że utrzymywania szyku mogliby się od nich uczyć wojowie walczący w murze tarcz. Nie rzekli jednak ani słowa, tylko z zaciekawieniem przyglądali się grze.

– Róbcie, co musicie – od obserwacji planszy oderwał ich konung,

którego głos wskazywał, że również władca nie był zadowolony z obecności dziwaków.

Ponownie się uklonili i podeszli pod samą wieżę, w której rosło drzewo.

Ali uciekł piechurem przed słońcem, ale nadział się wprost na ostrzał z białej twierdzy. Gapiostwo przypłacił śmiercią na kobiercu, ale nie mógł się powstrzymać, by kątem oka nie obserwować poczynań tajemniczych przybyszy.

Mężczyźni chwycili się za ramiona i przytulili, dotykając policzkami, a następnie zaczęli się obracać, mruczając jakąś rytmiczną pieśń. Od czasu do czasu całowali się i pocierali brodami. Po chwili zmienili sposób obejmowania się, tak że ich ręce znikły pod płaszczami, niekoniecznie swoimi. Po kilkudziesięciu oddechach do pieśni dołączyły jęki, a gdy Blamad zrozumiał, co było ich przyczyną, odwrócił wzrok z obrzydzenia. Aesma zmieszała się z jego krwią, a ta zagotowała się niczym woda. Miał ochotę wstać i ukrećić karki zniewieściałym magom.

– Nie wiedziałem, że Czarny Berserk jest taki wrażliwy – odezwał się karzeł, który najwyraźniej miał wielki ubaw z zażenowania przeciwnika. – To seidrmadowie. Nikt tu za nimi nie przepada, ale są przydatni. Dzięki nim wiemy, że twój kagan w ciebie nie wierzy i szykuje się do wojny.

Gridin przypuszczał, że Mödul kłamał, by wyprowadzić go z równowagi. Dobrze znał Tirusa Wielkiego i wiedział, że ten wierzy w moc danego słowa. A konung obiecał, że nie podejmie żadnego zbrojnego działania, dopóki nie zakończy się misja zdobycia Ingigerdy.

Drużynnik pomyślał nad sytuacją na kobiercu. Zaczynał mieć przewagę, gdyż stracił mniej figur, postanowił więc zaryzykować i przeprowadził szarżę swoim ostatnim jeźdźcem. Wprawdzie to naraziło go na niekorzystną wymianę za słońca, ale czarownik okazał się miłośnikiem tych zwierząt, gdyż nie zdecydował się na walkę. Dzięki temu w kolejnym ruchu czarny jeździec po raz pierwszy zagroził białemu szachowi i zmusił go do ucieczki.

To małe zwycięstwo sprawiło, że Blamad poczuł się pewniej i znów pozwolił się uwieść ciekawości. Ponownie spojrzął na Bjarmalandczyków

z Permu.

Trzech magów położyło się na ziemi, tworząc ze swych ciał kształt o trzech bokach przypominający łono. Ich ręce nadal były schowane pod płaszczami, ale teraz przynajmniej pod swoimi. Do utworzonego z ludzkich ciał podołka wkroczył czwarty seidrmad i zaczął podskakiwać w rytm plugawej pieśni pomruków i jęków. Ten zwyrodniały obrzęd trwał przez kilkadziesiąt uderzeń serca i zakończył się na wskroś obrzydliwą niespodzianką. Piskliwe jęki zlały się w jeden krzyk uniesienia, a z ciał leżących czarowników uciekły duchy, które pomknęły do środka łona, wniknęły w ciało stojącego seidrmada i wystrzeliły przez jego głowę, zabierając ze sobą ducha ostatniego towarzysza. Cztery widmowe postacie Bjarmalandczyków zawisły na chwilę w powietrzu, po czym rozdzieliły się i odleciały, każdy w inną stronę świata. Stojący do tej pory mag padł bezwładnie na ziemię, dołączając do pozostałych czarowników. Wszyscy leżeli nieruchomo, jakby życie z nich uleciało.

Ali popatrzył z niedowierzaniem na zniesmaczonego kagana, a potem przeniósł wzrok na przebiegle uśmiechającego się karła.

– Nigdy nie widziałeś obrzędu seidrmadów? – zapytał Mödul, naigrywając się z niewiedzy przeciwnika. – Ich duchy opuściły ciała i dopóki nie wrócą, czarownicy będą spać jak nieżywi. A tymczasem mgliści wysłannicy zaobserwują wszystko, co dzieje się wokół Treborga, docierając nawet do twojego ukochanego Dyragardu. Ich moc byłaby jeszcze większa, gdyby kagan wpuścił seidrmadów do halli i pozwolił im przeprowadzić obrzęd tuż nad korzeniami Laeradu.

Ostatnie słowa karzeł skierował do kagana, który zasepił się, podszedł do śpiących magów i splunął każdemu z nich w twarz.

Nikt nie musiał tłumaczyć Blamadowi, jak potężną bronią była moc seidrmadów i dlaczego pan Treborga tolerował takich niegodziwców mimo wyraźnej niechęci, jaką do nich żywił. Posiadając zdolność oddzielania swojego ducha od ciała, byli świetnymi wywiadowcami, ale i dziwakami uprawiającymi kobiecą magię płodności. Czarny gridin nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym dłużej, gdyż Mödul przeszedł do ataku.

Upozorował szarżę jeźdźca na twierdzą, ale w ostatniej chwili zmienił kierunek jazdy. Biały faras wziął na arkan czarnego riddariego i ściągnął go z planszy. W pościg za białym śmiałkiem ruszyła czarna twierdza i po drodze zmiażdżyła dwóch beizaqów. Ale samego jeźdźca nie udało się dorwać.

Wojna na wyniszczenie trwała aż do zmroku. Kiedy Allah zabrał ludziom słońce z nieba, rozpalono ognisko, by wspomóc gwiazdy w oświetlaniu materii z pionami.

Ali wciąż miał nieznaczną przewagę. Brakowało mu jeźdźców, ale dwie twierdze – wspomagane przez słońca, szacha i dwóch berserków – panoszyły się na polu bitwy i kontrolowały wiele pól. Radą służyło im trzech czarnych mędrców, którzy jeszcze po południu byli beizaqami, ale tak długo szli na drugi koniec kobierca, że gdy osiągnęli cel, zdążyli się zestarzeć. Za przeciwników mieli białą armię, a raczej już tylko oddziałik, składający się z rocha, farasa, fila, dwóch skrajnych berserków i dwóch siwych wezyrów.

Gapiów znów przybyło. Wraz z zachodem słońca skończyły się codzienne obowiązki dworzan, a długość rozgrywki sprawiła, że zaczęto się spodziewać rychłego rozstrzygnięcia.

Kiedy Gwiazda Przewodnia zaczęła się chełpić swoim blaskiem przed siostrami, na planszy ujawnił się układ figur zwany mansubą, który dawał Alemu szansę na odniesienie zwycięstwa w kilku ruchach. Ale i dla niego stanowił spore zagrożenie, bo przeciwnik, jeśli także by się zorientował w sytuacji, mógł wygrać w jeszcze mniejszej liczbie ruchów. Blamad wcale nie planował doprowadzenia do mansuby, ale dostrzegł ten układ pionów, gdy tylko się pojawił. I prawie krzyknął z wściekłości, ale w ostatniej chwili zdążył się opanować. Nie mógł się zdradzić, bo miał nadzieję, że Mödul jeszcze nie zwietrzył swojej szansy.

Osiem. Przy takim rozstawieniu pionów tylu właśnie ruchów potrzebował, by ogłosić wyrok na białego kagana i pozbawić go głowy.

Sześć. Tyle posunięć wystarczało karłowi, by osaczyć czarnego władcę, powiedzieć „mat” i sprawić, że ten padnie przed nim ze strzałą w gardle.

Niewiadoma. Taką liczbę ruchów potrzebował Mödul, by rozeznąć się w sytuacji i ujrzeć mansubę. O ile już nie przeniknął układu i tylko dla niepoznaki drapał się po łysinie.

Czarny Berserk wysłał w bój słonia i uchylił się mędrcom przed zwałą z piechurem.

Pokurcz przechylał głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, usilnie myśląc. Jeśli pod grającymi rzeczywiście było źródło mądrości, na razie musiało omijać miejsce, w którym siedział czarownik.

Ali przeniósł twierdzą, zagrażając białemu szachowi, a gdy ten schował się za jeźdźcem, gridin przestawił drugą twierdzą, szykując się do ostatecznej rozgrywki.

Teraz już tylko jeden ruch pozostał Mödulowi, by dostrzec możliwość zwycięstwa. Karzeł chrząknął i postukał palcami w pniaczek, na którym siedział. Pociągnął nosem i zagwizdał wesołą melodyjkę, za nic sobie mając powagę sytuacji. Sięgnął po białego Tattara i przez chwilę trzymał go w powietrzu, jakby nadal się wahał, w którą stronę wykonać zwrot. I w końcu postawił go na najbardziej znieawidzonym przez czarnych żołnierzy polu.

– Mat! Śmierć twojemu kaganowi, Tirusowi Wielkiemu – mały człowiek powiedział to takim tonem, jakby właśnie oznajmiał chęć udania się na drzemkę.

Natomiast wśród zgromadzonych zapanowało ożywienie. Ludzie wydawali okrzyki na cześć kagana, bo choć to czarownik wygrał partię, chwalenie pokraki nie byłoby dobrym wyjściem w obecności władcy, którego karzeł reprezentował. Tylko Kol Mały kiwnął z uznaniem głową w stronę zwycięzcy, a potem głośno zarechotał.

– Wspaniale – pisnęła jego żona, uśmiechnęła się dostojnie i delikatnie uderzyła dłonią o dłoń.

Kagan nie musiał nawet wydawać rozkazu. Jego przybocznicy otoczyli gracza wrogiego władcy i wymierzili w niego włócznie oraz miecze.

– Myślisz, że nie poznałem słynnej mansuby opisaną przez al-Lajlaja

w księdze *Kitab mansubat ash-shatranj*^[14]? – odezwał się pokurcz, patrząc na trzęsącego się ze złości Blamada. – Nie doceniłeś mnie i przyjdzie ci za to srogo zapłacić.

– Niech wszystkim będzie wiadome – krzyknął Kol Mały – że po raz kolejny człowiek Tirusa okazał się słabszy od mojego pokornego sługi, wielkiego czarownika Mödula! Wasz kagan znów wyszedł zwycięsko z walki!

Zawtórowały mu jeszcze głośniejsze okrzyki na jego cześć.

– Do tej pory – ciągnął, uspokajając zgromadzonych uniesieniem rąk – udawało się temu czarnemu słudze karłowatego konunga odwlekać porażkę. Teraz koniec z podstępami i oszustwami. W końcu wydało się, że Tirus Wielki to tchórz, który ukrywa się za plecami sług, wprowadzie większych od siebie, ale równie jak on lichych w męstwie i pomyślunku. I taki właśnie władca rości sobie prawo do panowania nad wami.

– Nigdy! – krzyknął ktoś z tłumu i znalazł wielu naśladowców.

– Niech żyje Kol Mały! – ryknął ktoś inny, czym zapoczątkował wspólny wrzask gapiów na cześć kagana.

– A to jeszcze nie wszystkie przewiny Tirusa Wielkiego – konung wrócił do przemowy, wysłuchawszy trzykrotnego okrzyku. – Podczas gdy czarny przybysz z Blalandu stawał do zawodów, jego towarzysz, Ainar Skald, uprowadził moją córkę!

Powszechne oburzenie znalazło upust w gniewnych pomrukach i przekleństwach wymierzonych w pana Dyragardu. Jeśli nawet wcześniej się domyślano, że Ingigerd została porwana, to teraz dobrze udawano zaskoczenie. Kagan oczywiście nie wspomniał nic o możliwości jej powrotu, ale i Ali nie łudził się, że to nastąpi. Gdyby poeta rzeczywiście czekał na rozwój wypadków, już powinien się ujawnić. Zdradziecki Vaering zaszył się pewnie gdzieś w głuszy i śmiał się teraz, że za jego przewiny zapłaci ktoś inny.

– Jak zatem powinienem odwdzińczyć się Czarnemu Berserkowi za zdradę?!

- Śmiercią!
- Śmiercią!
- Śmiercią! – wołał każdy z osobna i wszyscy razem.

Pokonany gridin przysłuchiwał się temu z rosnącym gniewem. Czuł, jak aesma powoli wlewa się w jego żyły, a Wertragna kwiczy mu w głowie zawołanie bitewne. Wstał i spojrzał groźnie na właścicieli żelaza, które zostało w niego wymierzone. Nie miał przy sobie żadnej broni, gdyż i tym razem musiał ją oddać strażnikom, gdy wchodził na kreml. Wiedział jednak, że jej brak nie przemówi do honoru przeciwników. Pojedynczy człowiek czasem się waha, zanim zada śmierć bezbronnemu, ale gdy jest częścią dyszącego nienawiścią tłumu, jego wątpliwości się rozmywają.

– A jak odpowiemy Tirusowi, który gnębi naszych sąsiadów w Glaesirze i nieustannie nas znieważa?!

- Wojną!
- Wojną!

– Rokowaniami? – spytał ktoś nieśmiało, ale zaraz został przywołany do porządku przez wojowniczo nastawionych sąsiadów i padł na ziemię ze złamanym nosem.

– Gridini – kagan zwrócił się do zbrojnych otaczających Blamada. – Wykonajcie wolę moich poddanych.

Wojownicy postąpili krok do przodu, ale dalecy byli od lekceważenia przeciwnika. Sława Czarnego Berserka sięgała daleko.

Ali obnażył zaostrome zęby, bo strach, który mógł wzbudzić we wrogach, był teraz jego najlepszą bronią. Chwycił też pniak, na którym przed chwilą siedział, i sprawdził jego twardość zębami.

- Nadchodzi!!!

Piskliwy okrzyk wnikał w uszy i drążył dziurę w mózgu. Wszyscy zamilkli i zaczęli się rozglądać, a wtedy ich spojrzenia padły na jednego z magów, który obudził się, wstał i zaczął kroczyć w kierunku konunga, ciężko oddychając.

- Już tu jest!!! – krzyknął, ale tym razem niezbyt głośno, jakby zdawał

sobie sprawę, że jego ostrzeżenie przyszło za późno.

I wtedy z dachu okalającego drzewo Laerad spadł na zgromadzonych ptak, który zaczął zabijać.

Skrzydłata postać wylądowała wprost w ognisku i kopniakami rozrzuciła żarzące się polana. Na krótką chwilę w blasku płomieni dało się zauważyć ludzką twarz o orlim nosie, przysłoniętą zmierzwionymi brązowymi włosami, które przypominały pióra. Później jednak wszyscy, którzy przeżyli rzeź pod hallą, zarzekali się, że przyszło im walczyć z wielkim drapieżnym ptakiem, który rozrywał brzuchy szponami i rozbijał głowy dziobem.

Tkwiło w tym wiele prawdy.

Ali natychmiast rozpoznał Haukrhedina i choć żywił do niego szczerą niechęć, ucieszył się na widok szaleńca. Tym bardziej że odrmad rzucił w jego stronę półksiężycowaty miecz. Stał przyjemnie zabręczała, wbijając się w ziemię u stóp Blamada. Nie musiał nawet patrzeć na broń, by po dźwięku poznać Ludożercę, najlepszy saif, jaki został wykuty w Serklandach. Pozostawało tajemnicą, skąd wziął się tutaj szaleniec i jak zdołał wydobyć serklandzki miecz ze skrzyni pilnowanej przez strażników. Nasuwały się pytania: czy ktoś pomógł hamramirowi i czy ten ktoś nie chce czasem wciągnąć berserka w pułapkę? Ale w obliczu nacierających zbrojnych czarny wojownik mógł podjąć tylko jedną decyzję. Walczyć.

Sytuacja odwróciła się, tak samo jak przed chwilą na planszy. Berserk wciąż miał jeszcze możliwość zarznięcia kagana i wypełnienia choćby części zadania, które mu zlecił Tirus Wielki. Odsunął od siebie szal, trzymał go jednak w odwodzie. Teraz potrzebna mu była odrobina rozwagi.

Rzucił pniem w twarz najbliższego zbrojnego. Głowa wroga rozbiła się niczym jajko, choć zamiast żółtka z pęknięć i otworów wylała się krew. Ali wyszarpnął miecz z ziemi i pozwolił, by ten po raz kolejny zasłużył na swoje imię. Ruszył w kierunku kagana.

Sieknął stojącego mu na drodze do władcy brodatego Vaeringa i mimo iż ten zasłonił się mieczem, serklandzka stal z łatwością przecięła liche żelazo i skosztowała ludzkiego mięsa. Kolejnego gridina ciął w brzuch opięty kolczugą. Ostrze popiło krwistego napitku.

Uskoczył przed pchnięciem włóczni, a gdy ta minęła jego bok, przeciął drzewiec i uciął płat mięsa z uda następnego drużynnika z Północy.

Na drodze stanęło mu dwóch skośnookich Baganakijczyków – niewiernych, kafirów. W oczach Boga byli tylko niewiele lepsi od Alego, który imię Allaha znał i czasem wspominał, ale nie uznawał go za jedyne boga.

Miecze przeciwników miały kształt półksiężyca, ale były bardzo lekkie i stworzone do szybkiej walki. Koczownicy uśmiechali się szyderczo i widać było, że od dawna marzyli, by spróbować się z Czarnym Berserkiem.

Zbił dwa cięcia i zamachnął się, chcąc za jednym razem ściąć obie głowy. Kafirowie zwinnie się uchyliłi – byli sprawnymi rębaczami, choć bez koni poruszali się trochę niepewnie. Zasięg ramion i siła były jednak po stronie Blamada. Nie miał czasu popisywać się kunsztem, więc w vaeriński sposób rąbnął saifem z góry na dół, kiedy jeden ze skośnookich zrobił wypad. Przeszywanica nie zatrzymała Ludożercy, stawiając opór nie większy niż kiszka owijająca kiełbasę.

Drugi wróg, widząc śmierć towarzysza, stracił głowę. I to dosłownie. Berserk ujął miecz w obie ręce i niczym drwal rozrąbał pień łączący ramiona z czerepem. Wąsaty łeb z czarną kitą na czubku głowy poszybował łukiem, ciągnąc za sobą czerwony ogon niczym kometa. Upadł u stóp Haukrhedina.

Hamramir nie zwrócił uwagi na kolejną krwawą zdobycz. Powiedzieć, że w jego oczach błyskały iskry szaleństwa, to jakby ogłosić światu istnienie koła. Zdrowy rozsądek był rzadkim gościem w głowie Jastrzębia, bo zamieszkujące ją dwa duchy najczęściej go stamtąd wypędzały. Jednak Ali miał wrażenie, jakby odrmad wpadł w jeszcze większe szaleństwo niż zwykle – hamask wypełniał go bowiem do tego stopnia, że Haukr cały drżał. A jeśli ktoś miałby wątpliwości, jaki drapieżnik nim zawładnął, z jego gardła wydobywał się przeraźliwy ptasi jazgot, który u odważnych powodował ból głowy, a u lękliwych chęć natychmiastowej ucieczki.

Blamad musiał stawić czoło kolejnemu Baganakijczykowi, więc nie

mógł dokładniej przyjrzeć się Jastrzębioskóremu. Ale zobaczył obraz rzezi, jaką hamramir zgotował ludziom kagana. Potworzy dreng musiał wspiąć się na drzewo jeszcze w nocy i przez cały dzień wyczekiwać chwili, by zejść na dach i wtrącić się do gry. Gdy zeskoczył i rozkopał polana, dym gasnącego ogniska spowił plac boju, utrudniając dostrzeżenie szaleńca. A jastrząb w ludzkim ciele był tak szybki, że jego ruchy zdawały się tańcem złych duchów, które porywały ludzi do krainy umarłych. Szalony rębacz dźgał, drapał i dziabał szponami, a te zawsze dosięgały ludzkiego ciała, gardząc dotykiem nastawianego w obronie żelaza. Cały czas biegał i podskakiwał, nie zatrzymując się nawet po to, by nasycić wzrok widokiem mordy. Wskakiwał na dach, pisał po kalenicy i spadał za plecami wrogów, saksami orając im plecy i podrzynając gardła. Chował się za ścianami i wynurzał niespodziewanie, będąc w oczach Alego mieczem Allaha karzącym niewiernych. Blamad pomyślał, że jeśli naprawdę tak było, również i na swój kark musi uważać w obecności odrmada.

Pieczenie pleców przypomniało Blamadowi o jego własnych problemach. Obrócił się i odciął jakiemuś Baganakijczykowi twarz – od czoła do podbródka. Rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnego przeciwnika, ale okazało się, że wszyscy tulą się już do ziemi lub próbują zatrzymać uciekające życie. Przed czarnym drużynnikiem stał już tylko kagan. Pewnie dzierżył świetnej roboty, prawdopodobnie stalowy, maekir z Północy i uśmiechał się szyderczo.

– Szach-mat – powiedział olbrzym z Blalandu i zakręcił młynka Ludożercą.

Pan Halli Drzewa zaśmiał się, ściągając z ramion i rzucając na ziemię zielony płaszcz.

– Ten szach nie ma w zwyczaju beczynnie przyglądać się swojej śmierci ani zginać karku przed czarnym piechurem. Pora włączyć się do gry, gdy pozostałe pionki poległy – powiedział i zaatakował.

Kol był silny. Silniejszy nawet niż Ali, więc odczuwający już trud zabijania berserk zaczął się cofać, zasypywany wściekłymi uderzeniami

wypoczętego władcy. Ale to ciemnoskóry dreng miał w zanadrzu coś, co mogło wyrównać pojedynek.

Sięgnął po klucz do żelaznych oków pętających szaleństwo – przywołał w pamięci obraz żony ulegającej jego bratu. Kajdany opadły, a Wertragna, Szalony Odyniec o żelaznym karku, żelaznych szablach i żelaznych racicach, warknął, prychnął gorącym powietrzem i zakwiczał. W Alego wlała się uświęcona przez boga aesma.

Czarny Berserk natarł na kagana z całą mocą swojego gniewu. Nie dbał o dokładność ani o kierunek ataków, tylko po prostu rąbał Ludożercą niczym siekierą. Teraz kagan zaczął się cofać.

Ali nie zwrócił uwagi, gdy stał wroga zazgrzytała o jego żebra i pobrudziła czerwienią skórę wielkiego kota. Nie przejął się, gdy zaokrąglony sztych maekira trafił w jego brzuch. Myślał tylko o rozłupaniu czaszki konunga i o tym, jak jego mózg zmiesza się z włosami i błotem. Był pewny, że jego marzenie już za chwilę się ziści. Władca potknął się o czyjeś zwłoki i na pół oddechu rozluźnił swoją obronę. Gridin Tirusa opuścił półksiężycowaty miecz w powstałą lukę i zachwycił się nieuchronnością śmierci zmierzającej ku czaszce kagana. Ale wtedy do pojedynku wmieszał się hamramir.

Ludożerca z brzdękiem zatrzymał się na szponach Haukrhedina. Konung skorzystał z okazji, odzyskał równowagę i odskoczył.

– Zostaw! – krzyknął Jastrząb, choć widać było, że owładnięty hamaskiem z trudem układa dźwięki w ludzką mowę. – Jego życie należy do nas.

„Nie powinien przeszkadzać” – zakwiczał Wertragna do ucha Alego. Wojownik owładnięty aesmą musi zniszczyć każdego, kto stanie na jego drodze. Taka jest wola Szalonego Odyńca i taka jest cena za jego pomoc. Lewa ręka berserka puściła rękojeść saifu, pozostawiając go we władaniu prawicy, po czym zacisnęła się w pięść i grzmotnęła odrmada w twarz. Rozległ się chrzęst łamanego nosa i ptasi wojownik odskoczył, jazgocząc wściekle i szykując się do odpowiedzi.

Blamad nie zwracał jednak uwagi na Haukrhedina, bo dbał tylko

o zwycięstwo w krwawym szatrandżu. A szach dalej pozostawał do zarżnięcia. Drużynnik z Dyragardu zrobił pół kroku w stronę kagana, na którego twarzy dało się dostrzec jeśli nie przerażenie, to przynajmniej niepewność. I wtedy wyrosła przed wcieleniem Odyńca kolejna przeszkoda.

Vaeringowie mawiają, że na Północy karły mieszkają pod ziemią, a te spośród nich, które postanowiły zamieszkać wśród ludzi, znają czary, dzięki którym potrafią nurkować w ziemistym podłożu niczym w wodzie. W tej chwili Ali byłby w stanie w to uwierzyć, bo nie miał pojęcia, skąd między walczącymi wziął się Mödul, który przecież zniknął wraz z żoną konunga tuż po rozpoczęciu potyczki.

– Jesteś zacnym graczem, wyznawco Wertragny. Nie umiesz jednak przegrywać i nie wiesz, kiedy należy się wycofać. – W głosie karła po raz pierwszy nie dało się wyczuć kpiny.

Blamad chciał grzecznie poprosić, by czarownik ustąpił mu pola, ale aesma w jego krwi sprawiła, że tylko zaryczał wściekle i ruszył do przodu z zamiarem przeskoczenia malca. Wtedy pokurcz pokazał, co trzymał za plecami. Zamachnął się małym glinianym garnkiem i rozbił go pod nogami szarżującego berserka. Ziemia wybuchła płomieniami, które ułożyły się w ścianę ognia sięgającą Alemu po szyję.

Wysłannik Tirusa zawahał się i zwolnił kroku. Ale Szalony Odyniec nie dał się tak łatwo zatrzymać. Wertragna zakwiczał i wlał w żyły berserka jeszcze więcej wściekłości, która nie pozwalała tracić czasu na omijanie przeszkody. Blamad poczuł dotyk płomiennych języków, gdy przebiegał przez ogień, a kocia skóra na ramionach przyozdobiła się iskrami. Śwąd przypalonego ciała zmieszał się z zapachem juchy i błota. Smród bitwy podział na czarnego gridina niczym najprzedniejszy trunek. Wojownik zapomniał o bólu i skupił się na zabijaniu.

Po jego lewicy przez ogień przeskoczył Haukrhedin, a wybił się tak wysoko, że co najwyżej przypiekl sobie pięty. Po wylądowaniu ptasi dreng stanął w rozkroku, jakby nie był pewny, czym najpierw się zająć – odwdzięceniem się berserkowi za złamanie nosa czy zadźganiem kagana.

Stał i potrząsał głową, a z jego gardła wydobywał się na przemian jazgot jastrzębia i ludzki krzyk: „Nie!”. Dwa duchy walczyły o władzę w jego głowie.

Ali nie miał podobnych rozterek. Kiedy oczy, wciąż oślepienie żarem, wreszcie zdołały dostrzec plecy uciekającego kagana, chciał ku niemu popędzić, ale znów na drodze stanął mu Mödul.

– Nie można wam obu odmówić wytrwałości. Ale już wystarczy – powiedział karzeł i wyjął zza pazuchy dwie kulki wyglądające jak grudki gliny, po czym rzucił je przed siebie.

Gdy dotknęły ziemi, wydobył się z nich gęsty, smolisty dym, który w mgnieniu oka ogarnął całą przestrzeń między Blamadem a uciekającym kaganem. Nie dało się przez niego nic dostrzec, a na dodatek drażnił oczy i drapał w gardle, wywołując łzy i odruch wymiotny. Mimo to Czarny Berserk próbował iść dalej, w kierunku, w którym zbiegł Kol.

– Dzięki za zajmującą grę – zadrwił czarownik.

Jego głos dochodził chyba z lewej strony, więc wytatuowany wojownik ruszył w tamtą stronę i po trzech krokach dostrzegł zarys pleców uciekiniera. Przyspieszył, zamachnął się i uderzył z góry na dół. Postać obróciła się i zablokowała uderzenie dwoma saksami.

– To my, głupi berserku! – wrzasnął mu do ucha Haukrhedin, podstawiając mu pod nos swoją zakrwawioną gębę.

Ciemnoskóry piechur uświadomił sobie, że hamramir wcale nie uciekał, ale tak samo jak on gonił kagana. Odepchnął ptasiego szaleńca i rozejrzał się dookoła. Wszędzie tylko dym. Nie dało się dostrzec nawet ścian pobliskich budynków. Szansa zabicia konunga minęła bezpowrotnie. Ali zrozumiał, że karzeł ograł go w kolejnej partii szatrandża. Zaryczał i ścisnął rękojeść Ludożercy tak, że krew odpłynęła mu z nadgarstków.

– Opanuj berserksgang! – krzyknął do niego Jastrzębioskóry. – Wiemy, jak nas stąd wyprowadzić.

Taka rada w ustach odrmada brzmiała jak ostrzeżenie pijaka przed piciem piwa. Bestialscy wojownicy słynęli z tego, że nie potrafili uwolnić

się od działania hamasku, aż wszyscy wokół nich nie będą martwi, a ziemia, po której stąpali, nie wchłonie ostatniej kropli krwi. Ale tym razem głos szaleńca brzmiał nad wyraz rozsądnie, jakby odrmad zdołał zapanować nad gniewem. Blamadowi zrobiło się głupio, że hamramir tak szybko wyzbył się bitewnego gniewu, podczas gdy on, wyćwiczony przez wyznawców Wertragny, nie umiał tego zrobić. Zmusił się, by rozluźnić uchwyt na rękojeści saifu, i wziął głęboki oddech, nie zważając na smród. Zamknął oczy i wyobraził sobie wyschnięte od słońca połacie trawy, na które spada długo oczekiwany deszcz. Sięgnął po ten klucz wspomnień o rodzinnych stronach i przekręcił go w kłódce, zamykając żelazne okowy pętające Szalonego Odyńca. Wertragna szarpał się jeszcze w łańcuchach, ale Ali był już na tyle spokojny, aby zacząć rozsądnie myśleć.

Dym otwierał nowe możliwości. Kagan przestał być dla nich widoczny, ale i oni stali się niedostępni dla zbrojnych Kola, którzy przybywali na plac boju, by pomścić towarzyszy. Sądząc po ilości krzyków i nawoływań, musiało być ich wielu i znajdowali się coraz bliżej.

Blamad pomyślał, że nawet gdyby udało im się wydostać z oparów, ciężko byłoby im się wtopić się w tłum złożony z jasnowłosych Vaeringów i niskich Hunów. Na dodatek wokół grodu rozbity był rozległy obóz Tattarów. Chyba że... – pomyślał, gdy jego wzrok natrafił na zielony płaszcz z kapturem, który konung rzucił koło ogniska. Podeszedł do odzienia i podniósł je z ziemi.

– Prowadź – zwrócił się do hamramira, zarzucając sobie płaszcz na ramiona.

Kierujący się ptasimi zmysłami Haukrhedin lepiej orientował się w otoczeniu niż berserk, choć i on od czasu do czasu wpadał na ścianę jakiegoś budynku. Hamramir zrozumiał plan berserka i gdy natrafili na zwłoki jakiegoś Vaeringa, ściągnął z niego płaszcz, a gdy potknęli się o ciało Baganakajczyka, zerwał mu z głowy futrzaną czapę. Obaj wyglądali teraz raczej na kuglarzy naśladowujących kagana i jego przybocznego, ale dym i zamieszanie działały na ich korzyść. Spotykali na swej drodze zbrojnych, lecz ci albo dawali im przejść, albo przynajmniej wahali się wystarczająco

długo, by Jastrząb miał czas na wbicie im szponów w gardło.

Pilnujący bramy vardkarlowie okazali się bardziej czujni i zagrodzili im drogę włóczyniami.

– Stać, kto idzie?!

Ali spuścił głowę, pozwalając, by kaptur jeszcze mocniej opadł mu na czoło, owinał dłoń płaszczem i podsunął zielony materiał pod nos Vaeringa.

– Nie tym tonem, suczy synu! – berserk nie umiał naśladować głębokiego głosu Kola, ale pod wpływem drażniącego dymu głosy wszystkich brzmiały prawie tak samo chrapliwie.

Strażnicy podnieśli groty i wyprostowali się jak na przeglądzie zastępów.

Przechodząc przez bramę, gridin Tirusa dostrzegł w strażniczej skrzyni swój katar, pozostawiony tam jeszcze przed grą, i sięgnął po niego.

– Ależ panie... Po co ci ten nóż? Zaraz! Nie jesteś...

Vardkarl nie zdążył dokończyć ani nawet opuścić włóczni. Ali wbił mu w brzuch nóż, pociągnął i wyszarpnął trzy ostrza owinięte jelitami. Drugi strażnik miał szybszą śmierć. Hamramir podrapał go szponem po szyi.

Blamad spojrział na ciała i u boku jednego z nich zauważył znajomy przedmiot. Miecz Ainara, który ten zostawił w strażniczej skrzyni tuż po przybyciu do Treborga i którego nie zdołał odzyskać przed swoją tchórzliwą ucieczką. Broń Skalda, który go zdradził i pozostawił w stolicy Odainsaku na pewną śmierć. Chciwy strażnik widocznie nie mógł się powstrzymać i przywłaszczył sobie tę przednią broń, gdy jej właściciel nie zgłosił się po odbiór. Ali podniósł maekira i przewiesił go przez ramię. Obiecał sobie dostarczyć zgubę i wydziergać nią krwawy wzorek na kłamliwym gardle jej właściciela.

Drewnianym pomostem zeszli z górnego grodu. Przed sobą mieli jeszcze zewnętrzne umocnienia i cały obóz koczowników. Czarny Berserk miał nadzieję, że nie spotkają już zbyt wielu ciekawskich strażników.

Dodatek od autora

Słowniczek nazw własnych, terminów i trudnych wyrażen

Adonai (hebrajskie) – dosłownie: Mój Pan. Jedno z określeń zastępczych imienia Jahwe. Zgodnie z żydowską tradycją zabraniano wymawiać imienia Boga (Jahwe) poza świątynią w Jerozolimie, dlatego stosowano wiele jego określeń zastępczych.

Aegir (staroskandynawskie *Ægir*) – dosłownie: Ocean. W nordyckiej mitologii naczelne bóstwo (lub olbrzym o boskich prerogatywach) sfery wód morskich. Jego żoną była bogini Ran (Morze), a córkami fale (córki Aegira). Jego braćmi były olbrzymy: Logi (władca ognia) i Kari (pan wiatrów).

aesma (awestyjskie) – bitewna wściekłość, uświęcony przez boga Wertragnę szal bitewny.

Ahura – patrz: Ormuzd.

ale (stskand. *æl*) – piwo.

andi (stskand.) – duch, istota demoniczna.

Arnhofdi (stskand. *Arnhöfði*) – dosłownie: Głowa Orła. W mitologii skandynawskiej jedno z imion Odyna, nawiązujące do jego umiejętności zmiany kształtu. W świecie *Skalda* Arnhofdi jest oddzielnym bóstwem, patronem zmiennokształtnych.

Aryman – Zły Duch w mitologii irańskiej (zaratusztranzimie, manicheizmie i zurwanizmie). Religie te oparte były na silnym dualizmie między świetlistym Bogiem (Ormuzd, staroperski Ahura Mazda) i Złym Duchem (Aryman, staroperski Angra Mainju). Pierwszy wiązany był z ogniem, a drugi z dymem – który, jak wierzono, zbrukał ogień. Dlatego religie irańskie, zwłaszcza zaratusztranzim, bywały nazywane religiami ognia.

Asowie (stskand. *Æsir*) – w mitologii nordyckiej jeden z boskich rodów niebian.

Austrveg (stskand. *Austrvegr*) – Wschodni Szlak, czyli potocznie: Wschód. Tak w Skandynawii określano wszystkie krainy położone na wschód od Bałtyku, m.in. Gardariki, czyli Ruś.

al-Baganakija, Baganakijczycy – patrz: Pieczyngowie.

Bahr al-Hazar (arabskie) – Morze Chazarów; patrz: Morze Tattarów.

berserk (stskand. *berserkr*) – wojownik walczący w bitewnym szale.

berserksgang (stskand. *berserksgangr*) – szal berserków.

Bida – mityczny wąż rzeki Niger, czczony w państwie Wagadou jako bóg.

bies – zły duch, demon ze słowiańskich wierzeń.

Bitewny Krzyk – przydomek boga Göllnira.

Bjarmaland – skandynawska nazwa ziem zamieszkanych przez ludność ugrofińską (patrz: mapy). Mogła oznaczać zarówno historyczną krainę w dorzeczu Dźwiny, jak również cały pas tajgi i tundry północnoruskiej, a także legendarną krainę Wschodu o bliżej nieokreślonej lokalizacji. Terminu Bjarmaland często używano zamiennie z nazwą Perm (patrz niżej).

Bjarmalandczycy (stskand. *Bjarmar*) – skandynawska nazwa na ludność ugrofińską zamieszkującą tereny Europy Wschodniej, od żyjących na południe od Wołgi Mordwinów po zajmujących daleką Północ Permian.

Blaland (stskand. *Bláland*) – Czarna Ziemia, skandynawska nazwa ogólna na Czarną Afrykę.

Blamad (stskand. *blámaðr*) – czarnoskóry człowiek, skandynawska nazwa na Murzyna, mieszkańca Blalandu.

blotmad (stskand. *blótmaðr*) – człowiek ofiar, jak w Skandynawii nazywano gorliwego czciciela bogów, który często składał im ofiary i wierzył w moc ich ziemskich interwencji.

bogaty (staroruskie *bogatyrb*) – zaczerpnięte z języków turko-tatarskich (*bagatur* – śmiałek) ruskie określenie na młodego wojownika, śmiałka, herosa, bohatera.

Bóg Krzyku – patrz: Göllnir.

Bulgar – potężne we wczesnym średniowieczu państwo Bułgarów nadwołżańskich ze stolicą w Bulgarze, wielkim mieście kupieckim nad Wołgą, niedaleko jej zbiegu z Kamą. W połowie X wieku państwo Bułgarów zaczynało tracić na znaczeniu, a w latach 964-965 zostało podbite przez ruskiego księcia Światosława (patrz: Sviatisleif).

Bulgarzy – lud turko-tatarski, który stworzył państwo Bulgar. W dzisiejszej polskiej terminologii nazywani Bułgarami nadwołżańskimi lub wołżańsko-kamskimi.

Burdasi – tajemniczy lud ugrofiński znany ze źródeł arabskich. Część badaczy identyfikuje ich z mordwińskim plemieniem Moksza (patrz: Mordwini), choć prawdopodobnie powstał z przemieszania się Mokszan z irańskimi Alanami.

burnus (arab.) – arabska nazwa wysokiej czapki futrzanej lub filcowej noszonej na stepach przez ludność turecką. Niekiedy tym mianem określało się też długi płaszcz z kapturem. W tej książce burnus oznacza czapkę.

Chazarowie – lud turko-tatarski, który we wczesnym średniowieczu stworzył imperium na terenach nadkaspjskich i na Przedkaukaziu, uzależnił też słowiańskie ludy południoworuskie. Stolicą ich

państwa było bogate miasto handlowe Itil nad ujściem rzeki Itil (Wołgi) do Morza Kaspijskiego. W czasach powieści Chazarowie wyznawali judaizm.

Danmörk – skandynawska nazwa Danii.

dirham – srebrna moneta arabska.

disy (stskand. *dísir*) – duchy zmarłych kobiet, które mogły stać się boginiami albo istotami demonicznymi przynoszącymi szczęście lub pecha. Niekiedy nazywano tak kobiety z potężnych rodów.

drapa (stskand. *drápa*) – pieśń skaldyczna o wyszukanej formie.

draug (stskand. *draugr*) – żywy trup, upiór lub ogólnie: istota demoniczna.

dreng (stskand. *drengr*) – wojownik.

dromedar (stskand. *drómedari*) – dromader, czyli wielbłąd jednogarbny.

drott (stskand. *drótt*) – drużyna królewska; patrz też: grid.

drottin (stskand. *dróttinn*) – władca, pan, dowódca drottu.

drottnad (stskand. *dróttmad*) – drużynnik, członek drottu.

drottning (stskand. *dróttning*) – królowa, żona drottina.

Dyragard (stskand. *Dýragarðr*) – dosłownie: Zwierzęcy Gród. Stolica Glaesiru.

Dziad – patrz: lesza.

dżin (arab. *džinn*) – w mitologii arabskiej (przed islamem) rozumny demon zrodzony z płomienia albo obłoku pary. Zwykle reprezentował siły natury.

dziwożona – szkaradny kobiecy demon z wierzeń słowiańskich, który mieszkał w pieczarach i leśnych ostępach.

einvigi (stskand. *einviği*) – pojedynek.

El Shaddai (hebr.) – Bóg Wszechmogący. Jedno z biblijnych określeń Boga, pochodzące z wcześniejszych wierzeń kananejskich.

Eloah (hebr.) – jedna z żydowskich nazw Boga, pochodząca z tego samego semickiego źródłosłowu, co arabskie miano Allah.

ergi (stskand. *ergi*) – lubieżność lub homoseksualizm pasywny. Pojęcie powszechnie używane w przekleństwach i łączone z pogardą dla niemęskich zachowań.

Eriu – irlandzka nazwa Irlandii; patrz też: Wyspa Irów.

fanfary – średniowieczna nazwa papug. W Europie tego okresu znano kilka gatunków papug, ale wszystkie były określane tym jednym wspólnym mianem.

Finn-Gallowie (staroirlandzkie *Finn-Gaill*) – dosłownie: Obcy z Daleka. Jedna z irlandzkich nazw Skandynawów, głównie Norwegów.

fjandi (stskand. *fjándi*) – demon, istota plugawa. W czasach chrześcijańskich określenie to przeniesiono na szatana, diabła.

fylgja (stskand. *fylgja*, l. mn. *fylgjur*) – towarzysząca. Duch o kobiecym kształcie, który opiekował się człowiekiem aż do jego śmierci.

gard (stskand. *garðr*) – gród.

Gardariki (stskand. *Garðariki*) – Królestwo Grodów, skandynawska nazwa Rusi.

gardskonung (stskand. *garðskonungr*) – król grodu (w domyśle: Miklagardu), jak wikingowie zwykli tytułować cesarza greckiego (bizantyjskiego).

Gefna (stskand. *Gefn*) – dosłownie: Dawczyni. W mitologii nordyckiej jedno z imion bogini Freji. W ujęciu tej książki (i niektórych badaczy) Gefna jest oddzielną boginią związaną z kultem płodności i seksem.

Gestumblindi (stskand.) – Ślepy Nieznajomy. W mitologii skandynawskiej jedno z imion Odyna. Według Ainara to kolejny brat Göllnira, który jest boskim mistrzem zagadek i czasem zjawia się wśród ludzi, by mierzyć się z nimi w turniejach wiedzy.

ghana (z języka ludu Soninke: *ghana*) – władca, tytuł królów Wagadou. Później stał się nazwą całego państwa.

ghul (arab.) – w odróżnieniu od wyobrażeń tych stworów ukazywanych w horrorze i fantasy, w mitologii arabskiej tylko niektóre z tych stworów mieszkają na cmentarzach i zjadały umarłych. Arabowie nazywali ghulami wszelakiej maści demony (potrafiące przybierać postać zwierząt lub bestii), które miały powstać z aniołów zbuntowanych przeciw Bogu i porażonych za to spadającymi gwiazdami.

Glaesir (uproszczona forma nazwy *Glæsisvellir*) – legendarna kraina opisywana w skandynawskich sagach. Nie wiadomo, czy miała jakiś historyczny pierwowzór. Niektórzy tłumaczą tę nazwę jako Ziemia Bursztynów lub Ziemia Radości.

Gmaszysko Zarzniętych – niebiańska halla dla poległych w boju wojowników. W mitologii nordyckiej znana jako Walhalla (stskand. *Valhöll*).

Göllnir (stskand.) – dosłownie: Bitewny Krzyk. W mitologii nordyckiej – jedno z imion Odyna. W świecie *Skalda* jest naczelnym bóstwem, stwórcą świata, patronem skaldów, berserków, szaleńców, władców i pijaków.

grid (stskand. *gríð*, strus. *grid*) – stosowana na Rusi nazwa drużyny zbrojnych. Skandynawski odpowiednik – patrz: drott.

gridin (strus.) – drużynnik, członek gridu.

gridnica (strus.) – halla, w której ucztowali i mieszkali gridini, drużynnicy ruskich władców.

Grikkland (stskand.) – Grecja, a także ogólna nazwa na całość Cesarstwa Bizantyjskiego.

Grikkmad (stskand. *Grikkmaðr*) – Grek, ale też ogólnie: poddany cesarza bizantyjskiego.

Grimnir (stskand. *Grímnir*) – dosłownie: Zamaskowany. W mitologii nordyckiej jedno z imion Odyna, znanego z przybierania różnych masek (zmieniania wyglądu). W świecie *Skalda* to tajemniczy bóg, brat Göllnira, o którym wiadomo tylko tyle, że jest opiekunem oszustów, przedrzeźniaczy i wszystkich tych, którzy ukrywają swoją tożsamość.

al-Guezzija, Guezzijczycy – arabska nazwa ludu Turków Oguzów. Oguzowie żyli w X wieku na terenach między Jeziorem Aralskim, dolną Wołgą, rzeką Ural i Morzem Kaspijskim.

Gyding (stskand. *Gyðingr*) – Żyd.

hamask (stskand.) – szal przemienienia. Stan bitewnej furii, w którym walczyli hamramirzy.

hamingja (stskand.) – zwierzęcy duch opiekuńczy, który przystaje do człowieka i często jest „dziedziczony” w obrębie danego rodu. W mitologii świata *Skalda* duch ten wpływa na „kształt człowieka” i niektórzy czarownicy czerpią z niego moc, dzięki której potrafią zmieniać się w zwierzę.

hamramir (stskand. *hamramr*, l. mn. *hamramir*) – dosłownie: silny kształtem. Człowiek, o którym mówiono, że nie ma jednego kształtu, czyli jest zmiennokształtny. W świecie *Skalda* to wojownik, który wierzy w silną więź łączącą go z wybranym zwierzęcym duchem.

haszisz (arab.) – haszysz, czyli narkotyk wytwarzany z żywicy konopi indyjskiej lub siewnej. W czasach średniowiecznych dobrze znany w krajach arabskich.

hatt (stskand. *hattr*) – miara wierszowa, metrum.

al-Hazar (arab.) – patrz: Chazarowie.

Helga (zruszczona forma: Olga) – ur. ok. 923-927 r., zm. 969 r., ruska księżna z rodu wareskiego, matka księcia Światosława (patrz: Sviatisleif).

Holmgard (stskand. *Holmgarðr*) – Gród na Wyspie. Siedziba Waregów, założona przy wypływie rzeki Wołchow z jeziora Ilmeń. Później ten ośrodek (zwany też Gorodiszcze) przekształcił się w miasto Nowogród Wielki.

Hunowie – patrz: Tatarzy.

ifrit (arab.) – demon, rodzaj potężnego dzina, zawsze kojarzony ze złem. Czasem w tradycji przedstawiano ifrity jako duchy pomordowanych, które łakną krwi.

Indialand (stskand. *Indíaland*) – Ziemia Indów (czyli Hindusów). Choć pojęcie to w znaczeniu dosłownym odnosiło się do Indii, nie do końca dotyczyło krain Półwyspu Indyjskiego. Nazwą tą wikingowie określali wszystkie bardzo egzotyczne i nieco legendarne krainy Wschodu – zwłaszcza te, które leżały jeszcze za Ziemiami Arabów (Serklandami). Kiedy więc Tirus mówi o Indiach, ma na myśli rozległe tereny ciągnące się od Iranu (ówcześnie będącego częścią składową imperium Chorezmu) aż po krańce Indii.

Irskmadowie – (stskand. *Írskmaðr*) – Irowie z Irlandii.

Itil (także: Atil lub rzeka Saglabów) – arabska nazwa Wołgi.

jaszty (awest.) – pieśni pochwalne na cześć bogów.

Jednoręki (stskand. *Einhendr*) – przydomek boga Tyra. W świecie *Skalda* to bóg sprawiedliwości, rękojmia umów.

Jomali (stskand. *Jómali*) – staronordycka nazwa fińskiego boga Jumala, znanego również wśród ludów ugrofińskich znad Wołgi. Bóg nieba i magii.

Jörd (stskand. *Jörð*) – dosłownie: Ziemia. Bogini ziemi, żona Göllnira.

jötun (stskand. *jötunn*) – jedno ze skandynawskich określeń olbrzymia.

junak – nowożytnie słowo, sztucznie utworzone od starosłowiańskiego *junъ* – młodzieniec, na określenie dawnego słowiańskiego młodego wojownika, bohatera.

Jurugu – zwany Płowym Lisem, podstępny bóg z wierzeń afrykańskiego ludu Dogonów. Trickster, który ukradł bogom ziarna słów.

Kaennugard (stskand. *Kænnugarðr*) – skandynawska nazwa Kijowa.

kafir (arab.) – niewierny.

kagan (języki turko-tatarskie) – władca. Określenie używane (wymiennie z tytułem chan) przez koczownicze ludy azjatyckie, głównie o pochodzeniu turskim. Pod wpływem koczowników tytuł ten przejęli władcy słowiańscy i warescy z terenów Rusi.

kamień – jednostka wagi używana w średniowieczu. Jej wartość była różna w poszczególnych krajach, a dzisiaj trudna do sprecyzowania dla niektórych krain. Dla uproszczenia posługują się kamieniem anglosaskim, który w przybliżeniu wynosił 6,35 kilograma.

kańczug (tur.-tatar.) – nazwa bicia składającego się z drewnianego lub kościanego trzonka oraz skórzanego rzemienia. Później zwany nahajką. Służył koczownikom do poganiania zwierząt, a w wersji wzmocnionej (np. metalowymi kulkami na końcu rzemienia) do walki.

kaptorgi – rozpowszechnione wśród Arabów pudełeczka (często wykonane ze srebra i zdobione) noszone na szyi, a przeznaczone do przechowywania amuletów lub pachnideł. Zapożyczone przez Słowian Wschodnich i Zachodnich, przy czym zapewne większość kaptorg słowiańskich miała formę woreczków ze skóry lub materiału.

Kari (stskand. *Kári*) – Podmuch Wiatru, olbrzym, władca wiatru.

karzeł (stskand. *dvergr*) – w mitologii nordyckiej karłowata istota znająca się na magii i kowalstwie. Karły żyły pod ziemią lub między skałami, a rodzić się miały z kamieni. Z oczywistych powodów o bycie karłem podejrzewano wszystkich niskich ludzi.

katar – rodzaj sztyletu pochodzenia indyjskiego. Przykład broni kastetowej, zakładanej na pięść.

kenning (stskand.) – rodzaj rzeczownikowej przenośni, będącej rozbudowanym określeniem zastępczym na często używany wyraz, np. słowo „poeta” zastępowano kenningiem „kował słów”.

kibita – turko-tatarska nazwa małej jurty oraz wozu krytego jurką. Później w rosyjskim: kubitka.

kitara – tę starogrecką nazwę stosowali średniowieczni Arabowie na określenie jednego z instrumentów strunowych używanych przez Słowian.

kniaziówna – córka ruskiego księcia lub wielmoży.

kniaź (strus. *knjazь*) – ruski książę lub wielmoża.

knör (stskand. *knörr*) – rodzaj skandynawskiego statku pełnomorskiego (żaglowego), wykorzystywanego głównie w handlu do przewozu towarów.

konung (stskand. *konungr*) – skandynawskie określenie na w pełni niezależnego władcę.

kreml (strus. *kremľ*) – tak na Rusi nazywano twierdzę wewnątrz grodu lub miasta, która była siedzibą władcy.

Krist (stskand. *Kristr*, od grec. *Christos, Kristos*) – Chrystus.

Kristlandy (stskand. *Kristland*) – Krainy Chrześcijan.

kristmadowie (stskand. l. poj. *kristmaðr*, l. mn. *kristmenn*) – chrześcijanie.

kureń (tur.-tatar.) – nazwa obozu koczowników, który charakteryzował się dużą „mobilnością”, składał się bowiem głównie z namiotów, które łatwo było złożyć i przewieźć w dowolne miejsce. Kurenie nie miały stałej lokalizacji i były ciągle przenoszone w poszukiwaniu lepszych pastwisk dla koni. Podczas wojny spełniały funkcję taboru i ciągnęły za wojskiem.

kyrtill (stskand.) – tunika albo długa koszula nakładana na spodnią koszulę. Stać było na nią tylko bogatszych, dlatego często miała wycięcie na piersi i krótsze od spodniej koszuli rękawy, by pokazywać, że właściciela stać na dwie warstwy ubioru.

Laerad (stskand. *Læraðr*) – patrz: Yggdrasill.

lausavisy (stskand. *lausavísur*) – krótkie wiersze o różnej tematyce, improwizowane w zależności od okoliczności.

lesza (strus.) – inaczej zwany Dziadem – w folklorze ruskim tajemniczy władca lasu.

Lodowa Wyspa (stskand. *Ísland*) – Islandia.

Lopt (stskand. *Loptr*) – bóg kłamstwa i oszustw. W mitologii nordyckiej to jedno z imion Lokiego.

lunatyk – w krajach arabskich i chrześcijańskich ludzi szalonych często nazywano lunatykami, wierząc, że ich obłąd jest spowodowany wpływem Księżyca (łac. *luna*), a szaleństwo określano lunatyzmem.

maekir (stskand. *mækir*) – poetycka nazwa wikińskiego miecza.

Magni (stskand.) – dosłownie: Mocny. W mitologii nordyckiej to syn Thora lub jedno z jego wcieleń. W świecie *Skalda* – bóg fizycznej siły, patron wojowników i władca burzy, który kamienną maczugą lub żelaznym młotem rozbija łby olbrzymów.

al-magus (arab.) – magowie. Tym mianem Arabowie określali nie tylko czarowników, ale też innowierców – np. pogańskich Normanów – a zwłaszcza wyznawców zaratusztranzimu

(zwanego przez arabskich uczonych religią ognia), mieszkających na terenach dzisiejszego Iranu (ówczesnego Chorezmu).

majnun (arab.) – szaleniec, człowiek obłąkany. Słowo nawiązuje do arabskiej opowieści o młodzieńcu oszalałym z miłości do ukochanej.

malik (arab.) – król. Stary tytuł arabski, w czasach muzułmańskich używany zwłaszcza w odniesieniu do obcych (niearabskich) władców.

Manat (arab.) – w czasach przedmuzułmańskich naczelné bóstwo arabskie. Bogini przeznaczenia i sprawiedliwości. Jej kult, choć tępiony przez islam, był znany jeszcze długo po rewolucji religijnej Mahometa.

Mani (stskand. *Máni*) – Księżyc czczony jako bóg. Brat Słońca i syn Mundilfarego. W świecie *Skalda* jeździ po nocnym niebie wozem ciągniętym przez dwa konie, Pełnię i Nów, uciekając przed wilkiem Hatim.

mansuba (perskie) – dosłownie: problem. Nazwa takiego układu pionów, w którym jedna ze stron może odnieść zwycięstwo (zwykle poprzez serię następujących tuż po sobie szachów), będąc jednocześnie zagrożoną przez mata przeciwnika.

Mauments (stskand.) – wikingiśkie zniekształcenie imienia proroka Muhammada (Mahometa).

maumentsanie – muzułmanie, skandynawska nazwa utworzona od imienia Mauments.

Miklagard (stskand. *Miklagarðr*) – Wielki Gród, skandynawska nazwa Konstantynopola, stolicy Bizancjum.

Mimir (stskand.) – olbrzym i najmądrzejsza istota w mitologii nordyckiej. Jego głowa zanurzona jest w źródle wytryskającym spomiędzy korzeni drzewa świata, Laerada.

Mokosha – stylizowany na skandynawski zapis imienia słowiańskiej bogini związanej z kultem płodności, Mokoszy.

Mordwini – nazwa zbiorcza na mieszkające na południe od środkowej Wołgi ludy ugrofińskich Moksów (patrz też: Burdasi) i Erzjan. Skandynawowie zaliczali ich do Bjarmalandczyków, jak wszystkich Ugrofinów.

Morze Tattarów – jedna z nazw Morza Kaspijskiego, pochodząca od koczujących nad jego brzegami licznych ludów turko-tatarskich. Przez Arabów było zwane Bahr ar-Hazar.

Mosze (hebr.) – Mojżesz.

mund (stskand. *mundr*) – suma, za jaką w Skandynawii pan młody wykupywał pannę młodą. Kwota ta mogła pozostawać w rękach rodziny kobiety, mogła też zostać jej przekazana po zawarciu małżeństwa i stanowiła jej prywatny majątek, z którego mąż nie mógł czerpać bez jej zezwolenia.

Mundilfari (stskand.) – prawdopodobnie olbrzym, ojciec Słońca i Księżycy.

munk (stskand. *munkr*) – mnich.

nabid – nazwa tego tajemniczego trunku występuje w relacji arabskiego podróżnika Ahmeda ibn

Fadlana (X wiek), który twierdził, że nabid był pitym przez wikingów podczas uroczystości drogim i mocnym alkoholem wywołującym silne otępienie, zatem być może zawierającym grzyby albo zioła halucynogenne.

niding (stskand. *niðing*) – nikczemnik, a w kontekście seksualnym obelga oznaczająca homoseksualistę.

Noreg (stskand. *Noregr*) – skandynawska nazwa Norwegii; forma skrócona pierwotnego terminu Norveg (*Norvegr*) – Północny Szlak, jak nazywano ziemie skandynawskie położone nad Morzem Północnym.

norny (stskand. l. poj. *norn*, l. mn. *nornar*) – boskie szwaczki. Przędły tkaninę życia każdego człowieka, decydując o jego losie. Odpowiadały za przeszłość, teraźniejszość i przyszłość wszystkich ludzi, a nawet bogów.

oborotnicestwo (strus.) – zmiennokształtność.

Odainsak (stskand. *Ódáinsakr*) – legendarna kraina znana z islandzkich sag. Nie wiadomo, czy miała historyczny pierwowzór. W powieści została powiązana z wareskimi ośrodkami handlowymi zakładanymi wzdłuż Wolgi.

odar smid (stskand. *óðar smiðr*) – kowal słów, kowal poezji. Jedno z określeń na skalda, poetę, pieśniarza.

odrkona (stskand. *óðrkona*) – szalona kobieta.

odrmad (stskand. *óðrmaðr*) – szaleniec.

öndvegi (stskand.) – wysokie siedzisko. Miejsce na podwyższeniu, na którym zasiadał władca, przywódca rodu lub gospodarz domu. Odpowiednik łacińskiego tronu.

Ormuzd (inaczej: Ahura Mazda) – naczelny bóg panteonu irańskiego (w zaratusztranzimie, manicheizmie i zurwanizmie). Bóg światła i ognia, dobro wcielone; patrz też: Aryman.

Östland (stskand.) – Wschodni Kraj. Nazwa historycznej krainy w południowej Norwegii.

Östmad (stskand. *Östmaðr*) – mieszkaniec Östlandu.

paparowie (stskand. *papi*, l. mn. *papar*) – wikińska nazwa chrześcijańskich zakonników, szczególnie tych z Wysp Brytyjskich.

pening (stskand. *peningr*) – pens, srebrna moneta anglosaska i skandynawska.

Perm – ogólna nazwa na rozległe obszary dzisiejszej północnej Rosji europejskiej, zamieszkane wówczas przez północne odłamy Bjarmalandczyków (jak Skandynawowie określali wszystkie ludy ugrofińskie): głównie Karelów i Wożan (od jeziora Onega do Morza Białego) oraz Permiaków (żyjących między jeziorem Ładoga a Uralem, którzy w ciągu średniowiecza podzielili się na wiele ludów, m.in. Kormiaków, Permian właściwych czy Pieczorców). W świecie *Skalda* Perm jest określana kraina Permian, rozciągająca się na północ od rzeki Kamy, w rejonach Uralu Subpolarnego i Uralu Północnego.

Permianie – bjarmalandzkie plemiona zamieszkujące tereny między Morzem Białym a Uralem.

Perun – słowiański pan wojny, burzy, władzy, prawa, a w efekcie zapewne bóg naczelnego słowiańskiego panteonu. Odpowiednik zarówno wikingińskiego Thora, jak i Odyna.

Pieczynowie – turko-tatarski lud koczowniczy, we wczesnym średniowieczu zamieszkujący stepy nadczarnomorskie. Nazwa arabska: al-Baganakija.

Płowy Lis – patrz: Jurugu.

Północ – geograficzno-kulturowe określenie ojczystych krain Skandynawów.

Ratatosk (stskand. *Ratatoskr*) – Niosący Niezgodę. Mityczna wiewiórka, która mieszkała na drzewie świata Laeradzie i przenosiła słowa niezgody między kłócącymi się ze sobą orłem (siedzącym na wierzchołku drzewa) i smokiem Nidhöggiem (mającym leże w korzeniach).

Rig (stskand. *Rígr*) – bóg wędrowców, który nauczył ludzi trudnej sztuki gościnności. W mitologii nordyckiej jedno z wcieleń Odyna.

Romaborg (stskand. *Rómaborg*) – skandynawska nazwa Rzymu.

Romverjowie (stskand. *Rómverjar*) – Rzymianie. Skandynawowie nazwę tę rozciągali na ogół mieszkańców Italii, a także na chrześcijan posługujących się łaciną, czyli księży.

rusalka – słowiańska demonica zamieszkująca lasy. Rusałki zwykły tańczyć nago w świetle księżyca i wabić młodzieńców, by potem grać z nimi w zagadki albo załaskotać ich na śmierć.

saekonung (stskand. *sækonungr*) – morski król, czyli władca bez ziemi. Taki tytuł przyjmowali kapitanowie statków albo wodzowie całych wikingińskich flot, którzy nie mieli własnych ziem, ale dysponowali znaczną siłą militarną.

saga (stskand.) – opowieść prozą. Istniały sagi o bohaterach, o królach, o wodzach, o osadnikach nowych ziem itd., ale istniały także sagi dla dzieci, czyli opowieści w rodzaju pierwotnych baśni.

Saglawie (arab. *Saglab*, l. mn. *Sagaliba*) – arabska nazwa Słowian. Niektóre arabskie źródła rozszerzają to miano na wszystkich mieszkańców ziem leżących na północ od strefy stepów nadczarnomorskich, czyli zarówno Słowian, jak i Ugrofinów czy Bałtów.

sagnamead (stskand. *sagnamaðr*) – twórca i opowiadacz sag.

saif (arab.) – arabska nazwa miecza, zwykle odnoszona do zakrzywionej broni typu scimitar (sejmitar). Saify były znakomitą i kosztowną bronią, wytwarzaną ze stali damasceńskiej.

saks (stskand. *sax*) – germański nóż bojowy, dłuższy od zwykłego noża, a krótszy od miecza. Czasem nazwę tę rozciąga się na każdy rodzaj noży bojowych i mieczy.

sattarmad (stskand. *sáttarmaðr*) – człowiek ugody, rozjemca. Jedną z ważnych funkcji, jakie sprawował każdy wódz w wikingińskiej Skandynawii.

seidrmad (stskand. *seiðrmaðr*) – czarownik obeznany z magiczną sztuką seid, która, ogólnie rzecz biorąc, wiązała się z właściwymi aspektom kobiecym czarami płodności, stąd w Skandynawii traktowano seidrmadów dość niechętnie. Niczym szamani posiadali umiejętność oddzielania

swojego ducha od ciała.

Serklandy (stskand. *Serkland*) – Ziemie Saracenów. Skandynawska nazwa krain arabskich.

sihr (arab.) – czary, magia.

sila (arab.) – żeński demon o twarzy wielbłąda i ludzkich rękach. Niekiedy przybierał postać pięknej dziewczyny i wabił wędrowców prośbami o pomoc, by potem ich pożreć. Spotykany na pustyni.

skaktafl (stskand. *skáktafl*) – skandynawska nazwa gry w szatrandż.

skald (stskand. *skáld*) – skandynawski poeta i pieśniarz, uważany też za człowieka mającego dzięki poezji i alkoholowi bliższy kontakt z bogami.

skaldskap (stskand. *skáldskapr*) – sztuka układania poezji.

skammarvig (stskand. *skammarvíg*) – hańbiące zabójstwo, dokonane nie w otwartej walce, ale z zaskoczenia lub podczas nierównej rzezi.

skazitiel (strus.) – ruski opowiadacz (bylin, skazek). Odpowiednik skandynawskiego sagnamada.

skazki – opowieści skazitela. Współcześnie określa się tak ludowe bajki ruskie, które często dotyczą zwierząt.

skip (stskand.) – statek.

skogarmad (stskand. *skógarmaðr*) – leśny człowiek. Jedna z nazw banitów żyjących w lesie, czyli poza zasięgiem świata opanowanego przez człowieka; patrz też: varg.

skytning (stskand. *skytningr*) – wikiński szynk. Nie jest prawdą rozpowszechniona opinia, że we wczesnym średniowieczu nie było karczmi. Były, z tym zastrzeżeniem, że chrześcijańscy władcy zwykle wydawali prawa zakazujące nocowania w takich miejscach – w trosce o moralność biesiadników, jak też po to, aby uniknąć przekształcenia tawern w noclegownię dla pijaków i szumowin. W pogańskiej Skandynawii nic jednak nie wiadano o chrześcijańskim zakazie nieumiarkowania w jedzeniu i picciu, więc skytningi cieszyły się dużą popularnością. Goście mogli w nich kupić jadło i napoje lub raczyć się własnym prowiantem. W islandzkich sagach wielokrotnie opisywano, że pobyty w skytningach kończyły się wielodniowym pijaństwem.

smerd (stslów.) – używana we wczesnośredniowiecznej Rusi i Polsce nazwa wolnego gospodarza, posiadacza własnego kawałka ziemi, rolnika i hodowcy. Stali w hierarchii społecznej niżej niż zawodowi druzynnicy, ale także spośród nich wywodziło się wielu wojowników.

smid (stskand. *smiðr*) – mistrz sztuk rzemieślniczych albo artystycznych, na przykład kowalstwa albo rzeźbiarstwa.

Sol (stskand. *Sól*) – Słońce (jako ciało niebieskie) uważane za boginię. Sol miała jasne włosy i mknęła po niebie w zaprzęgu ciągniętym przez dwa konie: Promyka i Blask. Uciekała przed wilkiem Sköllem, który chciał ją pożreć. Córka Mundilfarego i siostra Księżycy.

solarstein (stskand. *sólarsteinn*) – słoneczny kamień. Na wpół legendarny wikiński przyrząd do nawigacji. Dzięki niemu można było zaobserwować położenie słońca nawet na zachmurzonym

niebie. Prawdopodobnie wykonywano go z kalcytu lub szpatu islandzkiego – kryształu, który ma właściwości polaryzujące.

soma (wedyjski) – tajemniczy napój lub pokarm rytualny znany w kulturze wedyjskiej (Indie). Sam bóg Indra miał pić ten napój tuż przed bitwą. Z czasem napój zaczęto obdarzać boskim kultem. Był to prawdopodobnie wywar z muchomorów czerwonych.

stormad (stskand. *stórmaðr*) – dosłownie: wielki człowiek. Tak określano ludzi wpływowych o wysokiej pozycji społecznej.

Svarog – ruska/wareska wersja imienia słowiańskiego boga słońca Swaroga.

Svarozhich – ruska/wareska wersja imienia słowiańskiego boga ognia Swarozycza. Syn Svaroga (lub jego wcielenie).

Sventovit – ruska/wareska wersja imienia słowiańskiego boga nieba, mądrości i magii Świętowita, któremu poświęcano konie.

Sviatisleif – pierwotna skandynawska (bo pochodził z rodu władców skandynawskich) forma imienia Światosława, księcia Rusi Kijowskiej (patrz: Gardariki), panującego w latach 945-972. Do 964 roku rzeczywistą władzę nad krajem sprawowała jego matka Helga (Olga), która potem współrządziła z synem aż do swojej śmierci w 969 roku. Sviatisleif najpierw (964-967) podbił kraj Bułgarów nadwołżańskich i zniszczył imperium Chazarów, a przez resztę panowania walczył na Bałkanach z tamtejszymi Bułgarami i Bizancjum. Zginął w zasadzce urządzonej przez koczowniczych Pieczyngów.

Szalony Odyniec – przydomek boga Wertragna.

szatrandź (arab. *shatranj*) – arabskie szachy. Gra zbliżona do współczesnych szachów. Arabowie przyjęli ją od Persów, a ci od Hindusów.

Tattarzy (stskand. *Tattarar*) – dosłownie: Tatarzy, ale tego określenia nie należy łączyć tylko z tym konkretnym odłamem plemion mongolskich, gdyż we wczesnośredniowiecznej Europie Zachodniej mianem Tattarów nazywano wszystkie ludy pochodzenia turko-tatarskiego. Podobnie szerokie znaczenie miało słowo „Hun”. Ta z kolei nazwa przyjęła się wśród ludów germańskich, które pamięć o wojnach Gotów z Hunami z IV wieku przechowały w licznych pieśniach o bohaterach. Dlatego w Skandynawii jeszcze w XIV-wiecznych sagach określano Hunami wszystkich koczowników z Europy Wschodniej.

Tengri lub Tangr (tur.-tatar.) – bóg nieba w mitologiach tureckich koczowników, którego kult był popularny na stepach nadczarnomorskich i kaspijskich.

thraell (stskand. *þræll*) – niewolnik.

tign (stskand.) – honor. Jedna z podstawowych cech etosu skandynawskiego wojownika.

tir (stskand. *tírr*) – sława, chwała. Wartość, do której dążył każdy szanujący się wojownik.

Treborg (stskand. *Tréborg*) – dosłownie: Drzewny Gród. Wymyślona na potrzeby powieści stolica Odainsaku.

Trigelav – wareska wersja imienia boga Trzygłowa/Trygława, znanego głównie wśród Słowian Zachodnich. Bóg o trzech twarzach, symbolizujących świat podziemny, ziemski i niebiański, ale też niewykluczone, że ukazujących „trzy warianty czasu”: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

troll (stskand.) – jedna ze skandynawskich nazw olbrzyma.

at-Turk (arab.) – ogólna arabska nazwa na wszystkie ludy turko-tatarskie z pogranicza azjatycko-europejskiego (m.in. Bułgarów nadwołżańskich, Pieczyngów, Połowców, Chazarów czy Turków właściwych).

ur (stskand. *úrr*) – druga runa futharku starszego, czyli starszej odmiany runicznego pisma Skandynawów. Oznacza dosłownie tura, a symbolizuje dostatek, mądrość i powodzenie. Wyrażenie Ainara „plan *urr*” jest poniekąd odpowiednikiem naszego „planu B”.

Vaering (stskand. l. poj. *væringi*, l. mn. *væringjar*) – Wareg. Mianem Vaeringów/Waregów określano zbrojne grupy Skandynawów działających i osiedlających się na terenie Rusi.

Valfud (stskand. *Valfuðr*, *Valföðr*) – Ojciec Poległych. W mitologii nordyckiej jedno z wcieleń Odyna. W świecie *Skalda* – bóg, który jest gospodarzem Gmaszyska Zarzniętych i gości w nim poległych wojowników.

vardkarl (stskand. *varðkarl*) – strażnik.

varg (stskand. *vargr*) – dosłownie: wilk, ale w odniesieniu do ludzi termin ten oznaczał banitę, który po wypędzeniu z ludzkich siedzib musiał żyć w lesie jak wilk; patrz też: skogarmad.

veche (strus.) – wiec, zgromadzenie przedstawicieli wysokich rodów. W powieści instytucja charakterystyczna dla krainy Glaesir.

Vindmad – (stskand. *Vindmað*) – Słowianin, Wend. Wikingowie używali tej nazwy na określenie Słowian Zachodnich, szczególnie nadbałtyckich. W źródłach nie zachowało się skandynawskie określenie Słowian Wschodnich, gdyż słowiańscy mieszkańcy Rusi nie posiadali poczucia własnej wspólnoty, tak więc i przybysze z Północy nie widzieli w nich jednego ludu. Mieszkańców Europy Wschodniej określali, używając nazw poszczególnych plemion czy krain. Z uwagi na wiedzę i przyzwyczajenia dzisiejszego Czytelnika rozciągam pojęcie Vindmadów na wszystkich Słowian, także Wschodnich, którzy pojawiają się w tej książce. Zabieg ten ma pewne historyczne uzasadnienie: Ainar, pochodzący z Norwegii, rzeczywiście mógł w taki sposób określać słowiańskich mieszkańców Glaesiru i Gardariki, dostrzegając ich kulturowe podobieństwo ze znanymi sobie Wendami, czyli Słowianami Zachodnimi.

visa (od stskand. *vísa* – strofa) – szereg strof o ujednoliconym metrum, które tworzą utwór o jednym temacie.

Volos – ruska/wareska wersja słowiańskiego boga płodności i magii Wołosa/Welesa.

Völund (stskand. *Völundr*) – mityczny kowal. Postać wspólna dla tradycji skandynawskiej i anglosaskiej.

Wagadou (z języka ludu Soninke: Kraj Ludzi) – państwo bardziej znane jako imperium Ghany (patrz:

ghana), od VII lub VIII do XI wieku panujące nad dużymi obszarami zachodniej Afryki (zach. Mali i wsch. Mauretania). Potęgę zawdzięczało m.in. transsaharyjskiemu handlowi, w którym było ważnym partnerem kupców arabskich. Ainar, jako Skandynaw, nie miał żadnej wiedzy o tym państwie i – podobnie jak wszystkie inne afrykańskie krainy – nazywał je Blalandem.

Wanowie (stskand. *Vanir*) – drugi, obok Asów, ród bogów w mitologii nordyckiej.

Wertragna (wed., awest.) – bóg mitologii awestyjskiej (perskiej) i wedyjskiej (indyjskiej), który był obrońcą bogów. Jednym z dziesięciu jego wcieleń był Szalony Odyńec, który w szale miażdżył wrogów kopytami. Bóg ten pojawia się w wielu mitologiach z kręgu indo-irańskiego. Wszędzie jest pogromcą zła. W podaniach awestyjskich broni boga Mitry. W Iranie po reformie zaratusztrańskiej stał się pomocnikiem (jako Bahram) jednego z Amszaspandów o imieniu Ardibeheszt. W powieści Wertragna jest oddzielnym bogiem, Szalonym Odyńcem, znanym już tylko nielicznym kapłanom i kupcom z Indialandu.

wiła (stśłow., strus.) – słowiańska demonica podobna do rusalki. Wiły żyły w lesie, tańczyły nago w świetle księżyca i wabiły chłopców. Stawały się nimi młode dziewczyny, które zmarły, nie zaznając życia.

Wschód – patrz: Austrveg.

Wyspa Irów, Wyspa Irskmadów – Irlandia, po celtycku Eriu.

Yggdrasill – w mitologii nordyckiej drzewo świata, na którym ofiarę z samego siebie złożył Odyn (w świecie *Skalda* – Göllnir). Jego nazwa oznaczała dosłownie Straszny Rumak lub Wierzchowiec Straszego (boga Ygga) i odnosiła się do koncepcji demonicznego rumaka, który przenosi swojego jeźdźcę do krainy śmierci. Jego inna nazwa brzmiała Laerad – i ta jest używana w powieści na określenie świętego drzewa w Treborgu.

Yngvi (stskand.) – bóg płodności i urodzaju, którego atrybutem był koń. W mitologii nordyckiej to jedno z określeń boga Freja.

Przypisy

[1] Opisy dawnych (staroskandynawskich, starosłowiańskich, turkotatarskich i innych) terminów, nazw ludów, nazw miejsc itd. znajdują się w słowniczku na końcu książki. Umieszczenie punktów geograficznych można sprawdzić na mapach na początku książki. Obserwacje poczynione z punktu widzenia muzułmańskiego podróżnika, a dotyczące niektórych występujących w powieści państw i ludów (oraz ich wierzeń i obyczajów), zawiera dodatek Alego opisanie świata, który zostanie dołączony do drugiej części *Kowala słów* (przyp. red.).

[2] Na temat natury Göllnira, innych bogów Północy oraz stworów nadnaturalnych w autorskim ujęciu Łukasza Malinowskiego – patrz opisy na końcu książki, a więcej na ich temat: *Dodatek od autora* w pierwszym tomie serii – *Karmicielu kruków* (przyp. red.).

[3] *Heilsan* (stskand.) – pozdrowienia.

[4] Patrz pierwszy tom serii (przyp. red.).

[5] *Koran*, sura II, werset 194, przekład i komentarz Józef Bielawski, Warszawa 1986.

[6] *Kvernbit* (stskand. *Kvernbitr*) – dosłownie: Gryzący Kamień.

[7] Ainar tajemniczo przyznaje, że z jakiegoś ważnego powodu nosi tylko przydomek (Skald, będący określeniem jego zajęcia), odrzucił zaś „imię ojca” (patronimikon), czyli określenie, czym był synem. Gdyby jego ojciec nazywał się np. Ulf, pełne imię i patronimikon poety powinny brzmieć:

Ainar Ulfsson (przyp. red.).

[8] *Koran*, sura XXVI, werset 224.

[9] Czytelnikom bardziej zainteresowanym ornitologią zdradzę, że nie jest to wymyślony ptak, ale bażant złocisty (*Chrysolophus pictus*), który po dziś dzień występuje w środkowych Chinach (przyp. autora).

[10] W mitologii nordyckiej Thor (tutaj Magni) zawsze wyruszał walczyć z olbrzymami na wschód. Z kolei Sol, czyli personifikacja słońca, wieczorami uciekała przed wilkiem na zachód (przyp. autora).

[11] Około 54 kilogramów. O kamieniu jako jednostce wagi – patrz słowniczek na końcu (przyp. red.).

[12] Ainar ma na myśli skandynawskiego herosa Sigurda, który wślawił się zgładzeniem smoka Fafnira. Dzięki temu wyczynowi uzyskał przydomek Zabójca Fafnira (*fáfnisbani*) (przyp. autora).

[13] W tradycji arabskiej, podobnie jak żydowskiej, ludem Loota (Lota) nazywano mieszkańców biblijnych miast Sodoma i Gomora, którzy za swoje dewiacje seksualne zostali straszliwie ukarani przez Boga. Stąd na Bliskim Wschodzie homoseksualizm jest nazywany grzechem ludu Loota (przyp. autora).

[14] *Księga mansub w szatrandżu*, dzieło napisane około 910 roku przez mistrza szatrandżu al-Lajlaja. Oryginał księgi zaginął, ale ustalenia jej autora zachowały się w późniejszych manuskryptach (przyp. autora).